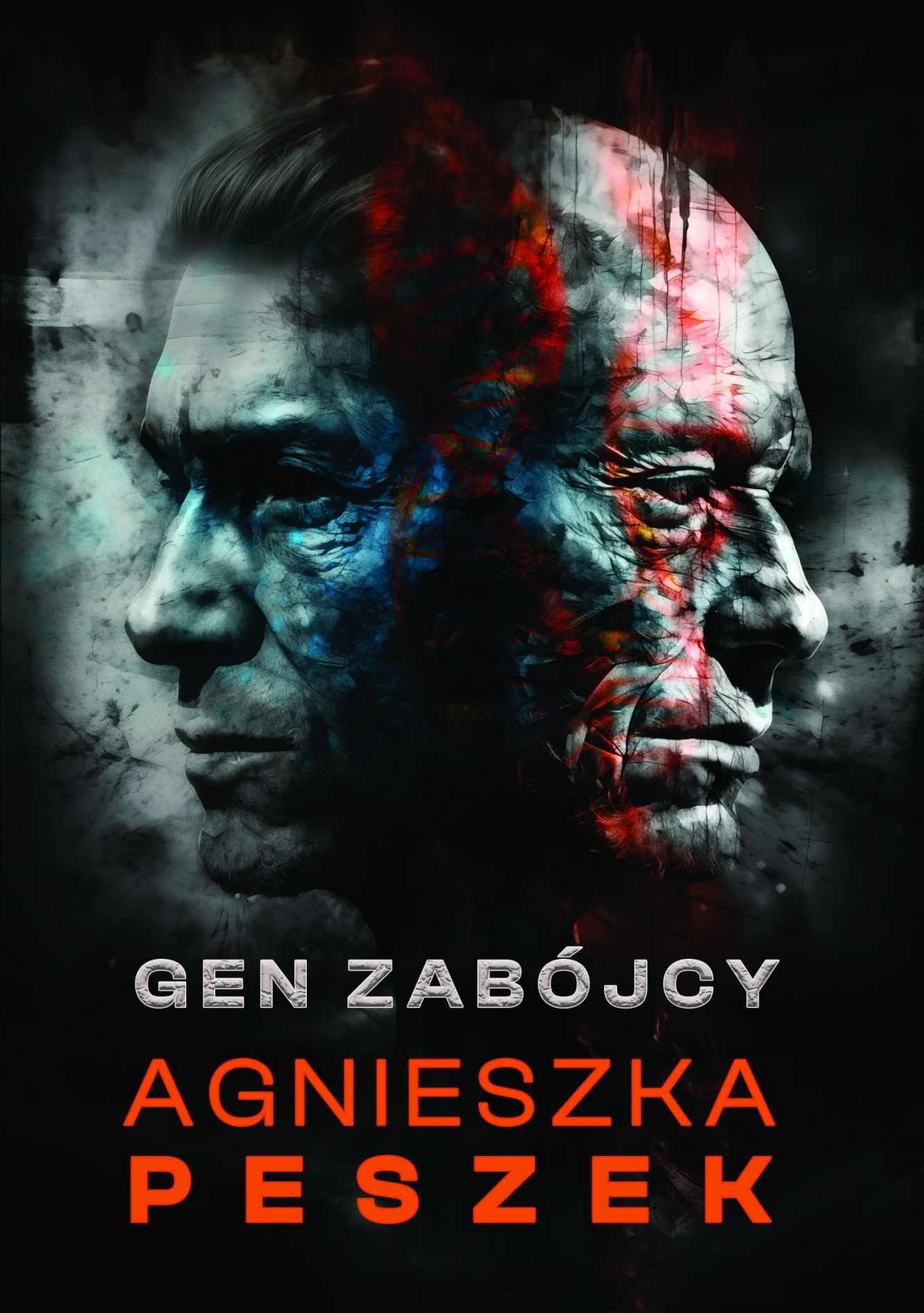

GEN ZABÓJCY

AGNIESZKA PESZEK

Gen zabójcy

AGNIESZKA
PESZEK

Copyright by Agnieszka Peszek 2024
Copyright by 110 procent 2024
Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSlowa.pl
Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek
Skład: Agnieszka Peszek
Wersja elektroniczna: Mateusz Cichosz | @magik.od.skladu.ksiazek

ISBN: 978-83-969384-7-3

Wydawnictwo 110 procent
Cymuty 4, 05-825 Czarny Las
www.peszek.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Epilog
Kilka słów

Miłość nie polega na tym, aby wzajemnie sobie się przyglądać, lecz aby patrzeć razem w tym samym kierunku.

Antoine de Saint-Exupéry, Mały Książę

Prolog

Dwadzieścia lat wcześniej

Nigdy nie była fanką prowadzenia samochodu. Zazwyczaj siedziała jako pasażerka i grzecznie obserwowała świat, nie zastanawiając się, w którym momencie zmienić bieg czy kiedy włączyć długie światła.

Ale teraz musiała się skupić. Spojrzała na śpiącego obok męża i mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, mimo że nie należał do najprzystojniejszych. Wysoki, a przy tym chudy jak patyk brunet o niesfornych włosach, które zawsze wyglądały, jakby wstał kilka minut wcześniej. Dobrze pamiętała, jak uśmiechnął się do niej, stojąc w kolejce w sklepie spożywczym, pokazując swoje krzywe zęby. Gdy wyszła objuczona torbami z zakupami, stał przed budynkiem i czekał na nią. Nigdy wcześniej nie była na randce. Miała zaledwie osiemnaście lat i chłopcy dotychczas nie pojawili się w jej kręgu zainteresowań. Zdecydowanie wolała książki, muzykę. Gdy ruszył w jej stronę, zupełnie nie wiedziała, jak się zachować. Chciał ją zaprosić do kawiarni i kina, ale zgodziła się tylko na to pierwsze. Nasłuchała się od koleżanek, co się dzieje, gdy światła gasną, a obok siedzi chłopak z buzującymi hormonami.

Później było jak w bajce. Zakochała się po uszy.

Wierzyła, że będzie to trwało po wsze czasy, jak w książkach, które pochłaniała.

Że przysięga, którą jej złożył w niewielkim kościele niedaleko Chojnic, złączy ich na całe życie.

Ona nigdy nie spojrzała na innego, mimo że kręciło się wokół niej paru absztyfikantów, ignorując obrączkę na palcu.

Wcisnęła mocniej pedał gazu. Samochód wydał z siebie dziwny dźwięk, prosząc się o wyższy bieg. Wrzuciła piątkę, a wtedy w aucie zapanowała względna cisza.

Minęła ostatni budynek w terenie zabudowanym, a kilkaset metrów dalej wjechała w las. Dobrze go znała. Każdy zakręt, każdą prostą. Jeździła tędy setki razy. Głównie rowerem, ale samochodem również, zazwyczaj jako pasażerka. Wiedziała, gdzie można przyspieszyć, a gdzie trzeba zachować szczególną ostrożność.

Ponownie wcisnęła mocniej pedał gazu.

Pogoda była piękna, nie mogła wymarzyć sobie lepszych okoliczności.

Od wybranego przez nią miejsca dzieliły ją raptem dwa kilometry, co przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę, jaką pokazywał prędkościomierz, dawało około minuty na dotarcie. O ile nigdzie po drodze nie zwolni.

Samochód lekko podskoczył na dziurze, której nie zauważyła.

Siedzący obok niej mężczyzna obrócił w jej stronę głowę. Miała wrażenie, że uśmiecha się do niej. Spojrzała z powrotem na drogę. Nie chciała już na niego patrzeć. W zasięgu wzroku widziała wybrane miejsce.

– Żegnaj – wyszeptała i zamknęła oczy.

Rozdział 1

Dorota Czerwińska popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się. Dawno nie czuła się tak dobrze. Tak naprawdę od momentu, kiedy na świecie pojawił się jej synek, całymi dniami siedziała w dresie i tylko na wyjście do pracy wskakiwała w coś innego. Nawet wtedy jednak jej strój niczym szczególnym się nie wyróżniał. Zwykłe jeansy, a do tego prosty sweter czy klasyczna koszula.

Generalnie na co dzień w ogóle nie przejmowała się tym, jak wygląda. Wiedziała, że mogłaby postarać się bardziej, jednak zawsze znajdywało się coś, co było ważniejsze. To trzeba było posprzątać w domu, ugotować coś na kolację lub obiad, a to chciała posiedzieć chwilę z młodym. Trzeba było go nakarmić, wykąpać, a po wszystkim znowu posprzątać czy nastawić pranie, bo jedną z ulubionych zabaw młodego człowieka było zgniatanie małymi rączkami jedzenia. Z niektórych rzeczy zrezygnowała, nie prasowała ubrań synka, co robiła przez kilka miesięcy po jego urodzeniu, żeby wyplenić z nich zarazki, którymi straszyły koleżanki i wszelkie artykuły w internecie.

Ograniczyła również częstotliwość kąpieli. Nie leciała z nim do wanny po każdej kupie czy oblaniu mlekiem. Teraz zupełnie się tym nie przejmowała i wolała spędzić z nim czas, leżąc na podłodze, gaworząc, turlając się i patrząc po prostu, jak malec rośnie jak na drożdżach.

Podczas każdej obserwacji dochodziła do jednego wniosku. Coraz bardziej przypominał swojego tatę. Z jednej strony bardzo ją to cieszyło, bo Marek zawsze jej się podobał jako mężczyzna. Z drugiej chciała, żeby syn chociaż trochę wdał się w nią. Niestety za każdym razem miała tę samą konkluzję – maluch był kopią mężczyzny, który zawładnął jej życiem.

Od kilku miesięcy mieszkali już razem. Początkowo podchodziła do tego zdroworozsądkowo – tak było po prostu wygodniej – ale z czasem uświadomiła sobie, że najzwyczajniej w świecie potrzebuje męskiego dotyku i bliskości dorosłego człowieka. Poza tym świetnie się dogadywali i rozumieli. Niczym zakochani kończyli za siebie zdania, a ona coraz częściej, będąc w jego towarzystwie lub myśląc o nim w ciągu dnia, czuła, że w jej brzuchu latają motyle, łaskocząc ją delikatnie.

Wiedziała dobrze, że wszystko robi się jakieś nierealne. Nigdy nie marzyła o tym, żeby być matką, a tym bardziej czyjąś partnerką. Zawsze wyobrażała sobie siebie jako samotną jednostkę. Już Jakub trochę zmienił jej nastawienie, ale później wszystko runęło i pogodziła się z myślą, że już nic miłego jej nie spotka, a teraz, patrząc na siebie, swoje życie, czuła, że lepiej nie mogło być.

Mieszkali razem, pomagali sobie. Jedyne, o co miała pretensje do siebie samej, to fakt, że ze względu na nią Marek zrezygnował z pracy swoich marzeń. Dla niego, tak samo jak dla niej, bycie policjantem stanowiło integralną część osobowości. Nie wyobrażała sobie być kimś innym, a mimo to on był w stanie się poświęcić. Zrezygnował z pracy w policji, żeby być bliżej swojego syna, żeby być z nią.

Wielokrotnie chciała podsunąć mu pomysł, żeby popytał wśród znajomych, czy słyszeli o jakimś wakacie na którejś ze stołecznych komend, ale za każdym razem język grzązł jej w gardle i rezygnowała. Nie chciała mu się narzucać, poza tym ten komfort psychiczny, który dawała jej jego aktualna praca, rekompensował uczucie zawodu. Nie musiała się też o niego martwić, jak on czynił w stosunku do jej osoby. Wiedziała dobrze, że niepokoiłaby się o niego, ale nie chciała być egoistką. On jakoś nigdy, gdy opowiadała o ciężkich sytuacjach w pracy, nie komentował tego w żaden sposób, który mogłaby odebrać jako obciążający.

Po raz kolejny spojrzała na małego i uśmiechnęła się. Za chwilę miała przyjechać Wanda, która opiekowała się nim, od kiedy tylko sprowadzili się do stolicy. Oni natomiast ruszali zaraz na wyjątkową uroczystość.

Na ślub Kasi, jej najlepszej przyjaciółki, która tak wiele przeżyła i która tak bardzo zasługiwała na to, żeby w końcu być szczęśliwą. Nie dość, że straciła męża w dość dramatycznych okolicznościach, to gdy w końcu znalazła szczęście u boku innego i zaszła w ciążę, sprawy się mocno pokomplikowały. Okazało się, że dwa małe ludziki mieszkające w jej brzuchu połączone były ze sobą naczyniami krwionośnymi, których nie powinno tam w być. Przeszła dość skomplikowaną operację, której efektów nikt nie był w stu procentach pewien. Na szczęście wszystko skończyło się sukcesem. Dzieci urodziły się w trzydziestym pierwszym tygodniu ciąży w bardzo dobrym stanie i już po czterech tygodniach wyszły do domu. Wiele osób sugerowało, aby przełożyła ślub, ale ona nie chciała.

Chciała pokazać wszystkim, jaka jest szczęśliwa.

Oczywiście u jej boku nie mogło zabraknąć przyjaciółki, która pierwszy raz w życiu dostąpiła zaszczytu – miała

stanąć tuż przy ślubnym kobiercu i wspierać Kasię w tej ważnej dla niej chwili.

Dorota była tak podekscytowana, jakby sama brała za chwilę ślub. Jakby zaraz miała oddać się ukochanemu i powierzyć swoje życie w jego ręce. Spojrzała jeszcze raz w lustro i uśmiechnęła się. Czerwona sukienka, którą wybrała jej przyjaciółka, leżała idealnie. Początkowo nie chciała jej założyć, bo wyszła z założenia, że krwisty kolor na ślubie nie przystoi, ale Kasia się upierała. Zresztą ona jako panna młoda zdecydowała, że nie pójdzie w białej sukni. Nie była dziewicą, jeden ślub miała już za sobą. Wybrała srebrną kreację, w której wyglądała jak gwiazda Hollywood gotowa na wyjście na czerwony dywan i ścianki.

Czerwińska westchnęła jeszcze raz i wzięła małego na ręce. Swoim zwyczajem mógł jej zostawić ślad na sukience, jednak zupełnie się tym nie przejmowała. Przestało jej zależeć na takich rzeczach już dawno temu. Pogłaskała go po włochatej główce, pocałowała w czoło i podeszła do drzwi, za którymi już słyszała jak zawsze szukającą kluczy kobietę.

– Cześć, Wandziu – rzuciła, otwierając. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i stanęła przed swoją kuzynką, trzymając młodego skierowanego w jej stronę twarzą.

– Ojej, Dorotko, wyglądasz szałowo, jak to mówi wnuczka mojej przyjaciółki – zapiszczała kobieta, a jej oczy zrobiły się olbrzymie. Położyła na ziemi swoją przepastną torbę i wyciągnęła ręce po chłopca.

– Przesadzasz.

– Nie, nie. Ja już swoje w życiu widziałam i wyglądasz przednio! – Młodzieżowe słowa w ustach kobiety brzmiały niezwykle uroczo. Mimo niewielkiej różnicy wieku córka siostry zmarłej matki Doroty wyglądała, jakby dzieliło je co najmniej jedno pokolenie. Zawsze nosiła babciowe swetry, długie spódnice co najmniej do połowy łydki, a na głowie fryzurę w stylu mokrej włoszki w kolorze popielatym, którą wiele osób uznałoby za relikt przeszłości.

– Jeszcze raz dziękuję, że przyszłaś. – Dorota podeszła do kobiety i przytuliła ją delikatnie. Nie miała rodzeństwa, ale pojawienie się w jej życiu Wandy stanowiło pewną rekompensatę. – Mam nadzieję, że dzisiaj będzie tak jak zwykle i Mikuś nie będzie robił problemów.

– Mnie ciężko zdziwić, zmęczyć. Wychowałam braci i myślę, że żadne dziecko mnie już nie zaskoczy. Pamiętasz, jacy oni byli… – Pokręciła głową na boki, wprawiając kręcone włosy w ruch, co momentalnie wywołało zainteresowanie Mikołaja. – Oni to czasami chcieli mnie do grobu wpędzić, mimo że byłam nastolatką. Raz najstarszy, Rysiek, zamknął najmłodszego, Filipa, w szafie i gdzieś położył klucz. Oczywiście młody początkowo siedział tam grzecznie, ale po jakimś czasie zachciało mu się siku. Ja wtedy obierałam ziemniaki na zupę, bo mama jak zwykle musiała zostać dłużej w pracy, aż tu słyszę krzyki. Dobrą chwilę zajęło mi namierzenie źródła dźwięku. Jak się domyślasz, żaden z chłopaków nie kwapił się do wyjaśnienia, co się stało. Gdy stanęłam przed szafą, okazało się, że jest zamknięta. Na nasze nieszczęście był to jedyny mebel zamykany na klucz. Ojciec chował tam swój zegarek, który wkładał od święta, bo bał się, że młodziaki coś z nim zrobią. Zadzwoniłam do niego do pracy, bo nie miałam pomysłu, co zrobić. Był wkurzony jak cholera. O to, że dzwonię, o to, że chłopcy jak zwykle robią głupoty. Na koniec powiedział, gdzie leży drugi klucz, ale niestety coś mu się pomyliło. Skończyło się na rozwaleniu szafy, bo Filip wpadł w histerię. Oczywiście po dwóch dniach Ryszard znalazł kluczyk u siebie w zabawkach, a trzy tygodnie później ojciec w marynarce swój.

– To faktycznie miałaś ciekawie.

– Ciekawie… – zaśmiała się kobieta, próbując wyjąć swoje włosy z małej łapki trzymanego na rękach chłopca. – Kiedyś muszę ci opowiedzieć, co oni wyprawiali, bo jak wpadałaś z rodzicami, to udawali spokrewnionych z aniołami, ale zdecydowanie bliżej było im do diabłów. Teraz to się z tego śmiejemy, ale ile razy ja miałam przez nich stan przedzawałowy, to nie policzę. Rozcięte głowy i tryskająca z ran krew. Połamane ręce, nogi. Guzy. Siniaki. Zawsze zazdrośnie patrzyłam na koleżanki, które po szkole szły do kina albo gdziekolwiek, a ja musiałam wracać do domu i zajmować się tymi ancymonami. Boże, jaką oni mieli wyobraźnię. Skakali po kanapach, próbując złapać się żyrandola i przelecieć nad resztą bandy niczym Tarzan na lianie…

– Czyli mam się czego bać? – weszła jej w słowo Dorota i przykucnęła przy szafce z butami, po czym zaczęła szukać swoich jedynych obcasów.

– Może troszeczkę. – Kobieta pogłaskała malucha po twarzy. – Ale nigdy nie wiadomo. Może będzie spokojny, ułożony…

– Tylko po kim? – wtrąciła policjantka, cały czas szukając zguby. – Jeżeli będzie podobny z charakteru do Marka lub do mnie, to mam przekichane.

– Damy radę. – W tym momencie z łazienki wyszedł Marek ubrany w elegancki garnitur, z przewieszonym przez szyję niezawiązanym krawatem w kolorze pasującym do sukni Doroty. Gdy tylko zobaczył swoją partnerkę, zrobił wielkie oczy, jednak momentalnie przeniósł spojrzenie na opiekunkę.

– Wando, mam prośbę. – Puścił do niej oczko i uśmiechnął się łobuzersko. – Mogłabyś nie mówić Dorocie, że dzisiaj umówiłem się z top modelką? – Zaśmiał się na głos, a wtedy w jego stronę poleciał jeden ze znalezionych sekundę wcześniej obcasów.

Rozdział 2

Kamila Mączyńska spojrzała na swojego męża i uśmiechnęła się. Uwielbiała, gdy wkładał koszulę i marynarkę. Oczywiście zanim to zrobił, każdorazowo musiała się nasłuchać jego utyskiwania. O tym, że go koszula pije w szyję, a marynarka ogranicza mu ruchy i powoduje, że czuje się niczym pacjent psychiatryka w kaftanie. Akurat tego porównania zupełnie nie rozumiała, ale pojawiało się za każdym razem, gdy wybierali się na miasto. Wtedy uruchamiała najprostszy sposób, aby mąż nie rzucił znienawidzoną koszulą w kąt i nie storpedował ich wyjścia.

Kocimi ruchami krążyła wokół niego, szepcząc do ucha, jak seksownie wygląda i że jak wrócą, chętnie zerwie z niego tę część garderoby. Wtedy on, niczym małe dziecko skuszone nagrodą, zapominał o swoich problemach i z uśmiechem od ucha do ucha cieszył się, że dał się przekonać do tego stroju. Zawsze wplatała to w ich plan wyjścia na miasto. Z jednej strony wykorzystywała męski popęd do zmotywowania męża, a z drugiej – sama czerpała z tego satysfakcję. Seks z nim zawsze przynosił jej rozkosz. Zupełnie nie rozumiała utyskiwań koleżanek, które mówiły, że małżonkowie ich nie zaspakajają. Trzydzieści sekund i po wszystkim. Jej mąż często zachowywał się tak, jakby to jej zadowolenie w łóżku stanowiło dla niego sens współżycia.

Niespiesznie się ubrali i wsiedli do zamówionej wcześniej taksówki, która zawiozła ich na dworzec. Ruszyli na comiesięczny wypad do stolicy, który przebiegał zawsze według podobnego schematu. Jechali najpierw na drinka, następnie szli do teatru lub na jakiś kabaret czy, jak coraz częściej nazywano występy komików, stand-up, a po wszystkim na kolację zakrapianą lekką dawką alkoholu. Na koniec powrót uberem.

Od kiedy przeprowadzili się za miasto, gdzie na co dzień mogli delektować się ciszą i spokojem, raz w miesiącu wybierali się do Warszawy, żeby sprawdzić, czy miasto ich nie ciągnie. I za każdym razem wracali z tym samym przekonaniem, że raz w miesiącu to jest wystarczająca doza hałasu, ludzi, spalin. Czyli tego, przed czym uciekli na wieś. Do swojego niewielkiego drewnianego domku, który zbudowali własnym sumptem i który tak naprawdę wymarzyli sobie już na pierwszej randce. Już wtedy omówili, co będą robić za dziesięć czy piętnaście lat. Planowali bardzo szczegółowo każdy aspekt ich życia, poczynając od dzieci, a raczej tego, że nie chcą ich mieć. To niezwykle ucieszyło ich oboje, ponieważ, jak się okazało, poprzedni partnerzy nie do końca zgadzali się z ich pomysłem na życie.

Potem przyszedł czas na pracę. Każde z nich chciało mieć taką, którą będą mogli wykonywać z każdego miejsca – nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Marzyły im się podróże: i bliskie, i dalekie, i takie, z których może kiedyś nie wrócą i zostaną gdzieś. Daleko, daleko nad lazurową wodą, leżąc na plaży i stukając w klawiaturę, dzięki czemu mogliby zarabiać niezależnie od tego, gdzie w danym momencie by się znajdowali.

Kolejnym punktem na ich liście, który również był spójny, był domek gdzieś pod Warszawą na ten okres przejściowy. Nie chcieli bardzo oddalać się od stolicy, ponieważ to w tym regionie mieszkała cała ich rodzina. Ale nie wyobrażali sobie mieszkania w mieście, skoro wywoływało to w nich negatywne emocje, a swoje prace mogli spokojnie wykonywać zdalnie. Planowali więc jak najszybciej się wyprowadzić, dzięki czemu na co dzień mogliby delektować się czystszym powietrzem, ciszą i brakiem sąsiadów za ścianą, którzy to piją, krzyczą i robią dziwne rzeczy w najmniej odpowiednich godzinach. Z reguły w tych wczesnoporannych, kiedy człowiek jeszcze leży w łóżku, albo wieczorem, gdy chce już usiąść na kanapie i niczym się nie stresować.

Teraz jednak jak co miesiąc porzucali na moment swoją oazę i chłonęli miasto w tej formie, która najbardziej im pasowała, czyli obcując ze sztuką.

Tym razem padło na klasykę, *Romea i Julię*. Sztukę, którą każdy znał, a większość widziała parę razy w życiu, jak nie w wersji teatralnej, to chociaż w postaci filmu.

Kamila od zawsze była jej wielką fanką. Mariusz co prawda nie pałał do niej taką miłością, ale nie miał wyjścia. Już na samym początku wprowadzili prostą zasadę: na zmianę wybierają sztuki lub kabarety. Tym razem przypadała jej kolej, więc nie mógł nie pójść, nie mógł torpedować jej pomysłu. Dlatego teraz grzecznie siedział i czekał, aż aktorzy wyjdą na scenę. Swoim zwyczajem już po minucie rozpiął pasek, który pił go w brzuch i powodował, że zjedzony przed wyjściem kurczak bulgotał gdzieś w żołądku. Przykrył go marynarką, aby nikt nie zwracał na to uwagi. Chwycił żonę za rękę i pogłaskał kciukiem po dłoni. Zawsze lubił okazywać jej uczucia. Nie tak jak jego rodzice, którzy w miejscach publicznych udawali, że są tylko znajomymi. Nikim bliskim. Nie wiadomo, po kim on miał w sobie dużą wylewność. Uwielbiał zarówno dotykać żony, jak i ją całować – niezależnie od tego, gdzie byli. Ona zaś

z uśmiechem na ustach przyjmowała jego czułości, nie przejmując się dezaprobatą w oczach innych.

W końcu po dłuższym oczekiwaniu kurtyna uniosła się i na scenę weszli pierwsi aktorzy. Mariusz nie znosił słabych sztuk, a ta niestety do nich należała. Nie dość, że aktorzy grali raczej przeciętnie, to jeszcze co chwilę popełniali błędy z kategorii tych karygodnych. Jeden z aktorów miał w kieszeni spodni telefon, co widać było przy każdym jego ruchu. Kolejny zapomniał w połowie swojej kwestii. Na szczęście stojąca obok aktorka szybko go poratowała, ale parę osób zdążyło to wychwycić, a jedna nawet rzuciła z widowni tekst: „To jakaś farsa?".

Mariusz najchętniej by wyszedł, ale dobrze wiedział, że nie może. Przetrwał pierwszy akt, zupełnie niczego nie komentując. W przerwie wypił aż dwa kieliszki wina i z niecierpliwością czekał na koniec spektaklu. Gdy zegarek pokazywał, że od upragnionej kolacji dzieli go już tylko kilka, maksymalnie kilkanaście minut, uśmiechnął się, pokazując zęby.

Gdy wreszcie Romeo osunął się na ziemię, Mariusz lekko prychnął, za co otrzymał kuksańca w bok od żony, która zrobiła wielkie oczy, upominając go za zachowanie rodem z podstawówki. Sekundy mijały, a aktor nadal leżał na ziemi, tylko dwa razy lekko się poruszył, jakby delikatnie podskakując, ale później zamarł zupełnie.

– W końcu dobrze gra – szepnął żonie wprost do ucha.

Ona jednak tego nie skomentowała. Patrzyła na scenę, uważnie obserwując rozwój zdarzeń. *Romea i Julię* widziała w teatrze trzy razy i ta scena nigdy nie trwała tak długo.

Minuty dłużyły się niemiłosiernie, a wszyscy przypatrywali się głównemu aktorowi. W pewnym momencie jedna z aktorek pobladła. Było to widać mimo dzielących ich kilku metrów. Kobieta zaczęła się nerwowo rozglądać, a po sali przeszedł pomruk. W miarę spokojne nastroje wśród widzów zmącił przeraźliwy krzyk kogoś z tyłu:

– On nie żyje!

Momentalnie wszyscy siedzący na widowni pochylili się do przodu, a kilka osób wstało. Każdy próbował dostrzec, czy pierś aktora unosi się rytmicznie, jednak ta jak zaklęta nie poruszała się nawet o milimetr.

Rozdział 3

Czerwińska weszła na komendę, czując, że lewituje. Od ślubu przyjaciółki minęło kilka dni, a ona cały czas żyła wspomnieniami. Uroczystość w kościele była dokładnie taka, jak powinna. Uprzejmy i niezwykle elokwentny ksiądz wygłosił kazanie, którego mogłaby słuchać w nieskończoność i które tak bardzo różniło się od tego słyszanego, gdy ostatnio uczestniczyła w mszy.

Nie było upolitycznione, nie punktowało obowiązków dobrego katolika i nie stygmatyzowało wszystkich, którzy są inni. Było pełne pozytywów, ciepłe i dające nadzieję. Może gdyby takie kazania były standardem, nie stroniłaby od kościoła.

Potem była średnio przyjemna i dłużąca się okrutnie kolejka do składania życzeń, w której wraz z Grzegorzem, świadkiem pana młodego, pełnili funkcję zbieraczy prezentów. Wiedziała dobrze, że w kopertach mogą być ukryte niezłe sumki, więc czuła duże obciążenie. Na szczęście odpadł im problem bukietów, ponieważ państwo młodzi poprosili gości o niekupowanie im ich. Nie chcieli mieć morza kwiatów, z którym nie wiadomo, co zrobić. Zamiast tego każdy z gości otrzymał dane fundacji wspierającej wcześniaki, z której pomocy sami korzystali, i na jej konto miały lecieć przelewy. Na szczęście większość przyjęła to ze zrozumieniem, poza ciotką Kasi, która uznała, że to święto jej bratanicy, a nie obcych bachorów, więc to jej należy się prezent.

Później było już tylko lepiej. Przenieśli się do niewielkiej góralskiej karczmy usytuowanej obok okazałego hotelu, czym zaspokoili potrzebę zorganizowania wesela w przytulnych warunkach, a jednocześnie mogli zapewnić gościom nocleg kilka kroków od imprezy, co miało szczególnie duże znaczenie w przypadku rodzin z dziećmi i osób starszych.

I to zdecydowanie był strzał w dziesiątkę. O dwudziestej trzeciej większość małoletnich gości już spała, a rodzice na zmianę chodzili sprawdzić, czy żadne nie wyślizgnęło się z łóżka, ale mogli dalej się bawić.

Tańczyli, pili, śmiali się.

Kasia wszystko doskonale zaplanowała, więc Dorota już w niewielu sytuacjach musiała pomagać. Mogła chłonąć całą sobą niesamowitą atmosferę. Jedynie rozmowa z Markiem zakłóciła nieco sielankową imprezę. Chwilę przed tortem zniknął na dziesięć minut. Wrócił z uśmiechem jeszcze większym niż ten, który prezentował przez całą imprezę.

– Wygrałeś w totka? – szepnęła mu do ucha, gdy usiadł koło niej. Spragniona po kolejnym tańcu z wujkiem przyjaciółki, sączyła powoli szampana, który miło chłodził od środka.

– Ja już dawno temu wygrałem. – Cmoknął ją w policzek, a jego dłoń wylądowała na jej udzie.

– To dostałeś gratis do tego totka? – nie odpuszczała. Ostatnie miesiące bycia razem spowodowały, że zaczynała czytać w nim jak w otwartej księdze, ale teraz coś blokowało przekaz.

– Może, a co, jesteś zazdrosna?

– Nie, bardziej ciekawska.

– No dobra. – Zgarnął wolną ręką stojący na udekorowanym stole kieliszek. – Zadzwonił do mnie kolega i sprzedał newsa.

– Robi się ciekawie.

– No, i to bardzo. Otóż mam szansę na powrót do pracy w policji.

– Serio? – Czerwińska aż podskoczyła z radości, chociaż momentalnie poczuła ucisk w brzuchu. Dobrze wiedziała, że oznacza to jedno. Koniec spokojnej głowy, jaką miała dotychczas. W jej życie wkradnie się i zadomowi na dobre strach o Marka i nie wiedziała, jak sobie z tym poradzi. W sumie nigdy o nikogo się nie martwiła. – Podzielisz się jakimiś szczegółami? – Z uśmiechem na twarzy upiła łyk szampana, licząc, że mężczyzna nie wyłapie jej zakłopotanej miny.

– No… – Przerwał i zmarszczył brwi. Nie zwiastowało to niczego dobrego. W głowie Doroty od razu wyskoczyły negatywne myśli. Pewnie wyślą go na koniec Polski albo wciągną do tajnej grupy, nie będzie mógł informować jej o niczym i będzie znikał w środku nocy. – Zaczynam już w poniedziałek.

– Wow, szybko, a gdzie?

Marek ułożył usta w dzióbek i cmoknął.

– Jeju, chłopie, do brzegu! – Przekrzywiła głowę i zamachała rzęsami jak nie ona.

– No dobra. Mam nadzieję, że się ucieszysz, ale będziemy pracować razem – wyrzucił z siebie na jednym wydechu i utkwił wzrok w Czerwińskiej.

Rozdział 4

Po dziesięciu minutach pojawiła się karetka. Dwóch medyków wpadło na scenę i przystąpiło do swojej pracy. Niektórzy z ludzi siedzących na widowni próbowali dojrzeć, co się dzieje, podnosząc się z foteli, by sprawdzić, czy mężczyzna jeszcze oddycha, czy niczym bohater utworu Szekspira przeniósł się na tamten świat.

W końcu jedna z siedzących w pierwszym rzędzie starszych pań nie wytrzymała i krzyknęła w stronę ratowników medycznych:

– On żyje?

Sama nie wyglądała lepiej niż aktor na scenie. Trzymała się oparcia fotela, lekko dygotała, a mimo to wyciągała szyję najmocniej, jak potrafiła, żeby tylko zobaczyć, co się dzieje z mężczyzną. Medycy nie odpowiedzieli.

– Próbują go ratować – odezwał się siedzący w piątym rzędzie młody człowiek ubrany w wysoki golf, który przykrył marynarką w kratę. – Jakby już nic nie dało się zrobić, narzuciliby na niego płachtę i wynieśli – dodał i na koniec wzruszył ramionami, jakby nie mówił o człowieku, ale o jakiejś niepotrzebnej rzeczy.

– Znawca! – prychnęła kobieta i obróciła się w jego stronę. – Wy, młodzi, znacie się na wszystkim i wypowiadacie się we wszystkich kwestiach, jakbyście pozjadali wszystkie rozumy. Kiedyś człowiek się trzy razy zastanowił, zanim się w ogóle odezwał.

– Tu nie trzeba lekarza, patologa czy innego mędrca. Wystarczy trochę rozumu i podstawowa wiedza.

– Czyli nie tylko najmądrzejszy, ale jeszcze niewychowany – skomentowała starsza pani, kręcąc przy tym głową.

– Wypraszam sobie! – Mężczyzna wyprostował się na krześle i zmarszczył srogo brwi. – Ja nic takiego…

– Kochanie, przestań – odezwała się siedząca obok mężczyzny krótko ostrzyżona blondynka, która przy partnerze wyglądała na filigranową. – Nie warto wchodzić w dyskusję ze starszą, sfrustrowaną panią, która…

– Sama jesteś sfrustrowana! – przerwała jej pani z przodu, ale nie było jej dane skończyć.

– Cisza! – wrzasnął jeden z medyków. – Tego, co niektórzy tutaj robią, to nawet nie można nazwać brakiem szacunku. Nie wiem, czy państwo też by chcieli, aby ktoś zachowywał się w ten sposób, jak będziecie umierać wy lub ktoś z państwa bliskich. – Spojrzał z dezaprobatą na kłócących się jeszcze chwilę temu ludzi i odwrócił w stronę leżącego na deskach mężczyzny.

– A nie powinni zasłonić tego faceta? – rzuciła po chwili Kamila, od kilku minut kurczowo trzymając męża za dłoń. – Na meczach, jak coś się dzieje, to tworzą wokół poszkodowanego krąg i kibice nie widzą, jak komuś noga wisi czy z głowy płynie krew.

– Może ci tutaj nie mają takiej wprawy. Jednak sport to bardziej kontaktowa dziedzina niż gra w teatrze.

W tym momencie młodszy z medyków wstał i patrząc na jedną ze stojących obok niego od samego początku kobiet, pokręcił wymownie głową. Jego mina mówiła sama za siebie.

– Boże, on nie żyje – szepnęła Mączyńska, ledwo słysząc swój głos. – Prawdopodobnie dzwonią teraz po karawan… – kontynuowała, zupełnie ignorując fakt, że siedzący obok mężczyzna już chwilę temu zrobił się blady niczym ściana.

Działo się tak za każdym razem, gdy w grę wchodziły okołomedyczne sprawy. W każdej takiej sytuacji, niezależnie od tego, czy dotyczyła jego samego, czy bliskiej osoby, czy zupełnie nieznanej, z jego twarzy odpływała cała krew, a on wyglądał niczym zombie.

Kilka minut później na scenie pojawił się pierwszy mundurowy, a po chwili drugi, aż zebrało się ich tak wielu, że wydawało się, jakby to oni przejęli cały budynek.

– Boże, kiedy my wrócimy do domu? – szepnęła Kamila do swojego męża, nie chcąc, aby ktoś usłyszał. Myślenie w tym momencie o sobie nie napawało jej dumą. – Przecież nasz kot nie wytrzyma długo.

– Jezu, ty znowu zaczynasz z tym kotem… – sapnął Mariusz i pokręcił głową z dezaprobatą. Ogólnie rzecz biorąc, uważał, że są niezmiernie zgranym małżeństwem, ale jedynym punktem zapalnym był właśnie włochaty czworonóg, który stanowił główne źródło konfliktów. – Za każdym razem jest to samo. Przecież już tyle razy się przekonaliśmy, że on może zostać długo sam. Nie potrzebuje naszego wsparcia.

– Ja wiem, ale on jest taki biedny, nie lubi, jak długo nas nie ma.

– Powiedział ci to?

– Takie rzeczy się wie – westchnęła i zerknęła na telefon. Do domu mieli wrócić dopiero za kilka godzin, ale

obawa, że przyjadą później, niż planowali, osaczyła ją niczym mgła w letni poranek.

– Ja rozumiem, że nasz kotełek nie lubi być sam, ale nic mu się nie stanie, uwierz mi. – Pogłaskał ją po dłoni. – Nie dostanie kociej depresji, a nawet jak dostanie, to jak zaczniesz go głaskać, szybko o tym zapomni. Poza tym – spojrzał na zegarek ukryty pod mankietem marynarki – jeszcze mamy sporo czasu, by…

Nie skończył, bo nagle na scenie stanął jeden z policjantów, a za nim opadła wreszcie kurtyna, odgradzając tym samym widzów od rozgrywającego się tam dramatu, a tak właściwie jego końcówki.

– Drodzy państwo! – zaczął ubrany w czarne jeansy i kurtkę khaki mężczyzna. – Jestem komisarz Marek Kamiński. Niestety wydarzyła się wielka tragedia. – Przerwał, ponieważ siedzący w dalszych rzędach ludzie zaczęli nagle głośno o czymś dyskutować. – Może państwu przeszkadzam, ale chwilowo prosiłbym o ciszę. Powiem, co mam do powiedzenia, i będziecie mogli kontynuować wciągającą rozmowę.

Adresaci tych słów momentalnie się uspokoili i zapanowała cisza przerywana jedynie szmerem dochodzącym zza bordowej zasłony. Każdy ze słuchaczy od razu się pochylił, jakby liczył na jakieś pikantne kąski ze strony funkcjonariusza.

– Niestety w związku z zaistniałą sytuacją potrzebujemy danych każdego z państwa. Wiem, że to spore obciążenie, ale wierzę, że mają państwo w sobie dobrą wolę i wesprą nas w dojściu do prawdy. – Uśmiechnął się delikatnie. – Za chwilę przyjdą tu policjanci, którzy będą spisywać państwa dane. Jeżeli mają państwo jakieś swoje spostrzeżenia, chętnie ich wysłuchamy. Liczymy na współpracę i dziękujemy za wyrozumiałość. – Lekko się ukłonił i zszedł ze sceny, ignorując pytania ze strony publiczności.

– Ile to potrwa?

– Czy musimy tu siedzieć cały czas?

– Czy mogę iść do toalety?

– Czy on faktycznie nie żyje?

– Muszę zadzwonić do pracy, zaraz zaczynam zmianę.

– Kto go zabił?

– Czy mogę podjechać jutro? Musimy jechać do kota! – rzuciła Kamila, na co jej mąż przewrócił tylko oczami.

Rozdział 5

Marek Kamiński przeszedł na odgrodzoną część sceny, rozejrzał się dookoła i zamknął na chwilę oczy. To było to, czego mu brakowało. Od kiedy zrezygnował z pracy w policji, ani razu nie wypowiedział słów, które można byłoby zinterpretować jako narzekanie. Był wdzięczny za każdą chwilę z synem i Dorotą, ale w skrytości liczył, że prędzej czy później znowu uda mu się być częścią jakiejś sprawy. Nie sądził jednak, że wszystko potoczy się tak szybko.

Tydzień wcześniej, w dniu ślubu Kasi, przyjaciółki Doroty, zadzwonił do niego kolega z dawnych czasów. Dawnego życia, jak określał to, co wydarzyło się kiedyś. Kumpel znał szczegóły sprawy, która zniszczyła mu życie, i nigdy nie poruszał tego tematu, za co Kamiński był mu wdzięczny. Wiedział też o jego aktualnej sytuacji, dlatego zadzwonił z dość konkretną propozycją:

– Mam dla ciebie robotę – rzucił po krótkiej rozmowie o niczym.

– Jakieś ciekawe zlecenie detektywistyczne? – spytał Marek od razu, bo tym się zajmował, od kiedy zrezygnował z pracy w policji.

– Nie. Coś o wiele fajniejszego.

– Będę ochraniał Jennifer Lopez? – wtrącił rozbawiony. Zawsze lubili się droczyć i nigdy żadnej ze stron to nie przeszkadzało.

– Chciałbyś. Ale… – Urwał na chwilę, a Kamiński usłyszał jakiś damski głos w tle. – Przepraszam, ale stara dogaduje, że mieliśmy zjeść obiad, a ja wiszę na telefonie. Tylko jak usiądę w końcu do jedzenia, to sama zatopi się w swoim fejsbuczku. Obłudnica jedna… – Mężczyzna westchnął. – Nie będę truł ci dupy o moim małżeństwie, bo to istny koszmar. Jakby mnie na kole rozrywali! – Ostatnie słowa wypowiedział głośniej. – Tak, o tobie mówię. Drzesz się non stop i czepiasz wszystkiego jak nienormalna…

– Może zdzwonimy się później – rzucił Kamiński, słysząc niezbyt przychylne słowa wypowiadane przez jakąś kobietę w kierunku jego kumpla. – Nie chcę mieć twojego małżeństwa na sumieniu.

– Tu się i tak już nie da nic ratować. Moja żona ma chorą głowę.

W tym momencie dobiegł do niego piskliwy damski głos, tak głośny, jakby to ona trzymała słuchawkę:

– A ty dupę. Nienormalny jesteś…

– Przepraszam. – Kamiński usłyszał pisk przesuwanego mebla po podłodze, a po chwili zapanowała totalna cisza. – Mam dla ciebie robotę na komendzie.

– W policji? Ale jak to? Przecież ty nie pracujesz już od kilku lat.

– Znajomości zostają do końca życia.

I tym sposobem wrócił. Nie na stare śmiecie, bo nie znał komendy, na której pojawił się wakat. No, poza jedną osobą.

Dorotą Czerwińską, która już stała koło patologa i bacznie obserwowała jego pracę. Podszedł do niej i uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie. Powiedział jej o propozycji już podczas wesela jej przyjaciółki. Liczył, że atmosfera tam panująca pozytywnie ją nastawi i jego ukochana nie zareaguje negatywnie.

Ku jego radości ucieszyła się, a przynajmniej nie zdenerwowała. Szybko ustalili zasady ich współpracy, bo teraz mieli zostać partnerami.

– To komisarz Marek Kamiński, a to Janusz Chodakowski – przedstawiła ich sobie, na co panowie kiwnęli na siebie głowami, a ten drugi wrócił do wykonywanych chwilę wcześniej czynności.

– Miło poznać – rzucił policjant i zrobił krok w stronę ciała mężczyzny. – Jakieś pomysły, co się mogło stać?

– Stać się mogło wiele rzeczy. I na chwilę obecną poza najpewniejszym, czyli że facet nie żyje, nic nie jestem w stanie powiedzieć. – Głos lekarza brzmiał niezwykle sympatycznie, co ucieszyło Kamińskiego. Już lata temu w taki sposób sprawdzał spotykanych na swojej drodze patologów. Ci, co się wściekali za jego pytania, z reguły nie należeli do najwybitniejszych. Za to ci, co w sposób elokwentny odpowiadali na tego typu zaczepki, okazywali się ciekawymi osobami, a współpraca z nimi przebiegała doskonale. – Po więcej informacji zapraszam na sekcję zwłok. Wtedy będziemy mogli porozmawiać z naszym aktorem, a także poznać się lepiej. Bo mniemam, że zostaniesz z nami na dłużej? – Mężczyzna uniósł głowę znad ciała i spojrzał na Kamińskiego.

– Taki mam plan, a tymczasem zostawiamy pana i czekamy na informacje. – Skinął głową i odszedł kilka metrów. Dorota zrobiła to samo.

Na drewnianej scenie krzątało się kilka osób. Dwóch techników robiło zdjęcia i zabezpieczało ślady, chodząc na palcach wokół leżącego na środku mężczyzny.

Czerwińska od razu go poznała. Norbert Dutkiewicz. Aktor przeciętny, lecz przystojny ponad normę. Podobno od lat związany z jedną kobietą, jednak wielu wątpiło, czy faktycznie ogranicza się tylko do niej. Mało kto wierzył, że taki facet może być wierny.

Nie tylko jego wygląd był tematem do rozmów, ale i wykształcenie. Nie skończył żadnej szkoły aktorskiej, co wielokrotnie mu wytykano. Krytycy zwracali uwagę, że jego sposób gry pozbawiony jest emocji, a wyraz twarzy zawsze taki sam, niezależnie od tego, czy jego bohater jest szczęśliwy, zły, czy może cierpi katusze.

Jednak ani on, ani producenci się tym nie przejmowali. On i tak miał rzeszę fanów, a bardziej fanek, a tym samym mnóstwo followersów na Instagramie, czym się szczycił. Twórcy seriali, w których głównie występował, ale i filmów pełnometrażowych czy sztuk, w których pokazywał się okazjonalnie, dysponowali nim jak magnesem przyciągającym publikę, co równało się z szerokim strumieniem pieniędzy spływającym do ich kieszeni.

I nagle wszystko się skończyło.

Z tego, czego dowiedzieli się na szybko, mężczyzna zgodnie ze scenariuszem wypił napój udający truciznę, padł na ziemię i już z niej nie wstał. Kilka osób zauważyło, że parokrotnie nim wstrząsnęło, jakby miał padaczkę, i tyle.

Po prostu odpłynął, a teraz leżał na ziemi i gdyby nie nienaturalny bezruch, można byłoby pomyśleć, że śpi. Cały czas wyglądał niezwykle przystojnie, jakby nawet śmierć obeszła się z nim łagodnie. Usta ułożyły się w delikatny uśmiech, a na opuszczonych powiekach nawet z daleka można było dostrzec naturalnie długie rzęsy.

– Smutne to trochę – szepnęła Czerwińska do stojącego obok Kamińskiego, który również od kilku minut obserwował spoczywającego na deskach teatru mężczyznę. – Człowiek idzie do niby normalnej pracy, która nie wiąże się z żadnym niebezpieczeństwem, i nagle pada. Żyjemy w czasach, kiedy nie ma żadnych świętości.

– No, nie powiedziałbym, że to żadne niebezpieczeństwo. A stres? Ja umarłbym już podczas pierwszego wyjścia. Nie wiem, jak ty, ale przedszkole to była dla mnie trauma. Miałem takie ciocie, co były niewyżyte artystycznie i non stop robiły przedstawienia. Rozpoczęcie roku to rozumiem, potem pasowanie na przedszkolaka, ale później był dzień jesieni, czego nikt nie obchodzi. Następnie święta. Jakieś przedstawienie zimowe, pierwszy dzień wiosny i tak dalej. Jedno niekończące się pasmo występów, a ja za każdym razem dostawałem sraczki. Serio! – Pokiwał głową. – Nienawidziłem tego, dlatego jak Mikuś pójdzie do przedszkola, to mu powiem, że nie musi.

– O matko, ty jesteś niesamowicie delikatny – zaśmiała się pod nosem.

– Tak, przyznaję się, ale uważam to za swoją zaletę, a nie wadę. A co do naszego denata, to faktycznie słaba śmierć, ale i tak lepsza niż zawał kierowcy autobusu podczas wykonywania kursu. Było już parę takich sytuacji i niestety kończyły się tragicznie.

Czerwińska pokręciła głową, bo od razu przed oczami stanęła jej sytuacja sprzed Złotych Tarasów i samochód, który wjechał w ludzi. Już chciała o tym wspomnieć, gdy na scenę niczym gwiazda filmowa wszedł gustownie ubrany mężczyzna. Miał na sobie przykrótkie spodnie odsłaniające fragment kostki, do tego mokasyny w tym samym kolorze i śnieżnobiałą koszulę mocno przylegającą do ciała, o które musiał regularnie dbać na siłowni.

Prokurator Kacper Bartoszewski. Dotychczas niewielu spotkało go na swojej drodze, ale ci, co mieli tę przyjemność, twierdzili, że daleko zajdzie. Że jest niczym buldożer, dla którego żadna przeszkoda nie jest problematyczna, a nawet jeżeli, to usunie ją natychmiast, nie oglądając się na ofiary. Ubrawszy się w strój ochronny, podszedł do dwójki policjantów.

– Dzień dobry – rzucił zdawkowo i szybko przeszedł do meritum: – Muszę wiedzieć o nim wszystko. Kto go lubił, kto nie? I dlaczego? Od kiedy? Przyjaciele, żona, kochanki, dzieci, może jakieś nieślubne, wrogowie. Na miejscu zabezpieczcie wszystko, co się da. Nie sądzę, żeby były tu kamery, ale połaźcie. Może sprzątaczka coś zamontowała, bo jej papier toaletowy podkradają albo ktoś podprowadza płyn do mycia rąk. Chcę być informowany o wszystkim, nawet najmniej istotnym zdarzeniu. Nie krępujcie się, możecie do mnie dzwonić nawet w nocy o północy.

– Dobrze. – Czerwińska kiwnęła głową lekko zestresowana. Mężczyzna nie wyglądał na starszego od niej, ale swoją pewnością siebie, która emanowała od niego przy każdym geście czy wypowiedzianym słowie, sprawiał, że czuła się niczym studentka przed wykładowcą.

– Co do sekcji zwłok, to chętnie podyskutuję przy ciele. Ja ogólnie lubię rozmawiać. Zresztą… – Spojrzał na dwójkę stojących przed nim policjantów i uniósł krzaczastą brew. – Jakieś pomysły, co się tutaj mogło wydarzyć?

Czerwińska z Kamińskim zdziwieni wymienili spojrzenia. Mieli do czynienia z różnymi prokuratorami i rzadko kiedy któryś pytał ich o zdanie. Zazwyczaj byli traktowani jak wyrobnicy, którzy dostają wytyczne i mają się ich sztywno trzymać, a każde odstępstwa powinni konsultować, jakby byli istotami niezdolnymi do myślenia.

– No… – zaczęła Dorota nieco zbita z tropu. – W tym momencie to trochę jak wróżenie z fusów, bo nie znamy

przyczyny śmierci.

– Załóżmy, że aktor nie zginął z przyczyn naturalnych.

– No to może żona? – zaczęła niepewnie, patrząc gdzieś za prokuratora, jakby obawiała się spojrzeć mu prosto w oczy, co on czynił od kilkunastu sekund. – Facet był przystojny, może miał kochankę.

– Czyli jak mężczyzna jest ładny, to od razu zdradza? – wtrącił Kamiński, a Czerwińska lekko poczerwieniała.

– No nie. – Pokręciła głową i zmierzyła go piorunującym spojrzeniem. – Tylko taki pierwszy pomysł przyszedł mi do głowy. Może obiecywał kobiecie wspólne życie, ale się rozmyślił i ona w ramach zemsty postanowiła wysłać go na tamten świat. Chociaż równie dobrze mógł go zabić zazdrosny kolega, bo Dutkiewicz zgarnął mu sprzed nosa wymarzoną rolę lub okazało się, że zarabia znacznie więcej.

– Jeżeli ktoś go faktycznie zabił – wciął się Kamiński, patrząc na prokuratora, jakby obraził się na Dorotę – to ja raczej zacząłbym od odpowiedzi na pytanie: jak? Broni nie użył. Nie użył też siły. Jedyne, co wchodzi w grę, to otrucie. I tutaj pojawia się ważna kwestia, skąd miał truciznę?

– A czemu „miał”? Przecież mogła to być też kobieta – zauważyła Czerwińska.

– Ale ja nie powiedziałem, że to facet – odparował Kamiński. – Chodziło mi o to, że „on”, znaczy morderca, bez przypisanej płci.

– Okej. – Dorota wzruszyła ramionami.

– To dalej drążąc, jeżeli założymy, że to była trucizna czy jakaś wybuchowa mieszanka leków, to w jaki sposób została podana? – spytał policjant, przenosząc wzrok z Doroty na prokuratora i z powrotem.

– Ktoś mógł mu coś dosypać do jedzenia, ale równie dobrze podać zastrzyk.

– I nie skapnąłby się? – spytał Marek.

– Nie wiem. Nikt nigdy nie chciał mnie otruć. – Zaśmiała się i wsunęła dłonie do kieszeni stroju ochronnego.

– No i super, mamy punkt zaczepienia. – Prokurator Kacper Bartoszewski klasnął w dłonie.

– Tak sobie pomyślałam… – odezwała się niepewnie Czerwińska. – Może ktoś od dawna go podtruwał?

– I co, nie zauważyłby tego? – prychnął Kamiński i pociągnął rękaw, który poszedł mu do góry. Niestety za każdym razem dostawał za mały kombinezon i ten układał się w zagięciu łokcia, krępując mu ruchy.

– Ja tylko….

Nie skończyła, bo rozbawiony prokurator uśmiechnął się i podniósł rękę.

– Przepraszam, jesteście naprawdę uroczy. Musicie bardzo się kochać, bo tylko tacy ludzie tak się kłócą, ale teraz muszę lecieć. – Spojrzał wymownie na zegarek. – Zdzwonimy się później, ale pracujcie dalej z takim zaangażowaniem, to szybko uporamy się z tą sprawą.

I nie czekając na ich reakcję, ruszył do wyjścia, po drodze rzucając polecenia technikowi i patologowi.

– Przecież tak się staraliśmy – wyszeptała Dorota Czerwińska, a jej usta wygięły się w delikatną podkówkę.

– Mam nadzieję, że lepsi z nas policjanci niż aktorzy. – Stojący obok niej mężczyzna zaśmiał się pod nosem i puścił oczko, mimo że wolałby podejść do niej, przyciągnąć do siebie, spojrzeć w oczy, a następnie musnąć po policzku dłonią, zgarniając niesforne włosy, a wtedy pocałować. Niestety w okolicznościach, w jakich się znajdowali, musiał się powstrzymać.

– To co robimy? – sapnęła i rozejrzała się po scenie. Wszyscy pracowali w skupieniu, starając się odkryć prawdę o śmierci mężczyzny.

– Ruszamy do roboty. W pierwszym rzucie przesłuchamy aktorów i obsługę. Zaraz dotrze wsparcie i młodsi stażem ogarną widownię. Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, więc czas zacząć.

Zabrali się do pracy, która niczym brazylijski serial nie miała końca.

Rozdział 6

– Nigdy nie widziałam tak pięknej panny młodej!

Dorota po raz nie wiadomo który wygłosiła komplement w kierunku przyjaciółki. Po ponad tygodniu od wesela postanowiła ją odwiedzić, mimo dzielącej je liczby kilometrów. Koniecznie chciała spędzić z nią trochę czasu, ale również uporządkować w głowie myśli podczas samotnej jazdy samochodem. Poza tym bardzo chciała zobaczyć bliźniaki, które pomimo problemów już na etapie ciąży były okazami zdrowia.

– Jutro będą już pierwsze zdjęcia. – Kasia sięgnęła po kubek z herbatą, cały czas nie odrywając wzroku od swojej dłoni. I nie chodziło jej wcale o fikuśnie pomalowane paznokcie, ale o obrączkę. – Cały czas nie mogę się do niej przyzwyczaić.

– Ciąży ci? – Czerwińska zmrużyła oczy niczym superbohater próbujący prześwietlić przeciwnika.

– Przestań, to najpiękniejszy ciężar, jaki można sobie wyobrazić. Ty kiedyś też to zrozumiesz. – Spojrzała na przyjaciółkę z ukosa i sięgnęła po jedną z kartek z życzeniami, które miały przejrzeć, odstawiając jednocześnie herbatę.

– Ja? O nie, nie. W życiu! – zareagowała podniesionym głosem, a Kasia zaśmiała się pod nosem.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale kiedyś tak reagowałaś w ogóle na facetów. Potem na dzieci. A teraz patrzysz na młodego z taką miłością i oddaniem, że szok. A do Marka też bije ci szybciej serce, co widać za każdym razem, gdy pojawia się w okolicy.

Dorota oparła się plecami o kanapę i chwilę milczała.

– Tak, młody skradł moje serce. Co do Marka… – Uśmiechnęła się, a jej oczy zabłysły niczym lampki na świątecznej choince. – Lubimy się.

– Lubicie? Lubić to można panią w sklepie spożywczym. On za tobą szaleje, a ty też wskoczyłabyś za nim w ogień. Myślisz, że tego nie widać? Na weselu zjadał cię wzrokiem, a ty miałaś takie rozanielone spojrzenie, jak córka mojej koleżanki, jak opowiada o Justinie Bieberze.

– Chyba przesadzasz – prychnęła. – Lubimy się, nawet bardzo, ale małżeństwo to co innego…

– Niby dlaczego? Dlaczego możesz z nim spać, mieć dziecko, a małżeństwo to jakieś zło?

– To zobowiązanie na całe życie, a ja…

– Boisz się? – Kasia odłożyła kartkę z życzeniami, którą próbowała przeczytać. – Ja też się boję. Jestem po średnio udanym małżeństwie. Moje doświadczenia mogłyby powodować, że nigdy, przenigdy nie zostanę ponownie żoną. A tutaj taka niespodzianka. I ani przez chwilę nie pomyślałam o tym jako o wyroku, tak jak ty do tego podchodzisz. To jest dla mnie szansa na cudowne chwile z cudownym mężczyzną, a… – Wzruszyła ramionami i sięgnęła po kolejną kartkę. – Może to dziwnie zabrzmi kilka dni po ślubie, ale biorę pod uwagę fakt, że może to nie być na całe życie.

– Co? Nie mówiłaś nigdy… To znaczy, że okłamałaś Marcina.

– Oj, przestań. Nikt nikogo nie okłamał. On zresztą wie o moim podejściu do małżeństwa. Co zabawne, ma takie samo. Fajnie byłoby się wspólnie zestarzeć. Mieć u boku kogoś, z kim spędzę życie do końca, ale cieszę się tym, co mam teraz. To też jest bardzo ważne, o ile nie ważniejsze. O to, co będzie kiedyś, pomartwię się później.

– Ale mnie jest tak dobrze – wtrąciła Czerwińska.

– Rozumiem, ale zapewniam, że apetyt rośnie w miarę jedzenia i niedługo zapragniesz więcej. Ja daję ci maks rok, Marcin dwa.

– Jezu! – krzyknęła oburzona Dorota, robiąc zdenerwowaną minę. – Może jeszcze zakłady róbcie na pieniądze?

– Nie planujemy – odpowiedziała Kasia spokojnym głosem. – Tylko was obserwujemy. Mnie to serce rośnie. Bo jak Jakuba lubiłam, tak Marek jest rewelacyjny. No i to, jak zachowuje się w stosunku do Mikołaja, to łapie za serce.

– Faktycznie, czasami jestem wręcz zazdrosna, bo ja tak nie potrafię… – Głos Doroty zabrzmiał smutno, a oczy lekko się zaszkliły.

– Rorotka, przestań. Jesteś świetną mamą. Oddajesz młodemu całe serce.

– Wiem, ale czasami mam wyrzuty sumienia, że nie robię tego lepiej.

– Każdy z nas ma chwile zwątpienia. – Kasia przysunęła się bliżej przyjaciółki i obróciła w jej stronę. – Ja często czuję, że mogłabym więcej czasu spędzać z dziećmi, szczególnie teraz gdy maluchy są tak bardzo absorbujące. Ze starszymi mogłabym bawić się w bardziej rozwojowe zabawy, a wybieram oglądanie bajek lub puszczanie audiobo-

oków. I jak się później okazuje, nieadekwatnych do wieku. Jakby ktoś wszedł do mojego domu i spędził trochę czasu z nami, pewnie powiedziałby, że mogłabym lepiej je karmić, poprawniej ubierać. Chociaż w przypadku bliźniaków podobno wszystkie te czynności pielęgnacyjne wykonuję lepiej niż niejedna pielęgniarka w szpitalu. Ale co do reszty, to mam spore braki. Pewnie też większość z nas mogłaby chodzić na więcej zajęć z dziećmi albo na jakieś lepszej jakości.

– Dobrze, że zajęcia to jeszcze nie mój problem, za wcześnie na nie.

– Za późno! – zaśmiała się Kasia. – Oj, moja droga, nawet nie wiesz, z jakich powodów powinnaś się stresować. Ja na szczęście jestem usprawiedliwiona, bo moi są jeszcze mali, plus akurat zajęcia grupowe są średnio dla nich. Ale ty mogłabyś bardziej się postarać – zaśmiała się pod nosem.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć…

– Zaczęłaś, to skończmy. Mam koleżankę, która chyba już od drugiego miesiąca życia swojej córki chodziła z nią na pływanie.

– Pływanie? Przecież takie dziecko niewiele kuma.

– O nie, ono już w tym wieku nabiera dobrych odruchów. – Na twarzy Kasi pojawił się sztuczny uśmiech. – A jeżeli pływanie nie pasuje, to możesz zapisać się na tańce w chuście.

– Faktycznie jestem niewyedukowana. – Dorota westchnęła i przeczesała ręką włosy, które posklejały się na końcach.

– I to bardzo. Są też sposoby odżywiania dzieci, gdzie to maluchy wybierają, co chcą jeść. Dostają kilka opcji i same decydują.

– Nie wiem, czy nie palnę czegoś, ale mówimy o dzieciach, które mają kilka lat?

– O nie, już o takich, co zaczynają gryźć, więc twój Mikuś byłby idealny.

– Aha. I może też wybierają, w co się ubiorą?

– Tak. – Kasia pokiwała potwierdzająco głową. – W końcu dobrze gadasz. A odpowiadając na twoje pytanie, to jest taki trend, gdzie dziecko na przykład decyduje o tym, w czym ma chodzić. I to nie chodzi o kolor skarpetek, ale o to, czy założy spodnie, czy sukienkę, w jakim kolorze, i czy zimową, czy letnią. Jak dla mnie to jest przedziwne. Koleżanka opowiadała mi raz z dumą, jak to jej córka, a dodam, że Lusia miała wtedy trzy latka, poszła zimą do przedszkola w sukience w kwiatki, takiej, co chodziła w niej latem, więc już była jej za krótka, i nie założyła do tego rajstop. Słuchałam tego, starając się nie zrobić dziwnej miny. Oczywiście młoda się pochorowała, a co zaskakujące, jej matka zupełnie się tym nie przejęła. Cieszyła się, bo córka niby nauczyła się, że nie powinna się tak ubierać. Taka lekcja odpowiedzialności.

– Serio? – Dorota zaśmiała się na głos.

– Niestety tak. Inna, od kiedy syn zaczął cokolwiek kumać, pozwalała mu współdecydować o wszystkim.

– Jak to o wszystkim?

– No, na przykład co będzie na obiad. Tylko to już w pewnym momencie przybrało obłędną postać. Ja bym dziecko zawiozła do lasu i kazała samemu wracać. Bo wyobraź sobie, że ten mały potworzak potrafił w połowie gotowania zmienić zdanie. „Ja jednak nie chcę pomidorowej, tylko rosół!” – Kasia próbowała udawać głos małego dziecka. – No i gdyby to było, zanim wrzuciła warzywa, byłoby super. Ale on wybierał najgorszy z możliwych momentów, czyli gdy pomidory wylądowały już w bulionie.

– I co? Żyje jeszcze?

Obie prychnęły.

– Tak, chociaż po roku takiego życia Gosia zaczęła opowiadać o dziwnym zachowaniu swojego dziecka. O tym, że jest bardzo trudny. Że zawsze musi być tak, jak on chce. Ja dawno temu nauczyłam się nie komentować, więc tylko grzecznie słuchałam. Ale ona jakby w ogóle nie czuła, że to jej dziwne zasady domowe wywołały takie jego zachowanie. Zawsze było jak młody chciał, więc jak nagle cokolwiek próbowała na nim wymóc, nie konsultować, tylko samodzielnie decydować, to stawiał opór. W sumie to się mu nie dziwię.

– Ja też. Może zajmiemy się teraz tymi kartkami, bo ja chyba więcej o matkowaniu nie mogę słuchać… – Dorota sięgnęła po jedną z kopert z życzeniami.

– I słusznie. Ale może opowiesz mi o morderstwie Norberta Dutkiewicza?

– No tak, wiedziałam, że lokalna plotkara będzie chciała znać szczegóły… – Zatrzepotała rzęsami i zaśmiała się. Z reguły nie rozmawiała z nikim na temat prowadzonych śledztw. Wyjątek stanowiła Kasia, której wielokrotnie opowiadała szczegóły, bo wiedziała, że ta nikomu nic nie zdradzi.

Następne pół godziny spędziła więc, streszczając najważniejsze informacje dotyczące sprawy, o której wieść lotem błyskawicy obiegła cały kraj. Każdy chciał wiedzieć, co stało się jednemu z najprzystojniejszych polskich aktorów,

do którego wzdychały zarówno nastolatki, jak i panie po pięćdziesiątce.

Rozdział 7

Marek Kamiński wszedł do pomieszczenia o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych i usiadł przy przydzielonym mu biurku. Przyszedł pół godziny przed czasem i przed Dorotą. Mimo że prokurator rozgryzł ich przy pierwszym spotkaniu, liczyli, że koledzy nie będą aż tak spostrzegawczy, i postanowili dalej grać w przedstawieniu, udając, że wcale nie są sobie tak bliscy.

Nie musieli tego robić, bo nie mieliby z tego tytułu problemów. Podczas rozmowy z komendantem Kamiński niczym na spowiedzi przedstawił, co łączy go z kobietą, z którą miał pracować. Ze względu na problemy kadrowe szef nie miał innego wyjścia. Od razu zapowiedział, że sytuacja zmieni się, gdy do pracy wróci poprzednia partnerka Doroty, Zofia Grzelczyk, która poprosiła o dłuższy urlop z powodów rodzinnych.

Kamiński usiadł przy swoim nowym biurku i sięgnął po spisane dzień wcześniej zeznania, po czym zaczął je czytać raz jeszcze. Już nie raz zdarzało się, że dopiero po którymś zapoznaniu się z aktami znajdował interesujący go szczegół, który popychał sprawę do przodu.

Zaczął od akt z danymi zamordowanego.

Norbert Dutkiewicz. Rocznik 1982.

Aktor – z przypadku, a nie powołania.

Skończył ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim. Na ostatnim roku spotykał się z aspirującą aktorką, to za jej namową poszedł z nią na casting do reklamy. Potrzebowali pary młodych ludzi, więc dziewczyna stwierdziła, że idealnie się nadają. Tylko że on dostał angaż, a ona nie. Później w wywiadach opowiadał, że twierdziła, jakoby jej to nie przeszkadzało, ale fakt, że zerwali trzy tygodnie później, zdecydowanie temu przeczył.

Dzięki reklamie zyskał sporą popularność. Billboardy z twarzami jego i uroczej brunetki wisiały na każdym kroku. Początkowo podchodził do tego jak do zabawy. Było, minęło, zarobił trochę kasy i koniec.

Planował po obronie wrócić do Radomia i pomóc rodzicom w prowadzeniu rodzinnego hoteliku połączonego z restauracją. Od roku opracowywał plan poprawy kondycji firmy. Dwa tygodnie przed obroną zadzwonił do niego producent reklamy, który pracował również przy serialu, cieszącym się od kilku lat ogromną popularnością. Niestety jeden z aktorów złamał bardzo poważnie nogę i nie wiadomo było, kiedy wróci. Lekarze zapowiadali mu co najmniej pół roku, ale ze wskazaniem do dłuższej absencji. Produkcja nie mogła tyle czekać, bo wątek, w którym grał, był jednym z głównych i chcieli go jeszcze bardziej rozwinąć.

Tym sposobem Dutkiewicz wylądował w serialu. Próbnego przesłuchania praktycznie nie było. Nikogo nie interesował brak kierunkowego wykształcenia. Liczyło się to, że wygląda podobnie do poprzednika i nie boi się kamery, co pokazał w telewizyjnej wersji reklamy.

No i zaczęło się kilkanaście lat pracy na planie. Mało kto znał go z innych ról. Co śmieszne, każdy twierdził, że nie ogląda tego tasiemca, ale dziwnym trafem większość kojarzyła jego postać. Komisarz Kamiński przeczytał mnóstwo plotek na temat jego romansów, a nawet orientacji seksualnej, mimo że piętnaście lat wcześniej stanął na ślubnym kobiercu i do dnia swojej śmierci się nie rozwiódł.

Odłożył kartkę z danymi denata i sięgnął po zrobione przez siebie podsumowanie zeznań Marii Górskiej, starszej pani zajmującej się porządkiem w teatrze.

Według niej Norbert Dutkiewicz był zadufanym w sobie egoistą, który uważał się za lepszego od innych i pokazywał to na każdym kroku. Nie mówił „dzień dobry”, „dziękuję”. Nie pomagał innym, jak zapominali tekstu, i za każdym razem ich wyśmiewał, mimo że podobno sam na początku miewał z tym wielkie problemy. Często spóźniał się na próby. Nie jakoś bardzo, ale zawsze chciał pokazać, że on jest tym ważniejszym i trzeba na niego poczekać jak na prawdziwą gwiazdę.

Kobieta zapewniała, że praktycznie nikt z obsady czy pracowników teatru za nim nie przepadał. Każdy wiedział, że zatrudniono go z powodu popularności, a nie talentu, i to bolało szczególnie tych starszych, wykształconych aktorów. Nie mogli się pogodzić z faktem, że muszą pracować z kimś tak niedoświadczonym, a na dodatek nieszanującym tego, co otrzymał. Możliwości zagrania na deskach teatru przed publicznością. Górska z namaszczeniem opowiadała, jaką wartość stanowi to dla prawdziwych aktorów, do których nie zaliczała Dutkiewicza.

Na pytanie, czy miał jakichś wrogów, starsza pani, której cały czas lekko trzęsły się ręce, zareagowała wręcz panicznie:

– Pan chyba nie myśli, że ktoś z naszych aktorów mógłby… – Słowo „zabić” zawisło gdzieś w powietrzu, ale każdy wiedział, o co chodzi.

Kamiński tylko kiwnął głową, nie chcąc straszyć kobiety, która wyglądała niezwykle sympatycznie. Niska, o srebrzystych włosach sięgających do ramion, ubrana w długą do ziemi ciężką spódnicę w kolorze zgniłej zieleni i brązowy sweter bardzo pasowała do teatralnego artyzmu.

– To jest niemożliwe! – zakomunikowała podniesionym głosem, tak niepasującym do jej drobnej postury. – Tutaj, w teatrze, nie ma morderców. Tutaj sami porządni ludzie pracują. Kochają sztukę, są niezwykle wrażliwi na krzywdę innych. Nie, nie… – Wbiła wzrok w policjanta, kręcąc głową. – Poza tym może to był wypadek? Przecież ludzie umierają z przyczyn naturalnych, nawet w młodszym wieku. Ostatnio wnuczek mojej koleżanki z klubu szydełkowego…

Kamiński zacisnął wargi, aby się nie zaśmiać, bo od razu wyobraził sobie starszą panią z całym ekwipunkiem, ale słuchał uważnie.

– Wie pan, chłopak dostał zapalenia mięśnia sercowego i zmarł. Dwadzieścia dwa lata, wyobraża pan sobie? Miał całe życie przed sobą. Więc Dutkiewicz przy nim to stary dziad był.

Odłożył kolejną kartkę na biurko, które poprzedni użytkownik mocno ubrudził tuszem od długopisu i nie umiał albo nie czuł potrzeby tego czyścić.

Niestety Kamiński wiedział już na sto procent, że nie mają do czynienia z wypadkiem. Z samego rana zadzwonił do niego prokurator, jakby nie zwrócił uwagi na pokazywaną przez zegarek godzinę siódmą. Oznajmił radosnym, lecz trochę zasapanym głosem, co pewnie oznaczało, że biega lub robi coś innego wywołującego zadyszkę, że technik znalazł w niewielkiej buteleczce, z której Romeo pił na scenie, prawdziwą przyczynę śmierci. Cyjanek. Jedną z najsilniejszych trucizn. Kamiński od razu poczytał o tej często pojawiającej się w powieściach substancji. Okazało się, że od 1967 roku tylko osoby ze specjalnym pozwoleniem mogły ją kupić, a w roku 2002 wprowadzono całkowity zakaz posiadania jej przez osoby prywatne.

Może gdyby ten stan się utrzymał, Dutkiewicz by żył. Niestety w 2010 roku po wejściu Polski do Unii Europejskiej zakaz ten zniesiono i teraz każdy może kupić cyjanek na własny użytek.

Marek z wielkim zainteresowaniem czytał o sposobie działania tej toksyny. O tym, że blokuje oddychanie wewnątrzkomórkowe. W przypadku, jak to nazwano w artykule, „piorunującej” reakcji dochodzi do natychmiastowej utraty przytomności, drgawek, a śmierć następuje po kilku minutach. Co ciekawe, umierający nie sinieje mimo niewydolności krążeniowo-oddechowej, co tłumaczy, dlaczego tak wiele osób do końca liczyło na szczęśliwy finał.

Wcześniej Kacper Bartoszewski oznajmił również, że chciałby, aby raz jeszcze porozmawiali z żoną zamordowanego, ponieważ podczas pierwszego przesłuchania jej zeznania były dość nieskładne. Tłumaczyła to lekami, które wzięła od razu, gdy zadzwoniła do niej jedna z pracownic teatru. Wtedy podobno myślała, że mąż przeżyje.

Kamiński swoim zwyczajem ułożył wszystkie kartki w prawym górnym rogu biurka i wstał. Potrzebował kawy. Dotychczas tylko raz odwiedził pomieszczenie socjalne, gdy Dorota oprowadzała go po komendzie, więc liczył, że pamięta, dokąd powinien iść. Już otwierał drzwi, gdy wpadł z impetem na niezwykle wysokiego mężczyznę. Kamiński od razu wiedział, że to musi być sławny Długi, jak nazywali go tu wszyscy.

– O, cześć! Kacper Woźniak. – Olbrzym wyciągnął dłoń w jego kierunku. Uścisnęli sobie ręce, patrząc w oczy, jakby byli przeciwnikami na ringu bokserskim.

– Marek Kamiński.

– Słyszałem o tobie. – Policjant delikatnie się cofnął.

– Mam nadzieję, że tylko dobre rzeczy.

– Zdecydowanie. Znam całkiem dobrze Sławka Wilkowskiego. Chyba się kumplowaliście? – Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując średnio ładne zęby, w tym ukruszoną górną jedynkę.

– Pewnie, że tak. Wypiliśmy hektolitry wódki, gdy jeszcze pił.

– Niestety znowu zaczął. – Woźniak cmoknął i oparł się plecami o framugę drzwi.

– Matko, dlaczego?

– Zmarł jego ojciec.

– Jezu, to straszne.

– Ale to nie koniec. – Pokręcił głową na boki i zacisnął usta. – Chwilę później umarła jego matka. Była z mężem czterdzieści pięć lat. Lekarze tak do końca nie wiedzieli, co jej się stało. Jak to Sławek sam skomentował, serce jej pękło.

– Kiedy to się stało?

– Jakieś trzy miesiące temu.

– Gadałem z nim… – Kamiński zmrużył oczy. – Dopiero teraz się zorientowałem, że to już z pół roku. U mnie trochę się działo…

– Słyszałem, gratuluję! – Mężczyzna ponownie się uśmiechnął.

– Dziękuję. – Zerknął na zegarek. Chciał jak najszybciej skończyć rozmowę. Czuł, że w powietrzu wisi pytanie dotyczące jego związku i synka, a jakoś nie chciał się na ten temat rozwodzić.

– Widzę, że się śpieszysz, nie będę przeszkadzał.

– Nie, tylko chcę zgarnąć kawę i lecę zaraz przesłuchiwać żonę zamordowanego, tego aktora. Pogadamy później.

– Jak najbardziej – rzucił i ruszył w przeciwną stronę.

Marek Kamiński wyszedł na korytarz i skierował się do pomieszczenia socjalnego. Przygotował czarną kawę dla siebie i herbatę dla Doroty. Równo o dziewiątej weszła do ich pokoju. Szybko uwinęła się z papierami, których nie zdążyła ogarnąć dzień wcześniej, i o dziesiątej podjechali pod adres podany przez żonę Dutkiewicza.

– Będziesz grała dobrą czy złą policjantkę? – Kamiński puścił do Czerwińskiej oczko i pogładził ją po dłoni, gdy tylko zaparkowali pod blokiem, w którym mieszkał zmarły.

– A jaka rola do mnie bardziej pasuje?

– Dla mnie jesteś tylko aniołem – zaśmiał się i wyjął kluczyk ze stacyjki.

– Nie brzmisz wiarygodnie.

– Chodźmy. – Otworzył drzwi po swojej stronie i nie czekając na kobietę ruszył przed siebie.

Izabela Dutkiewicz wyglądała niczym zombie. Jej skóra miała biały kolor, a małe naczynka na twarzy widać było doskonale nawet z odległości kilku metrów. Nie to jednak odstraszało najbardziej, ale jej zapuchnięte i zaczerwienione od płaczu oczy, który raziły niczym latarka odpalona w nocy.

– Dzień dobry – przywitała się policjantka. – Jestem starsza aspirant Dorota Czerwińska, a to komisarz Marek Kamiński. Tak jak wspominałam przez telefon, chcielibyśmy z panią porozmawiać.

– Dzień dobry. Oczywiście, zapraszam. – Lekko kiwnęła głową i otworzyła szerzej drzwi, dając tym samym znak, aby weszli do środka.

Przekroczyli próg mieszkania, uprzednio dokładnie wytarłszy buty na leżącej przed drzwiami wycieraczce z napisem „Witaj w domu!”.

Mieszkanie robiło wrażenie. Ściany korytarza przyozdabiała fototapeta z bambusami, która powodowała, że momentalnie poczuli się niczym w dżungli. Następnie dotarli do olbrzymiego salonu połączonego z kuchnią i jadalnią. Tutaj nie zdobiły ścian wielkowymiarowe zdjęcia, ponieważ wszędzie dookoła stały prawdziwe kwiaty.

– Napiją się państwo czegoś? – Ciszę panującą od wejścia do mieszkania przerwał smutny głos kobiety, która zapraszała ich do zajęcia miejsc, jednocześnie pokazując na stół.

Oboje pokręcili przecząco głowami.

– Nie, dziękujemy – odezwała się Czerwińska jako przedstawicielka ich obojga, po czym usiedli po tej samej stronie metalowego stołu w kształcie prostokąta z sześcioma szklanymi krzesłami.

– Pozwoli pani, że będę nagrywał? – Kamiński delikatnie uniósł kąciki ust i nie czekając na odpowiedź, wyciągnął mały dyktafon, po czym położył go na stole przed nimi.

Kobieta kiwnęła głową i usiadła. Nie oparła się, tylko niczym baletnica wyciągnęła głowę w stronę sufitu. W mimowolnej reakcji na to oboje momentalnie się wyprostowali.

– Zaczynamy przesłuchanie. Jest siedemnasty kwietnia dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku. Ja jestem komisarz Marek Kamiński, wraz ze mną jest tu starsza aspirant Dorota Czerwińska. Poproszę o imię i nazwisko.

– Izabela Dutkiewicz.

– Data i miejsce urodzenia?

– Szesnasty marca osiemdziesiątego trzeciego roku, Bydgoszcz.

– Czym się pani zajmuje?

Kobieta spojrzała na policjantkę, a następnie na mężczyznę. Zachowywała się tak, jakby odpowiedź na to proste pytanie stanowiła dla niej nie lada wyzwanie.

– Od piętnastu lat jestem, to znaczy chyba muszę już mówić, że byłam… żoną. Tylko żoną. Nikim innym.

Dorota zmarszczyła brwi i spojrzała na Marka. Wiedziała, że nie powinna okazywać żadnych emocji, ale słowa kobiety wzbudziły w niej mieszane uczucia. W jej głosie słychać było przejmujący smutek, ale jednocześnie jej wyraz twarzy był niepokojący.

– Może pani wyjaśnić? – Policjant położył dłonie na stole, jednak czując zimno bijące od metalowego blatu, szybko schował je pod nim.

– Nie ma co wyjaśniać. – Kobieta wypuściła powietrze i westchnęła. – Piętnaście lat temu wyszłam za bożyszcze

tłumów. Myślałam, że złapałam Pana Boga za nogi, ale tak nie było. Po dwóch latach zorientowałam się, że jestem w klatce. Że już nie jestem Izabelą, żoną, kochanką, wybranką serca, tylko służącą, a okazjonalnie niewolnicą seksualną. Nic sama nie mogłam robić. Mąż wszystko nadzorował. Pewnie wiele osób uznałoby moje życie za bajkę. Miałam karty z limitem przekraczającym roczne zarobki moich rodziców. Mogłam korzystać z tego, ile wlezie. Tylko szybko się okazało, że nie wszystko złoto, co się świeci. Że utknęłam w domu. Zawsze lubiłam wychodzić do ludzi. Zresztą to połączyło mnie z Norbertem. Uwielbialiśmy koncerty, wspólne wyjścia. Tym skradł mi serce, był tak podobny do mnie…

Po jej policzku poleciała jedna samotna łza, jakby była taka jak ona. Bez wsparcia innych, pozostawiona sama sobie. Kobieta uniosła głowę w stronę sufitu. Sekundy mijały, a policjanci czekali na kontynuację.

– Poznaliśmy się na imprezie u mojej koleżanki. Nie pamiętam, z kim przyszedł, ale szybko wgryzł się w towarzystwo. Jakoś tak wyszło, że poszłam zrobić sobie herbatę i on też stał w kuchni. Śmiał się ze mnie, że nie piję alkoholu. Wyjaśniłam stanowczo, że muszę następnego dnia rano wstać i iść na uczelnię. Przeprosił mnie, bo myślał, że za niepiciem stoją jakieś szamańskie wierzenia. Spędziliśmy całą imprezę na parapecie w kuchni. Ja piłam herbatę malinową, a on sączył piwo. Później się okazało, że jedziemy w podobnym kierunku, więc podwiozłam go do domu rozklekotanym autem moich rodziców. I tak się zaczęło. Spotykaliśmy się dwa lata. Gdy mi się oświadczył, byłam najszczęśliwsza na świecie. Norbert już grał w serialu i stawał się coraz popularniejszy. Poza tym rok po naszym ślubie zmarła jego matka chrzestna. Kobieta wyjechała wieki temu do Stanów, tam się dorobiła, prowadząc kilka domów opieki. Pod koniec życia wszystko sprzedała, więc gdy umarła, na jej koncie widniała całkiem spora sumka. No i zaczęło się. Początkowo cała rodzina myślała, że zarówno mąż, jak i jego rodzice otrzymają tę kasę. – Widząc lekkie zmieszanie na twarzy Czerwińskiej, szybko dodała: – Ona była siostrą ojca Norberta. Teściowie już nawet rozpisali plan najpoważniejszych wydatków. Większość krążyła wokół ich firmy. Zresztą Norbert, jeszcze będąc na studiach, zobowiązał się im pomóc. Po obronie miał wrócić do Radomia, gdzie jego rodzice prowadzą restaurację i hotel. Przygotował cały plan. Niestety pojawił się serial i wszystko padło. – Kobieta pokręciła głową i wstała, szurając krzesłem po podłodze. – A później wybuchła kolejna bomba, jeszcze większa. Ogłoszono testament. To chyba był początek naszego końca. Dostał bardzo dużo pieniędzy, przez które pokłócił się z całą swoją rodziną. To prawda, co mówią, że pieniądze szczęścia nie dają. – Kobieta westchnęła smutno. – On był jedynym spadkobiercą. Początkowo mamił ich, że im pomoże. Wręcz zobligował się, że wesprze rodziców finansowo. Potrzebowali zastrzyku gotówki, aby wygrzebać się z dołka. Ale nic z tego nie wyszło.

Izabela Dutkiewicz sięgnęła po chusteczkę z drewnianego pudełka stojącego na komodzie i krążąc po pokoju, wytarła głośno nos.

– Przez te pieniądze Norbert zwariował. Przestał odbierać telefony od rodziców. Nie poznawałam go. Wcześniej dostrzegałam jego dziwne zachowania, ale wtedy wstąpił w niego demon. Zaczął izolować się od ludzi. I co najgorsze, mnie też. Nie mogłam wychodzić do koleżanek. Kontakty z siostrami musiałam ograniczyć do minimum. Wymusił na mnie odejście z pracy. Stać go było na spełnianie większości swoich zachcianek, co czynił bez zastanowienia. Kupił wielki apartament na Żoliborzu i samochód, do którego wzdychał praktycznie każdy przechodzień. A i tak mu było mało. Rodzicom nic nie dał, nawet nie pożyczył. Wszystko schował na koncie. Opętało go to. Zaczął na wszystkich patrzeć pod kątem korzyści materialnych. Nie odpowiadał sąsiadom, którzy jeździli gorszym autem lub do których nie miał żadnego interesu. Zawsze był arogantem, ale wtedy wypłynęło z niego szambo.

– Będę może nietaktowny, ale co stało się z tym majątkiem? – Kamiński rozejrzał się po salonie. Robił wrażenie, ale nie wyglądał na taki za grube pieniądze.

– Spostrzegawczy pan jest – zaśmiała się na głos, a na jej twarzy na ułamek sekundy pojawił się grymas zbliżony do uśmiechu. – Niestety gdy ktoś ma pieniądze, niczym magnes przyciąga nieodpowiednie osoby. I tak też było w tym przypadku. Nagle wyrośli przy nim niczym grzyby po deszczu świetni znajomi, domorośli inwestorzy, którzy znali się na poważnych transakcjach i sprzedawali rady na wagę złota. Tym sposobem w ciągu trzech lat przewalił większość. Dobrze, że została mu praca, która dawała mu niezłe zarobki, bo nie wiem, jak by to było. Myślę, że gdyby stracił wszystko, nie podniósłby się.

– Dlaczego pani od niego nie odeszła? – wtrącił spontanicznie komisarz, a siedząca obok policjantka storpedowała go wzrokiem.

– Teraz tego żałuję, ale wtedy cały czas liczyłam, że się zmieni. Że obudzi się pewnego dnia i zrozumie, co złego zrobił. Byłam głupia, że w to wierzyłam. Stałam przy nim i kiwałam głową na wszystkie jego pomysły. Zraziłam do siebie wiele osób. W pewnym momencie nie miałam nikogo, kto by mną potrząsnął i pomógł z tego wyjść.

– Przykro mi – powiedzieli oboje w tym samym momencie i spojrzeli na siebie kątem oka.

– Dziękuję, ale to była tylko moja wina.

– Przepraszam za to pytanie, ale muszę. Co pani robiła wczoraj? – spytała Czerwińska.

Kobieta prychnęła.

– No tak, mogłam się tego spodziewać. Kiedyś czytałam, że większość zabójców to najbliższa rodzina zamordowanego. Ale nie zrobiłam tego, mimo że wiele razy chciałam. Och, jak ja chciałam go zabić! – rzuciła podniesionym głosem i oparła się o parapet, na którym gęsto ustawione były doniczki z fikuśnymi roślinami. – Pozbyć się z mojego życia raz na zawsze, chociaż teraz tęsknię za nim jak cholera…

W tym momencie odepchnęła się pośladkami od ściany i ruszyła do stojącej nieopodal komody. Chwilę poszperała i wyciągnęła z szuflady coś, co wyglądało jak zeszyt.

– Widzę, że państwo jeszcze nie dotarli do moich opowiadań? – Spojrzała pytająco najpierw na Czerwińską, a następnie na mrużącego oczy Kamińskiego.

– Opowiadań? – zdziwili się chóralnie.

– Tak, to była moja forma psychoterapii. – Kobieta ponownie usiadła na krześle i położyła zeszyt obok nagrywającego cały czas dyktafonu. – W zeszłym roku poszłam do specjalisty. Nie dawałam już rady. Czułam się fatalnie sama ze sobą. Miałam depresję, chociaż wielu uważało, że przesadzam i zupełnie nie mam podstaw do tak złego samopoczucia. Mój mąż powtarzał na każdym kroku, że jestem humorzasta i nic mi się nie podoba. W końcu koleżanka mnie namówiła. Jako jedna z niewielu zauważyła, że jest ze mną źle. No i zaczęłam terapię. Jednym z jej głównych celów jest budowanie mojego życia na nowo. Przez lata byłam żoną znanego aktora. Nikim ważnym. Postanowiłam to zmienić. Zaczęłam analizować, co sprawia mi przyjemność. Skończyłam studia na tym samym kierunku co Norbert, ale zawsze kochałam pisać i czytać. Zresztą to chyba książki przez te lata utrzymywały mnie na powierzchni. Dzięki nim, siedząc w domu, nie zwariowałam. – Zaśmiała się. – Z reguły sięgałam po fantastykę lub romanse. Przenosiłam się często w świat niesamowitych historii i w okamgnieniu nie było mnie w moim życiu, które tak bardzo mnie uwierało. Norbert średnio popierał moją miłość do książek i kręcił nosem na kolejne powieści, które pojawiały się na półkach w salonie, więc kilka lat temu kupiłam sobie czytnik i zniknęły głupie komentarze. – Chwyciła leżący przed nią zeszyt i delikatnie uniosła. – No i na terapii powstał pomysł czegoś na kształt pamiętnika. Najpierw pisałam w tym zeszycie i chowałam za łóżkiem, żeby mąż nie znalazł. A rok temu wyszłam do ludzi. Opublikowałam ponad trzydzieści opowiadań na Wattpadzie.

– Na czym? – Czerwińska zmarszczyła brwi i spojrzała na partnera.

– To taka platforma dla lubiących pisać. – Z pomocą przyszła jej Izabela Dutkiewicz. – Początkowo miała być to forma terapii. Z czasem, jak zaczęłam dostawać wiadomości, że to, co robię, się podoba, poczułam wiatr w żaglach. Daje mi to wielką satysfakcję. Tak się wkręciłam, że piszę powieść i jestem już po wstępnej rozmowie z koleżanką, która jest redaktorką prowadzącą.

– Kim? – wtrącił tym razem Kamiński.

– To osoba, która wynajduje nowe propozycje dla wydawnictwa, a później wspiera podczas procesu wydawniczego. Jeszcze nie wiadomo, czy się uda, bo to zależy od tego, jak będzie wyglądała całość, ale podobno ma potencjał.

– Gratuluje! – rzucili oboje w tym samym momencie.

– Dziękuję, ale nie po to o tym mówię, aby się chwalić. Bo… – Kobieta spojrzała najpierw na Czerwińską, a następnie na jej partnera, marszcząc przy tym brwi, jakby nad czymś intensywnie myślała. – Chodzi o to, że ja to wszystko opisałam.

– Kłopoty z mężem? – zapytała Czerwińska, ale kobieta zagryzła wargi i pokręciła głową.

– Nie, jego śmierć.

W tym momencie policjanci spojrzeli na siebie, a Dorota prawie klasnęła w dłonie. W ostatnim momencie się powstrzymała i złączyła je niczym do modlitwy.

– Może pani opowiedzieć więcej? – spytała, próbując ukryć ekscytację.

– Tak, chociaż to jest tak dziwne, że cały czas nie mogę w to uwierzyć. Moja terapeutka poza tym, że skłoniła mnie do pisania, dała mi zadanie. Abym na papierze wyraziła swoje myśli. Najpierw pisałam jakieś straszne farmazony, a później popłynęłam. Opisałam, jak mógłby zginąć. Wiem, że to brzmi strasznie, ale dałam się pochłonąć. Jakby ktoś wtedy mnie zobaczył, pomyślałby, że jestem w transie. Ręka latała mi nad kartką jak szalona, a gdy skończyłam, z jednej strony czułam się, jakbym zrzuciła ciężar z barków, a z drugiej jakbym przebiegła co najmniej maraton.

Kobieta zamilkła i spojrzała na stojące na szafce zdjęcie przedstawiające ją i zmarłego. Wzrok dwójki policjantów też zaraz na nim spoczął. Na fotografii małżeństwo wyglądało na szczęśliwe, jednak po tym, co usłyszeli, wiedzieli, że prezentowane przez Dutkiewiczów uśmiechy nie należały do szczerych.

– Co dokładnie tam było? – kontynuowała zadawanie pytań Czerwińska.

– Bohaterami byli Janusz i Grażynka, on aktor, ona nauczycielka. Wiem, że dobór imion intrygujący, ale mnie przypadł do gustu. Niestety nie wszystkim czytającym. Parę osób zarzuciło mi, że to brzmi słabo. Ale nie o tym miałam mówić. Są średnio szczęśliwi, bo on się nad nią znęca psychicznie. Mówi jej straszne rzeczy. Wszystko, co ona zrobi, on negatywnie ocenia. Dotyczy to każdej dziedziny życia. Gotowania, sprzątania, robienia zakupów. Opisałam nawet, że loda dobrze nie potrafi zrobić. Totalna porażka. No i Grażynka zachodzi w ciążę. Liczy, że to wszystko naprawi. Że gdy pojawi się dziecko, Janusz się zmieni. Znowu stanie się kochającym mężem. Niestety rzeczywistość jest inna. Nie jest zadowolony z tego, że ma zostać ojcem. Każe jej przerwać ciążę. Ona odmawia. I wtedy dzieje się coś strasznego. Dochodzi między nimi do przepychanki, w wyniku której ona traci ciążę.

– Straszne… – szepnęła Dorota i niekontrolowanie położyła jedną rękę na brzuchu.

– Mąż zupełnie ignoruje jej stan – kontynuowała Izabela Dutkiewicz. – Gdy odbiera ją ze szpitala po zabiegu łyżeczkowania, nawet nie pyta, jak się czuje. Pewnie wielu pomyślało w tym momencie, że mogła odejść. Niestety nie miała nic swojego. Wszystko było męża: samochód, dom, oszczędności. Po rozwodzie nic by nie dostała. Kobieta popada w depresję. Zaczyna upatrywać rozwiązania swojej sytuacji w zabiciu mężczyzny. Obmyśla plan działania. Postanawia zabić go podczas przedstawienia, w którym gra…

W tym momencie zrobiła teatralną przerwę i spojrzała wymownie na swoich rozmówców.

– Niech zgadnę, Romea? – odezwała się jako pierwsza Dorota Czerwińska.

Kobieta pokiwała głową twierdząco.

– Taaak. Za każdym razem, jak o tym myślę, to mnie skręca. To jest jakieś chore. Ja nie wiem, dlaczego ktoś wdrożył moje opowiadanie w życie.

– Ile osób to przeczytało? – spytał Kamiński.

– Dużo. Mam już kilka tysięcy obserwujących, ale moje opowiadania czyta wiele więcej osób. Poza tym później tekst pojawił się na kilku portalach, więc ciężko powiedzieć, do jakiej liczby osób dotarł.

– Przepraszam, że będę niedelikatna – Czerwińska podniosła rękę niczym uczeń w szkole – ale muszę o to zapytać.

– Ciąża? – zgadła kobieta.

Policjantka delikatnie kiwnęła głową, dając znać, że to o to jej chodziło.

– To prawda, ale tylko po części. Byłam w ciąży… – Oczy kobiety momentalnie się zaszkliły. – Pragnęłam tego jak niczego innego. Liczyłam, że to wszystko zmieni. Że Norbert znowu będzie jak kiedyś. To będzie nowy wielki początek. Znowu będziemy szczęśliwi, będziemy wychodzić do ludzi, jeździć ze znajomymi, którzy też już mieli dzieci. Może wyprowadzimy się z centrum na obrzeża, o czym zawsze marzyłam, a Norbert jakoś to torpedował. No i pogodzi się z rodzicami, bo to strasznie mi ciążyło. To ja od lat utrzymywałam z nimi kontakt, a on raczej od nich stronił. W tym maleństwie dostrzegałam remedium na wszystkie nasze problemy. Wiem, że zupełnie bezpodstawnie, ale chyba to naturalne. – Wytarła wierzchnią stroną prawej dłoni spływającą po policzku łzę. – Ale nic takiego się nie stało, a wręcz przeciwnie.

W pokoju zapadła cisza. Trwała dobre kilkadziesiąt sekund i dopiero Dorota Czerwińska odważyła się ją przerwać:

– Co się wydarzyło? – Jej głos był teraz niezwykle cichy i spokojny.

– Długo czekałam, żeby mu powiedzieć. Bałam się panicznie i chciałam, żeby ciąża się dobrze we mnie osadziła. Nie chciałam opowiadać o jakiejś minifasolce, która może w każdej chwili przestać rosnąć. Pamiętam, że tego dnia było bardzo ciepło, mimo że był początek czerwca. Norbert miał w teatrze próby do nowej sztuki. Wrócił dość późno. Byłam zdeterminowana, żeby mu powiedzieć. Nie wiem, dlaczego uznałam, że to jest ten dzień. Ten, który odmieni mój los. Czekałam na niego, mimo że zazwyczaj szłam spać wcześniej. Nawet nie przebrałam się w piżamę, bo stwierdziłam, że ona odbiera mi część powagi. W końcu stanęłam przed nim i z zamkniętymi oczami wyrzuciłam to z siebie. Gdy uniosłam powieki i zobaczyłam jego twarz, wiedziałam, że popełniłam wielki błąd. Zaczął się ze mnie śmiać. Krzyczał, że wymyśliłam sobie sposób, żeby go zniszczyć. Tak, zniszczyć – powtórzyła, widząc zdziwienie na twarzy policjantki. – Darł się, że nie chce tego bachora i jak go urodzę, to mam sobie sama z nim radzić. On nie chce go widzieć na oczy. Wyobrażają sobie państwo coś takiego?

Oboje pokręcili głowami przecząco. Jako młodzi rodzice, zapatrzeni w swojego syna, postrzegali opisywaną sytuację jako niewyobrażalną.

– I co było później?

– Dziecko rosło. Z jednej strony wyczekiwane przeze mnie jak haust powietrza przez tonącego. Z drugiej znienawidzone przez człowieka, który też miał udział w jego poczęciu. A! – krzyknęła nagle i zaśmiała się. – On nawet zaczął podważać ojcostwo, co było absurdalne.

– Rozumiem, że był ojcem? – spytał Kamiński.

– Tak! Oczywiście. Ja nigdy nie zdradziłam męża, to, że go nienawidziłam i rozpisywałam się o jego śmierci, to

zupełnie inna sprawa. Ale nawet nie miałabym jak. Praktycznie nie wychodziłam z domu. A jak nawet, to zawsze z nim. Kontrolował mnie na każdym kroku niczym jakieś zwierzątko i nagle miałabym mieć romans, którego efektem byłoby dziecko? W życiu!

– Urodziła pani? – odezwała się tym razem Czerwińska.

– Nie – odparła po chwili już spokojnym głosem. – Poroniłam. Nie dałam rady psychicznie. Moje ciało uznało, że tak będzie lepiej dla dziecka. Może w sumie uratowało je przed traumą życia z takim ojcem. Codzienne przytyki i okrutne teksty w stylu „Bachor zdechł czy jeszcze zipie?". Te były najmilsze. Mój organizm poddał się. Może bał się tego, co będzie potem. Gdybym wtedy odeszła, może teraz byłabym chociaż mamą… – Kobieta zamknęła oczy, a po jej policzkach poleciały kolejne łzy.

– Przykro mi – szepnęła szczerze policjantka.

– Dziękuję. – Uniosła powieki, ale nie spojrzała na siedzącą przed nią parę. Utkwiła wzrok w swoich dłoniach.

– Czy pani mąż mógł kogoś jeszcze zdenerwować? – spytał Marek Kamiński.

– Norbert? Pewnie. On otaczał się ludźmi, których wkurzał. Normalne jest, że jak kogoś rozzłościmy i nie przeprosimy, to go unikamy. Ale on tak nie miał. Uwielbiał znęcać się nad innymi swoim towarzystwem.

– A czy kogoś szczególnie zdenerwował?

– Nie wiem. – Pokręciła głową na boki. – Od kilku lat niby mieszkaliśmy razem, ale generalnie się unikaliśmy. Nigdzie razem nie wyjeżdżaliśmy. Święta spędzaliśmy u moich rodziców, bo chyba tylko z nimi się nie pokłócił. I nie dlatego, że zrobił to dla mnie. Moi rodzice są niezwykle pogodni i nigdy się o nic nie czepiają. Nigdy go nie skrytykowali, nigdy…

– Nie wiedzieli o wnuku? – niespodziewanie wtrąciła Czerwińska.

– Nie – odpowiedziała kobieta i spuściła wzrok, ponownie spoczywając nim na swoich dłoniach. – Nikomu o tym nie powiedziałam. Chciałam zaczekać. Jakiś czas wcześniej moja koleżanka poroniła. Zdążyła opowiedzieć wszystkim o swoim szczęściu, każdemu pokazała zdjęcie z USG. Ona nawet wybrała imiona dla obu płci i kupiła kilka ubranek. Gdy do tego doszło, wpadła w jeszcze większą depresję, bo co chwilę ktoś pytał, co z dzieckiem, jak się czuje, kiedy rodzi. Wolałam tego uniknąć. Oczywiście nie zakładałam, że stanie się coś złego. Ale gdy wylądowałam w szpitalu i lekarka ze smutną miną poinformowała mnie, że to już koniec, poczułam ulgę, że tak zrobiłam. Nie musiałam się nikomu tłumaczyć. Odpowiadać na krępujące pytania.

– Jeszcze raz, przykro nam z powodu tego, co panią spotkało. Ale chciałbym ponowić pytanie. Co pani robiła wczoraj? – Kamiński poprawił mankiet kurtki, który mu się odwinął.

– Wracałam od moich rodziców. Mogą to potwierdzić. Po drodze stanęłam na stacji benzynowej, pewnie na bramkach mnie wyłapało, więc mam tego potwierdzenie. Ja byłam daleko, gdy to się stało.

– Gdzie mieszkają pani rodzice? – kontynuował przepytywanie mężczyzna.

– W Zielonej Górze. Wyjechałam jakąś godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia. Norbert nawet wysłał do mnie SMS-a. – Kobieta przerwała, ze smutkiem w oczach pokiwała głową i sięgnęła po telefon leżący na stole. Pogrzebała w nim chwilę i wyciągnęła rękę w kierunku policjantów, po czym odwróciła ekran do siebie i przeczytała na głos: – „Wracam do domu o dwudziestej trzeciej. Masz już być. Pranie i sprzątanie samo się nie zrobi". To było ostatnie, co mi napisał. I tak nie najgorzej. – Cofnęła rękę i położyła urządzenie ekranem do dołu. – Często groził, że jak nie wrócę na czas, to wymieni zamki. Odetnie mnie od kasy.

– I robił to?

– Czasami, jak się mocno nakręcił, to tak. Kiedyś wróciłam od babci ze szpitala. Na szczęście mieszkała w Poznaniu, więc nie miałam aż tak daleko. Średnio się z Norbertem lubili, bo babcia przejrzała go na samym początku. Mówiła mi, że mam na niego uważać. Że będę przez niego nieszczęśliwa. Ja nie słuchałam. Byłam zakochana. Gdy wszystko się zmieniło, udawałam przed nią, że jest okej. Nigdy niczym się nie zdradziłam. Ale wracając do tego dnia. Przyjechałam później, niż mi kazał, ponieważ pomagałam pielęgniarce wykąpać babcię. Gdy dotarłam z trzygodzinnym opóźnieniem, minęłam się przed domem z jakimś gościem. Wsiadł do samochodu z napisem „Zamki to nie problem" czy coś w tym stylu. Zaśmiałam się pod nosem. W pierwszym momencie nie uwierzyłam. Wcześniej się tylko odgrażał. Gdy szarpnęłam klamkę, ta nie ustąpiła. Wyjęłam klucze z torebki, włożyłam pierwszy i przekręciłam. Odetchnęłam. Niestety za wcześnie. Drugi już nie pasował. Pukałam, waliłam, ale nic to nie dało. Była dwudziesta druga. Poszłam do samochodu i próbowałam się dodzwonić do Norberta, ale nie odbierał. W końcu zasnęłam. Około trzeciej obudziło mnie walenie w szybę. Mój mąż przyszedł i obwieścił, że mogę wracać.

– Przerażające! – wtrąciła Czerwińska, która przez cały czas wyznań kobiety kręciła głową z niedowierzaniem.

– Ja bym to bardziej nazwała chorym. Zawsze wszystko musiało być tak, jak on chciał. Jak nie, to wściekał się i robił głupie rzeczy.

– Wróćmy do wrogów. Ktoś przychodzi pani do głowy?

– Nie. – Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Proszę powiedzieć jeszcze, czy mieli państwo jakieś ubezpieczenie na życie?

– Widzę, że nie odpuszczacie. Nie wiedziałam, że policja jest tak dokładna i nadgorliwa, nawet jeżeli chodzi o ludzi pokroju Norberta.

– Każda śmierć jest dla nas ważna.

– Pewnie zaraz powiecie, że każdy jest czyimś synem i zasługuje na szacunek. Szkoda, że ja jako ofiara na niego nie zasługuję.

– Nikt tak nie mówi – odpowiedział Kamiński jako pierwszy. – Jak najbardziej jest pani ważna, ale w tym momencie równie ważne jest dojście do tego, kto stoi za zabiciem pani męża. Może się okazać, że komuś jeszcze zagraża niebezpieczeństwo, nawet pani.

– No tak, to jest jakiś argument, ale naprawdę nie wiem, kto mógłby chcieć jego śmierci. Na pewno musicie pogadać z jego agentem, Karolem Dobrzyńskim. Studiowali razem i kilka lat temu spotkali się na imprezie z okazji którejś rocznicy obrony pracy magisterskiej. Karol wtedy zajmował się czymś zupełnie innym. Z tego, co pamiętam, to pracował w banku lub w firmie ubezpieczeniowej. Nie pamiętam dokładnie. – Pokręciła głową na boki, zaciskając wargi. – To jest chyba jedyna osoba, z którą Norbert nie poszedł nigdy na noże. Może dlatego, że Karol wiele mu wybaczał. Inni dawno już trzasnęliby drzwiami i nigdy nie wrócili. Niestety jeżeli pojawiają się pieniądze, ludzie się szmacą.

– Z kim dokładnie mąż się pokłócił?

– To jest niekończąca się lista osób. Ale z takich spektakularnych to jego rodzice, chociaż nie sądzę, aby oni akurat mieli coś wspólnego ze śmiercią syna. Jest jeszcze jego przyjaciółka z dzieciństwa. Oskarżył ją bezpodstawnie o kradzież.

– Kradzież? – wtrąciła Czerwińska.

– Tak. Po pijaku pożyczył jej jeden ze swoich obrazów. Mój mąż robił się na konesera sztuki, a tak naprawdę kupował bez pomysłu i czasami udawało mu się trafić na jakąś perełkę. Akurat robiła wystawę i potrzebowała tego konkretnego płótna. On o tym zupełnie zapomniał lub chciał jej dogryźć z bliżej niewyjaśnionych powodów, co było w jego stylu. Wezwał policję i zrobił megaawanturę. Najgorsze było to, że we dwie powtarzałyśmy mu, że wszystko ustalali i jej na to pozwolił, ale on się uparł. Niestety i tak poszła straszna fama w towarzystwie. Zuza straciła przez to kilka kontraktów. Masakra.

– Faktycznie nie brzmi to zbyt ciekawie. Będziemy potrzebowali do niej kontaktu, a także do jego agenta, rodziców.

– Oczywiście, wszystko państwu spiszę. – Kiwnęła głową i sięgnęła po telefon. – A wracając do Norberta, to zupełnie nie myślał o innych. Zawsze tylko on. Prawdę mówiąc, uważam, że miał jakieś zaburzenia. Wielokrotnie próbowałam wysłać go do specjalisty. Początkowo po to, aby ratować małżeństwo, później aby po prostu coś ze sobą zrobił. Wierzyłam, że jak popracuje nad sobą, przestanie mnie nękać, ale za każdym razem nerwowo reagował na moje propozycje. Twierdził, że to nie dla niego, że jest zdrowy i nie musi chodzić na żadne terapie, bo na terapie chodzą tylko wariaci.

Rozdział 8

– Proszę usiąść tutaj i się trochę uspokoić. Ja za chwilę przyjdę i porozmawiamy, dobrze?

Policjant pokazał ręką jedno z krzeseł i uśmiechnął się, starając się sprawiać wrażenie spokojnego. Po jego trzęsących się dłoniach widać jednak było, jak bardzo zestresował się tym, co chwilę wcześniej usłyszał od czterdziestoparoletniej blondynki, która wyraźnie była wielką fanką zabiegów medycyny estetycznej. Jej powiększone usta i policzki powodowały, że ciężko było określić, ile dokładnie ma lat, jednak w tym momencie nie miało to znaczenia.

Mężczyzna czuł, że musi się jak najszybciej dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Szybkim krokiem dotarł do swojego biurka po dyktafon, którego nie używał od dawna, ponieważ u nich na komisariacie zazwyczaj nie odbywały się poważniejsze przesłuchania i łatwiej i szybciej było notować na kartce.

Teraz jednak wiedział, że każde słowo może mieć znaczenie. Włożył niewielkich rozmiarów pudełeczko do kieszeni i ruszył w stronę pomieszczenia, gdzie zostawił kobietę. Momentalnie pojawiła się w jego głowie zadziwiająca myśl: „A co, jak baterie się zestarzały i okaże się, że dyktafon nie działa?". Żona od zawsze mu powtarzała, że czarnowidztwo i skupianie się na pustej do połowy szklance rujnuje mu życie. Każdy wyjazd to przede wszystkim długa droga, korki, możliwość zachorowania lub robaki. Nie myśli o tym, że miło spędzi czas, odpocznie, poprzebywa trochę z rodziną i w końcu pobawi się z dziećmi. Zawsze czarne chmury dominują na jego nieboskłonie.

Stanął i zrobił dwa wdechy. Walące serce ani na chwilę nie zwalniało szalonego galopu. Po plecach spłynęła mu kolejna kropla potu, dołączając do kilku, które pojawiły się, jak tylko kobieta wypowiedziała krótkie, lecz wstrząsające zdanie. Dobrze wiedział, że będzie mu ono rezonować w głowie przez długi czas.

– Zabiłam go.

Ta krótka wypowiedź mogła spowodować, że czyjeś życie zmieni się diametralnie.

Wyjął z kieszeni dyktafon i włączył go. Odetchnął, widząc świecące się diodki i znaczek świadczący o praktycznie pełnej baterii. Momentalnie przed oczami pojawiła mu się żona, uśmiechająca się do niego i kiwająca głową z aprobatą. To ona zawsze mu powtarzała, że trzeba rozwiązywać problemy, a nie generować nowe. On swoim zwyczajem nie sprawdziłby, czy działa, tylko skupił się na tym, że dostanie od komendanta reprymendę za nienagranie przesłuchania. Ona natomiast sprawdziłaby natychmiast urządzenie. Gdyby nie działało, wyjęłaby baterie z zegara ze ściany lub poszukała w szufladzie, a jakby to nie pomogło, zabrałaby telefon komórkowy i w nim znalazła opcję nagrywania.

Przyspieszył kroku, jakby od tego, kiedy zacznie przesłuchanie, zależało czyjeś życie.

Stanął przed salą przesłuchań i dopiero wtedy dotarło do niego, że popełnił błąd. Zupełnie nie pomyślał, żeby zawołać jakiegoś kolegę, który mógłby pod jego nieobecność przypilnować kobiety.

Nie brał pod uwagę, że faktycznie mogłaby kogoś zabić. Wyglądała raczej na kogoś, kto mógłby zrobić aferę u fryzjera, że ten ściął jej za dużo włosów, lub o nieświeże mięso w sklepie. Mogłaby też pobić się z inną kobietą. Ciągać się z nią za włosy i takie tam, ale morderstwo kojarzyło mu się z innym sortem ludzi. Dobrze wiedział, że takie założenia są zupełnie niesłuszne i mógł się na tym przejechać, a przez to sprawca, który sam przyszedł, zgłosił się, podał się na talerzu, mógł nagle zniknąć.

Na szczęście gdy wszedł do niewielkiego pomieszczenia, w którym stało prostokątne biurko z dwoma krzesłami tak niewygodnymi, że dobrze wiedział, że po piętnastu minutach zacznie się kręcić, jakby miał owsiki, nadal siedziała kobieta.

Cicho chlipała.

Usiadł naprzeciwko niej, położył na biurku małe urządzenie i spojrzał na nią. Po jej pokrytych grubą warstwą makijażu policzkach płynęły kolejne łzy, a oczy, które dosyć intensywnie potraktowała zarówno maskarą, jak i cieniami, wyglądały bardziej jak po bójce niż jak celowo podkreślone.

Cały czas milcząc, podsunął w jej stronę dyktafon i nie pytając o zgodę, włączył go. Dopiero nieprzyjemny dźwięk przesuwanego po blacie urządzenia sprowokował ją do podniesienia wzroku.

– Dobrze, to zacznijmy od początku. – Mężczyzna poprawił kołnierzyk, który wbijał mu się w szyję. Niestety ostatnio zwiększona ilość ciasteczek nie sprzyjała jego wadze, co zauważał po ubraniach. – Będę nagrywał, żebyśmy niczego później nie przegapili. Proszę zacząć od podania mi imienia i nazwiska.

– Barbara Jasińska.

Kobieta cały czas patrzyła na policjanta. Miała w spojrzeniu jakieś ciepło. Zupełnie nie wiedział dlaczego, ale jego myśli od razu poleciały w stronę mamy, która zmarła trzy lata wcześniej na raka. Zaatakował ją tak szybko, że syn nie zdążył nawet się z nią pożegnać. Nikt nie brał pod uwagę, że choroba, którą zdiagnozowano podobno w bardzo dobrym momencie, nagle zainfekuje całe ciało i żaden lek ani żadna terapia nie będą w stanie jej pomóc. Uśmiechnął się do siedzącej naprzeciwko kobiety, której dłonie drżały, a noga cały czas dynamicznie podskakiwała. Miał ochotę wstać i ją przytulić, ale wiedział dobrze, że taki brak profesjonalizmu mógłby zostać źle zinterpretowany.

– Dziękuję, gdzie pani mieszka?

Kobieta zmarszczyła brwi, a usta złączyła ciasno. Zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to jedno z prostszych pytań.

– Proszę spokojnie, gdzie pani mieszka? – Sam zdziwił się, słysząc swój głos. Brzmiał niezwykle kojąco i sympatycznie, nie jak na co dzień. Żona co chwilę mu wypominała, że jest nerwusem i w krzyku widzi sposób na rozwiązanie każdego problemu.

– W Łomiankach. Tutaj niedaleko, na Boguckiego dwadzieścia trzy – odezwała się Jasińska po chwili.

– Dobrze, czym się pani zajmuje?

– Prowadzę własną firmę, szyję ubrania. – Mówiła już pewniej, jakby w międzyczasie wyparowały strach i przerażenie, mimo że nic się nie wydarzyło. – Założyłam ją piętnaście lat temu, gdy mąż umarł.

– Przykro mi – wtrącił i zrobił smutną minę.

– A mnie nie. Nie był dobrym mężem. – Pokręciła głową. – Bił mnie, więc i tak bym się z nim rozwiodła prędzej czy później.

– A na co zmarł?

– Na zawał. – Wzruszyła od niechcenia ramionami. – A co do mojej firmy, to mam dwa własne sklepy, ale większość towaru sprzedaję do małych butików.

– Gratuluję – skomentował, chociaż niespecjalnie to go interesowało. – Przejdźmy do tego, z czym pani przyszła. Proszę powiedzieć, co dokładnie się stało.

– Ja go zabiłam. – Jej twarz ponownie spochmurniała, a głos stał się ledwo słyszalny.

– Kogo? – Policjant przysunął się bliżej kobiety.

– Bartka.

– Kim jest Bartek? – Starał się zachować spokój, mimo że w środku trząsł się niczym osika.

– Moim chłopakiem, to znaczy partnerem, spotykaliśmy się od jakiegoś czasu.

– Proszę coś o nim opowiedzieć. Jak się nazywa, kiedy się poznaliście?

Kobieta utkwiła wzrok w swoich dłoniach zakończonych długimi paznokciami pomalowanymi na różowo. Przez chwilę trwała tak w milczeniu, aż podniosła głowę.

– Bartek ma na nazwisko Wojciechowski – rzuciła i kiwnęła na leżący przed nim notes, jakby zapomniała, że wszystko się nagrywa. – Poznałam go niecałe dwa lata temu. Przyszedł do mojej firmy z propozycją współpracy. Chciał zaproponować mi zrobienie sieci komputerowej. Wszystko wyglądało super, ale był jeden problem. Mój biznes nie potrzebował takiego zaawansowanego rozwiązania. Pod koniec, gdy moja asystentka wyszła, trochę speszonym głosem spytał, czy nie poszłabym z nim na kawę. I tak się zaczęło. Na początku było to bardziej na płaszczyźnie koleżeńskiej. Wypad na kawę, jakiś lunch. Nic wielkiego, ale pewnego dnia rozwalił mi się komputer, a przygotowywałam ważną ofertę dla sieci handlowej. Nie wiedziałam, co zrobić. Zadzwoniłam do niego, a on pojawił się chwilę później, mimo że było już po dwudziestej drugiej. Szybko uwinął się z problemem, ja wysłałam, co miałam, bo niewiele mnie od tego dzieliło, jak pojawił się problem. W ramach podziękowania wyciągnęłam wino, które miałam w szafce, no i… – Kobieta zawiesiła głos i przygryzła wargę. – No i się zaczęło. On był w tym wszystkim taki niewinny, szczery. Miałam wrażenie, że mimo swojego młodego wieku rozumie wszystkie moje problemy. To było piękne.

– Przepraszam – wtrącił policjant i zmarszczył brwi. – Ale co to znaczy młody wiek?

– Bartek jest… to znaczy był ode mnie o siedemnaście lat młodszy.

Policjant zacisnął pięść, którą trzymał pod stołem, i uśmiechnął się sztucznie. To była kolejna rzecz, która czasami przeszkadzała mu w życiu. Reakcje na wyznania innych. I jak w życiu prywatnym pewnie zareagowałby rozdziawioną buzią i jakimś niewybrednym komentarzem w stylu „Robiłaś casting w przedszkolu?”, tak teraz musiał się postarać, aby udawać, że jej odpowiedź nie zrobiła na nim wrażenia.

– A co na to rodzina? – rzucił i poprawił dyktafon, który leżał przed nim.

– Mam tylko córkę, a ona nic nie wie.

– Dlaczego? – dopytywał dalej.

Kobieta wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się jeszcze większy smutek. Oczy się zaszkliły, a kąciki ust opadły.

– Ja nigdy nie miałam szczęścia do mężczyzn. Mąż był okropny, wiem, że o zmarłych powinno mówić się dobrze lub wcale, ale taka prawda. To był kawał skurwiela. Wyżywał się na mnie za wszystko, co mu się działo. Gdy uporałam się ze wszystkim po jego śmierci, rzuciłam się w szał randkowania. Chciałam sobie zrewanżować lata upokorzeń, dręczenia, ale jak to często bywa, wpadłam z deszczu pod rynnę. Jeden mnie bił. Zaczął po trzech miesiącach. Dwa razy zdarzyło się to przy córce. Była przerażona. Facet obiecał się leczyć, ale jakoś szło mu opornie. Zerwałam. Kolejny był seksoholikiem i gardził monogamią. Kolejny był strasznie nudny. O większości młoda wiedziała i za każdym razem cierpiała, więc po kilku latach przestałam jej mówić. Od tego czasu poznała dwóch, może trzech, a i tak tego później żałowałam.

– Kiedy doszło do wypadku? – rzucił spontanicznie, jakby nagle przypomniał sobie, po co się spotkali w małym pomieszczeniu, które zaczynało go przytłaczać, a krzesło, na którym siedział, robiło się coraz bardziej niewygodne, co przewidział.

– Jakiego wypadku? – Kobieta zmrużyła oczy i pokręciła głową.

– Powiedziała pani, że coś się stało panu Bartkowi…

– Tak, tak. Przepraszam. Ja z tego zdenerwowania… Dzieje się ze mną coś dziwnego.

– Nic się nie stało. Proszę opowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

Kobieta wzniosła wzrok w stronę sufitu i westchnęła.

– On… On… powiedział, że to koniec. Że chce odejść. Może jakoś bym sobie to ułożyła, ale on zaczął mówić o mnie okropne rzeczy. Że jestem straszną osobą. Złą matką. Zaczął mnie obrażać. Krzyczał na mnie, a to jest coś, czego nienawidzę. Zbyt wiele osób mnie tak traktowało w życiu. Kiedyś kuliłam się w kącie i czekałam na razy, ale przestałam. Teraz konfrontuję się z wrogiem i…

Kobieta zamilkła i znowu utkwiła wzrok w swojej dłoni, jakby kolorowe paznokcie miały jej pomóc.

– I co się stało? – spytał niecierpliwie mężczyzna po dłużącej się chwili ciszy.

– Uderzyłam go.

– Gdzie?

– U niego w domu.

– Chodziło mi o to, w jaką część ciała. – Policjant poprawił ponownie leżący przed nim dyktafon. Najchętniej swoim zwyczajem przyciągnąłby dłoń do ust i zaczął obgryzać skórki. Zawsze tak robił, jak się stresował, ale jak to wypominała mu żona przy każdej nadarzającej się sposobności, nie tylko wtedy. Teraz nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości. To on z dwojga ludzi siedzących w niewielkim pomieszczeniu miał być tym twardym.

– W twarz – wydusiła w końcu z siebie Barbara Jasińska.

– To dość nieprzyjemne, przyznaję, ale myślę, że od tego nikt nie umiera.

– Tylko później jeszcze go…

W pomieszczeniu ponownie zapanowała cisza. Po lewym policzku kobiety popłynęła łza. Przedzierała się przez grubą warstwę makijażu, aż dotarła do napompowanych ust.

– Co się stało? – nie wytrzymał mężczyzna i delikatnie pochylił się w stronę rozmówczyni.

– Popchnęłam go. I on upadł. Walnął głową o krzesło, a potem runął na podłogę i przestał się ruszać.

– Oddychał?

– Nie wiem. – Pokręciła głową na boki.

– Nie sprawdziła pani?

– Bałam się.

– Kiedy to było?

– Dwa dni temu… – Sapnęła przeciągle. Dźwięk ten zupełnie nie pasował do eleganckiej kobiety. – Wiem, że powinnam była przyjść od razu. Ale bałam się. On mówił takie straszne rzeczy, jak nigdy wcześniej. Uciekłam wtedy. Czekałam, aż się do mnie odezwie, ale nic. Zero odzewu. Poszłam do niego do domu, ale nie otwierał. – Pociągnęła nosem, a skapującą z nosa wodę otarła rękawem.

– Może wyjechał? Dzwoniła pani do niego?

– Oczywiście…

– I? – ponaglił już mocno poirytowany tą rozmową.

Po części liczył na jakąś spektakularną sprawę, ale wszystko wskazywało na kłótnię kochanków, czyli nudny serial brazylijski, czego nie znosił. W jego rodzinie od dłuższego czasu działy się zadziwiające rzeczy. Żona z wypiekami na policzkach opowiadała, jak to jej kuzynka przyłapała męża na romansie dzięki zamontowanemu w samochodzie

zestawowi podsłuchowemu. Co zaskakujące, gdy zdemaskowała go, on wszem wobec oznajmił, że faktycznie ma kogoś na boku, ale i tak kocha żonę i nie chce się z nią rozwodzić. Ona oczywiście miała to gdzieś. Wystawiła jego rzeczy za próg i zmieniła zamki. Ale na tym się nie skończyło. Sama wdała się w romans, po czym, jak ten się wypalił, wróciła do męża. Policjant słuchał tego z zażenowaniem, zupełnie nie rozumiejąc małżonków, ale również swojej drugiej połowy, która się tym emocjonowała ponad normę.

Oparł się o krzesło, mając z tyłu głowy, że mebel w każdej chwili może nie wytrzymać i się rozlecieć, a wtedy on runie na ziemię.

– Proszę opisać, co się wydarzyło później – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nie odbierał. Ja wiem, że on tam leży. Może już umarł albo potrzebuje pomocy – pisnęła.

– Rozumiem, że nie ma pani kluczy?

– Nie. – Kobieta przecząco pokręciła głową.

– A nie zna pani kogoś, kto może ma klucze do niego i sprawdzi, czy faktycznie coś mu się stało?

– Nie, Bartek nie ma żadnej rodziny. Jest sam jak palec. Ja byłam jego rodziną i marzyłam, aby… aby poznał moją córkę. Żeby się zaprzyjaźnili. I żeby w końcu było normalnie.

Ponownie zaczęła płakać.

– Dobrze, proszę tu zaczekać, a ja się dowiem, co możemy zrobić.

Nie czekając na jej reakcję, wyłączył dyktafon, schował go do kieszeni i wstał. Szybkim krokiem, nie patrząc na kobietę, wyszedł na korytarz. Oparł się o ścianę i odetchnął. Zdecydowanie jednak wolał zgłoszenia o włamaniu na działkę czy kradzieży roweru sprzed szkoły.

Rozdział 9

– Co o tym myślisz? – spytał Kamiński, gdy po kilku godzinach wyszli od Karola Dobrzyńskiego, agenta Norberta Dutkiewicza.

Urządzona ekskluzywnie agencja artystyczna, jak nazywał ją mężczyzna, mieściła się w jego domu w podwarszawskich Jankach. Wielkie przeszkolone okna i zadbany ogród robiły wrażenie, chociaż nie tak bardzo jak mężczyzna, którego odwiedzili.

Karol Dobrzyński otworzył im ubrany w skórzane spodnie i biały włochaty sweter. Sam strój był oryginalny, ale nie to najbardziej przyciągało wzrok, ale jego twarz. Ciemne niczym węgiel włosy, broda przystrzyżona tak równo, że można byłoby od niej rysować linie, i błękitne oczy. Co do ich naturalności Czerwińska miała wątpliwości. Przez całą rozmowę, trwającą prawie godzinę, próbowała wyłapać, czy wokół tęczówki ma delikatną linię świadczącą o kolorowych soczewkach. Niestety jej nie dostrzegła. Od jakiegoś czasu zauważała pogarszający się wzrok, lecz wzbraniała się przed wizytą u lekarza, jakby okulary były czymś uwłaczającym lub gorszącym.

– Co ja o tym myślę? – Czerwińska powtórzyła po Kamińskim pytanie. – To jest nieźle zakręcone. Niby to Izabela Dutkiewicz przekierowała nas do tego faceta, ale… Chyba nie spodziewała się, że on uzna ją za jedną z głównych podejrzanych. I nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, jak mówił o swoim przyjacielu…

Kamiński pokiwał głową i wsadził kluczyk do stacyjki, po czym przekręcił go. Tego dnia pogoda nie sprzyjała. Mimo wiosny chłód, który nadciągnął zza wschodniej granicy, na zewnątrz przeszywał, więc i w samochodzie zrobiło się niezwykle zimno.

– Jakby był świętym co najmniej. Dziwne. Ja rozumiem, że o zmarłych nie wypada mówić źle, ale ta gloryfikacja jakoś śmierdziała na kilometr. Te teksty, że Norbert miał niezwykłe wyczucie odnośnie do wybieranych kontraktów, brzmiało, jakby kierował się jakimiś niesamowitymi wartościami, a tam chodziło tylko o pieniądze.

– Zachowywał się dziwnie, jakby coś ukrywał. – Marek podkręcił jeszcze bardziej temperaturę w samochodzie. Momentalnie z wywietrzników poleciał strumień ciepłego powietrza, który z sekundy na sekundę ogrzewał wnętrze auta.

– Tak, ale alibi ma. Jego zdjęcia z wakacji, bilety, rezerwacje ciężko kwestionować. Dla mnie na chwilę obecną oboje są podejrzani i, co dość problematyczne, ale nie niemożliwe, mogli kogoś wynająć. – Dorota westchnęła. – Szkoda, że nie był w stanie nam powiedzieć, o jakich kwotach jest mowa, ale myślę, że to całkiem niezła kasa.

– Tak. Dla mnie ich umowa śmierdzi na kilometr. Jak można oddawać swoje zyski po śmierci obcej osobie, a nie rodzinie?

– Oj tak. Jakoś nie łyknęłam tłumaczenia, że byli dla siebie niczym bracia.

Mężczyzna włączył silnik, ale nie ruszył. Nie ustalili jeszcze, dokąd teraz powinni jechać. Dorota zapięła pasy i rozpięła kurtkę, po czym odezwała się ponownie:

– Musimy koniecznie sprawdzić jego wersję, w szczególności to, co mówił o Izabeli i jej ataku na męża.

– Tylko podobno nigdzie tego nie zgłosił.

– Tak, ale skoro potraktowała go nożem, powinien mieć na ciele jakieś ślady. Może patolog powie, czy ma coś, co pasuje do urazu nożem.

– Co do patologa, to wiadomo już, jak trucizna dostała się do organizmu – oznajmił Kamiński i sięgnął po telefon.

Dorota spojrzała na partnera. Od rana miała ochotę go pocałować, ale za każdym razem coś się działo. Teraz nachyliła się w jego stronę, wyciągając szyję niczym łabędź. On momentalnie wyłapał jej zamysł, zbliżył się do niej i ich usta się połączyły. Smakował kawą, którą wypili u agenta. Niezbyt lubiła ten smak, ale w połączeniu z miękkimi wargami policjanta zupełnie jej nie przeszkadzał.

– To co z tym patologiem? – rzuciła, gdy w końcu odkleiła się od niego, chociaż miała ochotę na znacznie więcej niż pocałunek.

– To cyjanek, przepraszam, zapomniałem powiedzieć ci o porannym telefonie od prokuratora. Facet musiał go wypić. Początkowo lekarz szukał na ciele jakichś śladów, ale nic nie znalazł. Skóra nienaruszona. Nawet sprawdził między palcami, na potylicy. A sprawa jest najprostsza z możliwych, bo miał ją w małej buteleczce, z której „Romeo” pił truciznę. Dziwne tylko, że nie wyłapał zapachu. Cyjanek pachnie dość charakterystycznie, jak…

– Gorzkie migdały – skończyła za niego Czerwińska.

– Właśnie. Zadzwoniłem dzisiaj do tej starszej pani i ona powiedziała mi jeszcze jedną rzecz, która podobnie jak to opowiadanie żony Dutkiewicza komplikuje sprawę, bo wiele osób o tym wiedziało. Podobno nasz aktorek miał swój zwyczaj, o którym mówił każdemu, kto chciał słuchać. Często opowiadał o swoich przyzwyczajeniach związanych z występami zarówno w filmach, jak i na deskach teatru. Tłumaczył, że rzadko przychodził wcześniej, bo za bardzo się stresował. Tekstu uczył się w wannie, żeby dobrze mu się kojarzył. No i, co dla nas najważniejsze, przed występem zawsze pił drinka, a do buteleczki swojego bohatera też wlewał sobie procenty. Opowiadał o tym bez skrępowania, jakby fakt, że występuje po pijaku, wcale nie stawiał go w złym świetle.

– To ktoś miał ułatwione zadanie – skomentowała Czerwińska i zdjęła czapkę. W samochodzie zaczęło robić się odczuwalnie cieplej.

– Tak.

– A czy pani Maria Górska…

– Pani od sprzątania? – upewnił się Kamiński.

– Tak, czy ona powiedziała, że to Dutkiewicz sam sobie wlewał ten alkohol? Może ktoś robił to za niego?

– Kobieta twierdzi, że sam to robił. Co było dość zaskakujące, bo większość rzeczy zrzucał na innych. Generalnie to stronił od jakichkolwiek prac. Ta pani, czując, że ma dobrego słuchacza, zaczęła się żalić, że część aktorów traktuje ją jak służącą. Szczególnie ci młodzi. Każą sobie prasować rzeczy, te prywatne oczywiście – dodał w pośpiechu. – Bo wiadomo, stroje na scenę są przygotowywane przez odpowiednią osobę.

Policjantka nie skomentowała tego. Utkwiła wzrok gdzieś daleko i milczała.

– A może on jednak popełnił samobójstwo? – przerwał ciszę Marek, a Czerwińska spojrzała na niego i zrobiła duże oczy.

– Hmm… – sapnęła po chwili i oparła głowę o zimną szybę. Kontakt z lodowatą taflą nie należał jednak do najmilszych, więc szybko się wyprostowała. – Myślałam nawet o tym przez chwilę, ale jakoś nie wydaje mi się. Z tego, co o nim usłyszałam, to raczej nie pasuje mi do osoby z myślami samobójczymi, ale… cóż, trzeba różne opcje zakładać.

– Pewnie tak. Ale wracając do tej rozmowy z agentem, on mi się naprawdę nie podoba.

– W jakim sensie? – spytała Dorota, patrząc na przechodzących przed samochodem pieszych. Jej uwagę przykuła szczególnie starsza pani w krwistoczerwonej kurtce i białych butach sportowych. Zupełnie nie pasowały do pomarszczonej twarzy i powolnego chodu zwykłego dla jej wieku.

– On ją obsmarował od góry do dołu, a ona mówiła o nim dość pozytywnie.

– Dla mnie to ona przedstawiła go neutralnie – wtrąciła.

– Nieważne, ale nie było w tym ani grama oskarżycielskiego tonu, w odróżnieniu od niego. On zaatakował ją z grubej rury. I oskarżenie, że pewnie kogoś wynajęła, żeby nie mieć nic wspólnego z jego śmiercią, bo tylko w tym wypadku może zgarnąć jakąś kasę, to już strzał z armaty.

– Oj tak. Ale mnie chyba ubodło to, co powiedział o dziecku. Że to ona go nie chciała. Ciekawe, bo to zmienia bardzo wiele. Jeżeli faktycznie zrobiła wszystko, aby poronić… To cała sytuacja robi się jakaś porąbana… – Dorota wyciągnęła z kurtki telefon i odblokowała go. Od kilku minut dostawała co chwilę jakieś powiadomienia. – O matko!!! – pisnęła i przekręciła ekran w jego stronę. Ich prawie dziewięciomiesięczny syn stał, wspierając się o krzesło. Serię zdjęć z jego wyczynu przesłała Wanda, która na ich prośbę wszystko dokumentowała.

– Ale zuch z niego! – Marek pogłaskał ją po policzku. – Po tatusiu! – zaśmiał się.

– A mnie tam nie ma…

Po jej twarzy spłynęła pierwsza łza. Od dawna się tego obawiała. Tego, że przez pracę nie będzie w domu i przegapi coś ważnego. Niestety nie myliła się i teraz musiała zmierzyć się ze swoimi obawami.

Rozdział 10

Dorota nigdy nie lubiła spotkań przy ciele zmarłego. Nie żeby się bała czy miała jakieś problemy z widokiem martwego człowieka, ale nie lubiła tej atmosfery. Panująca w prosektorium cisza przerywana cichymi rozmowami w połączeniu z dość niską temperaturą zawsze źle na nią wpływała. Każdorazowo po takiej wizycie miewała koszmary, w których widziała bliskich lub siebie na jednym z metalowych łóżek.

Niestety tym razem nie mogła odmówić, mimo że bardzo chciała. Nowy prokurator postawił sprawę jasno. Mają stawić się o wskazanej godzinie i nie dał im pola do wycofania się. Nie brzmiał jak ktoś skory do jakiejkolwiek dyskusji.

Na miejscu pojawili się piętnaście minut przed czasem. Prosektorium znajdowało się jak zazwyczaj w piwnicy, co akurat było słusznym rozwiązaniem, bo zapewniało najniższą temperaturę zarówno latem, jak i zimą.

– Pamiętasz swoją pierwszą sekcję zwłok? – zaskoczył ją nagle Marek, który od rana zachowywał się jakoś dziwnie. Był nieobecny, zamyślony. Rzadko mu się to zdarzało, ale w tych nielicznych chwilach Dorota pozwalała mu na to i nie zadawała pytań. Jakąś częścią siebie czuła, że jej mężczyzna oddala się wtedy w stronę swojej dawnej rodziny, za którą tęsknił, a o której tak rzadko wspominał, jakby nie chciał jej drażnić faktem, że nie skupia się tylko na niej i Mikołaju.

Spojrzała na niego z ukosa i cofnęła się myślami do swojego pierwszego spotkania z martwym człowiekiem. To było jeszcze w szkole policyjnej. Jeden z wykładowców zabrał ich na wycieczkę. Zupełnie nie wiedzieli, czego się spodziewać. W żaden sposób ich nie uprzedził. Weszli do budynku szpitala, myśląc, że idą spisać zeznania jakiegoś poszkodowanego. Pamiętała dobrze zdziwione miny swoich kolegów i koleżanek, gdy zamiast powędrować na salę szpitalną, zaczęli schodzić wąskimi schodami do piwnicy. Gdy ich oczom ukazał się napis „Prosektorium”, pożałowała, że wzięła dokładkę zupy pomidorowej.

– To był starszy pan – zaczęła Dorota i schyliła się po leżący w wielkim koszu zabezpieczony strój ochronny, który musiała założyć. – Mężczyzna został pobity. Gdy stanęliśmy przy nim, myślałam, że padnę na zawał. Wyglądał… – Uniosła twarz, aby powstrzymać łzy, które nagle zaczęły pojawiać się w kącikach oczu. Ta sprawa zawsze ją wzruszała, dlatego starała się do niej nie wracać. Teraz przywołana w pamięci momentalnie wywołała smutek. – Nigdy wcześniej, a w sumie i później też, nie widziałam nikogo z tak zdeformowaną twarzą. Jego rodzina miała problem z identyfikacją zwłok. Ostatecznie zrobiono to na podstawie znaków szczególnych. Pieprzyków, dokumentacji stomatologicznej. Ja przez długie tygodnie widziałam go w snach. Jego twarz. Cała reszta jakoś nie robiła na mnie wrażenia. To krojenie, wyciąganie narządów. Nie jest zbyt fajne, ale do przeżycia. U mnie w grupie wiele osób mdlało, a co śmieszne, najbardziej buńczuczny i „hej do przodu” typek wymiotował pod siebie bez końca.

– U mnie też był taki, co się przechwalał, że trupy nie robią na nim wrażenia. Stanął w pierwszym rzędzie, a gdy lekarz uniósł materiał osłaniający ciało, runął jak długi. Z kolegami musieliśmy go wynosić za ręce i nogi, bo całkiem spory chłopak był. A to jak wszyscy później się z niego śmiali, to było coś bezcennego. Jakimś dziwnym trafem po tym się lekko wycofał i już nie udawał takiego chojraka.

– Nie dziwię się. – Dorota zapięła zamek swojego stroju i zaczęła odpakowywać osłonki na buty.

– Ja chyba zawsze najgorzej znosiłem sekcje dzieci. To jest coś, co za każdym razem mną wstrząsa.

– Ja nigdy nie byłam. Dwa razy mogłam, ale się wywinęłam.

– Mnie się niestety nie udało – rzucił Kamiński ze słyszalnym w głosie smutkiem. – I bardzo często to ich twarze do mnie wracają. Za pierwszym razem była to dziewczynka. Miała raptem trzy latka. Wyglądała jak aniołek. Taka niewinna. Serce się krajało na sam widok, a później patolog zaczął ten cały obrządek i myślałem, że zacznę płakać. Zresztą chyba każdy miał łzy w oczach, bo przez cały czas sekcji nikt nie podniósł głowy. Kilka razy słyszałem nawet, jak pani prokurator pociąga nosem. Najgorsze było to, że małą zabiła własna matka. Cała sytuacja zresztą przerażała. O tym, że coś złego się dzieje, powiadomił policję starszy syn kobiety. Poza tą dziewczynką było jeszcze dwóch chłopców. Z tego, co pamiętam, to mieli siedem i dziesięć lat. I ten starszy w nocy napisał do babci SMS-a, że boi się matki, bo ona chyba chce ich zabić. Ta na szczęście szybko zareagowała. Pojechała tam z mężem, a jak nie mogli się dostać do mieszkania, zadzwonili po policję. Niestety się spóźnili. W środku zastaliśmy scenę jak z horroru. Znaleźliśmy martwą dziewczynkę, a jej braci w stanie krytycznym. Jeden miał uraz głowy, a drugi ranę na szyi. Okazało się, że kobieta kilka godzin wcześniej pokłóciła się z partnerem. Ten, nie mogąc jej słuchać, po prostu wyszedł.

Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu zdarzeń. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, dlaczego to zrobiła. Co zaskakujące, lekarz psychiatra uznał, że jest zdrowa na umyśle.

– Jezus Maria, straszna historia…

– Wiem. – Kamiński spróbował się uśmiechnąć, ale jego twarz nie wyrażała pozytywnych emocji. – Niestety taka ta robota, czasami trudna. Chodźmy, bo pewnie na nas czekają.

Skinęła głową i bez słowa ruszyli w głąb prosektorium.

– Dzień dobry – usłyszeli, gdy tylko stanęli w progu. Prokurator Kacper Bartoszewski stał obok patologa Janusza Chodakowskiego i oglądał coś w telefonie. – Miło, że wpadliście. – Odłożył aparat do kieszeni i nasunął rękawiczki.

– Dzień dobry – rzuciła Czerwińska trochę zmieszana.

Stanęli przy nogach zmarłego, które wystawały spod płachty. Na jego dużym paluchu wisiała karteczka z imieniem i nazwiskiem.

– No dobra, to zaczynamy. – Patolog podszedł do stołu, na którym leżało ciało, i zdjął z niego materiał. Ich oczom ukazały się zwłoki w całej okazałości. Janusz Chodakowski w sposób spokojny i z wielkim szacunkiem zaczął swoją pracę, metodycznie sprawdzając całe ciało denata. Oglądał każdy centymetr, spisując wszelkie zadrapania czy uszkodzenia.

Gdy doszedł do klatki piersiowej i dość nietypowej podłużnej blizny o długości pięciu centymetrów, Dorota podniosła rękę.

– Tak? – Lekarz spojrzał na nią i kiwnął głową.

– Czy to może być rana od noża?

– A skąd taki pomysł? – spytał prokurator.

– Agent Dutkiewicza… – Widząc zdziwione miny, od razu wyjaśniła: – Taki człowiek, co pomaga mu załatwiać kontrakty, reklamy. W każdym razie ten agent powiedział, że kiedyś żona ugodziła Dutkiewicza nożem.

– Jak dla mnie to jest raczej powierzchowna rana. Uszkodzenie samej skóry.

– Rozumiem.

– Ale… – Przewrócił mężczyznę na bok. – Tutaj na plecach ma coś, co mogło być wynikiem dźgnięcia nożem.

Cała trójka obserwatorów zrobiła krok do przodu i nachyliła się w stronę pokazywanej rany na plecach. Kilka centymetrów poniżej prawej łopatki od strony kręgosłupa aktor miał czterocentymetrową bliznę. Ta, w odróżnieniu od tej na brzuchu, była gruba, jakby zagoiła się sama, bez zastosowania jakichkolwiek szwów.

– Czy jest pan w stanie określić, kiedy to się wydarzyło?

– Niestety tylko w pewnym przedziale. Jak dla mnie to sprawa sprzed trzech, czterech, maksymalnie pięciu lat. Poza tym taka zagojona rana już niewiele nam powie. Ciężko określić, jakiego typu nóż został użyty. Oczywiście jak go otworzę, będę widział, czy wszedł głęboko i co uszkodził. Ale z perspektywy czasu to już niewiele da.

– Hmm… – westchnął prokurator. – Mam już całą jego dokumentację i nigdzie nie ma ani słowa na temat takiego wydarzenia.

– Może nie wszystko pan ma. – Lekarz wzruszył ramionami. – A może z jakichś względów nie chciał, aby to wyszło na jaw.

– Aktor dźgnięty nożem na bank byłby gorącym tematem dla dziennikarzy – wtrącił Kamiński, który cały czas patrzył na bliznę. – Zastanawia mnie tylko umiejscowienie tej rany.

– Dlaczego? – Prokurator spojrzał na policjanta i zmarszczył brwi.

– Agent bez wahania wspomniał, że zrobiła to żona. Tylko jak dla mnie ranę zadała osoba praworęczna, a jak byliśmy u żony, to notując numer telefonu do kobiety, którą jej mąż oskarżył o kradzież, pisała lewą ręką.

– Hmm… To ktoś naciągnął rzeczywistość. Tylko pytanie: kto? Agent Dutkiewicza, a może jego żona? W sumie to może sam aktor naściemniał i wszystko wyglądało inaczej. – Prokurator podszedł bliżej zwłok, ucinając temat. – Czy na jego ciele jest coś jeszcze wartego uwagi?

Patolog pokręcił głową przecząco i skończył etap oględzin, po czym przeszedł do kolejnego etapu, w którym w ruch poszedł skalpel.

– Do listy rzeczy do zrobienia dopiszcie sobie sprawdzenie, skąd można wziąć cyjanek – odezwał się nagle prokurator. – Wiem, że aktualnie sprawa nie należy do najłatwiejszych, ale może na coś traficie.

Czerwińska z Kamińskim kiwnęli głowami. W tej relacji to oni byli niżej w hierarchii i nie mieli z czym dyskutować. Po sekcji zwłok grzecznie się pożegnali i ruszyli do wyjścia. Nie zdążyli zdjąć strojów ochronnych, gdy pojawił się prokurator:

– Jakie plany? – rzucił bez słowa wprowadzenia.

– Zaraz jedziemy do Zuzanny Rutkowskiej.

– Tej przyjaciółki zmarłego? – spytał, wywołując zdziwienie u Czerwińskiej. Nie każdy prowadzący sprawę wnikał w jej szczegóły. Dobrze wiedziała, że równolegle zaangażowany był w kilka takich spraw i nie musiał znać ich na wskroś.

– Tak. Czeka na nas w swojej pracowni. Wydawała się dość przygnębiona jego śmiercią, mimo że z tego, co wiemy, to nie potraktował jej zbyt sympatycznie. – Kamiński przedstawił ustalenia i wrzucił do wielkiego kosza ochronny strój, w którym już czuł, że zaczyna się gotować, a koszulkę na plecach miał wilgotną od potu.

– Super. A co potem? – nie odpuszczał Kacper Bartoszewski, cały czas lustrując stojących przed nim policjantów.

Chwilę wcześniej minął ich lekarz sądowy i pożegnał się ponownie, informując, że spieszy się na sekcję zwłok wykonywaną w ramach pracy na uczelni medycznej.

– Musimy jeszcze raz porozmawiać z żoną zamordowanego, a także z jego rodziną.

– Sprawdźcie jego telefon, komputer i takie tam.

– Oczywiście. – Czerwińska kiwnęła głową.

– No i jeszcze kamery w pobliżu teatru.

– Większość już sprawdziliśmy i nic – odezwał się tym razem Kamiński.

– To sprawdźcie jeszcze raz i informujcie mnie na bieżąco. – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Założyli kurtki i w milczeniu ruszyli do samochodu.

– On mnie zaczyna denerwować – odezwała się Dorota, gdy tylko usiadła. Rozpięła wierzchnie nakrycie i zdjęła czapkę, której metka drażniła ją w głowę. Jak co rano zapomniała jej wyciąć nożyczkami.

– Faktycznie jest dość specyficzny w obyciu, ale mnie jakoś pasuje. Niestety zazwyczaj miałem do czynienia z partaczami, którzy olewali swoją robotę. Nie pilnowali, co się dzieje, albo mieli to w dupie, bo zalewani milionem spraw, większość traktowali po macoszemu. Z dwojga złego zdecydowanie wolę tych nadgorliwych. – Przekręcił kluczyk i ruszyli.

Budynek, w którym mieściła się galeria, nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Obdrapana elewacja raczej nie zachęcała do odwiedzin. Nie mieli jednak wyboru. Zaparkowali obok kanarkowożółtego trabanta, który z daleka przyciągał wzrok.

– Dzień dobry – usłyszeli damski głos, gdy tylko ruszyli do wejścia do budynku.

Kobieta stała na prawo od drzwi, ale wcześniej żadne z nich jej nie zauważyło, mimo że bardzo się wyróżniała. Krótkie różowe włosy, do tego czerwony sweter i czarne skórzane spodnie powodowały, że od razu wiedzieli, że mają przed sobą niezłą artystkę.

– Komisarz Marek Kamiński, a to starsza aspirant Dorota Czerwińska. Pani Zuzanna Rutkowska, zgadza się?

– Tak. Zapraszam. – Wskazała ręką na przeszklone drzwi i ruszyła przodem. Gdy tylko przekroczyli próg, znaleźli się w zupełnie innym świecie. Na ścianach wisiały zdjęcia nagich kobiet w kolorowych ramach, a na środku stała wielka rzeźba przedstawiająca mężczyznę w całej okazałości. – Przygotowuję właśnie wystawę i jestem w trakcie zbierania eksponatów. Może sobie usiądziemy.

Rutkowska prowadziła ich dalej. W kolejnym pomieszczeniu stało kilkanaście zapakowanych obrazów, kartonów, a pod ścianą skórzana czarna kanapa. Jako jedyna nie była w żadnym krzykliwym kolorze. Usiedli na niej, a kobieta na małym pufie, dzięki czemu mieli ją przed sobą.

– Dziękujemy, że zgodziła się pani z nami spotkać – zaczęła Dorota Czerwińska, naciągając trochę rzeczywistość. Dobrze wiedziała, że każdy obywatel na wezwanie ma obowiązek stawić się na policji.

– Jak dowiedziałam się o śmierci Norberta, wpadłam w histerię. Nasze drogi już jakiś czas temu się rozeszły, ale kiedyś byliśmy nierozłączni. – Widząc zdziwioną minę Kamińskiego, od razu dorzuciła: – Nie byliśmy nigdy parą. Nic z tych rzeczy! – Pokręciła głową. – On był moim kumplem. Tylko. Chodziliśmy na piwo i potrafiliśmy przez kilka godzin gadać o niczym, sącząc kufel za kuflem. Uwielbiałam go. I w pewnym momencie się zmienił. Niestety sława zrobiła mu sieczkę w głowie. Początkowo Izabela jeszcze jakoś trzymała go w ryzach, ale później nie wiem, czy coś się stało, czy po prostu przestało jej zależeć, ale odpuściła, a on popłynął. Zaczął robić dziwne rzeczy.

– Mówi pani o oskarżeniu? – zadał pytanie Kamiński.

– Też. Wtedy na jakiś czas zawalił mi się świat. Na szczęście mam wspaniałą rodzinę, która bardzo mi pomogła. Ale gdy na wystawę wparowała policja i wyprowadziła mnie w kajdankach, myślałam, że spalę się ze wstydu. Miałam ochotę go…

– Zabić? – skończyła za nią Czerwińska.

– Tak – prychnęła. – Ale tego nie zrobiłam. Od tego czasu minęło sześć lat, więc proszę uwierzyć, przeszła mi złość. Poza tym z perspektywy czasu to po tej akcji zaczęło się dziać wiele dobrego w moim życiu. Dziwnie to zabrzmi, ale gdyby nie jego głupie oskarżenie, może nie byłabym tu, gdzie jestem.

– Ciekawe – skomentował Kamiński.

– Nie nazwałabym tego tak. Takie przewrotne jest życie. Gdy myślałam, że już nic mnie dobrego nie spotka, zadzwonił kolega, który pracuje w Berlinie. Zaproponował mi pracę. Nic mnie nie trzymało w stolicy. Spakowałam się i wyjechałam. To, co tam się działo, było niesamowite. Nigdy nie spotkałam tak nietuzinkowych ludzi, którzy poznali mnie z kolejnymi. Gdyby nie smród wywołany oskarżeniem o kradzież, nie zgodziłabym się, siedziała dalej w Warszawie i liczyła na lepsze jutro, co pewnie by się nie wydarzyło.

– Czy od tego czasu widziała się pani z Norbertem Dutkiewiczem?

Kobieta wstała, podeszła do jednego z kartonów i zaczęła w nim grzebać. Po chwili wyciągnęła jakiś wydruk i podsunęła pod twarz policjantom.

Kamiński spojrzał na Czerwińską. Ta zmarszczyła brwi, trochę nie rozumiejąc tego, co widzi. Na fotografii ktoś uwiecznił roześmianą Zuzannę Rutkowską stojącą ramię w ramię z Izabelą Dutkiewicz.

– Tak. – Na twarzy kobiety pojawił się lekki uśmiech. – Zaprzyjaźniłam się z Izą. To niesamowita kobieta. Po tej aferze zadzwoniła do mnie i przepraszała. Na początku wydawało mi się to podejrzane, szczególnie że wcześniej się średnio lubiłyśmy. Ale później mi wszystko wyjaśniła. Była zazdrosna, że Norbert zachowywał się w stosunku do mnie dobrze, a ją już wtedy tłamsił. Od SMS-ów przeszłyśmy w rozmowy. Potrafiłyśmy gadać po kilka godzin. Potem, gdy Norbert wyjechał z kolegą gdzieś na wakacje, przyjechała do mnie na weekend. Jemu nic nie powiedziała. Wtedy knułyśmy plan, żeby naprawić nasze relacje. Nie wiem czemu, ale zależało mi, żeby było jak wcześniej. To było dziwne, bo to on mnie zranił i to on powinien starać się to naprawić.

– Udało się? – wtrąciła zaciekawiona Czerwińska.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Iza powiedziała mi, kiedy Norbert będzie w domu. Przyjechałam do nich podczas jednych z odwiedzin u rodziców. Kupiłam jego ulubioną brandy. Ale nie wyszło. Cały czas powtarzał, że go oszukałam. Wmawiał jakieś straszne głupoty. Nie wiem dlaczego, ale praktycznie od początku miałam wrażenie, że za tym stoi jego agent.

– Karol Dobrzyński? – spytał Kamiński zdziwiony.

– Tak. Straszny krętacz. Nie wiem, czy on miał coś na Norberta, ale wielokrotnie zastanawiałam się, czy on go czymś nie szantażuje. Zgadzał się na dziwne układy. Oddawał wyższy procent, niż to jest w standardzie. Raz nawet podałam mu namiar na mojego kolegę, który reprezentuje kilku topowych aktorów. Powiedział mi, jakie ma warunki. To było chwilę przed aferą z obrazem. Norbert odpalał swojemu więcej, a mimo to nie był zainteresowany. Gdyby ten agent faktycznie coś więcej wnosił, to okej, ale zakres usług był dokładnie taki sam. Poza tym on nie był jakimś wyjadaczem, szczególnie na początku. Nie powiem, ma gadane, szybko się uczył, ale nie rozumiałam, dlaczego Norbert powierzył mu los swojej kariery.

– Ciekawe – skomentowała Czerwińska.

– I to bardzo. Zresztą… – Kobieta zawiesiła głos i ponownie usiadła na pufie. – Nigdy nie zdobyłam dowodów, ale przez chwilę się zastanawiałam, czy ten cały Karolek w ramach zemsty nie nakręcił Norberta na tę akcję z nasłaniem na mnie policji.

– Dlaczego miałby to robić?

– Gdy zabierałam obraz po imprezie, był u Dutkiewiczów. Wiedział dobrze, co się dzieje, i był świadomy, że Norbert jest pijany, a raczej nawalony jak meserszmit. Ustalenia oczywiście zrobiliśmy wcześniej. Zresztą on sam mi to zaproponował. Miałam oddać jego własność po trzech dniach, a wyszła z tego niezła drama. Ja mogę sobie dać mały palec uciąć, że stał za tym ten gnój. – Kobieta zacisnęła dłoń w pięść i stuknęła się nią w udo.

– Ale musiałby mieć jakiś motyw – zauważyła przytomnie policjantka, marszcząc brwi.

– Miał. Po pierwsze, podesłałam Norbertowi innego agenta, a po drugie… – Zuzanna Rutkowska spojrzała na stojące na podłodze kartony i zamilkła na moment. – Ja nigdy nie lubiłam gościa. Kiedyś spotkałam go na jakiejś imprezie. Dziwnie się zachowywał. Wydaje mi się, że był naćpany. Przedstawił mi wtedy jednego aktora i z dumą powtarzał, że zrobi z niego większego celebrytę niż z Norberta. Bo on to grać nie umie i jest tępy. Słuchałam tego z szeroko otwartymi ustami. Raczej człowiek reprezentujący klienta nie powinien mówić o nim takich rzeczy, szczególnie w towarzystwie ludzi, którzy przy każdej okazji lecą do mediów i rozpowiadają zdobyte informacje na prawo i lewo. Potem zaczął się do mnie przystawiać. Początkowo nie oponowałam, bo byłam ciekawa, o co chodzi. Zaczął mówić, że wie, jak wyciągnąć więcej kasy od aktorów i innych gwiazdek. Nie ukrywam, zaciekawił mnie. Próbowałam na różne sposoby wyciągnąć od niego szczegóły, ale uparł się, że powie, ale u siebie… w sypialni. – Dziewczyna znów pokręciła głową. – Ja nie z tych. Grzecznie podziękowałam, mimo że moja ciekawość eskalowała do nieznanych mi wcześniej wymiarów. Kiedyś jeden gość mnie obmacywał, gdy zostaliśmy sami, i od tej pory jestem czujna jak owsik, jak to moja babcia mówiła.

– Słusznie – pochwaliła postawę dziewczyny Czerwińska.

– Wiem, ale już nigdy nie udało mi się tego tematu zgłębić. Oczywiście opowiedziałam wszystko Izie, ale ona zderzyła się z murem. Norbert zareagował agresywnie na jej pytanie o swojego agenta i fakt, że bierze więcej niż inni. Zaczął się na nią drzeć, że dopóki sama nie zarabia, niech się nie odzywa. Opowiadała mi później, że strasznie się tym wkurzył. Zdecydowanie ponad normę. Znając życie, opowiedział wszystko Karolowi i ten postanowił się zemścić, nasyłając na mnie wkurzonego Norberta.

– Ma pani pomysł, co miał na niego? – odezwał się policjant, mimo że już wcześniej kobieta zaprzeczyła.

– On coś ukrywał. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czy ten jego agencik miał na niego jakieś haki, czy robił dla niego jakąś dodatkową robotę. To nie jest normalne, że człowiek, mając do wyboru oddawanie mniejszej części swojego zarobku, oddaje większą. Zasady na rynku są dość jasne, a on wybrał nietypową opcję.

– A czy wie pani, kto chciałby jego śmierci? – spytała Czerwińska.

– No właśnie Karol Dobrzyński, ten agent. To on najwięcej na niej zyskuje… Chociaż… – Położyła rękę z tyłu głowy i zaczęła się dynamicznie po niej drapać. – Tak teraz sobie pomyślałam, że w sumie on też nie wyszedł na tym jakoś wyjątkowo korzystnie. Norbert od kilku lat cały czas był na fali i o dziwo z niej nie spadał. Większość jego kolegów zaliczała fluktuacje lub spektakularne upadki, a on się trzymał. Więc leciał od niego nieprzerwany strumień pieniędzy i tak się zastanawiam, po co Dobrzyński miałby to przerywać, no chyba że… Norbert chciał zrezygnować ze współpracy z nim – wypaliła nagle i uśmiechnęła się. – Ale tego pewnie już się nie dowiem.

Czerwińska i Kamiński spojrzeli na siebie. Nadal nie udało im się dostać do telefonu zamordowanego, ale u speców od sprzętu czekał już jego komputer, więc niebawem powinni mieć w niego wgląd.

– A Izabela Dutkiewicz?

– Co ona? – Kobieta zmarszczyła brwi, jakby pytanie padło w obcym języku.

– Czy ona mogła zabić męża? – Tym razem pytanie zadał Kamiński.

– W życiu! – pisnęła i zaśmiała się na głos. – Iza nie ma w sobie krzty agresji. Ona się złości w dość zabawny sposób. Zaciska pięści, pokrzyczy i tyle. Ja ją podziwiam, że tyle z nim wytrzymała. Chociaż uważam, że dla niej byłoby lepiej, jakby dawno temu odeszła. Wiem, że ją w pewien sposób ubezwłasnowolnił, ale obiecałam, że jej pomogę. Uparła się, że zrobi to na własnych warunkach. Więc czekałam. Wiem, że idzie jej dobrze, ale… Ja nie dałabym rady. A co do pytania, to nie wyobrażam sobie, żeby to ona pomogła mężulkowi przenieść się na tamten świat.

– To kto?

– Lista zawistnych kolegów, aktorów czy producentów jest długa. Oni potrafią sobie niezłe świnie podkładać, ale czy któryś byłby w stanie zabić, nie wiem.

– A gdzie pani była w dniu śmierci Norberta Dutkiewicza? – Dorota uśmiechnęła się do kobiety przepraszająco.

– Zajmowałam się tym. – Kobieta ruchem ręki wskazała na kartony. – Widzieli państwo na wejściu wystawę. Ruszamy za tydzień. Dla mnie czas przed odpaleniem to jeden wielki rollercoaster. Jak odbieram eksponaty, to jestem na górze kolejki i czuję euforię, a gdy okazuje się, że jakiś nie dotrze lub został uszkodzony, czuję, jakbym spadała i waliła twarzą w ziemię. Gdy mój ekspryjaciel umierał na scenie, ja siedziałam w salonie starszej pani w Toruniu i próbowałam ją przekonać do pożyczenia mi na dwa tygodnie kilku obrazów jej męża, z opcją odkupienia ich, jakby znalazł się kupiec.

– I udało się? – spytał Kamiński.

– Tak! – Kobieta aż podskoczyła na samą myśl. – Jutro przywiozą pięć obrazów z nagimi kobietami, wisiały w salonie starszego małżeństwa. Doprawdy to był dość osobliwy widok i jak to wiekowa pani na koniec naszej rozmowy powiedziała, chętnie się pozbędzie tych gołych dup ze swojego domu.

Rozdział 11

Radiowóz powoli zajechał pod wskazany przez Barbarę Jasińską adres. Blok z lat osiemdziesiątych niczym szczególnym się nie wyróżniał. Otoczenie również nie prezentowało się zbyt atrakcyjnie. Trawnik poprzecinany ścieżkami, którymi ludzie chodzą na skróty, bo projektant chodnika zupełnie nie wziął pod uwagę tego, jak mieszkańcom będzie wygodnie, tylko ułożył go zgodnie z własnym widzimisię.

Aspirant Radosław Zalewski wraz z kolegą, młodszym aspirantem Henrykiem Śledziewskim, podeszli do klatki schodowej i zadzwonili pod numer zapisany na kartce. Komendant stwierdził, że na chwilę obecną niepotrzebna jest większa ekipa poza ich dwójką. Starszy stażem ma przepytać poszkodowanego, o ile go zastaną, a młodszy, który potrafił otwierać zamki, wykorzystać swoje umiejętności, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Była z nimi jeszcze zgłaszająca, która cały czas się trzęsła, jakby na dworze panował mróz, i raz po raz zanosiła się płaczem.

W domofonie odpowiedziała im cisza.

– Mówiłam, że mu coś zrobiłam. On nie da rady otworzyć – wycedziła przez zaciśnięte usta.

Policjanci nie zareagowali. Chwilę później z klatki schodowej wyszła starsza pani, ciągnąc za sobą wózek na zakupy. Zalewski przytrzymał drzwi, by się nie zamknęły, i uśmiechnął się do niej, ale ona tego nie odwzajemniła. Wyglądała, jakby zjadła przed chwilą coś niesmacznego.

Wdrapali się na drugie piętro, stanęli przed drzwiami numer 15 i zaczęli dzwonić.

– On nie otworzy. Musicie tam wejść – dobiegł ich zza pleców głos kobiety.

– No dobra, chyba nic z tego nie będzie. Heniu, wyjmuj sprzęt i… – Zalewski przerwał, gdy usłyszeli za sobą pisk zawiasów.

– Co tu się, u licha, dzieje? – pisnęła starsza kobieta z miną podobną do tej, jaką chwilę wcześniej prezentowała mijana sąsiadka.

– My z policji. Musimy sprawdzić, czy panu Bartkowi…

– Wojciechowskiemu – skończyła za niego Barbara Jasińska.

– Właśnie, czy panu Bartkowi Wojciechowskiemu nic się nie stało.

– A co miałoby mu się stać? Młody jest. Tacy to raczej nie chorują.

– Prawdopodobnie miał wypadek – rzucił policjant, próbując ratować się z zaistniałej sytuacji. Nie chciał opowiadać tego, co im przekazała kobieta. Zupełnie nie było to im teraz potrzebne. – Nie widziała go pani ostatnio?

– Nie. – Kobieta zmrużyła oczy i zrobiła krok do przodu. Dopiero teraz mogli zobaczyć ją w całej okazałości, bo wcześniej stała w nieoświetlonym korytarzu. Jej włosy miały kolor zbliżony do bakłażana, a na plecy zarzuciła grubą kamizelkę, przypominającą włochate zwierzę, lecz nie to przyciągało uwagę, ale namalowane czarną kreską brwi i czerwone usta. Obaj policjanci momentalnie napięli się, aby swoim zachowaniem nie wyrazić zdziwienia. – On z tych cichych, nieprzeszkadzających, ale też niewyrywnych do pomocy. Taki zupełnie na uboczu. Nigdy dotychczas nam nie przeszkadzał.

– To może inaczej, kiedy go pani widziała po raz ostatni?

– Jakieś cztery dni temu. – Kobieta zmarszczyła czoło i uniosła czubek nosa, powodując, że jej twarz wyglądała karykaturalnie. – Może pięć. Wie pan, już pamięć nie taka.

– Rozumiem. – Zalewski uśmiechnął się do kobiety. – A ktoś się tu kręcił?

– Nie, a tak właściwie to czemu pan pyta? Stało się coś?

– Właśnie nie wiemy. Proszę wrócić do mieszkania. Jakbyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, zapukamy do pani.

– Czy coś mi grozi?

Policjanci spojrzeli na siebie.

– Nie wydaje nam się, ale dla bezpieczeństwa radziłbym wrócić do siebie.

Kobieta niechętnie obróciła się na pięcie i zniknęła w ciemnym korytarzu swojego mieszkania, z którego wydobywał się niezbyt przyjemny zapach.

– No dobra, młody, zaczynaj – rzucił Zalewski do kolegi.

Śledziewski wyciągnął swój zestaw kluczy i zaczął grzebać w zamku. Pięć minut później mechanizm wydał dziwny dźwięk, a młody mężczyzna, który wszedł w szeregi policji raptem cztery miesiące wcześniej, z triumfalnym pomrukiem wstał z pozycji klęczącej.

– Zapraszam! – Spojrzał na kolegę i popchnął drzwi.

Radosław Zalewski od razu odwrócił się do towarzyszącej im kobiety.

– Proszę tu zostać.

Pokręciła głową, jakby spodziewała się to usłyszeć.

– Nie ma takiej opcji. Muszę wejść.

Zrobiła krok do przodu, zupełnie nie bacząc na jego słowa.

– Dobrze… – westchnął policjant. Żona zawsze, obok pesymizmu, wytykała mu brak asertywności. I jak z czarnowidztwem starał się jakoś sobie radzić, tak z tym nie wiedział jak i nie planował w najbliższym czasie. – Ale zostanie pani w wejściu.

Kobieta kiwnęła głową, a on popchnął drzwi.

– Policja, jest tu ktoś?

Cisza. Ciemność i zapach zgnilizny.

– Tutaj aspirant Radosław Zalewski i młodszy aspirant Henryk Śledziewski. Wchodzimy!

Jak zapowiedział, tak zrobili, a tak samo jak poprzednio odpowiedziała im głucha cisza.

– Proszę tutaj zostać. – Policjant obrócił się w stronę kobiety i wskazał jej niewielki puf, który stał za drzwiami. – Zawołam panią, jeżeli uznam, że może pani zajrzeć.

– Dziękuję. – Przysiadła we wskazanym miejscu.

Powoli stawiając nogę za nogą, policjanci ruszyli w głąb mieszkania.

Podłoga ułożona w jodełkę. Ściany wyłożone drewnem. Zalewski momentalnie poczuł się jak w domu u swoich dziadków, który odwiedzał w każde wakacje jako mały chłopiec. Wtedy tak naprawdę był u nich stałym gościem. Rodzice, nie mając co zrobić z synem, wysyłali go na kolonie do dziadków. Może ci nie organizowali mu niesamowitych doznań, ale wszystko było lepsze od siedzenia samemu w domu. Nawet zapach kojarzył mu się z dziadkami.

Weszli do niewielkiego salonu i od razu przystanęli.

Na środku podłogi widniała plama krwi. Niewielka, kilkanaście centymetrów na kilkanaście.

– Myślisz, że to jego? – spytał młodszy.

– Może. Tylko pytanie, gdzie on jest… – Zalewski rozejrzał się dookoła. – Sprawdźmy resztę pomieszczeń.

Cały czas niczym saperzy na robocie ruszyli na poszukiwanie mężczyzny. Obok salonu mieścił się niewielki pokoik, w którym stała wąska kanapa przykryta kocem w kratę, obok niej biurko, a bardziej stolik, a po przeciwnej stronie komoda. Żadnych rzeczy osobistych.

Zamknęli za sobą drzwi i przeszli do kolejnego pomieszczenia. Był to pokój pełniący funkcję sypialni. Sporych rozmiarów łóżko, które nadawało się raczej dla dwóch osób, duża szafa. Zalewski podszedł do niej i otworzył oba skrzydła. Na większości półek leżały poskładane ubrania, a po lewej stronie na wieszakach wisiało kilka koszul. Typowa szafa w domu singla.

– Zapadł się pod ziemię – powiedział Zalewski do kolegi najciszej, jak potrafił.

– Wiem i mam wyrzuty sumienia, że wdarliśmy się facetowi do mieszkania.

– Skończmy to i spadamy.

Sprawdzili jeszcze łazienkę i niewielką kuchnię, z której wydobywał się smród gnijących resztek, co potwierdzili, otwierając śmietnik.

Wszędzie pusto.

Wrócili do salonu i stanęli w bezpiecznej odległości od plamy.

– I co teraz?

– Nie wiem. – Starszy stażem wzruszył ramionami.

Nigdy nie słyszał o takiej sytuacji, a tym bardziej nie brał w podobnej udziału. Bał się, że mężczyzna zaraz wparuje do mieszkania i zrobi awanturę. Że okaże się, że pojechał gdzieś na wakacje ze swoją dziewczyną, a czekająca przy drzwiach kobieta jest stalkerką, która nęka go od lat. Właśnie. Tego nie sprawdził, może faktycznie powinien był wrzucić ją na bęben.

– Może wezwiemy techników? – rzucił Śledziewski i przeczesał długie włosy, które spadały mu na twarz.

– I co im powiemy? Nie mamy nic konkretnego. W Polsce znika wiele osób, ale okazuje się, że część gdzieś wyjeżdża i nie informuje o tym bliskich. Ubytek takiej ilości krwi, jaka jest w salonie, raczej nie jest śmiertelny. Ciała nie mamy, więc nie sądzę…

– I co? – Nagle za ich plecami wyrosła Jasińska. – Jest tutaj?

Mężczyźni pokręcili przecząco głowami.

– Miała pani zostać przy drzwiach! – Aspirant Zalewski spiorunował kobietę wzrokiem i od razu poczuł się źle.

Nie lubił podnosić głosu w pracy, a tym bardziej na kobiety.

– Przepraszam, ale było tak cicho i się przestraszyłam, że coś się stało.

– Nic się nie stało. Pana Bartosza nie ma w domu.

– Może jednak nic mu pani nie zrobiła – wtrącił drugi policjant.

– A ta krew? – Podeszła bliżej. Jej twarz wyrażała jeszcze większe przerażenie.

– Nie ma jej za dużo. Jak dla mnie nie ma co się przejmować.

Kobieta zmrużyła jeszcze bardziej oczy i zaczęła się rozglądać.

– O matko… – Położyła dłoń na ustach. – Wszystko zniknęło.

– Wszystko? To znaczy co?

Jednak ona już go nie słuchała.

Podeszła do jednej z szafek i otworzyła ją, potem następną i szuflady.

– Nie ma żadnych naszych zdjęć.

Pobiegła do sypialni i tam również zaczęła przeglądać meble.

– Nigdzie ich nie ma – oznajmiła w końcu, gdy skończyła przetrząsać mieszkanie. Stanęła na środku salonu i oparła się o szafkę. – Ja nic nie rozumiem. Wyniósł wszystko. Zniknęły nasze zdjęcia. Nic tu nie ma.

– Może je wyrzucił?

– Ja już nic nie wiem. Ale gdzie on jest?! – zawyła rozpaczliwie kobieta.

– Może gdzieś wyjechał?

– Tylko gdzie? Nie miał rodziny, znajomych. Dwa lata temu sprowadził się ze Szczecina. Tak naprawdę to byłam tylko ja. Zaczął nową pracę. Nie miał oszczędności…

– Skąd pani wie? – Zalewski zmarszczył brwi i spojrzał na kolegę. Elegancka, dobrze sytuowana kobieta i młody facet mieszkający w boku z wielkiej płyty. To niestety mogło wróżyć kłopoty.

– Powiedział mi o tym. To znaczy… poprosił o małą pożyczkę – wydukała i podeszła do okna. – Otwierał własną firmę i potrzebował na sprzęt i takie tam drobne wydatki.

– Ile?

– Niedużo. Pięćdziesiąt tysięcy.

– I rozumiem, że pani mu je pożyczyła.

– Oczywiście, kochaliśmy się – prychnęła. – Ja mam kasę i jak tylko mogę, pomagam bliskim, przecież to nie zbrodnia.

– Oczywiście, że nie, tylko…

– Jezu, to się nie dzieje. W końcu poznałam kogoś, kto mnie rozumiał, a pan teraz mi próbuje wmówić, że Bartek… Że co? Że on mnie oszukał?

– Proszę się nie denerwować. Na spokojnie, co pani o nim wie? – spytał młodszy. Nie był świadkiem rozmowy Zalewskiego, więc nie znał szczegółów.

Kobieta spojrzała na starszego policjanta i delikatnie przekręciła głowę.

– Nazywa się Bartosz Wojciechowski. Urodził się dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, chyba w Szczecinie, ale… – Nie skończyła, ale widząc, że młodszy policjant uniósł jedną brew, a jego kolega odwrócił głowę, zaśmiała się smutno. – Tak, wiem. Spora różnica wieku, ale nam to nie przeszkadzało, to chyba najważniejsze. Był nad wyraz dojrzały. Mój były mąż wielu rzeczy nie rozumiał, a niby był ode mnie starszy.

– Czyli jest pani rozwódką? – dopytywał dalej Henryk Śledziewski.

– Wdową, mąż umarł na zawał wiele lat temu.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Pił, nie dbał o rodzinę. Gdyby nie umarł, rozwiodłabym się prędzej czy później. Nieważne, dawne dzieje. Bartek zawsze przepuszczał mnie w drzwiach, kupował kwiaty, potrafił się zachować jak dżentelmen. Większość gości w moim wieku wychodzi z założenia, że jak zarabiają, nie muszą nic od siebie dawać.

– Rozumiem, a czym pan Bartosz się zajmuje?

– Składa komputery, zna się na tym jak nikt, ale postanowił założyć swoją firmę.

– Jaką?

– Handlującą częściami do komputerów, dronów. Teraz bardzo dużo osób ściąga tego typu produkty z Chin, ale idzie to wieki. On chciał skrócić czas oczekiwania

– Faktycznie to czasami problem – zaczął młody. – Ostatnio potrzebowałem filtra… – Przerwał, widząc karcący wzrok kolegi.

– A gdzie dokładnie pracuje? Zna pani adres? – odezwał się Zalewski.

– W centrum, dokładnie przy stacji metra Centrum.

– Aha, trochę dużo możliwości. Dobra, a rodzina, znajomi, zna pani kogoś?

– Nie. – Kobieta pokręciła przecząco głową. – Tak jak mówiłam, nikogo nie miał.

– Wygodnie… – szepnął Śledziewski.

– Panowie cały czas się doszukują dziury w całym? Rodzice umarli, gdy był mały. Znajomych ma, ale daleko, dlatego nikogo jeszcze nie poznałam. Planowaliśmy wspólną wizytę w wakacje. Potencjalnie mogłam tam pojechać na targi i połączyć przyjemne z pożytecznym.

– Wygodnie… – szepnął ponownie młodszy policjant.

– O co panu chodzi?

– O nic, tylko jakimś trafem nikogo pani nie znała.

– Wszystko wyjaśniłam. Rodzice nie żyją. Nie ma rodzeństwa. I co teraz? Zaczną państwo go szukać?

Policjanci spojrzeli się na siebie.

– No… możemy przyjąć pani zgłoszenie, tylko czy…

– Czy co?

– Czy on na pewno zaginął? Może po prostu już nie chciał…

– Ze mną być? Znudził się mną? Nie! Pokłóciliśmy się, ale teraz, widząc jego mieszkanie, wiem, że coś jest nie tak.

– Dobrze, pojedźmy na komisariat, tam dopełnimy formalności. Mam nadzieję, że nie robi sobie z nas żartów.

Rozdział 12

Praca z Markiem z jednej strony była dla Doroty niczym nagroda, ponieważ dzięki temu mogła spędzić z nim więcej czasu, jednak z drugiej czuła się coraz bardziej osaczona. Po powrocie z komendy siedzieli razem, w pracy przebywali ze sobą większość dnia. Nigdy w życiu z nikim nie spędzała tyle czasu.

Coraz bardziej obawiała się, że zgodnie z powiedzeniem „co za dużo, to niezdrowo" ta bańka szczęścia pęknie i nie będzie czego zbierać.

– Przesadzasz – skomentowała Kasia, gdy tylko wspomniała jej o swoich obawach podczas jednej z rozmów telefonicznych, które uskuteczniały praktycznie codziennie niczym papużki nierozłączki. – Jak zwykle wyolbrzymiasz problem. Ja bym się cieszyła, gdybym mogła więcej czasu spędzać z Marcinem. On non stop gdzieś wyjeżdża i czuję się czasami, jakby za tym pierścionkiem na palcu nie stał żaden człowiek, tylko moja wyobraźnia.

– Więcej, ale nie całe dnie. To znacząca różnica. Ja powoli wyjście do ubikacji zaczynam traktować jak rozłąkę i chwilę wytchnienia.

– Chyba przesadzasz… Ale jeżeli faktycznie masz z tym problem, to zacznij wychodzić. Spotykać się z ludźmi.

Pomysł wydawał się prosty, ale w przypadku Doroty okazał się dość skomplikowany. Nawet spotkania z przyjaciółką sprawiały problemy. Musiała jechać do niej ponad dwieście kilometrów lub liczyć, że to Kasia porzuci swoją wesołą bandę i przyjedzie do stolicy. Na szczęście coraz częściej wspominała, że może się to zmienić, bo jej nowy mąż ma sporo projektów w Warszawie i bliskość biura ułatwiłaby im życie.

Do tego czasu jednak Dorota musiała sobie jakoś radzić. Jedyną osobą, do której mogła się odezwać i porozmawiać na miejscu, nie jadąc setek kilometrów, była jej ostatnia partnerka, Zofia Grzelczyk, która z powodów osobistych wzięła urlop. Nikt nie wiedział, kiedy wróci, łącznie z nią samą.

Umówiły się w Złotych Tarasach, przy których kilka miesięcy temu rozegrał się dramat. Czerwińska usiadła w jednej z kawiarni na parterze i czekała. Po centrum handlowym krążyły tłumy ludzi, a Czerwińska obserwowała ich z zainteresowaniem, zastanawiając się, co robią. Młoda dziewczyna ubrana cała na czarno szła w towarzystwie mamy wystrojonej niczym motyl. Gdyby nie uderzające podobieństwo, pewnie można byłoby uznać, że są sobie zupełnie obce. Młodsza szła z torbą z logo jednej z sieciówek.

– Wybrały się na zakupy – rzuciła Dorota sama do siebie, ignorując fakt, że siedzi wśród ludzi. Gwar był tak duży, że nikt nie zwracał na nią uwagi.

Przeniosła spojrzenie na dwoje młodych ludzi, kończących zapewne liceum, którzy kurczowo trzymali się za ręce i co chwilę szeptali sobie coś do ucha. Skierowali się do schodów ruchomych.

– Idą coś zjeść lub do kina – skomentowała ponownie na głos.

Siedziała tak dobre dwadzieścia minut, cały czas bacznie przyglądając się przechodniom, gdy w końcu pojawiła się koleżanka.

– Przepraszam! – krzyknęła Grzelczyk i nachyliła się do siedzącej Czerwińskiej. Ta nie zdążyła się odezwać ani unieść, gdy koleżanka cmoknęła ją w policzek. Mimo kilku miesięcy w stolicy nie mogła się przyzwyczaić do takiego sposobu witania się. Jej znajomi raczej nie byli tacy wylewni. – Moja mama dzisiaj źle się czuła i musiałam z nią pójść do lekarza. Myślałam, że zdążę, ale jak zwykle były kolejki i opóźnienia. Ja nie rozumiem, dlaczego zapisują ludzi co dziesięć minut, gdy żadna wizyta tyle nie trwa. A gdy dojdzie do tego jeszcze spóźnialstwo, to kłopot jest na wejściu. Jedna pani przyszła ponad godzinę po wyznaczonym terminie i nie obchodziło jej, że już kolejne osoby są przyjmowane. Ona musi wejść tu i teraz!

– Żałosne.

– To mało powiedziane, szczególnie że się spóźniła, bo poszła na paznokcie.

– Serio? – Dorota zareagowała lekko piskliwym głosem, przyglądając się koleżance. Nie widziały się od trzech tygodni, pisały ze sobą na Messengerze, ale na żywo nie miały okazji porozmawiać. Pierwsze, co jej się rzuciło w oczy, to że Zofia wyraźnie schudła. Policzki jej się zapadły, mimo że wcześniej nie należała do pucołowatych.

– Tak i nie omieszkała tego wszystkim obwieścić.

– Żenujące. Ludzie nie mają już jakiegokolwiek wyczucia czy empatii.

– No niestety jest z tym coraz gorzej. – Grzelczyk rozpięła kurtkę, zdjęła czapkę i usiadła na wielkim fotelu z wysokim zagłówkiem. – Ale nie po to się spotkałyśmy. Opowiadaj, co tam dzieje się na komendzie. – Uśmiechnęła się

do krążącej między stolikami kelnerki, która po kilku sekundach stanęła przed nimi. – Ja poproszę czarną kawę, a dla ciebie będzie coś jeszcze? – Spojrzała na stojącą przed nimi do połowy pustą szklankę z jakimś owocowym sokiem.

– Na razie dziękuję. – Dorota zamilkła, czekając, aż kobieta się oddali. – A na komendzie dzieje się sporo. – Sięgnęła po swój napój i napiła się łyka. – Komendant obiecał nowe komputery, ale jakoś nie podał daty, kiedy je dostaniemy. Ja ostatnio utknęłam w papierach…

– Przepraszam, powinnam je z tobą wypełnić – weszła jej w słowo Grzelczyk.

– Przestań, taka robota, ale teraz mam wszystko wyprostowane, więc zajmuję się sprawą tego aktora, Dutkiewicza.

– Ja nie mogę uwierzyć, podkochiwałam się w nim, od kiedy pamiętam. – Kobieta ułożyła ręce na klatce i wzniosła wzrok w stronę sufitu, udając zakochaną.

– Naprawdę? – Czerwińska zmarszczyła brwi. – Mnie się jakoś nigdy nie podobał. Taki goguś.

– Ale jaki ładniutki! Poza tym bez koszulki wyglądał jak młody bóg.

– Skąd wiesz?

– Obserwowałam go na Instagramie. Ciacho jakich mało. Pokazywał filmiki z siłowni, jak robi pompki albo się podciąga. Nawet sprawdzałam, czy nie ma odznaczonego miejsca, gdzie ćwiczy. Chodziłabym i patrzyła! – zaśmiała się głośno, a kilka osób obok aż odwróciło w ich stronę głowy. – Generalnie nie lubuję się w takich gogusiach, jak to określiłaś, ale ten miał w sobie jakiś magnetyzm. Zresztą po komentarzach w sieci widać, że nie byłam jedyna, co nie odmówiłaby zaproszenia na małe bara-bara.

– Zofia! Nie poznaję koleżanki! – zareagowała Czerwińska uniesionym głosem. – Jakoś zawsze wydawało mi się, że jesteś bardziej powściągliwa, a tutaj taka…

– Rozpustnica?

– Może nie, ale… Jestem w szoku. A co do Dutkiewicza, to może i przystojny był, chociaż nie w moim guście, ale co jest pewne, to że do najsympatyczniejszych nie należał.

Kobieta wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

– Nikt nie mówił, że rozum i empatia idą w parze z urodą i boskim ciałem. Ja wiem, że moje wizualne potrzeby mógłby spokojnie zaspokoić. – Grzelczyk uśmiechnęła się do kelnerki, która właśnie przyniosła jej zamówienie. Podziękowała i obie czekały, aż się oddali. – A co on takiego nawywijał?

– I tutaj jest mały problem. Nie wiadomo.

– Jak to nie wiadomo? To może nie był taki zły?

Czerwińska podrapała się po wierzchniej stronie dłoni i przygryzła dolną wargę.

– Generalnie to mamy dość sprzeczne informacje i się trochę w tym nie odnajdujemy. Z jednej strony żona zamordowanego, Izabela Dutkiewicz, twierdzi, że się nad nią znęcał i swoim zachowaniem doprowadził u niej do poronienia.

– O Boże, to straszne… – szepnęła Grzelczyk i zasłoniła dłonią usta.

– To są jej zeznania. Czy tak było naprawdę, nie wiemy. Trochę będzie to ciężkie do zweryfikowania, bo nigdzie tego nie zgłosiła. Generalnie sprawa jest dość dziwna. Kobieta popadła w depresję i w ramach terapii zaczęła pisać. Nie byłoby to nic nietypowego, gdyby nie opisała sceny, która dokładnie przedstawia to, co się wydarzyło. – Czerwińska sięgnęła po swój telefon leżący między nimi na stole i po chwili zaczęła czytać na głos:

Grażyna czekała na ten moment przez całe życie. Została nauczycielką, bo kochała pracę z dziećmi, mimo że z tego powodu usłyszała w życiu wiele drwin i wyzwisk. Nikt nie cenił jej zawodu, a w szczególności jej mąż. Znany aktor. Jego praca była czymś wyjątkowym. Wprowadzał ludzi w świat kultury, a ona użerała się z bachorami. Zupełnie nie dostrzegał tego, że swoją pracą przyczynia się do ich rozwoju. Uczy czytać, pisać. Pokazuje niesamowity świat za pomocą książek.

Zresztą dobrze wiedziała, że to nie chodzi o wykonywany przez nią zawód, ale o to, że w tym czasie nie siedzi w domu niczym kura domowa i nie spełnia jego wszelkich zachcianek.

Gdyby nawet wykonywała bardziej prestiżowy zawód, była adwokatką czy pracowała w banku, znalazłby inny powód, aby jej dokuczać.

Gdy poczuła pierwsze mdłości, zrzuciła to na karb krążącej w szkole jelitówki. Jednak gdy kolejna fala tej nieprzyjemnej choroby już się kończyła, a ona nadal wymiotowała każdego poranka, postanowiła sprawdzić, czy jej ulotne podejrzenie ma coś wspólnego z rzeczywistością.

Teraz, patrząc na dwie kreski na plastikowym teście, czuła, jakby miało zacząć się coś nowego. Jakby fakt, że w jej ciele zagnieździł się mały człowiek, powodował, że życie zmieni się diametralnie. Tyle razy oczami wyobraźni widziała, jak razem chodzą na spacery, Janusz pcha wózek, w którym leży ich mały synek. Tak, chłopiec, bo zawsze chciała, aby to on urodził się pierwszy. Oczywiście wszystko w przepięknych warunkach.

Wiosenny park ze świeżą zielenią oraz ptakami ćwierkającymi nad ich głowami. Sielankowy widok, który widziała tyle razy w różnych filmach, ale w życiu niestety nie było jej to dane.

Gdy po kilku tygodniach z dumą dostrzegła, że jej brzuch zaczyna się zaokrąglać, zdecydowała, że po niedzielnym przedstawieniu, w którym Janusz grał jedną z głównych ról, musi mu powiedzieć. Przez te wszystkie tygodnie zdołała doskonale udawać, że nic się nie dzieje. Cieszyła się, że mdłości dopadają ją wtedy, gdy męża nie ma w pobliżu lub jeszcze wyleguje się w łóżku. Jedyny problem, jaki ją dopadł, to senność. Na szczęście męża często nie było w domu, więc nie widział, jak każdą możliwą chwilę spędzała, leżąc na kanapie lub w sypialni.

– Jestem w ciąży – wydusiła w końcu z siebie, gdy chwilę przed północą wszedł do domu. Jak zwykle czuć było od niego alkohol, bo jak tłumaczył, po procentach lepiej mu się gra.

Patrzył na nią przez kilkadziesiąt sekund, nie mrugając nawet powiekami, po czym zaczął się śmiać. Najpierw cicho, ale z każdą sekundą coraz głośniej, aż ich mieszkanie wypełnił przerażający dźwięk, przypominający chichot diabła.

– Chyba sobie jaja robisz? Tyle razy ci mówiłem, że nie chcę żadnego bachora w moim domu. To jest takie trudne do zrozumienia? – Zrobił dwa kroki w jej stronę i zatrzymał się, gdy dzieliło ich już tylko kilkanaście centymetrów. Czuła na swoich policzkach jego oddech i miała wrażenie, że ją pali. Jej ciało stężało, a jakikolwiek ruch pozwalający uciec sprzed oblicza człowieka, którego spojrzenie zabijało, stanowił nie lada wyzwanie.

– Ale… ja… nie… – Każde słowo grzęzło jej gdzieś na wysokości krtani i nie mogło wylecieć przez usta.

– Dupy dawać umiesz, a już jak masz coś powiedzieć, to język w gębie staje. – Wyciągnął przed siebie ręce i popchnął ją. Zrobiła krok do tyłu, ale on nadal napierał. – Ty myślisz, że trafiłaś na jakiegoś debila? Myślisz, że jak machniesz mi przed oczami jakimś kretyńskim teścikiem, to zmięknę i będę nagle chciał się bawić z tobą w dom? To gówno! O mnie! Wiesz! – wydarł jej się w twarz.

– To co ja…?

– Co masz zrobić? Cokolwiek. Wsadź se w dupę wieszak, połknij jakieś tabletki. Gówno mnie to obchodzi. Nie chcę widzieć tego zasrańca. – W tym momencie przeniósł wzrok na jej brzuch i zrobił ponownie krok do przodu.

Niestety oboje zapomnieli o odstającej listwie, która odczepiła się podczas przesuwania kanapy. Grażyna, próbując uniknąć zderzenia z agresywnym mężczyzną, zrobiła krok do tyłu, zahaczając o wystający element. Może gdyby Janusz nie buzował tak złą energią, wyciągnąłby rękę, aby ją złapać. Jednak on z niesmakiem na twarzy patrzył, jak jego żona leci do tyłu i uderza plecami o podłogę, a następnie jej głowa odbija się od posadzki, aby po chwili zmienić kierunek i uderzyć w niewielką kostkę, końcówkę od przedłużacza.

W tym momencie Dorota zrobiła przerwę i spojrzała na koleżankę.

– O ja pierdolę – skomentowała Zofia. – I to napisała żona Dutkiewicza na podstawie własnych doświadczeń?

– Tak, chociaż nam opowiedziała, że do poronienia doszło trochę inaczej. Nie zmienia to faktu, że sporo tu prawdy. Posłuchaj dalej.

I ponownie policjantka przysunęła telefon przed twarz i zaczęła czytać:

Szpital. Płacz. Rozpacz. Pustka.

Tylko tyle Grażyna zapamiętała z tego czasu. Wszystko inne ulotniło jej się z głowy. Nie pamiętała, o czym opowiadała jej przyjaciółka, która przychodziła do niej codziennie, aby odciągnąć jej myśli w innym kierunku. Nie pamiętała płaczącej przy jej łóżku matki, która zupełnie nie mogła zrozumieć, co się stało i dlaczego ani razu podczas swojej wizyty nie zastała zięcia.

Jedyne, co pojawiało jej się przed oczami, to jego twarz. Zaciśnięte szczęki i małe usta, które robiły się fioletowe jak u zziębniętego człowieka. Podczas nielicznych i niezwykle krótkich wizyt stał nad jej łóżkiem i syczał przez stykające się zęby:

– Lepiej nikomu nie mów, jak było. I tak ci nikt nie uwierzy. Każdy wie, jak lubisz naginać rzeczywistość. I wyjdź stąd jak najszybciej. Nie mam ochoty przyjeżdżać tutaj, a te mendy paparazzi siedzące przed szpitalem od razu by wychwyciły, że nie odwiedzam żonki.

I tyle. Jakby zupełnie się nie zorientował, że jego żona w wyniku upadku złamała sobie rękę w trzech miejscach, straciła przytomność, a co chyba było dla niej najgorsze, poroniła. Straciła wymarzone, wyczekiwane dziecko. Małego człowieka, który rósł w jej ciele.

Wyszła po czterech dniach na własne żądanie, mimo że lekarz zalecał dłuższą hospitalizację. Nie pozwoliła, aby ktokolwiek z bliskich ją odwiózł. Przyjechała sama, taksówką. Z pomocą starszego pana, który sam ciągnął za sobą nogę, weszła na pierwsze piętro.

Janusza nie było w domu. Zresztą wiedziała o tym, bo zakomunikował, że ma próby.

Gdy weszła, momentalnie z jej oczu popłynęły łzy. Na podłodze cały czas były ślady jej krwi, a obok leżało szkło z rozbitego wazonu, który musiała strącić, upadając. Przez te kilka dni Janusz nie raczył tego sprzątnąć lub zostawił to specjalnie, aby ją jeszcze bardziej upokorzyć.

– Przeskoczę dalej. – Dorota zaczęła przewijać tekst. – Tam jest później o tym, jak sobie radziła, jak było jej ciężko i takie tam. O, tutaj.

– Czuję, że spadam. Jakbym skakała z wysokiego budynku i z impetem waliła w ziemię. A po każdym takim upadku rozpadam się. Znikam. Zresztą tak się czuję na co dzień. Pusta. – Grażyna spojrzała na siedzącą naprzeciwko kobietę, sięgnęła po chusteczkę i wydmuchała nos. Od jakiegoś czasu chodziła na terapię. Jedna z jej przyjaciółek nie mogła wytrzymać widoku koleżanki, która z dnia na dzień gasła, więc zaciągnęła ją podstępem do znajomej psycholog. Dobrze wiedziała, że nie powinno się tak robić, ale inaczej się nie dało. Na szczęście Grażyna po trzydziestu minutach rozmowy sama doszła do wniosku, że spróbuje. Że może to jest pomysł na lepsze jutro.

– Musisz znaleźć jakiś wentyl dla swoich emocji. Może zapisz się na lekcje rysunku, śpiewu czy boksu.

Kobieta długo zastanawiała się, co to może być. Nigdy nie znalazła dziedziny, która by ją pochłonęła bez reszty. Grać na gitarze przestała, jak rodzice wypisali ją ze szkoły muzycznej. Sportu nigdy nie lubiła, bo czuła się w każdej dyscyplinie słaba. Jedyne, co sprawiało jej przyjemność, to tworzenie historii. Po którejś wizycie u terapeutki chwyciła za kartkę z drukarki i zaczęła pisać. Ręka sama latała po papierze, jakby straciła nad nią kontrolę.

Gdy po godzinie zaczęła czytać, co napisała, zdębiała. Miała przed sobą obraz leżącego w kałuży krwi Janusza, z którego uleciało życie.

Po pierwszym szoku poczuła rozchodzącą się po całym ciele ulgę.

– Nieźle – przerwała Dorocie Grzelczyk i zamachała do kelnerki. – Chcesz coś jeszcze?

– Może herbatę zimową?

– Poprosimy herbatę zimową i czarną kawę – rzuciła do młodej dziewczyny z przesadnie umalowanymi oczami, która stanęła przed nimi z tabletem w ręku. Ta wklepała zamówienie i odeszła.

– Słuchaj dalej.

Grażyna zabiła Janusza na wiele sposobów. Zepchnęła go ze schodów. Utopiła. Strzeliła w głowę. Gdy już pozbawiła go życia po raz nasty, euforia z tym związana zaczęła przygasać, a jej niechęć do męża jeszcze bardziej wzrosła. Po całym zajściu z wrzodem, jak mówił o poronieniu, stał się jeszcze bardziej uciążliwy w obcowaniu.

Miesiąc po jej wyjściu ze szpitala zakomunikował jej, że wystąpi w sztuce Romeo i Julia. Nawet pokazywał jej, jak pije truciznę i udaje trupa. Leżał nieruchomo na podłodze w ich salonie, praktycznie w tym samym miejscu, gdzie ona kilka tygodni wcześniej. W miejscu, gdzie właściwie zmarło ich dziecko.

I wtedy w jej głowie pojawiła się szalona myśl. A gdyby tak faktycznie już się nie obudził? Gdyby tak jak grany przez niego bohater odszedł w zaświaty?

Na tę myśl od razu się uśmiechnęła. Tak dawno tego nie robiła. Jednak gdy tylko Janusz otworzył oczy, przybrała swoją beznamiętną minę, którą prezentowała od jakiegoś czasu. Tylko twarz niewyrażająca emocji nie wywoływała komentarzy męża, inaczej z jego ust słyszała docinki w stylu:

– Przestań rozpaczać, dobrze się stało, że ten bachor zdechł.

– Z pięćset plus byś nie wyżyła, masz się z czego cieszyć.

Dlatego maska, którą nosiła, była niczym tarcza zabezpieczająca ją przed atakiem.

Dorota przewinęła dalej:

Rzadko przychodziła na jego przedstawienia, ale tego nie mogła przegapić. Pani Helenka pokazała jej, które miejsca są wolne. Wybrała to w pierwszym rzędzie. Przeczytała scenariusz pięć razy. Dobrze znała męża i wiedziała, że wleje sobie do buteleczki coś z procentami.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że przygotowywał je w domu.

U nich w kuchni.

Dzień wcześniej, gdy już spał, wlała truciznę do wszystkich trzech, które wypełnił po brzegi uwielbianą ostatnio brandy. Fakt, że po przedstawieniu miał wsiąść do samochodu, zupełnie nie robił na nim wrażenia.

– Od takiej ilości się nie upijam – rzucał w odpowiedzi na jej uwagi.

Może faktycznie tak by było, gdyby nie fakt, że przed przedstawieniem wypijał dwa kieliszki, a w przerwie jeszcze dwa kolejne.

Choć zazwyczaj ją to denerwowało, to teraz cieszyła się, że tak bardzo ułatwił jej zadanie.

Zresztą nie tylko on. Dzięki wujkowi miała w miarę swobodny dostęp do trucizny gwarantującej sukces.

Cyjanek.

Substancja wykorzystywana do czyszczenia i hartowania metalu, ale przede wszystkim trucizna, która w większej ilości wywołuje natychmiastową śmierć.

A na to liczyła Grażyna.

Usiadła w pierwszym rzędzie i czekała. Nigdy nie lubiła, jak Janusz gra. Uważała go za słabego aktora, którego mimika niewiele się różni, niezależnie od tego, czy gra radość, smutek, czy tęsknotę. W stu procentach zgadzała się krytykami, którzy co jakiś czas obsmarowywali go w gazetach czy na portalach. Czytała to w tajemnicy i napawała się, mimo że nie wpływało to na rzesze jego fanek ani angaże do kolejnych produkcji, w których pieniądz był wartością nadrzędną, ważniejszą niż walory artystyczne.

Teraz jednak nie miało to znaczenia.

Obserwowała każdy jego ruch, mimo że wiedziała, kiedy nastąpi wybuch. Kiedy jej marzenie przeistoczy się w fakt dokonany.

Do przerwy czas dłużył jej się niemiłosiernie. Czekała jak na kazaniu, nerwowo tupiąc nogą.

Gdy większość widzów rozeszła się do toalety, na coś małego do wypicia lub po prostu rozprostować nogi, ona nawet nie wstała.

Czuła się tak, jakby ją sparaliżowało, nie miała władzy nad swoim ciałem.

Czekała, nerwowo patrząc na zegarek.

W końcu po piętnastu minutach wrócili na scenę, a jej mąż dalej prężył się, udając wprawnego aktora.

– „Walny aptekarzu! Płyn twój skutkuje: całując — umieram”[1].

Grażyna obserwowała męża, gdy ten wypija miksturę i osuwa się na podłogę. Musiała się powstrzymać, żeby nie wstać lub wręcz nie podejść bliżej. Zacisnęła dłonie na oparciu fotela i zamknęła oczy. Gdy je w końcu otworzyła, zamarła. Ciało Janusza podskoczyło kilka razy, a stojąca za kotarą pani sprzątająca, która swoim zwyczajem podglądała aktorów na scenie, aż zatkała dłonią usta.

Sekundy leciały, a mężczyzna leżał bez ruchu.

– O ja pierdolę… – wydusiła Grzelczyk, gdy Czerwińska odłożyła w końcu telefon. – Niezła akcja. Myślisz, że żona mogła go zabić? Tylko tym razem naprawdę. – Kobieta kręciła głową, jakby nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała.

Policjantka wzruszyła ramionami.

– Czy ja wiem. Jak dla mnie ona była w tym szczera, ale w sumie już tyle razy się nacięłam… Ludzie potrafią kłamać w żywe oczy jak wprawni aktorzy, a ona sama przyznała, że często musiała ukrywać przed mężem, co jej leży na sercu. Poza tym agent Norberta Dutkiewicza przedstawił ją raczej jako mało sympatyczną żonę, która czyhała na pieniądze męża. Za to o aktorze opowiadał w superlatywach. Trzeba jednak pamiętać, że na temat żony mógł mieć informacje od Norberta Dutkiewicza, a sam słabo ją znał. Poza tym, opowiadając miłe historie o zamordowanym, chciał może odciągnąć nas od siebie jako podejrzanego. Tu cały czas mało jest twardych dowodów, a są tylko słowa przeciwko słowom.

– To faktycznie problematyczne, a inni świadkowie? Podejrzani?

– Na razie brak. W teatrze przesłuchaliśmy już część osób, ale jest ich cała masa, która z nim ostatnio pracowała, a nikt nie chce angażować zastępów ludzi do śmierci jednego człowieka, jak może się okazać na końcu, że sam się zabił. – Czerwińska pomieszała długą łyżką stojącą przed nią herbatę zimową i napiła się łyka. – Marek pojechał teraz do jego rodziców, z którymi był skłócony, a ja dzisiaj walczyłam z papierami. Jest mnóstwo dokumentów, które musimy przejrzeć, a rąk do pracy mało. Dobrze, że prokurator Bartoszewski…

– Słyszałam, że niezła kosa jest z niego! – Grzelczyk uniosła prawą brew i uśmiechnęła się delikatnie.

– Oj tak. Wygląda na tytana pracy, i dobrze. Lepsze to niż tacy, co unikają obowiązków. Ale opowiadaj, co u cie-

bie. Nie zadzwoniłaś do mnie, aby słuchać nowości z komendy. – Czerwińska spojrzała na koleżankę, ta jednak dłuższą chwilę milczała.

– Średnio – zaczęła w końcu. – Mama zaczęła się ostatnio źle czuć. Ma jakieś dziwne bóle. Zaczęliśmy diagnostykę, ale lekarz jakoś nie ma pomysłu, co to może być. Na chwilę obecną zlecił całą listę badań i szukamy.

– A wiadomo, co z tymi pogróżkami? – spytała ściszonym głosem, uprzednio się rozglądając.

Kilka miesięcy wcześniej Zofia opowiedziała Dorocie swoją dramatyczną historię o tym, jak podczas kolejnej rodzinnej awantury w obronie własnej wraz z siostrą zabiły ojca. Ich matka wzięła całą winę na siebie, odsiedziała wyrok i wyszła parę lat temu, a niedawno okazało się, że ktoś zna ich tajemnicę i grozi, że ją ujawni.

– Nie wiem. Miłosz zupełnie nie pamięta, komu się wygadał. Renata, moja siostra, od kiedy dostała te wiadomości na fejsie, jest przerażona. Ona generalnie panikuje, ale chyba pierwszy raz od dawna ma powody. Nigdy nie widziałam jej takiej roztrzęsionej. Co chwilę płacze, a ja nie mam pojęcia, jak jej pomóc. W ogóle co z tym zrobić. Jestem w rozsypce i mam wrażenie, że tracę grunt pod nogami.

Kobieta oparła łokcie na kolanach i zasłoniła twarz dłońmi. Dorota przysunęła się do niej, położyła rękę na jej plecach i zaczęła delikatnie głaskać. Sama nie lubiła, jak ktoś obcy jej dotykał, ale teraz czuła, że powinna okazać koleżance wsparcie. Nachyliła się do niej i wyszeptała praktycznie prosto do ucha:

– Twój brat nie ma zielonego pojęcia, kto to może być?

– Wypisaliśmy listę osób, które mogłyby coś takiego zrobić. – Kobieta wyprostowała się i pociągnęła nosem, jakby chwilę temu płakała, ale na jej policzkach Dorota nie dostrzegła żadnej łzy. – Na razie nie udało nam się nikogo wytypować. Chociaż nie wydaje mi się, żeby to była obca osoba. To jest ktoś znajomy albo ktoś, kogo kiedyś poznaliśmy.

Dorota słuchała koleżanki, analizując wszystko, co Zofia jej przekazała.

– Przepraszam, że będę niedelikatna, ale zastanawiałaś się może nad powodem całej tej sytuacji? Osobiście w pierwszym momencie nie przyglądałabym się wrogom twojego rodzeństwa, ale twoim. Niestety ty jesteś wśród waszej trójki, a nawet czwórki, najbardziej naturalnym celem.

– Boże… – Grzelczyk zakryła usta ręką, a jej oczy zrobiły się olbrzymie. – Ani przez sekundę o tym nie pomyślałam. Jaka ja jestem głupia.

– Nie mów tak. – Ponownie dłoń Czerwińskiej wylądowała na ramieniu koleżanki. – Czasami najprostsze rozwiązania najtrudniej przychodzą nam do głowy. – Wykonała kilka kółek na jej plecach. – Niestety pracujesz w policji i mogłaś w swojej karierze parę osób zdenerwować.

– Oj tak, jest kilka, które wkurzyłam niemiłosiernie. – Westchnęła i sięgnęła po kawę, która stała nienaruszona.

– To może ktoś z nich? Ktoś przychodzi ci do głowy?

– Nie wiem, czy ktoś miałby jaja. – Zofia Grzelczyk pociągnęła większy łyk kawy i spojrzała na koleżankę. – W sumie to jest jeden gostek, który bardzo nie mógł się pogodzić z faktem, że go złapałam. Był szanowanym obywatelem, sprzedawał alarmy i wszem wobec opowiadał, jaki to jest porządny. Prawie święty niczym papież, a tu nagle ja wpadłam do jego biura z kolegą i aresztowaliśmy go za pobicie żony. Zrobiliśmy niezłą szopkę, wyprowadzając go w kajdankach i bardzo głośno rozmawiając. Na bank wiele osób dowiedziało się wtedy o nim prawdy. – Na twarzy Grzelczyk pojawił się cień uśmiechu. – Kobieta długo się wzbraniała przed złożeniem zawiadomienia. Namówiła ją koleżanka z pracy, która kilka lat wcześniej przeżywała to samo ze swoim mężem. Obiecała wsparcie i opowiedziała, jak uwolnić się od damskiego boksera. No i nie uwierzysz, ale gość obwiniał o wszystko mnie. To było przedziwne. Cały czas powtarzał, że dopadnie mnie w najmniej spodziewanym momencie. W końcu mój partner, mimo moich obiekcji, zgłosił to prokuratorowi i dorzucili mu jeszcze dwa lata za obrazę policjantki na służbie i podnoszenie ręki, bo raz dostałam od niego z liścia.

– Co? – pisnęła Czerwińska.

– Tak, ale sam mocno za to oberwał. Pazik, mój ówczesny partner, podciął go zaraz, rzucił na podłogę. Facet miał potem złamaną rękę i poharataną nogę, ale nikt się tym nie przejmował.

– I słusznie.

– I to chyba taki najbardziej rzutki. Reszta nie obwiniała mnie, tylko prokuratora, system, siebie, o mnie raczej zapominano. – Zrobiła smutną minkę.

– Może jeszcze raz na spokojnie przyjrzyj się sprawom z przeszłości…

– Tak zrobię, chociaż jestem już na skraju. Od dłuższego czasu nic innego nie robię, tylko kombinuję lub jeżdżę z mamą do lekarzy. To jest chore. I jeszcze gdybym była sama, tobym to olała. Ale jest mama i ona bardzo przeżywa problemy zdrowotne. Gdyby dowiedziała się o tym, co dzieje się ze starą sprawą, mocno by to odchorowała. Ona codziennie powtarza, że to takie szczęście, że mamy wszystko za sobą i nie musimy się stresować przeszłością. Ja boję

się, że jak się dowie, to ją to załamie. A już było z nią tak dobrze. Po tych dziesięciu latach w więzieniu odżyła. Nabrała pewności siebie, zaczęła wychodzić do ludzi. Nawet wymyśliła sobie historyjkę dla wścibskich sąsiadów.

– Jaką? – spytała Czerwińska z uśmiechem.

– Mówi, że jest wdową, bo jej mąż zginął w wypadku samochodowym. Wszyscy zawsze wzdychają i bardzo jej współczują. Dobrze gra swoją rolę. Najgorsze, że moje rodzeństwo cały czas wydzwania do mnie i pyta o postępy. A ja nic nie mam. Oni jak nic zaraz pękną i pójdą do matki, a wtedy katastrofa gotowa.

– Nie martw się. Postaram się ci pomóc.

---

1 *Romeo i Julia*, William Shakespeare, tłum. Józef Paszkowski.

Rozdział 13

– Proszę państwa! – krzyknął przez mikrofon ubrany w elegancki garnitur czterdziestoletni mężczyzna, który próbował zachowywać się jak niezniszczalny Krzysztof Ibisz, ale daleko mu było do niego. Miał prawie tak dobry strój. Jego uśmiech był prawie tak idealny. Tylko jak zwykle „prawie" robi dużą różnicę. Tłum nie reagował na niego aż tak entuzjastycznie, a na Instagramie nie obserwowało go aż tak wiele osób. Za to, co dla organizatorów wydarzenia miało znaczenie, Robert Herman nie inkasował tak horrendalnej kwoty jak oryginał.

Gwar panujący w centrum handlowym, a dokładniej wokół ustawionej w nocy w trybie ekspresowym sceny, oklejonej logo sponsorów wydarzenia, lekko zelżał.

– Czy jesteście gotowi na gwiazdę wieczoru?

Tłum dziewczynek w wieku trzynastu, a maksymalnie szesnastu lat ponownie wydał z siebie dźwięk, tym razem bardziej piskliwy i jeszcze bardziej bolesny dla stojących w pobliżu osób, które zupełnie nie rozumiały tego całego zbiegowiska. Wszyscy odwiedzający w tym momencie galerię handlową aż przystanęli. Nikt nie spodziewał się takiego ataku pisku, który niósł się korytarzami obiektu i atakował uszy.

– Rozumiem, że tak! – krzyknął Herman do trzymanego kurczowo mikrofonu i rozejrzał się po widowni, jakby szukał kogoś znajomego. – Kto czeka na BobyLona? – Ponownie tłum zapiszczał, tym razem jeszcze donośniej. – Trzy dni temu liczba osób obserwujących go na Instagramie przekroczyła milion! – Prowadzący zaczął klaskać, obijając wolną dłonią o trzymany sprzęt. – Nie wiem, czy ktoś pamięta, co obiecał kilka miesięcy temu, gdy obserwowało go zaledwie pół…

Przez tłum przeszedł pomruk. Chyba każda jego fanka wiedziała, o co chodzi. Część zaczęła krzyczeć, a część stała tylko z uśmiechem na twarzy.

– Tak, zgadza się. Obiecał, że przebierze się za jednorożca i będzie tak chodził przez trzy dni. Wszyscy wiemy, że to fan czarnych stylizacji, więc myślę, że to z jego strony wielkie poświęcenie. Ale nie przeciągajmy tej chwili. Zapraszam na scenę jedynego w swoim rodzaju… mistrza ciętej riposty… BobyLona!

W tym momencie spojrzenie wszystkich oczu skierowało się w stronę wielkiej bramy zrobionej z kolorowych balonów, wśród których zdecydowanie dominowały te różowe.

Sekundy mijały, ale nikt się nie pojawiał. Przez tłum przeszedł szum niezadowolenia.

– Pewnie to ściema i nie przyjdzie – rzuciła jedna ze stojących z przodu dziewczynek. Ubrana była w koszulkę z wizerunkiem swojego ulubieńca, założoną na bluzę z kapturem.

– Kolejny celebryta, który ma nas gdzieś! – krzyknęła inna, nawiązując do niedawnej afery z dwójką znanych z tego, że są znani, którzy zorganizowali wyjazd, oczywiście płatny, i to niemało, i pojawili się dopiero na kolacji pożegnalnej, choć mieli spędzić z uczestnikami całe pięć dni.

Kilka osób zawiedzionych przeciągającym się performance'em zaczęło wycofywać się ze zbiegowiska, gdy nagle tłum ponownie się ożywił.

– Patrzcie do góry! – ktoś krzyknął.

– Matko, co to? – pisnęła jakaś dziewczynka.

– To BobyLon! – zapewnił stojący na scenie mężczyzna, gapiąc się cały czas na postać w górze.

Nad sceną, kilkanaście metrów nad nimi, zawisł wyczekiwany celebryta w przebraniu jednorożca.

– Przepraszam za lekkie opóźnienie! – dobiegł wszystkich zgromadzonych głos, który większość znała z mediów społecznościowych. – Nie będę ukrywać, ale nie mam dużego doświadczenia we wbijaniu się w takie stroje. Kiedyś podkradałem sukienki siorki, ale one jakoś łatwiej się zakładają.

Przez tłum przeszła fala śmiechu.

– A tak w ogóle to jak wam się podoba moje nowe piękne wdzianko? Może już na stałe zacznę w takim czymś paradować, co wy na to?

W tym momencie tłum zaczął skandować „Tak!", najpierw cicho, a z każdą sekundą coraz głośniej. Kolejne osoby zgromadzone na dole dołączyły się, aż centrum wypełnił przerażający jazgot.

W końcu celebryta uniósł rękę, dając znać, że chce coś powiedzieć.

– Uff. Już się bałem, że nie przypadnie wam do gustu. Możecie za to podziękować mojej siostrze! – W tym momencie wskazał na stojącą obok prezentera dziewczynę. – To ona wpadła na genialny pomysł wyzwania. Oczywiście

początkowo średnio chciałem się zgodzić, bo czarny to jedyny kolor, który akceptuję, ale… – Zrobił teatralną pauzę i pozę niczym wprawna modelka. – Chyba zmienię zdanie. W tych kolorach wyglądam obłędnie. – Tłum znowu zareagował owacją. – A co byście powiedzieli na… – Nie skończył, bo nagle jedna z lin się zerwała, chłopak przekręcił się na lewy bok i kolejne kilka pękło. Zawisł niezgrabnie na jedynej pozostałej. – Kurwa! – wrzasnął, a stojące pod nim dziewczynki zaczęły krzyczeć.

– Szybko na ziemię! – krzyknął Herman do trzymanego cały czas przy twarzy mikrofonu.

Celebryta powoli zjeżdżał na dół. Od ziemi dzieliło go niecałe dziesięć metrów, gdy ostatnia trzymająca go lina się zerwała, a on runął na ziemię. Jego ciało niczym bezwładna szmaciana lalka uderzyło w drewnianą scenę, której deski natychmiast złamały się pod jego ciężarem. I może gdyby opierały się bezpośrednio o podłogę, byłoby dobrze. Jednak pod wpływem uderzenia ważącego ponad dziewięćdziesiąt kilogramów dorosłego mężczyzny połamały się niczym zapałki, a jedna wbiła się w nogę, rozszarpując tętnicę udową.

Tryskającą z rany krew widać było z kilku metrów.

– Kuba, nic ci nie jest?! – wrzeszczała jego siostra, choć jasne było, że nie jest dobrze. Jego noga obficie krwawiła, a wystający z niej kawałek drewna wyglądał upiornie.

– Karetka już jedzie – oznajmił prezenter, gdy chwilę później stanął obok.

– Może wyjmijmy to drewno? – spytała dziewczyna, której twarz ze strachu zrobiła się ekstremalnie biała.

– Nie! – krzyknął jej brat i zacisnął pięści z bólu. – Wtedy zaraz się wykrwawię.

W tym momencie ujrzeli biegnących w ich stronę medyków, którzy przebijali się przez zgromadzony tłum.

Gdy stanęli obok rannego, on już się nie odezwał.

Odpłynął.

Rozdział 14

Dorota siedziała przed komputerem i czytała dokumenty, które w końcu udało jej się zgromadzić.

Ubezpieczenie i testament.

Potwierdzały część znanych im już wcześniej informacji, ale wprowadzały też nowe, dość zaskakujące.

Norbert Dutkiewicz zapisał mieszkanie żonie, czego zupełnie się nie spodziewała. Pozostałe rzeczy, w tym wpływy z filmów, miały przypaść w udziale jego agentowi, Karolowi Dobrzyńskiemu.

Kolejny szok przeżyła, gdy otworzyła wydrukowaną polisę ubezpieczeniową. Jej beneficjentem był Albert Nowakowski. Zupełnie nie kojarzyła tego nazwiska. Ani razu w żadnym momencie nie wypłynęło w sprawie.

Czerwińska wpisała je w wyszukiwarkę i czekała. Jak zwykle komputer działał, jakby wahał się, czy wyświetlić jej wyszukiwane informacje. Patrzyła na nieśpiesznie pojawiające się wyniki i sięgnęła po herbatę. Przez gapiostwo nie wyjęła torebki na czas i herbata wyglądała niczym czarna kawa, a po każdym łyku skręcało ją od goryczki rozlewającej się po ustach.

W końcu ekran wypełnił się wynikami. Okazało się, że Albert Nowakowski był znaną postacią, a sieć była pełna wpisów o nim i artykułów.

Rocznik 1979. Po rozwodzie. Dzieci brak. Przez lata dziennikarz telewizyjny. Zajmował się najpierw tematami ogólnymi, a później ze względu na wykształcenie ekonomiczne przeszedł do działu gospodarczego. Tam świetnie sobie radził. Prowadził własny program, do którego zapraszał ekonomistów czy przedsiębiorców i rozprawiał z nimi o aktualnych bolączkach. Nagle trzy lata temu zniknął. W sieci pojawiły się artykuły mówiące, że ma problemy z narkotykami i alkoholem. Znalazła nawet jego zdjęcia, na których z dość niewyraźnym wyrazem twarzy opiera się o latarnię.

W końcu trafiła na dość obszerny wywiad z panią Nowakowską, która sporo opowiedziała, często wypowiadając się mało pochlebnie o mężu. Zaczęła od tego, że kilka lat wcześniej zdiagnozowano u niej raka. Początkowo mąż dzielnie stawał u jej boku i wraz z nią walczył. Zrezygnował z pracy i bardzo ją wspierał. Niestety wszystko przeciągało się w czasie. Po leczeniu nastąpił czas na rehabilitację. Woził ją na zabiegi, ale z każdym dniem coraz bardziej tracił zainteresowanie. Zaczął się nudzić. Tak najzwyczajniej w świecie. Nic oczywiście wtedy jej nie powiedział, mimo że pytała, czemu jest taki skwaszony i zły niczym osa. W końcu wybuchł. Zaczął na nią krzyczeć, że przez nią wszystko traci, nie wie, jak żyć. Wszyscy skupiają się tylko na niej, co generalnie jest w porządku, ale on jest obok, płacze po nocach. W tym momencie się nawet ucieszyła. Zupełnie nie pomyślała, że on cierpi. W tamtym czasie zapisała się na kurs rysunku, który miał jej pomóc w powrocie do normalności. Jemu też doradziła, aby zrobił coś dla siebie.

Wybrał kryptowaluty. Zawsze się tym interesował, ale nigdy nie miał czasu. Wtedy nie zdawała sobie sprawy, że popełniła ogromny błąd. Początkowo grzecznie wracał do domu po kursie, który odbywał się co weekend. Później było niestety tylko gorzej. Zostawał po nim, aby porozmawiać z prowadzącym. Potem zaczął umawiać się z nowymi kolegami w tygodniu. Czas mijał, a jego non stop nie było w domu. Na dodatek kobieta znowu podupadła na zdrowiu. Jej osłabiony organizm, który nie podniósł się po chemii, zaatakowała grypa. Niby większość chorujących daje sobie z nią radę, ale jej było bardzo ciężko. Wylądowała w szpitalu, ledwo mogąc złapać oddech. I najgorsze, że na SOR nie zawiózł jej mąż, ale sąsiadka, do której zadzwoniła.

Mąż kolejny dzień spędzał na jakimś szkoleniu z gwiazdą kryptowalut. Gdy wrócił do domu i nie zastał żony, nawet do niej nie zadzwonił. Od razu usiadł do komputera. Od kilku dni chodził mu po głowie pomysł na program telewizyjny związany z nowym zainteresowaniem i musiał jak najszybciej przelać go na papier. Gdy w końcu na zegarze wybiła północ i zamknął klapę laptopa, zorientował się, że coś jest nie tak.

Wyciągnął z torby telefon, którego od jakiegoś czasu używał coraz rzadziej, twierdząc, że zaburza relacje między ludźmi. Przez cały dzień aparat był wyciszony i starał się na niego nie zerkać aż do wieczora, kiedy to odpisywał i oddzwaniał. Takie wymyślił zasady i się ich trzymał.

Gdy na wyświetlaczu zobaczył trzynaście nieodebranych połączeń i siedem wiadomości od żony, od razu oddzwonił. Nie odbierała. W jednym z SMS-ów napisała, gdzie jest, więc pojechał. W szpitalu dostał ochrzan od pielęgniarki, której załamana żona, ledwo oddychając, wszystko opowiedziała. Do rana siedział na korytarzu.

O siódmej obudziła go jakaś kobieta i powiedziała, że może wejść do żony. Według relacji Nowakowskiej była to

najgorsza rozmowa w życiu. Od jakiegoś czasu dusiła się w małżeństwie, a ostatni wyczyn męża był przysłowiową wisienką na torcie.

Poprosiła go o rozwód. Początkowo odmówił, twierdząc, że ją kocha i nie odpuści. Powiedziała, żeby wyszedł. Zakazała mu odwiedzin. Gdy dwa tygodnie później wróciła do domu, jego rzeczy już nie było.

– Co się stało? – Lekturę artykułu przerwał jej Marek Kamiński, który nagle wyrósł obok niej. Tak pochłonęło ją czytanie, że nie zauważyła, że przyszedł. – Wszystko w porządku? Czemu płaczesz? – Tego, że na jej policzkach pojawiły się łzy, które docierały do brody, po czym skapywały na jej kremowy sweter, też nie zauważyła.

– Nic. – Zgarnęła je rękawem i wyprostowała się.

– Już się przestraszyłem. Kobieta płacząca to zazwyczaj kłopoty – rzucił Kamiński i usiadł obok na biurku, uprzednio przesuwając leżące tam papiery.

– Nie przesadzaj – fuknęła i odwróciła się do komputera. – Czytam łzawą historię z udziałem faceta, który zgarnie kasę z ubezpieczenia. Oczywiście jeżeli jest tam uwzględniona opcja morderstwa, a on nie maczał w tym swoich paluszków.

– To żona Dutkiewicza nie jest głównym beneficjentem?

– No właśnie nie. Tak samo nie dziedziczy wpływów z filmów, w których grał jej mąż.

– To jest dziwne.

– Mało powiedziane. Czytam właśnie o tym kolesiu. I nie wygląda sympatycznie, ale jeszcze nie skończyłam. A jak u ciebie poszło? Zastałeś w końcu w domu rodziców Dutkiewicza?

Kamiński przeciągnął się i ziewnął, opóźniając odpowiedź.

– Tak, tym razem byli. Tłumaczyli się, że pomyliły im się godziny i wyszli na chwilę, a w domu zostawili telefon. Wierzę im. A poza tym to było bardzo ciekawe spotkanie.

– I tyle? – Dorota odwróciła się w jego stronę i ułożyła usta w dzióbek. – Nie było cię sześć godzin, żeby powiedzieć po wszystkim, że było ciekawie? – Założyła ręce na brzuchu.

– Ty od razu chcesz znać wszystkie szczegóły. Ja muszę przetrawić informacje… Napisać raport… – Mężczyzna mówił przeciągle z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Nie wkurzaj mnie. Dajesz, Marian, i nie chrzań. – Wlepiła wzrok w Marka i uniosła jeszcze wyżej brwi.

– No dobra. Poddaję się. Norbert nawet własnych rodziców do siebie zraził – sapnął. – Niestety podobno od zawsze miał umiejętność wkurzania ludzi. Trenował to od małego. W szkole zadawał nauczycielom niestosowne pytania. Na przykład jednego pana notorycznie dręczył pytaniami o jego alkoholizm: „A czy dzisiaj pan pił? Czy dopiero ma przed sobą pierwszego szocika?”… – Policjant zmienionym głosem udawał chłopaka. – Rodzice mieli z nim krzyż pański. Co chwilę byli wzywani do szkoły. Nigdy nie bił się z nikim, ale utarczki słowne były na porządku dziennym. Z nimi zresztą też dyskutował. Kazał im się bardziej angażować w obowiązki domowe, zupełnie ignorując fakt, że oni całe dnie spędzają w pracy. Jak go olewali, siadał na kanapie i potrafił godzinami się nie ruszać. Żądał równouprawnienia.

– Matko, niezły synek.

– Wspaniały – skomentował Kamiński ze słyszalną w głosie ironią. – W liceum zrobiło się trochę lepiej, bo dużo mniej się widywali. On więcej czasu spędzał poza domem, zresztą oni też, rozkręcając swój biznes. Hotel funkcjonował bardzo dobrze, bo niedaleko otwarto fabrykę i sporo pracowników u nich nocowało. Dzięki temu restauracja również przędła całkiem nieźle. A żeby w domu zażegnać część konfliktów, zatrudnili panią do sprzątania, bo w porządkach domowych upatrywali największe pole do sprzeczek.

– Pomogło?

– Chyba tak, ale pojawiły się nowe problemy. Pod koniec liceum pierwszy raz się zakochał. Tak naprawdę. Niestety jak to zwykle w jego przypadku, sprawa nie mogła być prosta. Wybór padł na nauczycielkę.

– Fiu, fiu. To faktycznie popłynął. – Czerwińska cicho zagwizdała.

– Właśnie. Młody Dutkiewicz tak zawrócił kobiecie w głowie, że mimo że straciła pracę, postanowiła z nim być.

– Straciła pracę?

– A co, myślałaś, że dyrekcja przyklasnęła tej relacji? Poza tym od razu jakieś mamuśki zaczęły przychodzić i nagabywać władze szkoły, aby ukrócić ten proceder. Oczywiście to kobiecie się dostało najbardziej jako tej dorosłej. Myślę, że po czasie nie była z siebie zadowolona, bo romans nie trwał zbyt długo. Po trzech miesiącach, jak to stwierdziła jego matka, znudził się. Podobno powiedział jej później, że to jednak nie była prawdziwa miłość, a najbardziej podobał mu się element grozy, że ktoś ich złapie. Później nastał kilkuletni względny spokój, przecinany imprezami w ich domu, o których mieli się nie dowiedzieć, a z których dwie skończyły się interwencją policji. Oczywiście za każdym razem syn wybierał moment, jak oni przebywali z dala od domu. Raz bawili się na Rodos, gdy za-

dzwonił do nich pracownik i drżącym głosem powiedział, że ich dom się pali. Gdy wrócili, okazało się, że doszczętnie spłonął składzik. Na szczęście płomienie nie dotarły do domu i nie było większych strat. Innym razem jedna z bawiących się u nich dziewczyn wypadła z pierwszego piętra. Siedziała na parapecie i podobno tak się śmiała, że przechyliła się do tyłu i runęła na dół. Nieprzytomną przetransportowali ją do szpitala. Długo nie było wiadomo, czy przeżyje. Na szczęście po czterech dniach, jakby nigdy nic, otworzyła oczy.

– Jak tego słucham, zaczynam się bać – wtrąciła Czerwińska i oparła brodę na złączonych dłoniach.

– Że nasz młody nawywija coś takiego? – wypowiedział jej obawy na głos policjant, a ona nie odpowiedziała, ale kiwnęła głową. – Będziemy się bać później, zapewniam cię, zdążymy, a teraz wierzmy, że wszystko będzie dobrze. – Podszedł do Doroty i położył jej dłoń na barku. Drzwi do ich gabinetu były uchylone i nie chciał wykonywać gestów, z których musiałby się tłumaczyć, gdyby nagle ktoś wszedł.

– Oby. I co było z nim potem, uspokoił się?

– Niestety nie do końca. Studia jakoś minęły spokojnie, a to pewnie dlatego, że się wyprowadził. Rodzice kupili mu mieszkanko w Warszawie, bo bardziej się to opłacało niż wynajmowanie przez pięć lat. Pod koniec czwartego roku ustalili, że jak skończy uczelnię, wróci do rodzinnego Radomia i pomoże w biznesie. Zmieniły się czasy, fabrykę zamknięto. Rodzice jakoś nie odnajdywali się w tych zarządzeniowo-marketingowych aspektach. Syn obiecał im pomóc. Ale nie zrobił tego, bo dostał angaż w serialu. Mamił ich, że niedługo się to skończy i wróci. Potem miał im kasę dawać, ale nic z tego. Pojawiła się Izabela, którą polubili od pierwszego spotkania. Co zabawne, to matka chwilami mówiła tak, jakby to Izabela była ich dzieckiem, a nie Norbert. No i wtedy spadł na nich ten spadek. Ojciec aż poczerwieniał, jak o tym wspomniałem. Znowu syn coś naobiecywał, ale guzik z tego wyszło. Po latach musieli sprzedać biznes za grosze. Wtedy ich drogi mocno się rozeszły. Może gdyby poratował ich częścią spadku, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Boże, ile smutków w tej historii.

– Niestety.

– A mają pomysł, kto zabił ich syna?

– Nie. – Kamiński pokręcił głową i ponownie przysiadł na biurku. – Matka co chwilę szlochała, więc ciężko było z niej coś wyciągnąć. Facet wypowiadał się o synu z dużą rezerwą, jakby cały czas mu nie wybaczył.

– Może dla niego umarł już dawno temu.

– Trochę to tak brzmiało. Generalnie nie wypowiadał się o synu zbyt pochlebnie. Może nie cieszył się z jego śmierci, ale też nie rozpaczał. Bardziej obawiał się o to, jak sobie synowa z tym wszystkim poradzi.

– Z czym? – Czerwińska zmarszczyła brwi i delikatnie przekręciła głowę.

– Z zainteresowaniem prasy. Podobno nigdy jakoś nie lubiła tego szumu, który był wokół nich. Unikała ścianek. Zresztą o to też między nimi dochodziło do kłótni. Gdy chodziła z mężem na premiery czy inne eventy, wkurzał się, że próbuje go kontrolować. Patrzyła, ile pije, i gdy już dochodził do swojego szczytu, stopowała go. Później podobno jej to wypominał.

– Zwierzał się z takich rzeczy rodzicom? – spytała zdziwiona policjantka.

– Nie, to ona gadała z teściową. On jakoś nie był nachalny w kontaktach z nią. To ona teściowej opowiadała o swoich małżeńskich problemach. Podobno po każdej imprezie wyrzucał jej, że powinna wyluzować. No to przestała chodzić. Wtedy wkurzał się, że chodzi sam, prasa go nęka, że nie są razem, a to nie sprzyja jego wizerunkowi.

– Czyli typ „zawsze wszystko jest źle”?

– Właśnie. W pracy też podobno kręcił na wszystko nosem. Dostał rolę, to źle, bo będzie musiał siedzieć w pracy całymi dniami, a chciał wyjechać nad morze. Gdy nie miał żadnej roboty, jęczał, że nie zarabia, nie ma kasy i zaraz nie będą mieli za co żyć. Chociaż rzadko miał przestoje w pracy.

– Czy wspominali coś o kimś, komu mógł stanąć na odcisk?

– Nie. – Kamiński pokręcił przecząco głową. – Izabela o nikim takim nie wspominała, a ich kontakty z synem od paru lat ograniczały się do zdawkowych życzeń urodzinowych. I tak podobno wysyłał im życzenia ponaglany przez żonę, a czasami ona robiła to w jego imieniu.

– Mam nadzieję, że my tak nie skończymy…

Kamiński nie zdążył nic powiedzieć, bo w tym momencie otworzyły się drzwi. Stanął w nich sam komendant.

– Mamy dość spektakularny wypadek, chociaż bardziej skłaniałbym się w stronę morderstwa.

– Matko, kolejny aktor? – rzuciła Czerwińska i natychmiast wstała.

– Nie, tym razem jakiś bloger czy youtuber. Cholera wie. Spadł z wysokości przebrany za jednorożca.

Rozdział 15

Dotarcie do sceny okazało się nie lada wyczynem. Tłum wokół miejsca zdarzenia gęstniał z minuty na minutę. Gdy już odwiedzający zorientowali się, że nic im nie grozi, jeszcze szczelniej otoczyli miejsce wypadku, jakby fakt przebywania blisko takiej tragedii coś miał im przynieść. Zupełnie ignorowali to, że mogą przeszkadzać służbom medycznym czy policji.

Każdy chciał z bliska zobaczyć, co się wydarzyło i czy wiszący wcześniej nad sceną chłopak, który runął na ziemię, może jednak przeżył.

Dorota już w samochodzie podczas próby przedarcia się przez miasto zaczęła czytać o ofierze. BobyLon, a tak naprawdę Jakub Wronkowski, urodził się dwadzieścia jeden lat wcześniej. Zawsze uwielbiał rozśmieszać ludzi. W internecie znalazła sporo filmików, na których ma kilka lat, stoi na scenie i opowiada dowcipy. Część nie była w ogóle śmieszna, a i tak za każdym razem dostawał owacje na stojąco. Tak na zachętę, jak to się robi w stosunku do początkujących artystów, szczególnie gdy mają mniej niż dziesięć lat.

Z czasem było coraz lepiej i Czerwińska parę razy wybuchnęła głośnym śmiechem, wywołując zdziwienie u Kamińskiego, który próbował skupić się na prowadzeniu. Co zaskakujące, nie z występów na scenie był znany i kojarzony. Pięć lat temu zaczął wrzucać do sieci recenzje knajpek. Nie były to jednak takie standardowe, gdzie po zjedzonym posiłku oceniający staje przed lokalem i wygłasza przydługą mowę na temat zjedzonych potraw, atmosfery panującej w środku, a także obsługi.

Nie, on to robił po swojemu, za każdym razem na wesoło. I co zadziwiające, nawet jak coś mu nie smakowało czy obsługa uwijała się w zbyt wolnym tempie, krytykę wyrażał w miły i sympatyczny sposób, co dość mocno wyróżniało go na tle innych internetowych wyjadaczy.

Jego popularność w sieci systematycznie rosła, a dwa lata temu zaczął pojawiać się gościnnie u innych chłopaków prężących muskuły w sieci. Poziom jego dowcipu spadł, ale cały czas krążył po Polsce, jedząc kebaby w przydrożnych barach czy zamawiając pomidorową w barze mlecznym prowadzonym przez starszą panią.

Na pierwszy rzut oka Czerwińska nie trafiła na nic, co mogłoby mieć związek z wypadkiem, jak w pierwszej fazie śledztwa wolała myśleć.

– Co tutaj mamy? – rzucił Kamiński, gdy w końcu dostali się na scenę, na której ze stojących banerów udało się ustawić ochronę przed wścibskim wzrokiem odwiedzających galerię oraz fanów chłopaka, którzy nadal tłumnie czekali na jakiś ochłap informacji.

– Facet spadł z nieba – odezwał się jako pierwszy technik, Franek Michalczewski, który zabezpieczał zdjętą z mężczyzny uprząż. – Niestety walnął dość niefortunnie. Kawałki sceny wbiły mu się w nogę i przecięły tętnicę udową. Stracił bardzo dużo krwi. Dość szybko dotarli medycy, ale niestety zmarł w drodze do szpitala. Z jednej strony można rzec, że miał wielkiego pecha, rozwalając sobie w taki sposób nogę, ale z drugiej – spojrzał w górę – mógł połamać się śmiertelnie, waląc w ziemię. Poza tym gdyby runął w tłum stojący pod sceną, byłby pogrom. Słyszeliście kiedyś o gościu, co zdecydował się na skok z piątego piętra i spadł na przechodzącego chłopaka? Połamał mu kręgosłup. Sam się zabił, ale wyrządził też komuś krzywdę. Tutaj na szczęście nie doszło do czegoś takiego, ale było blisko. – Mężczyzna skończył swój monolog i spojrzał na dwójkę zdezorientowanych policjantów, którzy nie spodziewali się tak szczegółowego wprowadzenia.

– Wiadomo, z ilu metrów spadł?

– Ciężko powiedzieć. Według relacji jego siostry, która pojechała z nim do szpitala, jakieś dziesięć, może i więcej.

– Trzeba zabezpieczyć kilka telefonów – rzucił Kamiński i rozejrzał się, jakby kogoś szukał. – Na bank te młode fanki to nagrały.

– Nie trzeba – odezwała się Czerwińska, która cały czas grzebała w telefonie.

Odpaliła nagranie na jednym z portali i puściła filmik.

– Dzień dobry, proszę państwa! – Na ekranie pojawiła się młoda dziewczyna, około piętnastoletnia, z mocno pomalowanymi na czarno oczami i długimi do ramion blond włosami, które falą opadały na kaptur pikowanej kurtki. – Dzisiaj postanowiłam pokazać wam spotkanie z BobyLonem. Ci, co go nie znają, koniecznie powinni to naprawić. Koleś ma niezłą gadkę i pokazuje, gdzie można spoko zjeść. Z tego, co pisał na insta, ma się tu dzisiaj pojawić w stroju jednorożca. – W tym momencie dziewczyna zrobiła głupkowatą minę, jej oczy zbiegły się w zeza, a język

wysunęła do przodu, pokazując zamocowany w nim kolczyk. – Ups, nie mówcie moim starym.

Czerwińska pokręciła głową z dezaprobatą i westchnęła. Zupełnie nie rozumiała mody na przekłuwanie sobie języka, wędzidełka czy innych delikatnych części ciała, chociaż i tak było to lepsze niż tatuaże, których usunięcie nie było łatwe.

Dziewczyna obróciła się dookoła własnej osi, pokazując zebrany wokół tłumek.

– Jak widzicie, nie tylko ja lubię typa. Całkiem sporo jest nas tutaj i każdy pewnie zastanawia się, czy faktycznie zrobi to, co obiecał.

W tym momencie w tle usłyszeli głos prowadzącego:

– Proszę państwa! – Dziewczyna obróciła kamerę w stronę sceny i wspięła się na palce, aby jak najlepiej nagrać to, co się dzieje. – Czy jesteście gotowi na gwiazdę wieczoru? – W odpowiedzi tłum pisnął, a Czerwińska ściszyła nieco dźwięk.

– Rozumiem, że tak! Kto czeka na BobyLona? Trzy dni temu liczba osób obserwujących go na Instagramie przekroczyła milion! – Kilka osób obok zaczęło klaskać. – Nie wiem, czy ktoś pamięta, co obiecał kilka miesięcy temu, gdy obserwowało go zaledwie pół…

Na chwilę zapanowała cisza, a Kamiński wraz z technikiem zrobili krok w stronę policjantki.

– Tak, zgadza się. Obiecał, że przebierze się za jednorożca i będzie tak chodził przez trzy dni. Wszyscy wiemy, że to fan czarnych stylizacji, więc myślę, że to z jego strony wielkie poświęcenie. Ale nie przeciągajmy tej chwili. Zapraszam na scenę jedynego w swoim rodzaju… mistrza ciętej riposty… BobyLona!

Kamera zaczęła nerwowo przesuwać się raz w jedną, raz w drugą stronę, pokazując scenę na dwóch końcach. Po kilkunastu sekundach telefon zarejestrował czyjś krzyk:

– Patrzcie do góry!

Momentalnie dziewczyna uniosła kamerę, a mikrofon uwiecznił jej komentarz:

– O w mordę.

Kilkanaście metrów nad nimi wisiał ktoś przebrany za jednorożca.

– Przepraszam za lekkie opóźnienie! Nie będę ukrywać, ale nie mam dużego doświadczenia we wbijaniu się w takie stroje. Kiedyś podkradałem sukienki siorki, ale one jakoś łatwiej się zakładają. – Ludzie zaczęli się śmiać, a ręka dziewczyny zadrżała. – A tak w ogóle to jak wam się podoba moje nowe piękne wdzianko? Może już na stałe zacznę w takim czymś paradować, co wy na to? – Nagrywająca wraz z tłumem zaczęła krzyczeć „Tak!”, podskakując, przez co obraz stał się dość niestabilny. – Uff. Już się bałem, że nie przypadnie wam do gustu. Możecie za to podziękować mojej siostrze! To ona wpadła na genialny pomysł wyzwania. Oczywiście początkowo średnio chciałem się zgodzić, bo czarny to jedyny kolor, który akceptuję, ale… Chyba zmienię zdanie. W tych kolorach wyglądam obłędnie. – Ludzie zaczęli klaskać – A co byście powiedzieli na… – Wtedy na zbliżeniu na ekranie dostrzegli, jak chłopak przekręcił się na jedną stronę, po czym krzyknął: – Kurwa!

– Szybko na ziemię! – wydarł się ze sceny prowadzący spotkanie.

Chwilę później zobaczyli, jak chłopak spada z krzykiem, a nagrywająca dziewczyna po pierwszym szoku próbuje przebić się pod scenę.

Na tym etapie Czerwińska wyłączyła.

– Matko, to wygląda strasznie – skomentował Kamiński.

– Wiem. – Technik pokiwał smutno głową. – Na żywo widziało to kilkaset młodych dziewczyn. Co chwilę któraś pyta jednego z naszych, czy wszystko z nim w porządku. Jeszcze nikt nie przekazał im wieści, że ich idol nie żyje.

– I słusznie. Dobrze, żeby rodzina dowiedziała się jako pierwsza. – Czerwińska zgasiła ekran i schowała telefon do kieszeni.

– Była z nim siostra, więc najbliżsi już wiedzą – powiedział cicho mężczyzna i ponownie przyklęknął przy leżącej na ziemi uprzęży, która jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej zabezpieczała młodego człowieka przed upadkiem.

– No tak. – Kamiński rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Znalazłeś coś nietypowego?

– Niestety wszystko wskazuje na morderstwo. – Technik spojrzał ponuro na dwójkę policjantów i ponownie się wyprostował. – Ktoś ewidentnie grzebał przy uprzęży. Te linki zostały ponacinane.

– Masakra. A nie było nikogo, kto to sprawdził? Przecież przed takim występem na wysokości ktoś powinien się upewnić, czy wszystko poprawnie działa – zauważyła Czerwińska i utkwiła wzrok w wielkiej kałuży krwi, która otaczała wyrwę w scenie.

– No właśnie ten cały BobyLon kiedyś chodził po skałkach i doszedł do wniosku, że sam wszystko przygotuje. Podobno zawsze cenił bezpieczeństwo i wychodził z założenia, że on sam zrobi to najlepiej, ale tym razem mocno się

pomylił, co przypłacił życiem.

– Dobra, dzięki, idziemy pogadać z tym prowadzącym, może coś widział.

Głową wskazał na siedzącego na krześle mężczyznę, który ukrywał twarz w dłoniach. Powoli ruszyli do niego.

– Jezu, wiadomo coś? – Podskoczył aż, gdy Kamiński delikatnie trącił go dłonią w ramię. Nie prezentował się najlepiej. Na dłoniach miał skrzepniętą krew, a jego twarz wyglądała, jakby zaraz miał się popłakać.

– Jeszcze nie – skłamała Czerwińska spokojnym głosem i pokręciła głową na boki. – Musimy z panem porozmawiać.

– Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy.

– Bardzo nas to cieszy. Jak się pan nazywa?

– Robert Herman.

– Czy zauważył pan coś nietypowego?

– Co ma pani na myśli? – Prezenter zmrużył oczy, ale jego czoło nawet nie drgnęło.

– Ktoś zachowywał się jakoś dziwnie? Kręcił się?

– Na takich eventach zawsze jest dziwnie. – Pokazał dłonią scenę, która przypominała raczej miejsce przedstawienia dla dzieci, a nie występu dorosłego mężczyzny. – Te dzieciaki piszczą, próbują wedrzeć się na scenę. Dzisiaj jedna dziewczyna zdjęła koszulkę i nic pod nią nie miała, a była w wieku mojej córki… – Widząc brak zrozumienia na twarzach policjantów, dodał od razu: – Ala ma szesnaście lat. Na szczęście jest bardzo poważna jak na swój wiek. Powiedzmy, że kiedyś miałem z tym problem, ale dzisiaj Bogu dziękuję. Nie dałbym rady, gdyby zachowywała się jak te tutaj. Wstyd i żenada.

– Coś poza tym?

– No… Hmm…

– Proszę się wysłowić – powiedział zbyt stanowczym głosem Kamiński.

– Słyszałem jego rozmowę… – Herman westchnął.

– Czyją?

– No, tego całego BobyLona…

– Z kim? – dopytywała Czerwińska.

– Z jedną z dziewczyn. Ona miała raptem kilkanaście lat. Maks piętnaście, nie brzmiało to dobrze. Jak by to powiedział syn, rozmowa dla dorosłych.

– Byłby pan w stanie wskazać tę dziewczynę w tłumie?

– W życiu! – parsknął mężczyzna. – One wszystkie wyglądają tak samo. Całe na czarno, oczy uwalone węglem i miny, jakby im się żyć nie chciało.

– Szkoda. O czym dokładnie rozmawiali?

– On się prężył, opowiadając o swoim spotkaniu z jakimś gostkiem, ale nie wiem, kim on był. Pewnie jakiś celebryta, a ja za stary jestem na to. Bardzo jej tym zaimponował. Spytała, czy może zabrałby ją następnym razem. Oczywiście się zgodził, wymienili się numerami i wtedy powiedział, że ma piękne usta i chętnie by ich dotknął.

– O matko… – szepnęła Czerwińska.

– No. Nie brzmiało to za fajnie. Gdyby nie to, że ostatnio mi się nie przelewa, to wyszedłbym stąd. Obleśny typ.

– Czy widział pan kogoś kręcącego się przy jego sprzęcie?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– To ostatnie pytanie: gdzie są jego rzeczy? Chyba nie przyszedł tutaj w stroju jednorożca.

– Zostawił wszystko w pomieszczeniu socjalnym. Podobno wyrzucili z niego wszystkie rzeczy pracowników galerii. Okropne. Zażądał pokoju, to znaczy garderoby, jak to określił, na wyłączność. Zachowywał się niczym gwiazda, która jak widać, szybko zgasła. Poza tym nic nie wiem. Nigdy wcześniej gościa nie spotkałem.

– Dziękujemy.

Rozstali się i ruszyli na poszukiwanie pokoju. Po wskazówkach jednego z pracowników galerii znaleźli go obok wejścia do supermarketu. Pilnował go ochroniarz, lustrując każdego przechodzącego obok, jakby gotowy w każdej chwili na atak. Pokazali odznaki i weszli, założywszy wcześniej rękawiczki i osłonki na buty.

Zgodnie z tym, co powiedział im prowadzący spotkanie, znaleźli rzeczy chłopaka. Na plastikowym krześle w nieładzie kotłowały się jego spodnie, czarna koszulka, buty oraz bluza. Na stoliku obok leżały jego kluczyki do samochodu, komórka i jakieś kartki.

– „Kto zgadnie, co mam pod spodem?" – przeczytała fragment Czerwińska.

– Że niby był nagi?

– Może.

– Co tam jeszcze napisał? – Kamiński podszedł do leżącego na ziemi plecaka.

– „Kto jest przystojniejszy? Ja czy Herman?”

– Żartowniś.

– Poczytałam o nim w necie. Podobno lubił wbijać szpileczki, ale robił to dość elegancko. Ale już podrywanie nieletnich… to jest słabe. – Czerwińska wzięła jego telefon do dłoni i zaczęła stukać w klawiaturę.

– Nie skazujmy go, może ten prowadzący przesadza.

– Bronisz go? – Policjantka podniosła głowę znad telefonu, mierząc wzrokiem stojącego przed nią Marka.

– Ja nikogo nie bronię, tylko nie ma dowodów, nie ma winnych. Chyba tak powinien działać ten system. Poza tym już nie raz się zdarzało, że ludzie coś przeinaczali.

– Jest!!! – krzyknęła nagle, po czym radośnie zawyła.

– Matko, nie strasz mnie, kobieto. Wygrałaś w totka czy co?

– Lepiej, dostałam się do jego telefonu.

– Wow, nieźle. Może ty się ze mną marnujesz. Powinnaś szyfry łamać.

– To nie kwestia kwalifikacji, tylko umiejętności słuchania. Ostatnio na szkoleniu mówili o najczęściej używanych kodach do telefonów i właśnie jeden z nich zastosował nasz jednorogi celebryta.

– Super, to co tam masz?

Dorota w pierwszej kolejności weszła w galerię zdjęć. Było w niej mnóstwo fotek z młodymi dziewczynami. Po kilka z każdą, a takich zestawów kilkanaście.

– Faktycznie lubił młode dziewczyny. – Doszła do ostatniego i cmoknęła. – Wow, niezły miał przemiał. Pierwsze zdjęcie zrobił raptem miesiąc temu, a kandydatek na jego dziewczynę jest kilkanaście. Wszystkie takie same. Brunetki. Długie włosy. Jeszcze nie są zrobione, bo za młode, ale już wypinają biust.

– Myślisz, że mają poniżej szesnastu lat?

– Część tak. Chociaż wiesz, jak jest. Teraz to nawet dwunastolatki potrafią wyglądać jak dorosłe.

– Coś jeszcze tam masz?

– Chwila, nie popędzaj.

Dorota przeszła do wiadomości. Niestety tam nic nie znalazła. Wyglądało tak, jakby wszystko wyczyścił.

– Musimy oddać to do analizy – rzuciła i schowała telefon do woreczka strunowego, który wyjęła z kieszeni. – A my powinniśmy pogadać z jego rodziną.

Rozdział 16

– Czy to nie jest dziwne, że w ciągu krótkiego czasu zginęły dwie znane osoby i obie w dość specyficzny sposób? – zadał pytanie młody chłopak stojący przed gmachem policji w stolicy. – Próbowałem się czegoś dowiedzieć na temat toczących się aktualnie spraw, niestety nikt nie chciał mi udzielić odpowiedzi. Nie jestem rodziną i takie tam. Tylko czy w związku z faktem, że zmarli byli osobami publicznymi, nie mamy prawa dopytywać o szczegóły ich śmierci? Oni, a w szczególności BobyLon, pokazywali nam, swoim obserwującym, spory fragment swojego życia i myślę, że chcieliby, abyśmy nadzorowali śledztwo. Wierzę, że wyraziłby aprobatę, że nie odpuszczamy. Że nie pozwolimy tej sprawie przepaść w gąszczu innych. Już tyle dziwnych zgonów ostatnio się wydarzyło. Każdy pamięta Alicję, bardziej znaną w sieci jako Alia. Zmarła osiem miesięcy temu, w górach. Policja od razu stwierdziła, że był to wypadek, ale rodzina w to nie uwierzyła. W dziwnych okolicznościach zniknął jej telefon i pojawił się w stolicy miesiąc później. Zegarek Alii przestał działać ponad godzinę przed jej śmiercią. Stłuczona tarcza może świadczyć o jakimś upadku. No i…

– Co za bzdury… – Dorota wyłączyła filmik przesłany jej chwilę wcześniej przez Kasię. – To tak nie działa, a wręcz w drugą stronę – rzuciła do słuchawki i rozprostowała nogi. Od przyjścia do domu siedziała na kanapie pod kocem i próbowała się ogrzać. Paradowanie w butach sportowych przy temperaturze oscylującej w okolicach zera nie było rozsądne. Ten czas dochodzenia do siebie umilała jej przyjaciółka, która po raz pierwszy tak mocno wkręciła się w sprawę prowadzoną przez Dorotę. Jak to powtarzała, jest to odskocznia od żłobka, który miała w domu, a w którym rządziła kupa i jedzenie.

– A myślisz, że to może mieć coś wspólnego? W sensie tak jak ten chłopaczek mówi, te dwie śmierci.

– Nie! – zareagowała podniesionym głosem, chociaż faktycznie sama przez chwilę się nad tym zastanawiała. Niewiele w tych sprawach było spójne. Jedynie fakt, że obaj byli celebrytami, ale z zupełnie innych powodów, i to, że zginęli w dość spektakularnych okolicznościach.

– A wiadomo cokolwiek? Kto pomógł umrzeć Dutkiewiczowi albo temu całemu Bobowi? – Kobieta zaśmiała się na głos, a Czerwińska delikatnie się uśmiechnęła.

Od kiedy weszła do domu, poza przeszywającym zimnem czuła pustkę. Marek wrócił szybciej, żeby odciążyć Wandę, i gdy ona dotarła do mieszkania, na lodówce znalazła kartkę. „Poszliśmy na spacer”. Gdy to przeczytała, od razu łzy stanęły jej w oczach, chociaż powinna cieszyć się z chwili w ciszy.

– Gdybym ja to wiedziała, byłabym już komendantem – wydusiła z siebie, licząc, że przyjaciółka nie wychwyci drżenia jej głosu.

– Komendantką – poprawiła ją Kasia, która ostatnimi czasu mocno cisnęła na żeńskie formy nazw zawodów czy funkcji, czyli feminatywy, które czasami wywoływały u Doroty uśmiech na twarzy, ale nigdy tego nie komentowała na głos.

– Zwał jak zwał.

– Ty byłabyś superkomendantką.

– Może – westchnęła Dorota i sięgnęła po herbatę, z której cały czas unosił się obłok pary. – A co do tych zabitych, to na razie kręcimy się w kółko. Nic nie mamy.

– To chyba wkurzające? – Kasia swoim zwyczajem zadała niewygodne pytanie. Kiedyś nawet się zastanawiały, czy nie ma autyzmu, czy innej choroby, przy której ludzie nie do końca biorą pod uwagę uczucia innych.

– I to bardzo, dlatego muszę kończyć.

– No nie, pliiiz. Bliźniaki śpią, reszta bandy poza domem.

– To też się połóż.

– No dobra – usłyszała po chwili zrezygnowany głos przyjaciółki. – W sumie to jestem megazmęczona. Krótka drzemka w ciągu dnia może zdziałać cuda.

I rozłączyła się. Czerwińska zaśmiała się pod nosem i zaczęła siorbać gorącą herbatę, która dzięki goździkom, cytrynie i imbirowi spowodowała, że drżenie z zimna ustało.

Odstawiła kubek z rysunkiem Mleczki i sięgnęła po akta leżące na stoliku. Ostatnio miała wrażenie, że nie wyrabia na zakrętach, dlatego coraz częściej zdarzało jej się brać pracę do domu, co niezbyt jej się podobało. W komendzie często obserwowała kolegów, którzy cali oddawali się robocie i zazwyczaj nie kończyło się to dobrze. Podczas jednej

z rozmów pani psycholog, ubrana w jednoczęściowy strój atrakcyjna kobieta, tłumaczyła, że higiena pracy to podstawowe narzędzie, aby nie zwariować. Te kilka godzin w domu, bez rozmyślania o prowadzonych sprawach, ma pozwolić mózgowi się zregenerować, tak aby gdy znowu znajdzie się w domenie pracy, móc ruszyć z mocą konia pociągowego. Tylko Dorota dobrze wiedziała, że życie pisze różne scenariusze i czasami zdrowie psychiczne to ostatnia rzecz, o której funkcjonariusz myśli.

Po raz drugi zaczęła czytać raport z kolejnej rozmowy z żoną pierwszej ofiary.

Izabela Dutkiewicz potwierdziła słowa Zuzanny Rutkowskiej. O tym, jak jej mąż zgodził się na wypożyczenie obrazu, po czym zapomniał. Opowiadała z zaciśniętą dłonią, jak to próbowała mu wyjaśnić, że wyraził zgodę na wszystko. Żałowała wtedy, że nie nagrała tego lub nie zmusiła ich do podpisania umowy. Okazało się, że to nie był pierwszy raz, kiedy zgodził się na coś, a później wyparowywało mu to z głowy. Podobno kiedyś pożyczył koledze pieniądze. Była to jakaś akcja na szybko. Miał wtedy przy sobie gotówkę i od ręki przekazał mu dziesięć tysięcy. Później o tym zupełnie zapomniał i nikt ani nic nie było w stanie go przekonać, że się myli. Złożył zawiadomienie na policję i w kilku wywiadach wspomniał o nieuczciwym koledze.

– Co sądzi pani o Karolu Dobrzyńskim?

Dorota od razu przywołała ze wspomnień wyraz twarzy kobiety. Zmienił się w porównaniu do poprzedniej rozmowy. Teraz ściągnęła brwi i mocniej zacisnęła wargi. Długo trwała w milczeniu, jakby analizowała swoje odczucia. W końcu spojrzała na policjantkę i westchnęła.

– Ja już sama nie wiem. Moja świętej pamięci babcia zawsze mówiła, że jestem mądra, lecz naiwna, co jak dla mnie nie idzie w parze. Ale faktycznie zawsze wychodziłam z założenia, że ludzie są dobrzy. Nawet ostatnio miałam taką sytuację i się bardzo zdziwiłam. Wyjeżdżałam z zatoczki. Nikogo na drodze. Ruszyłam powoli, a muszę dodać, że mam małego smarta, takiego plastikowego. Nagle słyszę jakiś szmer i dźwięk, jakbym w coś uderzyła. Wyszłam od razu, bo pomyślałam o psie czy kocie. Jakie było moje zdziwienie, gdy okazało się, że to pani leży na jezdni. Taka między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat. Myślałam, że dostanę zawału. Zawsze mnie takie rzeczy stresują. Jechałam ze trzy na godzinę, więc nie mogłam zrobić jej krzywdy, ale jednak… Pani wstała i zaczęłam wypytywać. Czy wszystko dobrze? Czy jedziemy do szpitala? Pani powiedziała, że nie i że czuje się dobrze. Przejeżdżała właśnie straż miejska i się zainteresowali. Stanęli za mną i zaczęli pytać o przebieg zdarzeń. Okazało się, że mieli uwagi, ale do pani. Że niedaleko przejście i że na podwójnej ciągłej. Na koniec również oni spytali, jak się czuje. Ponownie powiedziała, że dobrze i że pracuje w szpitalu, to jakby coś, to ma blisko. Zaproponowałam, że ją podwiozę, bo karetki ani policji nie chciała wzywać. W samochodzie milczała, ale po chwili zaczęła skubać torebkę. „Wie pani, zepsuła mi pani torebkę", rzuciła, a ja zdębiałam. Stwierdziła, że wycenia swoje szkody na tysiąc pięćset złotych. Milczałam. Byłam w szoku. Dałam jej swój numer i wysadziłam ją we wskazanym miejscu. Po godzinie zadzwoniła i stwierdziła, że ma spodnie podarte i ranę na nodze do kości, a wcześniej tego nie wyłapała. Teraz wycenia swoje straty już na dwa tysiące pięćset. Pojechałam oczywiście na straż miejską, powiedzieli mi, że mam nic nie płacić i takich sytuacji jest mnóstwo. A ja przez cały czas myślałam, że to ja jestem ta zła, bo nie zauważyłam jej, mimo że nie miałam szans. Wbiegła na jezdnię nagle.

Dorota dobrze pamiętała minę Marka, który delikatnie się niecierpliwił nic niewnoszącymi zeznaniami.

– Rozumiem, że pana Dobrzyńskiego pani źle oceniła?

– Tak, ale dopiero teraz zaczęłam to dostrzegać. Jakby mi jakieś klapki z oczu opadły.

– Wydarzyło się coś szczególnego?

Kobieta wypuściła powietrze, robiąc dzióbek, i spojrzała na Czerwińską.

– Rozmawiałam dłużej z Zuzką. Wiem, że wcześniej już tyle razy mówiła mi o swoich wątpliwościach w stosunku do Karola, ale teraz jakoś to do mnie dotarło, że może faktycznie on jest złym człowiekiem.

– Coś nowego powiedziała?

– Nie, ale zaczęłam się zastanawiać nad paroma rzeczami, które wcześniej ignorowałam. Koleżanka kiedyś mi wspominała, że… czytała o nim. O Karolu – dodała kobieta i poprawiła pasemko, które zsunęło jej się na czoło. – Podobno kiedyś miał sprawę o szantaż i wyłudzenia. Powiedziałam nawet o tym Norbertowi, ale stwierdził, że ludzie są zawistni i nie powinnam słuchać takich głupot. Tylko że…

Przerwa trwała dość długo i Kamiński w końcu nie wytrzymał.

– Tylko że co?

– Norbert zawsze dbał o takie rzeczy. To on sprawdzał opinie o hotelach, restauracjach, zresztą sam się zawsze wszystkiego czepiał, a tutaj nagle zignorował coś takiego. Wtedy to olałam, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, czy… Czy może coś nie było na rzeczy…

– Mocne oskarżenia – skomentowała Czerwińska.

– Wiem, ale… Karol nie robił dla Norberta nic ponad to, co robią inni, a czasami wręcz go olewał. Wczoraj zadzwoniła do mnie znajoma. Pytała, jak się czuję i takie tam. Na koniec zaczęła coś gadać trzy po trzy, aż wycisnęłam z niej, o co chodzi. Okazało się, że produkcja dużego serialu chciała zaprosić Norberta na zdjęcia i dzwonili do Karola, ale nic z tego nie wyszło. Wystarczyło ustalić termin i miałby przesłuchanie do tasiemca z potencjałem do ciągnięcia się latami. Oczywiście co później, to nie wiadomo, ale zawsze to dobry start.

– Faktycznie dziwne, ale…

– To nie wszystko. Kiedyś jak się upił i zaczął się na mnie drzeć, powiedział dziwne zdanie. Że jestem jak Dobrzyński. Chcę od niego tylko kasę i że on się nie da.

– Co to mogło znaczyć?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Ja zawsze patrzyłam na niego jak na sprzymierzeńca, ale teraz… sama już nie wiem. Babcia miała rację z tą moją naiwnością.

– Sprawdzimy to. Proszę nam powiedzieć o dźgnięciu nożem.

Dutkiewicz zaczęła się śmiać.

– Naprawdę teraz to wyciągacie? Po tylu latach? To niedorzeczne. I pewnie przez to zaraz zaczniecie mnie podejrzewać.

– Jeżeli będą podstawy – wtrąciła Czerwińska.

– Nie ma. To był wypadek, zresztą nie z mojej winy, chociaż Norbert powtarzał, że chciałam go skrzywdzić.

– To proszę powiedzieć, co się stało.

– Nic się nie stało. Właśnie o to chodzi. Rzucał pan kiedyś nożem do celu?

Kobieta spojrzała na policjanta. Kamiński pokiwał głową potwierdzająco, a policjantka westchnęła z dezaprobatą.

– Norbert uwielbiał. Uważał się za mistrza. Rzucał zawsze, a najlepiej po pijaku. Kiedyś pojechaliśmy na Mazury, ale tę bliższą część, w ramach promocji jakiegoś filmów. Wtedy jeszcze z nim jeździłam. Taki krótki wyjazd. Miało być miło, sympatycznie, ale wyszło jak zwykle. Spił się strasznie. W aucie wozi zawsze nóż. Zaczął się bawić i rzucać w elewację z tyłu drewnianego budynku. Prosiłam, żeby tak nie robił. Krzyczał, ale cały czas się bawił. W końcu rzucił, ale coś mu nie poszło. Nóż źle poleciał, odbił się od rynny i trafił go w bok, lekko od tyłu, bo Norbert zdążył się już obrócić. Wyjął go sobie sam i zakleił ranę plastrem. Taki peszek.

– Bardziej wielki pech – skomentowała funkcjonariuszka.

– W sumie to tak. Tylko później każdemu powtarzał, że to była moja wina. Tylko nie dopowiadał, że polegała ona na tym, że go zdenerwowałam, i jakoś parę osób zaczęło siać durną plotkę, że ja go tym nożem ugodziłam.

Policjanci spojrzeli na siebie. Historia się kleiła, chociaż brzmiała dość absurdalnie.

– Może pani nam jeszcze coś powiedzieć o Albercie Nowakowskim? – Tym razem pytanie zadał Kamiński, a Czerwińska lekko sapnęła. Zupełnie o tym zapomniała, mimo że jadąc na spotkanie, powtarzała sobie w myślach listę rzeczy do dopytania.

– Dla mnie ten facet jest śliski. Spotkałam go dwa razy i zawsze cieszyłam się, że już poszedł – westchnęła kobieta i utkwiła wzrok na ścianie za policjantami.

– Co go łączyło z pani mężem?

– No właśnie do końca nie wiem. Raz słyszałam, jak się kłócili o pieniądze. Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam, bo się nie znam na tych kryptowalutach. – W tym momencie dwójka policjantów spojrzała na siebie. – Norbert chyba zainwestował w nie sporo kasy i stracił prawie wszystko. Obwiniał za to tego Nowakowskiego, ale on szedł w zaparte i żądał spłaty długu. Coś jeszcze mówili o zabezpieczeniu długu w postaci polisy. Próbowałam później dowiedzieć się, o co chodzi, ale tylko na mnie nawrzeszczał.

Czerwińska przeczytała zeznania do końca, ale już nic nie przykuło jej uwagi. Chciała sięgnąć po kolejną teczkę, gdy jej telefon wydał dziwny dźwięk. Kilka dni temu ustawiła sobie powiadomienia po tym, jak ponownie przegapiła wiadomość z nowymi dowodami i zamiast się z nią zapoznać, krążyła w kółko. Teraz, kiedy przychodził nowy mail na skrzynkę służbową, aparat oznajmiał to, imitując odgłos kaczki.

Uśmiechnęła się od razu i odpaliła komputer, który włączył się natychmiastowo. O wiele szybciej niż w pracy dostała się do wiadomości i już po chwili zapoznawała się z informacjami z komputera Dutkiewicza.

Czekała na nie, a Kamil Wojarski, specjalista od komputerów i innej elektroniki, obiecał jej, że zrobi wszystko, aby dostała jej jak najszybciej. Nie do końca czuła, że to jest „jak najszybciej”, bo od śmierci mężczyzny minęły już cztery dni, ale wolała już się nie kłócić. Dobre relacje z poszczególnymi technikami są dość istotne. Kiedyś Grzelczyk jej opowiadała, jak nadepnęła na odcisk jednemu, który potem miał bardzo duży żal. Doszło do tego, że nie dał jej znać o fakcie skończenia analiz, czym mocno uprzykrzył jej życie.

Dorota zagłębiła się w treść maila. Po każdym przeczytanym zdaniu uśmiechała się coraz szerzej. W końcu mieli coś konkretnego, a nie przeczucia, opinie czy niczym niepoparte teorie.

Już planowała wejść w załączony do wiadomości spakowany plik, który uprzednio ściągnęła i rozpakowała, gdy do domu wpadł zdyszany Kamiński. Postawił na podłodze małego człowieka i zaczął go rozbierać.

– Przepraszam, ale Mikołaj nie chciał mi odpuścić.

Dorota odwróciła głowę i momentalnie odechciało jej się wszystkiego. Ona, gdy rano wychodziła, została zgoła inaczej potraktowana. Syn, gdy próbowała złożyć na jego policzku pocałunek, odwrócił się ostentacyjnie, jakby się obraził. Założył rączki na brzuch i nie pozwalał jej się zbliżyć, aby mogła zostawić całusa.

Zacisnęła mocniej pięści, licząc, że żadna łza nie popłynie jej po policzku. Od rana ze sobą walczyła, tłumacząc, że to nic nie znaczy. Wiedziała, że synek ją kocha, ale nie zawsze była jego ukochanym rodzicem. Jednak teraz, obserwując, jak kokosi się z Markiem na podłodze, nie czuła nic poza zazdrością.

– Fajnie – rzuciła. Na tyle tylko było ją stać. Gula urosła jej w gardle i cisnęła niczym powiększony migdałek.

– Po drodze zadzwonił do mnie komendant. Mamy jechać do rodziny tego zamordowanego chłopaka. Zaraz wpadnie jeszcze na chwilę Wanda.

– No dobra – wyszeptała i wyciągnęła ręce do syna, który sprawnymi ruchami podpełzał do kanapy.

– A ty coś masz? – Marek podszedł do niej bliżej i cmoknął w policzek. Uwielbiała jego ten zwyczaj. Niby nic znaczącego, a praktycznie za każdym razem, jak skądś wracał lub dokądś wychodził, witał się lub żegnał w ten uroczy sposób. Momentalnie całe napięcie gdzieś zniknęło. Zamknęła oczy, licząc, że partner tego nie widzi, zrobiła trzy wdechy i zaczęła:

– Czytam dokumenty związane z Dutkiewiczem. Przed chwilą przyszedł mail od technika w sprawie komputera.

– W końcu – skomentował Kamiński, po czym wyjął z szafki dwie szklanki i schylił się po plastikowy kubek z dzióbkiem dla młodego.

– Okazało się, że… – Parsknęła, widząc jak syn próbuje wspiąć się na kanapę. – Zresztą chodź, sam zobacz.

Marek nalał im do szklanek wody z cytryną, a Mikołajowi zwykłej. Zgarnął wszystko i usiadł obok Doroty i syna.

Przez kilka sekund patrzył z niedowierzaniem, po czym prychnął, wypluwając z siebie małe drobinki śliny, które z impetem poleciały na ekran komputera.

– Przepraszam. – Wyciągnął w stronę urządzenia rękaw i przetarł go. – No, tego się nie spodziewałem.

Spojrzał na Dorotę i pokręcił głową. Na ekranie mieli zdjęcie zmarłego aktora. Według wielu niezwykle przystojnego, średnio obdarowanego talentem aktora, który producentom, reżyserom przyciągał spore tłumy przed telewizory czy na sale kinowe.

Patrząc na ekran, policjanci dobrze wiedzieli, że gdyby to, na co patrzą, wypłynęło, jego notowania spadłyby na łeb na szyję.

– Ten szlafroczek jest całkiem ładny – odezwał się jako pierwszy Kamiński, śmiejąc się pod nosem.

– Ładnie byś w takim wyglądał.

Dorota wyświetliła kolejne zdjęcie, na którym zmarły Norbert Dutkiewicz prężył się do obiektywu ubrany w damskie ciuszki.

– Widzimy, że miał lekkie zapędy trans. Myślisz, że był homoseksualistą? – spytała po chwili policjantka.

– Bardziej chyba bi.

– No nie wiem. Może żona to była tylko przykrywka. Kiedyś Tymek opowiadał mi, że wielu gejów tak wstydzi się swojej orientacji, że tkwią w związkach heteroseksualnych latami, a czasem do końca swoich dni, bojąc się ostracyzmu.

– I myślisz, że w przypadku Dutkiewicza też tak było?

– Nie wiem, czy był gejem, ale wydaje mi się, że część jego fanek byłaby zawiedziona i już nie patrzyła na niego jak na bożyszcze, mając z tyłu głowy jego zdjęcia w podomce.

– No faktycznie, tylko co to nam daje? – Kamiński obrócił się w stronę policjantki i schylił po swoją szklankę.

– Wydaje mi się, że bardzo dużo, oczywiście jeżeli potwierdzą się moje podejrzenia.

– A jakie one są? – Kamiński obrócił głowę i zerknął na syna. Ten zrezygnował ze wspinaczki na kanapę i ruszył w stronę szafki z butami, gdzie zaczął demolować ustawione przy wyjściu obuwie.

– A co, jeżeli jego agent go szantażował?

– Hmm… To miałoby sens. I mogłoby stanowić dobry powód do ściągania od niego większych opłat i olewania go w dogodnym dla siebie momencie.

– Właśnie, a w takim wypadku nie dość, że mielibyśmy doskonałego potencjalnego mordercę, to na dodatek zaczęłaby się niezła jatka. Myślę, że coś takiego mogłoby stanowić podstawę do podważenia testamentu. Wydaje mi się, że

sąd mógłby go unieważnić.

– O ile faktycznie jest o co kopię kruszyć. Czasami okazuje się, że niewiele tego jest.

– No tak. Trzeba to sprawdzić. Mam już ten dokument, ale nie zdążyłam jeszcze zapoznać się z całością, skupiłam się na tym, kto dziedziczy.

W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi, które po chwili się otworzyły. Stanęła w nich zakapturzona postać.

– I jest nasza wybawicielka. Dzień dobry raz jeszcze. – Marek podniósł się z kanapy, zabierając swoją szklankę.

– Dzień dobry. Widzę, że nasz młodzieniec świetnie się bawi, to ja może coś ugotuję. – Wanda uśmiechnęła się do obojga i nie pytając o zdanie, ruszyła do kuchni.

– Jesteś aniołem – rzuciła Czerwińska i również podniosła się z kanapy. – Bez ciebie byśmy źle skończyli.

– Oj, już przestań. Dalibyście sobie radę, tylko może byłoby wam ciężej. A tak możecie pracować w spokoju, łapać tych przestępców, a ja miło spędzam czas z najsłodszym dzieciakiem w okolicy.

– Otóż to. – Marek podszedł do syna, ale widząc jego zaangażowaną minę podczas zabawy butami, zrezygnował i ruszył w stronę drzwi wejściowych. – To my z panną Dorotką lecimy pomęczyć ludzi. Jakby coś, to jesteśmy pod telefonem, jak to mawiał pan Pikuś.

Pół godziny później stanęli przed mieszkaniem rodziców BobyLona, a dokładniej Jakuba Wronkowskiego, bo tak naprawdę nazywał się youtuber. Czerwińska sprawdziła nie tylko to. Młody człowiek urodził się 12 czerwca 2002 roku w Pruszkowie, ale praktycznie całe życie mieszkał w Warszawie. Rodzice przeprowadzili się do stolicy, zmęczeni ciągłymi dojazdami. To tutaj skończył podstawówkę, gimnazjum i liceum, po którym poszedł na studia graficzne. W swoich mediach społecznościowych wrzucał relacje z przygotowań. Pisał, jak mu zależy na tym kierunku. Jednak marzenia marzeniami, a życie z reguły weryfikuje plany. Po roku zrezygnował. W filmiku lakonicznie tłumaczył, że to jednak nie jest dla niego i woli nagrywanie filmów, może za jakiś czas spróbuje dostać się na studia reżyserskie lub tworzenie gier.

Sam jakoś mocno nie rozwijał tematu, ale kilka osób, które niezbyt za nim przepadały, wytknęło mu, że niezależnie, gdzie by poszedł, po jakimś czasie by zrezygnował, bo nie wygląda na takiego, co lubi się uczyć, i widać, że książki go przerastają.

Czerwińska po kilku nieprzychylnych komentarzach, pod którymi szybko pojawiły się równie kąśliwe riposty od zwolenniczek BobyLona, zrezygnowała z czytania gównoburzy, która pojawiała się zawsze i wszędzie, niezależnie od tego, czy wpis, artykuł czy filmik dotyczył jakiejś kontrowersyjnej sprawy, czy przepisu na makowiec. Każda okazja do kłótni i wyzywania innych była dobra.

Weszli na czwarte piętro nowoczesnego bloku, na którego klatce schodowej na każdym półpiętrze stał jakiś kwiatek. W otwartych drzwiach czekała już na nich młoda dziewczyna zaalarmowana domofonem. Niechlujnie spięte, przetłuszczone włosy, opuchnięte oczy i zgromadzony na dolnych powiekach tusz nie odbierały jej uroku. Czerwińska widziała ją na filmiku z wypadku i wiedziała, że gdyby włożyła w swój wygląd trochę zaangażowania, wiele osób oglądałoby się za nią na ulicy.

– Dzień dobry – odezwała się jako pierwsza policjantka i rozpięła kurtkę. Dynamiczny marsz po schodach spowodował, że na plecach zrobiło jej się gorąco. „Czas wrócić do ćwiczeń”, pomyślała.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko kiwnęła głową.

– To jest komisarz Marek Kamiński, a ja jestem starsza aspirant Dorota Czerwińska. Ty jesteś siostrą Kuby?

– Tak. Julia – wyszeptała. – Proszę wejść. Rodzice czekają na państwa w salonie.

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła ich do środka. Pierwsze, co rzuciło im się w oczy, to wykładzina na podłodze. Nieproszeni zdjęli buty, mimo że jak to kiedyś rozmawiali wieczorem, omawiając dziwne sytuacje z życia policjanta, wchodzenie do kogoś bez butów odziera ich z powagi. Mieli jednak świadomość, że czasami nie wypada ich nie zdjąć, co miało miejsce w zaistniałej sytuacji.

Dziewczyna w milczeniu stała obok, czekając, aż Kamiński pozbędzie się wysokich butów zakładanych raczej na wycieczki w góry, które, jak twierdził, sprawdzają się w każdej sytuacji, a Dorota z przekąsem dodawała, że szczególnie jak trzeba szybko je zdjąć. Przy każdym wyjściu prosiła go, aby wcześniej zaczynał się zbierać, bo zakładanie ich, zresztą jak i zdejmowanie, przeciągało się w czasie.

W końcu ruszyli za dziewczyną, która zaprowadziła ich do sporego pomieszczenia. Nie różniło się od większości, które odwiedzali. Otwarta przestrzeń łączyła funkcje kuchni z jadalnią przechodzącą w salon. Stół na sześć osób, kanapa na cztery. Jedyne, co rzucało się w oczy, to dekoracja jednej ze ścian. Nie postawiono przy niej żadnego mebla, ale powieszono kilkadziesiąt fotografii. Różnych wymiarów. W różnej kolorystyce.

Czerwińska odruchowo podeszła bliżej.

– Kubuś uwielbiał robić nam zdjęcia. – Z pokoju obok wyszła kobieta, najwyraźniej Maryla Wronkowska. Jej

twarz, podobnie jak córki, była blada, a pod oczami straszyły ciemne cienie. – Większość kolegów na komunię dostała rowery, ale on chciał aparat, i to nie ten nowoczesny. Prosił o taki na klisze. Nas wtedy nie było stać, ale chrzestny się szarpnął. O matko, jak on to uwielbiał. Czasami nie nauczył się na klasówkę lub nie odrobił pracy domowej, bo siedział w ciemni i dłubał przy nich.

– Piękne – skomentowała Czerwińska, nie naciągając rzeczywistości. – Chcielibyśmy z państwem porozmawiać.

– Tak. Słyszałam – westchnęła. – Roman, chodź tutaj.

Po kilku sekundach do pokoju wszedł mężczyzna. Wyglądał na dużo starszego od małżonki.

– Dzień dobry – przywitali się policjanci w tym samym momencie.

– Chcielibyśmy zająć państwu chwilę. Mamy pytania odnośnie do państwa syna – odezwał się Marek.

Żadne z nich nie odpowiedziało, tylko kiwnęli głowami potakująco. Wszyscy usiedli przy stole, co nadzorowała córka gospodarzy.

– Rodzice cały czas nie mogą uwierzyć w to, co się stało. Mam wrażenie, że umarli razem z nim – wyszeptała dziewczyna, ale stojąc tak blisko, raczej nie mogła liczyć na to, że żadne z nich nie usłyszało.

– Jeszcze nie umarliśmy – westchnęła kobieta. – Ale czasami tego żałuję. Byłoby nam łatwiej.

– Wam – wycedziła przez zaciśnięte zęby Julia Wronkowska. – Zapominacie, że jestem jeszcze ja. Macie dla kogo żyć.

– Przepraszam… – Uśmiechnęła się smutno do córki. – Proszę pytać. Chcemy mieć to za sobą.

– Czy ostatnio Kuba zachowywał się jakoś inaczej?

– Nie, jak zwykle rzucał żartami. Nawet jak… – Dziewczyna przerwała i zaczęła płakać. – Boże, gdybym nie podsunęła mu tego durnego pomysłu z jednorożcem, pewnie nadal by żył.

– Proszę tak nie mówić. – Kamiński nachylił się, jakby chciał pogłaskać ją po dłoni, ale szybko się cofnął. – Przeglądałem profil pani brata i on lubił się narażać. Skoki ze skał, wspinanie po balkonach. Niestety lubił ryzyko i to było widać. Jakby nie zawisł w centrum handlowym jako jednorożec, coś innego by wymyślił.

– No wiem, ale może to wszystko… – Kiwnęła głową na rodziców, ci jednak patrzyli tępo na ścianę pełną rodzinnych zdjęć, na których pojawiła się twarz zmarłego chłopaka. – Ja cały czas liczę, że to jakiś jego chory żart i Kuba wyjdzie z szafy i powie, że tylko udawał. Chociaż wtedy chybabym go zabiła! – zaśmiała się na głos. – To, co przeżyłam w karetce, będzie mi się pojawiało przed oczami do końca życia. Jego krew na moich rękach. Jak rano usłyszałam syrenę, chociaż jak później się okazało, jechała straż pożarna, to momentalnie mnie zemdliło. Może gdybym przyszła wcześniej i sama wszystko sprawdziła…

– Julio, to nie twoja wina – usłyszeli cichy głos kobiety, która nagle wstała i stanęła obok córki. Na jej twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech, a w jej wzroku zatliło się życie. – Tak jak pan powiedział, on się prosił o kłopoty…

– Mamo, nie mów tak.

– Ale taka jest prawda. – Przeniosła wzrok na przybyłych. – I nie chodzi o tę szczeniacką potrzebę ciągłej dostawy adrenaliny do krwiobiegu.

– O co w takim razie chodzi? – wtrąciła Czerwińska.

Dziewczyna zaczęła kręcić głową i nie mogąc udźwignąć świdrującego spojrzenia matki, zakryła twarz rękoma. Sekundy mijały, a w pomieszczeniu panowała cisza przerywana sporadycznymi sapnięciami siostry BobyLona.

– On zachowywał się niestosownie – przemówiła w końcu matka. – Zawsze powtarzałam mu, że nie ze wszystkiego można żartować. Kiedyś jak przyszedł do nas ksiądz na kolędę, Kuba rzucił do niego: „Proszę pana, fajny ma pan szalik”, pokazując na stułę. Miałam wrażenie, że spłonę ze wstydu. Robił sobie żarty z różnych rzeczy, które nie powinny być obiektem drwin, w tym w stosunku do…

– Młodych dziewczyn? – Dorota miała powoli dość tej zabawy w ciuciubabkę.

– Skąd pani wie? – ponownie do rozmowy dołączyła jego siostra.

– Udało nam się dostać do zawartości jego telefonu. Znaleźliśmy tam…

– Jego korespondencję?

– Tak. – Kiwnęła głową, choć nie o to chodziło.

– Prosiłam go, żeby przestał. Tłumaczyłam, że tak nie wolno. On mnie zbywał, że nic złego nie robi, a one same do niego piszą.

– Czy w związku z tym ktoś mu groził?

Kobiety spojrzały na siebie i starsza delikatnie kiwnęła głową.

– Tak – odezwała się cicho Julia. – Kiedyś wpadł do rodziców jakiś facet. Nie wiem, skąd miał adres. Powiedział, że nie odejdzie, dopóki z nimi nie porozmawia. Zagroziłam, że zadzwonię na policję, a on tylko parsknął śmiechem.

Zakomunikował, że on ma zdecydowanie poważniejsze powody, aby to zrobić. Bałam się, ale w końcu wpuściłam.

Ponownie zamilkła.

– Zaczął oskarżać Kubę o straszne rzeczy – wtrąciła się do rozmowy matka chłopaka. – Ja nie wierzę, że mój Kubuś mógł to zrobić.

– Mamo, proszę, przestań. – Teraz to dziewczyna objęła matkę. Widać było, że łączy je silna więź.

Mężczyzna natomiast ani przez sekundę nie wyraził zainteresowania prowadzoną przez nich wymianą zdań. Cały czas bawił się swoimi palcami.

– Co dokładnie mówił? – spytał Kamiński spokojnym tonem, bacznie obserwując kobiety.

– Że Kuba… Że on… – Starsza z nich zaczęła płakać, a córka jeszcze mocniej przytuliła ją i zaczęła głaskać po głowie.

– Mamuś, nie daj się temu pochłonąć. To… – Dziewczyna nie skończyła, jakby bała się powiedzieć prawdę.

– Czy on oskarżał Jakuba o molestowanie? – nie wytrzymała w końcu Czerwińska.

– Tak – szepnęła jego matka. – I to molestowanie osoby poniżej szesnastego roku życia. Pokazywał nam wiadomości, które Kuba rzekomo pisał do jego córki. Czytałam je, licząc, że może to pomyłka, ale wszystko przemawiało za nim. Numer się zgadzał, styl pisania, wrzucał tam te swoje głupkowate dowcipy. No i jeszcze były…

– Zdjęcia – skończyła zdanie młodsza, cały czas głaszcząc mamę po ramieniu.

– One były chyba najgorsze. Ta dziewczynka miała wtedy raptem czternaście lat. Nikt nie powinien jej tak dotykać. Boże, co ja narobiłam…

– To nie pani wina – rzuciła Dorota, nie do końca czując, że mówi prawdę.

– Mogłam wcześniej coś zauważyć. Może bardziej go pilnować. Zawsze lubił zaczepiać dziewczynki. Ciągał je za warkocze lub robił inne psikusy. Kiedyś jedną pocałował w usta, mimo że nie chciała. Miał wtedy z pięć lat. Sądziłam, że to takie szczeniackie psoty, ale teraz nie wiem, czy to nie był początek czegoś strasznego.

– Mamo, nie mów tak. To nie twoja wina.

– Mogą panie nam powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie? – wtrącił Kamiński, a Czerwińska kiwnęła mu głową w ramach podziękowania. Sama nie miała odwagi przerywać kobietom.

– Nazywa się Stefan Babicz. Jego córka to Laura. Urocza dziewczynka. Pokazywał nam jej zdjęcia sprzed tego wszystkiego. Niestety potem się załamała. Przestała wychodzić z domu. Rzuciła grę na gitarze.

– Potem, czyli po czym?

– On twierdził, że Kuba ją zgwałcił. Dlatego, żeby nie robić mu problemu i żeby zorganizować córce zadośćuczynienie, żądał pieniędzy.

Policjanci spojrzeli na siebie.

– Dostał je?

– Nie tyle, ile chciał – tym razem odezwała się siostra. – Nie mieliśmy tyle.

– A ile dostał? – Czerwińska zacisnęła pięści.

Nie mogła uwierzyć, jak ludzie są podli i wykorzystują innych w stresowych sytuacjach. Te wszystkie akcje na wnuczka powodowały, że wiele osób wpadało w sidła nieuczciwych ludzi, a opowiadana historia również brzmiała jak tego typu naciągactwo.

– Pięćdziesiąt tysięcy.

– A ile chciał? – dopytywała dalej.

– O sto więcej.

– Rozumiem, że sprawa nigdy nie została zgłoszona na policję?

– Nie. Ten facet tłumaczył, że pieniądze są lepszym rozwiązaniem niż wyrok. Jego córka nie musi znosić kolejnej traumy związanej ze składaniem zeznań.

– Poznały panie tę dziewczynkę? – spytała Czerwińska, patrząc raz na jedną, raz na drugą kobietę.

– Nie – zaprzeczyły obie jednocześnie.

– Co na to pani syn? – skierowała pytanie do matki, która trzymając córkę za dłoń, smutno patrzyła na policjantkę.

Kobieta potrząsnęła głową przecząco.

– On nigdy się o tym nie dowiedział. Nie miałam serca pytać. I tak czułam się źle z tym wszystkim. Poza tym on…

W pomieszczeniu ponownie zapadła cisza, a obie kobiety odwróciły nagle głowy, jakby bały się, że któraś zostanie wywołana do odpowiedzi.

– Co się z nim działo?

– Był wtedy w szpitalu – odezwała się wreszcie Julia Wronkowska. Powoli obróciła głowę. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Zachorował?
– Nie, chciał się zabić.

Rozdział 17

Otrzymane od Wronkowskich dokumenty medyczne potwierdziły ich słowa. Chłopak cztery miesiące wcześniej próbował odebrać sobie życie. Zażył garść tabletek przeciwbólowych, po czym zapił alkoholem. Znalazła go pokojówka hotelowa, która przyszła posprzątać. Na szczęście udało się go uratować. Szybka interwencja medyczna i płukanie żołądka. Na dodatek wszystkie osoby, które o tym wiedziały, trzymały język za zębami, dzięki czemu informacja ta nigdy nie dostała się do mediów.

Kuba Wronkowski spędził tydzień w szpitalu, a następnie pojechał na dwa kolejne do ośrodka, gdzie poddał się leczeniu psychoterapeutycznemu. Z tego, co opowiadała im siostra zmarłego, brat miał świadomość, że robi rzeczy, których nie powinien, i czuł się z tym źle. Zerwał kontakty ze wszystkimi, którzy ciągnęli go na dno. Ograniczył imprezy, a jak szedł na jakąś, to zabierał Julię jako kogoś na kształt przyzwoitki. Zmienił numer telefonu i skasował wszystkie kontakty, które miały na niego zły wpływ.

Wszyscy liczyli, że to koniec kłopotów. Jednak Czerwińska i Kamiński wiedzieli, że wrócił na złe tory.

– Przyczyną śmierci była utrata krwi, a tym samym niedotlenienie i śmierć mózgu. Według lekarza musiał bardzo cierpieć. – Czerwińska padła na krzesło, które wydało dźwięk niezadowolenia, jakby zaraz miało się rozpaść. – Dodatkowo pod wpływem upadku pokiereszowały mu się nieźle narządy wewnętrzne. Nie miał szans przeżyć, nawet gdyby udało im się zatamować krwawienie. Świat schodzi na psy. Chłopak miał tysiące obserwujących…

– Milion – poprawił ją Kamiński.

– Milion czy trylion obserwujących. Wydawałoby się, że powinien być świetnym człowiekiem, a okazuje się, że był nikim. Gogusiem, który wykorzystywał swoją sławę do molestowania niewinnych dziewczyn.

– Niestety, smutne to. Wydaje mi się, że sława zawsze przyciąga za duże zainteresowanie, a jak trafi na niewłaściwy obiekt westchnień, ten prędzej czy później zacznie to wykorzystywać. A co jest najgorsze, ofiary boją się lub z jakichś względów nie chcą tego ujawniać. Zupełnie nie kumam.

– Jesteś facetem. – Czerwińska obróciła się na swoim fotelu i przekrzywiła głowę.

– I co z tego?

– Generalnie nie ma w tym nic złego, a powiedziałabym, że nawet wynika z tego całkiem sporo dobrego – puściła do niego oczko – ale w kwestii zrozumienia kobiecych uczuć masz spore braki. Ale w sumie co się dziwię, takie straszne rzeczy cię nie spotykają.

– Mnie?

– W sensie was, facetów. Przeważnie to kobiety są mobbingowane, molestowane. Jako słabsze jednostki są wykorzystywane przez facetów lub silniejsze koleżanki. I później po wszystkim wcale nie jest łatwo pójść do kierownictwa czy na policję i opowiedzieć o wszystkim obcej osobie. Zwykle ofiary mają problem z opowiedzeniem o takich rzeczach bliskim, a co dopiero facetowi na komisariacie, bo niestety z reguły pracują u nas panowie.

– Spotkało cię coś takiego? – zapytał Kamiński z lekkim drżeniem w głosie, choć bał się odpowiedzi.

– Na szczęście nie, ale znam sporo kobiet, które miały jakieś niezbyt fajne sytuacje, a jedna została zgwałcona.

– Jezu, nie wiedziałem – skomentował podniesionym głosem, a na jego czole pojawiła się żyła, która zawsze wychodziła mu w stresowych sytuacjach.

– Nie mówiłam ci. – Wzruszyła ramionami. – Bo i po co? Wszystkie te koleżanki nie chciały niczyjej pomocy. Twierdziły, że i tak nic to nie zmieni. Tylko jedną udało mi się przekonać do zgłoszenia tego na policję. Reszta się wstydziła. Nikt nie chce o takich rzeczach opowiadać. Poza tym gdy słyszę, jak niektórzy opowiadają, że to kobieta sama się prosiła, bo miała dekolt czy krótką spódniczkę, to nóż w kieszeni się otwiera.

– Niestety to się zdarza… – Mężczyzna wypuścił głośno powietrze. – Dobra, zmieniając temat, udało się namierzyć tego faceta, co szantażował rodzinę Wronkowskich?

Czerwińska pokręciła głową przecząco i odwróciła się z powrotem w stronę swojego biurka.

– Zapadł się pod ziemię. Nie mogę namierzyć nikogo o takim imieniu i nazwisku. Podany numer nie odpowiada. Był na kartę. Co cię nie zdziwi, został zarejestrowany na jakiegoś prawie stuletniego dziadka i jest już nieaktywny.

– Szkoda, że nie wysłali mu przelewu…

– I szkoda, że nie zostawił skanu dowodu – wtrąciła kobieta, po czym się zaśmiała.

– Oj, przestań. Fajnie by było, ale nie tym razem. Mężczyzna zapadł się pod ziemię i co najgorsze, zupełnie nie

wiadomo, gdzie go szukać.

– A może on nie istnieje?

– No nie wiem. Jeżeli miałbym wymyślać niestworzone możliwości, to postawiłbym bardziej na to, że facet chciał wyłudzić pieniądze i znalazł sobie jelenia.

– Czyli dowiedział się o pociągach chłopaka do zdecydowanie zbyt młodych dziewczyn i to wykorzystał?

– Właśnie, mało było takich przypadków? – Obrócił się w stronę komputera i zaczął stukać w klawiaturę.

– Ja osobiście nie znam żadnego takiego – skwitowała Czerwińska.

– Moja droga, mało wiesz o życiu.

– Moja droga – zaśmiała się. – Jeszcze tak do mnie nie mówiłeś.

– Wiele jeszcze przed nami. – Otworzył pocztę i zaczął przenosić do kosza spam. – A co do dziwnych akcji, to dawno temu, w erze dinozaurów, miałem podobny przypadek. Facet dostawał listy z pogróżkami. Zawsze na adres firmowy. Zawsze bez znaczka. Ktoś twierdził, że wie o jego zdradach wobec żony. Zaczęło się poszukiwanie, kto to może być, ponieważ te pogróżki brzmiały dość groźnie. „Jak nie zapłacisz, zrobimy ci krzywdę". Akurat wtedy dużo było o porwaniach i facet się przestraszył. Prosił o dyskrecję, ale odmówiliśmy. Jego żona musiała się o tym dowiedzieć. Co śmieszne, nie była zaskoczona. Od dawna coś przeczuwała i sama święta nie była.

– Dobre.

– Dość nietypowe. No, ale śledztwo trwało. Kobieta się wyprowadziła, a my szukaliśmy. Okazało się, że źle do tego podeszliśmy. Wyszliśmy z założenia, że to pewnie partner kochanki albo ktoś z jej otoczenia. Ale nie! Był to zupełnie obcy facet. Wpadliśmy na niego, jak zostawiał kolejny list. Prawie go zignorowaliśmy, bo myśleliśmy, że to jakiś bardziej rzutki typek. A ten wyglądał, jakby nie jadł od miesiąca. Przyjechał na rozklekotanym rowerze, co piszczał jak cholera. Po długiej rozmowie okazało się, że go zwolnili z pracy. Najemca groził eksmisją. Poszedł z kolegą na wódkę i wtedy przyszedł zdradzający. Siedział obok i pił samotnie piwo. Zaczęli gadać i nagle każdy się otworzył i wylał swoje smutki. On akurat narzekał na żonę i kochankę. Potem następnego dnia przypadkiem mijali się przed firmą zdradzającego, ale on nie poznał swojego rozmówcy.

– Aha… – Czerwińska zamyśliła się i obróciła w jego stronę. – Nie rozumiem podobieństwa do naszej sprawy.

– No w sumie to ja chyba też. Ale jakby bardzo naciągnąć, to może są jakieś.

Rozdział 18

Telefon od Grzelczyk ją zaniepokoił. Głos koleżanki brzmiał dziwnie. Zazwyczaj pewna siebie kobieta szeptała niczym złodziej na robocie. Nie chciała powiedzieć nic więcej ponad to, że ma problemy i chciałaby porozmawiać.

Niestety moment wybrała sobie niezbyt dobry. Dorota niechętnie się zgodziła, mimo że nie tak chciała spędzić popołudnie, ale nie potrafiła odmówić. Odmawianie komuś pomocy nie było spójne z jej charakterem. Od jakiegoś czasu planowała zabrać swoich mężczyzn, jak często ich nazywała, do parku wodnego. Kupiła specjalnie na tę okazję pieluszki dla małych pływaków i koło, które poleciła jej przyjaciółka. Sama nawet sprawdziła opinie i praktycznie każda mama chwaliła pod niebiosa dziwnie wyglądające koło, które podobno rewelacyjnie sprawdza się przy niemowlakach.

– Następnym razem – powiedziała sama do siebie.

Ubrała się ciepło, ponieważ temperatura mimo połowy kwietnia nie rozpieszczała, i wyszła z domu. Marek nie miał nic przeciwko wieczorowi z synem, a wręcz się ucieszył, że Dorota wychodzi z domu i jej życie nie ogranicza się do pracy, syna i jego.

Umówiły się na Chmielnej. Nie planowały niczego konkretnego. Totalny spontan. Tym razem nie miały miło spędzić czasu. Był problem do rozwiązania i Czerwińska swym policyjnym nosem czuła, że nie będzie to łatwa sprawa.

Zauważyła ją już z daleka. Szła jak zwykle wyprostowana niczym struna z głową podniesioną wysoko, chociaż jej chód był inny niż zazwyczaj. Wolniejszy, cięższy, tak charakterystyczny dla osób, które coś trapi. Po krótkim przywitaniu ruszyły spod kina Atlantic w stronę Nowego Światu.

– Wiecie coś więcej o tym, kto mi zabił Dutkiewicza? – odezwała się Grzelczyk.

Czerwińska dobrze wiedziała, że nie uniknie pytań o pracę, szczególnie że prowadzone aktualnie sprawy dość mocno przebiły się do mediów i cały czas nie schodziły z głównych serwisów lub promowanych stron z newsami.

– Sama nie wiem. Dotychczas panował niezły harmider informacyjny. Każda kolejna wskazówka była w sprzeczności z poprzednią. Istny koszmar.

– Ale jak to?

– Żona mówiła, że on się nad nią znęcał. Jego wspólnik upierał się, że to cudowny facet. Rodzice go nienawidzili, a on swój majątek oprócz domu przepisał na gościa, którego nikt nie zna.

– Faktycznie nie ma to sensu. Ale tak zabrzmiałaś, jakbyście coś innego odkryli.

Czerwińska się zawahała. Nie powinna zdradzać szczegółów prowadzonego śledztwa. Ale przecież obok niej szła jedna z najlepszych policjantek, jakie poznała…

– Nie wiem, czy facet nie był szantażowany przez swojego agenta.

– Chrzanisz?! – Grzelczyk aż zwolniła. – Matko, a co miał na niego?

– No właśnie nie wiemy jeszcze, czy to prawda, ale niektóre fakty za tym przemawiają.

– Wiesz, że na końcu może się okazać, że wszystko zupełnie inaczej wyglądało.

– Wiem, ale… – Nie skończyła, bo nagle wpadła na nią jakaś mała dziewczynka.

– Przepraszam – rzucił idący obok niej mężczyzna, a wyglądająca na jego córkę młoda uśmiechnęła się słodko.

– No dobra, a dlaczego go szantażował? – Grzelczyk ściszyła głos. Obie dobrze wiedziały, że tajemnica śledztwa jest święta i nawet przypadkowego jej ujawnienia należało unikać jak ognia.

– Ulubieniec tłumów miał swój słodki sekret. – Czerwińska aż uśmiechnęła się na myśl o zdjęciach znalezionych na jego komputerze. Niestety poza nimi nie trafili na nic podejrzanego. Żadnej korespondencji z agentem, w której by o tym wspominali. Ich wymiana wiadomości raczej była dość chłodna i pozbawiona elementów świadczących o jakiejkolwiek zażyłości. Tak naprawdę jednak mogło to o niczym strasznym nie świadczyć. Nie każdy musiał komunikować się w wylewny sposób. – On lubił ubierać się w damskie ciuszki.

– No nie! – Tym razem Grzelczyk stanęła na środku Chmielnej. Ludzie przechodzili obok, a ona ze smutną miną tkwiła pośród nich. – Świat się kończy – rzuciła po chwili i ruszyła. – I jak tu wierzyć w cokolwiek? Takie ciacho. Ja już przestanę komukolwiek ufać. Facet wyglądał, jakby testosteron buchał mu uszami, a teraz okazuje się, że to wszystko jakaś iluzja. Tylko pliz, nie mówi, że przy tym był gejem. Nie mam nic do nich, ale jakoś średnio bym to wytrzymała.

– Tego nie wiemy – powiedziała Czerwińska zgodnie z posiadaną wiedzą.

– Uff, a co z drugą sprawą? Jednorożca?

– Też mamy niewiele. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że media doszukują się powiązania z aktorem.

– Dziwisz się? – Doszły do końca Chmielnej i stanęły. – W którą stronę idziemy?

– Na Starówkę? – zaproponowała Czerwińska. – Ja wiem, że oba morderstwa są dość szokujące, ale ja bym na razie nie robiła z tego serii.

– A ja bym jednak powęszyła pod tym kątem. Poza tym ta akcja ze spadającym jednorożcem jest jakaś przerażająca. Gdybym była w tym centrum handlowym i coś takiego zobaczyła, nigdy więcej bym zakupów nie zrobiła w takim miejscu.

Dorota zaśmiała się. Towarzystwo koleżanki, mimo że trochę wymuszone, sprawiało jej przyjemność.

– Poza tym zawsze lubiłam Boba, miał spoko poczucie humoru.

– Ale też lepkie łapki – rzuciła Czerwińska.

– No co ty? W życiu bym nie pomyślała. Wyglądał na miłego, potulnego misia… – Grzelczyk pokręciła głową.

– Misia, co lubi dzieci, jak Uszatek.

– O matko.

– Dobra, ale nie o tym miało być. Co się dzieje?

Grzelak przyspieszyła kroku, jakby to pytanie ją spłoszyło. Dopiero gdy tłum się przerzedził, zwolniła, po czym stanęła i przysiadła na ławce ustawionej wzdłuż ulicy. Czerwińska usiadła obok i czekała. Dobrze wiedziała, że w takich sytuacjach nie ma co popędzać. Sama zawsze musiała dojrzeć do trudnej rozmowy.

– Teraz ja dostałam anonima… – Jej głos drżał, a prawa noga rytmicznie unosiła się i opadała.

– Robi się ciekawie.

– Trochę tak, ale wolałabym nudę jak kiedyś.

– Nie dziwię się. I co dostałaś?

– Wiadomość SMS. – W tym momencie rozpięła kurtkę i z wewnętrznej kieszeni wyjęła telefon. Zanim go jednak włączyła, obejrzała się przez ramię, jakby obawiała się, że ktoś je śledzi. W końcu wpisała kod i po chwili podsunęła koleżance rozświetlony ekran. – „Fajnie będzie z tobą współpracować”. Uśmieszek. „Pamiętaj, rodzina ponad wszystko”. I tyle.

– Współpracować? – Czerwińska raz jeszcze przeczytała tekst. – Ale w jakim zakresie?

– No żebym ja wiedziała, tobym się przygotowała. Jak chce, żebym mu dom wykończyła, to spoko, mam doświadczenie. To zawsze ja malowałam ściany, tynk naprawiałam, a raz nawet zamontowałam klozet. Za to gotowanie i sprzątanie…

– Chyba nie o to mu chodzi.

– Wiem – prychnęła Grzelczyk, a jej wargi uderzyły o siebie kilkakrotnie. – Myślę o tym od momentu, kiedy dostałam wiadomość, i nic. Boję się, że to jest jakiś chory pomysł. Boję się, że każe mi zrobić coś, czego bardzo nie będę chciała. Boże, nie wiem, co wtedy zrobię.

– To jak z samochodami autonomicznymi.

– Co?

– No, tymi, co same jeżdżą. Czytałam kiedyś, że mają z nimi dość nietypowy problem, o którym nikt wcześniej nie pomyślał. – Dorota ściszyła głos, widząc zbliżającą się do nich młodą dziewczynę. Dopiero gdy ta je minęła, zaczęła dalej mówić: – Generalnie chodzi o to, że projektanci nie tylko muszą zapewnić rozwiązania umożliwiające przewożenie ludzi bez kierowcy, ale również wgranie pewnych zachowań.

– Zachowań?

– No tak, muszą zdecydować, jak samochód ma się zachować w sytuacjach zagrożenia. Najbardziej hardcorowe to są te, gdy ma na przykład zdecydować o tym, kto ma zginąć. Bo wyobraź sobie sytuację, gdy z naprzeciwka na czołówkę jedzie samochód, po prawej jest inny, a poboczem idzie rodzina z dwójką dzieci. W kogo ma walnąć?

– O ja pierdzielę.

– No właśnie. To są takie dylematy, które trzeba maszyną zaprogramować.

– Nie chciałabym być takim człowiekiem, co ma o tym decydować.

– Ja też nie. – Czerwińska wyciągnęła z kieszeni telefon. Dochodziła dziewiętnasta. O tej porze kąpią młodego.

– Przecież to zabawa w Boga.

– No właśnie.

– Jezu, ja mam nadzieję, że nic takiego mnie nie czeka. Ale jeżeli ktoś podstępem wyciągnął od mojego brata informacje, żeby później nastraszyć moją siostrę, a następnie zapowiedzieć się u mnie, to znaczy, że mam się czego bać.

– Pamiętaj, że masz mnie. – Czerwińska uśmiechnęła się, próbując tym pocieszyć koleżankę.

– Dziękuję. A jak myślisz, czego on chce?

– Czemu zakładasz, że to facet?

Gdy Grzelczyk usłyszała pytanie w odpowiedzi na swoje, popatrzyła z ukosu na koleżankę i wzruszyła ramionami.

– W sumie to nie wiem. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby jakaś kobieta innej kobiecie mogła coś takiego zrobić.

– Generalnie to się zgadzam, tylko żebyś przez te założenia nie przegapiła prawdziwego sprawcy.

– Wiem. Tylko jak to powtarzał mój kolega, zacznijmy od „dlaczego?".

– W sumie to ma rację.

– Miał. – Kąciki ust Grzelczyk momentalnie opadły w smutnym grymasie. – Zginął dwa lata temu w strzelaninie.

– Przykro mi.

– Dzięki. Wojtek uwielbiał pchać się w sytuacje bez wyjścia. Wszyscy, łącznie z jego dziewczyną, wiedzieliśmy, że nie dożyje czterdziestki. Zmarł, mając trzydzieści sześć lat. Ale zostało mi w głowie wiele jego myśli, bo poza szaleństwem miał w sobie wielką mądrość. I to pytanie „dlaczego?" zawsze mi towarzyszy. Więc…

– Dlaczego? – Czerwińska wypowiedziała to słowo i zorientowała się, że zbyt rzadko stawiała sobie to pytanie, prowadząc sprawę. Zawsze było „kto?", „w jaki sposób?", ale „dlaczego?" gdzieś umykało. – Może ma do ciebie jakieś pretensje. Coś mu zrobiłaś. Jak sama pewnie dobrze wiesz, zemsta to jeden z częstszych powodów przestępstw.

– I zazdrość – wtrąciła Grzelczyk.

– Tak, ale nie wiem, czy w twoim przypadku mogłaby kogoś popchnąć do czegoś takiego.

– A co, nikt nie mógłby mi zazdrościć?

– Oczywiście, że mógłby, taka superbabeczka na bank wywołuje trochę zazdrości, szczególnie wśród pipowatych facetów! – Obie zaśmiały się na głos. – Jak ten facet, co mu auto parkowałaś, ale jakoś nie wiem, czy to w tej sprawie ma zastosowanie.

– Faktycznie, tamten był totalnym zaprzeczeniem mojego wyobrażenia o podziale kompetencji według płci. Faceci jeżdżą pewnie, ale noga z gazu im nie schodzi, a kobiety jak ostatnie ciamajdy, ale bezpiecznie.

– Też mam takie spostrzeżenia, co potwierdzają statystyki, poważne wypadki powodują faceci, bo za bardzo wciskają gaz w ziemię, a babki odpowiadają za kolizje.

– Ale nie sądzę, aby jakiś facet chciał się na mnie z zazdrości wyżywać. Nie w taki sposób.

– To według ciebie dlaczego? – Ostatnie słowo zaakcentowała.

– Hmm… No właśnie problem polega na tym, że nie wiem. Wszystko, co przychodzi mi do głowy, jest jakieś irracjonalne.

– Zofia, heloł, a czy w naszej pracy wszystko jest racjonalne? Facet, który dusi swoje dziecko, bo widzi w nim szatana. Albo bójki na noże przy obiedzie rodzinnym, bo siedzący przy stole ludzie mają inne poglądy. Przecież to są jakieś absurdy.

– No tak, masz rację. – Grzelczyk pokiwała głową i obróciła się w stronę koleżanki. – Jakoś nic nie mogę wymyślić. Ale jest jeszcze druga sprawa. Gorsza. Czego ten człowiek chce ode mnie?

– Nie wiem. – Dorota włożyła ręce do kieszeni. Powoli zaczynała odczuwać brak rękawiczek. – Niestety przychodzą mi do głowy same głupie pomysły.

– Jakie?

– No… – Czerwińska zawahała się.

– Dajesz, zobaczymy, czy są tak samo odjechane jak moje. – Kobieta zaśmiała się smutno.

– Może chce cię wykorzystać do zabicia kogoś – rzuciła Dorota i od razu pożałowała.

Tym razem Grzelczyk nie odezwała się od razu. Jej twarz jeszcze bardziej stężała, przypominając rzeźbę.

– Też o tym myślałam. Poza tym o porwaniu kogoś. Lub kradzieży. Z tego bym się może nawet ucieszyła. – Oparła łokcie na udach i ułożyła brodę na złączonych dłoniach. – Najgorsze jest to czekanie i wymyślanie. Ten ktoś wie, czego chce, i bawi się ze mną, a ja nie mogę zupełnie nic zrobić, a by go ponaglić.

– Współczuję. Może sprawdzę numer? – zaproponowała Czerwińska.

– Myślę, że był jednorazowy. Próbowałam dzwonić i nie działa. Na wiadomości też nikt nie odpisuje.

– I co teraz planujesz?

– Ja mało mogę zrobić, ale ty… – Uśmiechnęła się niepewnie do koleżanki. Czerwińska dobrze wiedziała, że ten moment prędzej czy później nastąpi, ale teraz nie czuła się z tym komfortowo. – Mimo że już nie działa, chciałabym, abyś go sprawdziła.

– Tylko wiesz chyba, że do tego potrzebny jest nakaz prokuratora?

– Wiem, dlatego… – Zawiesiła głos i zrobiła minkę na miarę kota ze Shreka. – Mogłabyś dorzucić go do listy nu-

merów do sprawdzenia przy sprawie któregoś z tych znanych gości. Zawsze jest kilka i nikt na to nie patrzy.

– No nie wiem… – Dorota zawahała się. Nigdy nie lubiła takich sytuacji. Zawsze działała prawidłowo, zgodnie z przepisami, ale w zasadzie nigdy życie nie rzuciło jej pod nogi takich kłód, jakie przypadły w udziale Zofii. Dobrze wiedziała, że na jej miejscu postąpiłaby dokładnie tak samo. – Spróbuję, ale niczego nie obiecuję

– Bożeee, dziękuję! – pisnęła niczym nastolatka, która właśnie dowiedziała się, że dostała bilety na Arianę Grandę lub Taylor Swift. – Nie wiem, jak się odwdzięczę.

– Oj, już ja coś wymyślę. – Zaśmiała się, a na twarzy koleżanki pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Kilka dni pilnowania Mikusia, jak ja będę obściskiwać się z chłopakiem, w zupełności wystarczy.

– Nie ma sprawy, pokażę mu prawdziwe życie.

– Strach się bać… – Ponownie wyciągnęła telefon.

– Leć już. Nie zatrzymuję, pozdrów Marka i ucałuj młodego. Możesz opowiedzieć mu co nieco o cioci, niech się przyzwyczaja.

Rozdział 19

– Sprawdziliście wszystkie powiązania między aktorem a tym celebrytą? – zapytał prokurator, jak tylko uwinęli się z przyziemnymi uprzejmościami.

– Badamy to – odparł Kamiński, mimo że nie on był adresatem pytania. Mężczyzna, który wpadł chwilę wcześniej do ich pokoiku, stał przed Czerwińską, jakby nie zauważył jej partnera. – W mediach społecznościowych mieli trochę wspólnych znajomych, ale to w dzisiejszych czasach nieuniknione. Wyłapaliśmy tych najsensowniejszych i sprawdzamy. Niestety to dość mrówcza praca.

– Nie narzekamy, harujemy! – Uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby powiedział niezwykle śmieszny dowcip. – A co z rodziną?

– Siostra Jakuba Wronkowskiego nic nie kojarzy. Podała nam nazwiska jego kumpli. Większość to ci sami, z którymi chodził do podstawówki. Podobno nie wchodził łatwo w nowe relacje, więc trzymał się starych ziomków.

– Gadaliście z nim?

– Ja gadałam – odezwała się Czerwińska i sięgnęła po kartkę z notatkami. – Dzwoniłam już do czterech: Romana Ostrowskiego, Maksa Dobrzyńskiego, Wiktora Bobińskiego i Łukasza Kowalczyka. Znali BobyLona od lat, dla nich był kolegą z klasy, który zawsze wszystkich rozbawiał. Generalnie żałoba. Płaczą, wspominają i piją dużo wódki. Nic nowego nie wnieśli, może poza Maksem. Ten się jakoś wczuł, a reszta skupiła się na swoim smutku, zapominając, że nie dzwonię na pogaduchy, ale w ważnej sprawie.

– I co ten cały Maksiu powiedział? – Prokurator przysiadł obok policjantki.

– Otóż wyznał, że jego kolega nie zawsze był uczciwy, jeżeli chodzi o swoje opinie.

– To chyba tak działa, że niektórzy płacą i dostają lepsze recenzje. Podobno każda firma tak robi – skomentował prokurator.

– Tak, oczywiście. – Czerwińska kiwnęła głową. – Ale problem polega na tym, że podobno od niedawna można było zamówić – podkreśliła ostatnie słowo – filmik oczerniający konkurencję.

– Okej, to już słabe. – Kacper Bartoszewski przeniósł wzrok z policjantki na mankiet swojej marynarki i poprawił go.

– Nawet bardziej niż słabe, szczególnie że po jednym z nich jeden starszy pan wylądował w szpitalu.

– Oho, robi się ciekawie.

– I to bardzo. Na razie nie znam danych osobowych i właśnie zaczęłam szukać nagrania, podobno już na YouTube go nie ma, ale gdzieś w sieci powinnam znaleźć.

– I co tam spodziewasz się zobaczyć? – Prokurator wyraźnie się ożywił.

– Podobno Kuba Wronkowski dostał zlecenie od jednego z barów z kebabami z Zielonki. Nowy lokal i właściciel, młody chłopak, który dostał kasę od rodziców, wymyślił sobie, że zamiast skupić się na swojej działalności i promocji, pogrąży konkurencję, czyli pobliski bar z kuchnią polską prowadzony przez starsze małżeństwo.

– I co się stało?

– Nieszczęście. W filmiku BobyLon mocno obsmarował wszystko, co się działo w tym barze. Zaczynając od wystroju, przez wygląd menu, no i oczywiście kończąc na jedzeniu. Maks powiedział, że nigdy wcześniej nie słyszał tak okropnych uwag, wyśmiewania się. Zupełnie nie pasowało to do jego przyjaciela, który zawsze pozytywnie wypowiadał się o odwiedzanych restauracjach czy barach. Podobno na końcu padła jakaś uwaga, jakoby właściciel kradł i nie płacił swoim pracownikom. Jak później przyznał koledze, było to wyssane z palca kłamstwo. Niestety ludzie w sieci łyknęli wszystko. Pod nagraniem zaczęli pisać obrońcy uciśnionych, że trzeba pokazać kolesiowi, że tak nie można. Parę osób postanowiło go odwiedzić. Kilka zwyzywało starszego pana. W sieci pojawiło się mnóstwo nieprzychylnych opinii na temat jego lokalu, jedzenia, mimo że większość pewnie nawet u niego się nie pojawiała. No i po dwóch tygodniach od publikacji nagrania wydarzyło się coś strasznego. Grupka trzech nastolatków postanowiła wymierzyć starszemu panu sprawiedliwość.

– Już się boję – wtrącił Kamiński.

– Jest czego. Podpalili bar. Była dwudziesta trzecia z minutami. Lokal otwarty do dwudziestej pierwszej, więc myśleli, że nikogo w nim nie ma. Niestety pan przygotowywał jedzenie na imprezę urodzinową znajomych na następny dzień. Siedział w małej kuchni i gotował, oglądając coś na komórce. Nie usłyszał krzyków młodocianych przestęp-

ców. Zignorował trzaski walących się mebli za ścianą. Niestety gdy zorientował się, że jest w pułapce, było za późno.

– Zmarł?

– Na szczęście nie, ale było blisko. Obok przechodziła jakaś para. Od razu zaalarmowali służby, a facet próbował wejść do środka, ale bez sukcesu. Gdy starszego pana wynieśli strażacy, nie oddychał. Miał poparzone sześćdziesiąt procent powierzchni ciała.

– Jezus Maria… – skomentował Kamiński, który nie słyszał jeszcze nowych informacji.

– No. BobyLon od razu usunął film. Oddał kasę zleceniodawcy, a potem…

– To wtedy próbował się zabić? – spontanicznie zareagował policjant.

– Tak. Nigdy nie usłyszał żadnego zarzutu, ale według kolegi bardzo to przeżywał. Podobno poszedł do żony poszkodowanego i ją przeprosił. Kobieta nie chciała go słuchać. Wrzeszczała, że prawie zabił jej męża, ojca trójki dzieci i dziadka kilkorga wnuków. Maks sam się tym mocno przejął, bo opowiadał to w niezwykle emocjonujący sposób. Jakub Wronkowski obiecał im pomoc finansową, chciał przelać… z tego, co pamiętam, to chyba sto tysięcy złotych, ale kobieta odmówiła. Powiedziała, że najważniejsze jest zdrowie, a tego nie odkupi.

– Co prawda, to prawda, ale dzięki kasie byłoby im łatwiej – wtrącił prokurator.

– Nie da się ukryć… Chłopak sam na to wpadł i podrzucił paczkę z pieniędzmi pod dom mężczyzny. I tyle. Bar odbudowano, a po wszystkim przyszła fala nowych klientów, bo paru dawnych bywalców zorganizowało zbiórkę i zaczęło opowiadać w sieci o wsparciu, jakie małżeństwo dawało bezdomnym pieskom i tym podobne.

– Można by rzec, że happy end, ale myślę, że jest to powód do zemsty. – Prokurator wstał z biurka i podszedł do niewielkiego okna, z którego rozpościerał się widok na policyjny parking. – Z tego, co powiedziałaś, facet ma dzieci, może one postanowiły wymierzyć sprawiedliwość.

– Myślę, że nawet wnuki by dały już radę, mają po dwadzieścia parę lat – wtrąciła Czerwińska.

– Ich też sprawdź… przepraszam, sprawdźcie ich. – Obrócił się w ich stronę i oparł o parapet. – A co z aktorem? Święty czy fiut nad fiutami?

– Raczej nie należał do najmilszych, skoro niewiele zostawił żonie i nic rodzicom – zaczęła policjantka, zdziwiona doborem słów. Stojący dwa metry od niej mężczyzna wyglądał raczej na kulturalnego i powściągliwego w przekleństwach.

– Może nie zasłużyli – rzucił prokurator.

– Pan tak na serio?

– Jak najbardziej. – Wzruszył ramionami. – Uważam, że więzy krwi czy małżeństwo nie są wystarczającym powodem do zapisania takim osobom wszystkiego w testamencie. A już tym bardziej dzieciom, które często nie mają szacunku do tego, co dostają. Gdybym miał własne i pojawiłyby się jakiekolwiek wątpliwości, jak będą rozporządzać moim majątkiem, na który harowałem całe życie, pewnie zapisałbym wszystko na jakąś fundację lub kogoś wartościowego.

– Aha – westchnęła, nie wiedząc, jak to skomentować. Wszystko, co cisnęło jej się na usta, nie należało do najprzyjemniejszych, a kłótnia z prokuratorem raczej nie była najmądrzejszym pomysłem.

– Taka jest prawda. Żyjemy w czasach, gdy dzieci nie szanują swoich rodziców. Uważają je za skarbonki bez dna. – Widząc zdziwienie, które zagościło na twarzach policjantów, od razu dorzucił: – Mam dwóch bratanków i jak jeżdżę do mojego brata, muszę brać leki uspokajające. Moja bratowa, niestety przy aprobacie braciszka, stworzyła potwory. Jak powiedzą ci „dzień dobry”, to święto. W domu nic nie robią. W sumie to się nie dziwię, bo matka za nimi lata, usługuje im i ogranicza ich ruchy do minimum. Odstawienie do zlewu talerza po zjedzonym posiłku to wysiłek porównywalny do wejścia na ośmiotysięcznik. A przy tym chłopaki mają dwanaście i czternaście lat, używają głównie czasowników w stylu „daj”, „chcę”, oczywiście nieokraszonych „poproszę”, a po wszystkim „dziękuję”. Zero szacunku do ludzi i ich pracy, bo przecież pieniądze na ich zachcianki biorą się z księżyca. Mój brat haruje po dwanaście godzin, łącznie z sobotą. I co na końcu ma? Skwaszone miny swoich bachorów, bo przy śniadaniu zabrał im nintendo, chcąc chwilę spędzić z dziećmi. I powiecie mi, że takim dzieciaczkom – ostatnie słowo powiedział ze słyszalną ironią – należy się cały majątek, który zbierało się przez większość życia?

– Rozumiem, ale…

Prokurator przerwał Czerwińskiej w połowie zdania i spojrzał na zegarek.

– Możemy prowadzić tego typu dysputy długo i namiętnie, ale pytanie, czy nam coś to da. Czy żona wiedziała o testamencie i polisie?

– Nie w szczegółach, ale o większości wiedziała – odpowiedziała spokojnym głosem, mimo że już wcześniej zrelacjonowała mu tę rozmowę. – Kobieta z widocznym w oczach smutkiem opowiedziała, że przeczuwała, że tak się kiedyś wydarzy. Mąż wielokrotnie jej groził wyrzuceniem z domu, zabraniem samochodu i takie tam. Nigdy nie wpro-

wadził tego w życie, bo wtedy nie mogłaby mu usługiwać, ale tego, że zostawi jej mieszkanie, się nie spodziewała. Zaśmiała się nawet smutno, sądząc, że mąż się pomylił albo zrobił jej psikusa. Doszukiwała się też problemów z mieszkaniem. Hipoteki albo awarii, o której z jakichś względów nie wiedziała.

– Czy na chwilę obecną są jakieś przesłanki, aby brać pod uwagę żonę lub rodziców mężczyzny jako osoby, które go zabiły lub zleciły morderstwo? Bo to też trzeba uwzględnić. W Polsce rzadko zdarzają się zlecenia zbrodni, no ale jednak sporadycznie się pojawiają.

Dorota pokręciła przecząco głową.

– Nie – odezwał się w końcu Marek, który czuł się dziwnie w towarzystwie prokuratora. Pierwszy raz zdarzyło mu się, aby ktoś go w tak ostentacyjny sposób ignorował. – Izabela Dutkiewicz ma w sobie dużo smutku i złości na niego, ale nie wydaje mi się, aby miała siły i faktyczną chęć zabicia męża. Poza tym to, co mogło być zapalnikiem, wydarzyło się już dawno temu.

– No jest jeszcze jego agent i beneficjent polisy. Niestety obaj mają alibi, i to mocne. Jeden wyjechał na wakcje i dziwnym trafem wrócił dzień po śmierci swojego klienta, chociaż powiedział, że to przypadek, a wyjazd planował od wielu miesięcy. No i idzie w zaparte, że nie szantażował Norberta. Uznał to wręcz za atak na swoją osobę i zagroził konsekwencjami prawnymi. A ten drugi leżał w szpitalu. Dostał zapalenia wyrostka robaczkowego. I co zadziwiające, potwierdził, że polisę dostał za długi. Miała to być jakaś forma zabezpieczenia, dopóki Dutkiewicz go nie spłaci.

– Czyli nie mamy nikogo. Super. – W tym momencie mężczyzna uderzył niespodziewanie otwartą dłonią o parapet, a po pomieszczeniu rozszedł się nieprzyjemny dźwięk. – Wróćmy jeszcze do tego szalonego pomysłu, że to jeden morderca, który zabił zarówno Norberta Dutkiewicza, jak i Jakuba Wronkowskiego. Co o tym myślicie?

– Ja bym się w tę stronę nie zagłębiał – zaczął Kamiński. – Wydaje mi się, że to naciągana wersja. Tak jakby fakt, że kilka osób zginęło w kilku wypadkach samochodowych, powodował, że mamy serię.

– Wypadki samochodowe to nie to samo. Tutaj nagle zginęli w sposób spektakularny dwaj znani goście – wtrąciła Czerwińska. Wiedziała, że Marek poczuje się niekomfortowo. Wczoraj jeszcze przedstawiła mu zupełnie inną wersję, w którą wierzyła całą sobą, a teraz zrobiła coś przeciwnego. Kiwnął tylko zniesmaczony głową.

– O tym właśnie mówię. To wszystko układa się na razie we wzór. Mały, ale jednak. – Prokurator uśmiechnął się do Doroty, widząc w niej sprzymierzeńca. – Dużo dzieli te sprawy, ale dwie rzeczy zdecydowanie łączą. Znana osoba jako ofiara i dość nietypowa śmierć, bo szczerze to nie pamiętam, aby jakiś aktor zmarł podczas przedstawienia, a inny znany człowiek spadł z wysokości.

– Możemy spodziewać się serii? – spytała Czerwińska, chociaż znała odpowiedź. Chciała jak najdłużej przeciągnąć rozmowę z prokuratorem, bo wiedziała, że gdy zostaną sami, będzie musiała się tłumaczyć.

– Teraz to jeszcze ciężko powiedzieć, ale jeżeli tak, to mamy przechlapane. Niestety seryjni to najgorsze, co może się przydarzyć, chociaż – w tym momencie się uśmiechnął – jak już się go złapie, ilość chwały, która na nas spada, jest powalająca. Ale do tego czasu musimy zewrzeć dupy i zasuwać jak małe mróweczki.

Rozdział 20

Dorota usiadła przy swoim biurku i rozejrzała się. Dawno temu postanowiła, że w pracy nie będzie rozmyślać o życiu prywatnym. Moment przejścia przez próg komendy traktowała jak odcięcie dwóch światów, ale ostatnio zdecydowanie jej to nie wychodziło. Co jakiś czas sprawdzała, czy kuzynka nie dzwoniła, a praktycznie każdą wolną chwilę spędzała na przeglądaniu zdjęć i filmików synka.

Jak je rękoma kaszkę. Jak wspina się po meblach i próbuje wstać. Albo ze spaceru z niezawodną ciocią Wandą, o którą podobnie jak o Marka potrafiła być zazdrosna.

Uruchomiła komputer, wpisała hasło i czekała, aż załaduje się strona, gdzie planowała sprawdzić, co aktualnie prasa wypisuje o prowadzonych sprawach. Niestety czasami okazywało się, że dziennikarze docierali do ważnych świadków wcześniej niż oni, co bolało niczym rana posypywana solą. Niestety już raz doświadczyła takiej sytuacji. Było to jeszcze w Suchodole i ranga sprawy nie była zbyt wysoka, ale poczuła się poniżona. Facet z lokalnego radia mocno zaangażował się w znalezienie sprawcy potrącenia młodej dziewczyny na pasach dla pieszych. Oni przesłuchali wszystkich świadków, zabezpieczyli ślady. On poszedł o krok dalej. Wrzucił do sieci prośbę o zgłaszanie się osób, które chwilę przed zdarzeniem były w pobliżu. Okazało się, że przejeżdżający tamtędy mężczyzna nagrał samochód, który spowodował wypadek, a który szybko oddalił się po wszystkim. Policja dysponowała tylko marką i kolorem, ale niestety nikt nie zapamiętał numerów. Dzięki pracy dziennikarza udało im się namierzyć sprawcę.

W końcu pojawiła się wyczekiwana strona. Nagłówki nic nowego nie wnosiły do sprawy. Wszyscy krążyli wokół znanych jej faktów.

– Cześć, Dorota – usłyszała nagle za sobą.

Odwróciła się. W drzwiach stał młody policjant pracujący na recepcji komisariatu. Chłopak, choć wyglądał na maksymalnie dwadzieścia pięć lat, potrafił ujarzmić każdego. Kilka dni wcześniej była świadkiem, jak uspakaja pewną kobietę, która natychmiast chciała się widzieć z prowadzącym jej sprawę. Chodziło o kradzież samochodu, ale policjanta spisującego jej zeznania i później prowadzącego sprawę nie było. Pochorował się i leżał z wysoką temperaturą w domu. Ona jednak zupełnie nie chciała tego zrozumieć. Spokojnym głosem zapewnił ją, że sam osobiście wszystkiego się dowie i ją poinformuje. W końcu z uśmiechem kogoś, kto wygrał starcie z gigantem, wyszła z siedziby policji w centrum stolicy.

Teraz stał w drzwiach i patrzył na nią nie tak, jak powinien. Jakby przeszywając ją na wskroś.

– Cześć, co tam? – rzuciła, bo nie wiedziała, jak zareagować.

– Mam panią, co koniecznie musi z kimś pogadać. Podobno sprawa życia i śmierci.

– No tak, wszystkie takie są. A ktoś inny nie mógłby…? – Zerknęła na załadowaną stronę. Ostatnią rzeczą, której chciała teraz, była rozmowa z jakąś zapewne rozhisteryzowaną kobietą, której ktoś porysował samochód albo ukradł z piwnicy ukochane dżemy. – Mam sporo pracy. Prokurator wydłużył listę rzeczy do zrobienia i nie powinnam stąd wychodzić przez co najmniej tydzień.

– Wiem, ale uwierz mi, gdybym mógł, nie zawracałbym ci głowy. Alicja pojechała właśnie do domu, bo syn rzyga, a ona z reguły się zajmuje takimi sprawami. Cała reszta przesłuchuje kogoś lub wyparowała. Mam nadzieję, że mnie nie unikają! – Policjant zaśmiał się, prezentując zawadiacki uśmiech.

– Dobra, daj mi chwilę. – Czerwińska odwróciła się w stronę swojego komputera, licząc, że chłopak nie zauważył jej pełnego niechęci spojrzenia.

Pięć minut później weszła do pokoju, w którym siedziała młoda, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna ubrana w jeansową bluzę ze wstawkami dresowymi. Jej długie blond włosy rozpływały się na grubym kapturze, jakby chwilę temu wróciła od fryzjera lub z sesji zdjęciowej, na której styliści dopracowywali jej wygląd. Dorota od razu poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Zawsze tak się działo, gdy widziała zadbaną kobietę. Ona ograniczała swój makijaż do maskary i błyszczyka. Niby Marek uwielbiał tę jej naturalność, ale czasami wolałaby mieć czas i umiejętności, żeby zrobić coś bardziej spektakularnego.

– Dzień dobry, starsza aspirant Dorota Czerwińska, w czym mogę pomóc?

Usiadła po drugiej stronie stolika i położyła przed sobą notatnik. Zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać. Kobieta podniosła wzrok, który wcześniej spoczywał na blacie. Jej błękitne duże oczy otoczone były wymalowanymi mocno czarnym tuszem rzęsami, które przyciągały uwagę.

– Dziękuję. Tak bardzo chciałam z kimś porozmawiać. Najlepiej z kobietą.

Czerwińska aż się napięła. Miała ochotę wyjść z pomieszczenia, odnaleźć policjanta, z którym gadała chwilę wcześniej, i nim potrząsnąć. Pierwsza rzecz, o której powinien był jej powiedzieć, to fakt, że ma do czynienia z ofiarą przemocy. Nie weszłaby wtedy jak kowboj do baru. Zrobiłaby to sympatycznie, empatycznie.

Poprawiła się na krześle i uśmiechnęła. Czekała ją trudna rozmowa.

– Proszę się przedstawić.

– Karolina Jasińska.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwudziesty czwarty września dwa tysiące pierwszego roku, Warszawa.

– Czym się pani zajmuje?

– Jestem fotografką. Robię sesje dla magazynów, głównie pisma dla pań, ale też do sieci. Nie narzekam. – Delikatnie się uśmiechnęła, mimo że z jej oczu cały czas zionął smutek.

– Opowie pani, co panią tu sprowadza?

– Tak, bo ja…

– Proszę spokojnie. Ktoś coś pani zrobił? – Czerwińska położyła dłonie na blacie, mimo że było jej trochę zimno i najchętniej założyłaby je na brzuchu.

– Nie… to znaczy tak…

– Nie będę pani oceniać. – Jej głos brzmiał niezwykle spokojnie. Wiedziała, że każde słowo jest ważne.

– Oj, będzie pani… – Dziewczyna zaśmiała się smutno, a policjantka zmarszczyła brwi.

– Proszę mi uwierzyć. Jesteśmy po to, aby wspierać kobiety w trudnych sytuacjach.

– Tak, tylko że to ja jestem wszystkiemu winna.

– Nie może pani tak mówić.

– Mogę. – Dziewczyna wyprostowała się i spojrzała w oczy policjantce. – To ja go uderzyłam.

– Dlaczego? – Czerwińska poprawiła się na krześle. Siedziała na nim raptem chwilę, a już czuła, że robi jej się niewygodnie.

– Sprowokował mnie.

– No właśnie, o tym mówię. Nie może się pani obwiniać za czyjeś zachowanie.

– Tylko to nie tak! – Jasińska zareagowała podniesionym głosem. – Ja go popchnęłam. Mówił o mnie straszne rzeczy. Wiem, że tak nie myśli, ale później ja zrobiłam…

– Zacznijmy od początku. Z kim się pani pokłóciła?

– Z moim chłopakiem.

– Jak on się nazywa? – Czerwińska uśmiechnęła się, chcąc dodać dziewczynie otuchy. Jej drżące dłonie i zaciśnięte pięści, które co kilka sekund luzowała, aby ponownie zacisnąć, świadczyły jasno o jej stanie psychicznym.

– Bartek.

– A nazwisko?

– Wojciechowski.

– Powoli do przodu. – Policjantka pochyliła się do przodu i zapisała dane mężczyzny na kartce. – Zna pani jego datę urodzenia?

– Dwunasty lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– I jeszcze miejsce urodzenia?

– Chyba w Szczecinie. Stamtąd przyjechał do stolicy, ale w sumie nie wiem, czy się tam urodził.

– Dobrze, sprawdzimy. I co się stało… – Zawahała się. – W sumie nie powiedziała pani kiedy.

– W niedzielę, pięć dni temu.

– To co się stało w niedzielę?

– Poszłam do niego do mieszkania.

– Gdzie mieszka? – wtrąciła, aby zebrać komplet informacji.

– Na Młocinach. Umówiliśmy się u niego, co było dość szczególne, bo zazwyczaj spotykaliśmy się na mieście.

– A u pani w domu nie?

Dziewczyna pokręciła głową i sapnęła.

– Mama o nas nie wiedziała. Chciałam zaczekać. W sumie to oboje chcieliśmy, on też jakoś nie cisnął. Chcieliśmy się sobą nacieszyć jak najdłużej.

– Od kiedy się spotykaliście?

– Od ponad roku.

– A jak się to zaczęło?

– Oj, to było takie przypadkowe spotkanie na mieście. Wypadł mi portfel z torby, a on pobiegł za mną, żeby mi go oddać. Nigdy nic takiego mnie nie spotkało, musiałam się jakoś odwdzięczyć i zaprosiłam go na kawę. Okazało się, że wie co nieco o fotografii i tak się zaczęło.

– A ojciec? Polubił go?

Momentalnie twarz dziewczyny zastygła. Na policzkach uwypukliły się mięśnie, których dotychczas nie było widać.

– Mój ojciec nie żyje – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– A mogę wiedzieć, jak zmarł? – Czerwińska poczuła, jak włosy na rękach stają jej dęba. Reakcja dziewczyny nie była naturalna.

– Na zawał, i dobrze… – Nie skończyła. – Nie przyszłam rozmawiać o ojcu.

– Dobrze, a tak z ciekawości, dlaczego ukrywała pani ten związek?

– Jakoś tak wyszło, nigdy nie byłam wylewna. I zresztą Bartek też nie chciał.

– Aha, okej. – Niechętnie zmieniła temat. – Co się wydarzyło podczas ostatniego spotkania z Bartkiem? Proszę dokładnie wszystko opisać.

– Przyszłam do niego około osiemnastej.

– Ktoś to potwierdzi?

– Nie, z mamą nie rozmawiałam tego dnia. Jakoś się rano minęłyśmy. Poszłam wcześnie na basen, a gdy wróciłam do domu, żeby się przebrać i zjeść śniadanie, jej już nie było. Pojechała do swojej pracowni.

– Co robi twoja mama?

– Jest projektantką. Robi ciuchy. Od rana siedzi nad wykrojami lub wymyśla, gdzie jeszcze powinna sprzedawać swoje ubrania. Ja pracuję w domu, no, chyba że mam sesję, to wtedy gdzieś jadę. Wtedy akurat obrabiałam zdjęcia z sesji narzeczeńskiej. Skończyłam około szesnastej i napisałam do Bartka, że już jestem wolna i że jadę do niego. Odpisał od razu, żebym zaczekała, bo jeszcze go nie ma i da mi znać, jak dojedzie. Posprzątałam trochę i gdy napisał, że wraca, pojechałam do niego. Były straszne korki, bo ktoś się stuknął na moście. Wkurzyłam się, bo nie znoszę marnowania czasu. Gdy weszłam do niego, panowała totalna cisza, co mnie zdziwiło, bo Bartek zawsze lubi, jak coś brzdęka. Siedział na kanapie i dziwnie na mnie patrzył. Jak nie on. Wcześniej zawsze podchodził, przytulał… No wie pani. Witał się czule, jak to facet z kobietą, którą podobno darzy uczuciem.

– Tak, rozumiem. – Kiwnęła głową.

– A on siedział. Kucnęłam obok niego. Bałam się, że coś się stało. Jest chory albo w pracy jakiś pożar. A wtedy powiedział, że musimy ze sobą zerwać. Wcięło mnie. Jakby ktoś przywalił mi nagle w tył głowy. Nie wiedziałam, czy to się dzieje naprawdę. Jakby ktoś mnie wkleił w jakiś dziwny film. Wstałam jak oparzona. Pamiętam, jak chodziłam po jego salonie, a on się nie odzywał. Jakby jeszcze tym brakiem jakiegokolwiek wytłumaczenia mnie karał. Tylko nie wiedziałam za co. Ja przecież nic złego nie zrobiłam. Stanęłam przed nim i nim szarpnęłam. Nawet nie szarpnęłam, potrząsnęłam. Wtedy mnie popchnął. Lekko. Nic wielkiego, ale przewróciłam się. Coś do mnie mówił, ale nie rozumiałam. Miał zaciśnięte usta. Przestraszyłam się go. Kiedyś widziałam coś takiego…. – Przerwała, a po jej policzku popłynęły łzy. – Nieważne. Nie pamiętam wszystkiego. Coś zaczął krzyczeć, ale ja nie wiem co. Mam w głowie tylko jego wykrzywioną twarz. Jego nienawiść. Szedł na mnie. Jakby chciał mi coś zrobić, a później…

Sekundy mijały, a dziewczyna milczała.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Czerwińska przyglądała się kobiecie, nie do końca rozumiejąc, co chce powiedzieć, i czekała na jej słowa.

– Stanął przede mną i miał obłęd w oczach. Pierwszy raz w życiu tak się bałam, mimo że dorastałam z przemocowcem w domu.

– Ojcem?

Dziewczyna kiwnęła głową potwierdzająco.

– Nie miałam jak uciekać. Nie miałam gdzie. On jest chudy, ale dużo wyższy ode mnie. Patrzył na mnie nienawistnie. I wtedy… popchnęłam go. Najpierw lekko, ale nawet nie drgnął. Za drugim razem mocniej, lekko się zachwiał. Za trzecim razem zebrałam mnóstwo siły i… on się przewrócił i uderzył głową w podłogę. Ja go zabiłam.

Rozdział 21

Dorota Czerwińska pogłaskała młodego po główce przyozdobionej ciemnymi włosami i wróciła przed lustro. Odrzuciła pomoc zaoferowaną przez Marka, bo zupełnie nie przeszkadzało jej to, że Mikołaj raczkował pod jej nogami i co chwilę odciągał ją od wyszykowania się. Spędzanie z nim czasu nawet w ten dość nietypowy sposób bardzo jej pasowało.

Kochała synka ponad życie, ale wiedziała, że długo nie pociągnie, zamykając się po pracy w czterech ścianach, dlatego na pomysł wyjścia na miasto zgodziła się praktycznie natychmiast.

Tym razem, ku jej zaskoczeniu, to Marek wszystko zaplanował. Na szczęście o wszystkim jej powiedział. Najpierw mieli spotkać się z Kasią i Marcinem na kolacji w centrum Warszawy. Tak jak wcześniej opowiadała jej przyjaciółka, jej mąż coraz częściej miał w stolicy jakieś sprawy do załatwienia, co tym razem postanowiła wykorzystać i umówić się we czwórkę, co dotychczas się nie zdarzało.

Po zjedzeniu czegoś, jeżeli będą mieli moce, planowali pójść się pobawić. Tylko tyle, jak większość skomentowałaby ich plany, ale dla niej było to bardzo dużo. Poza ślubem przyjaciółki od dłuższego czasu nigdzie nie wychodziła, a szczególnie w bardziej odświętnym stroju. Ubrała się w swoją ulubioną czarną sukienkę, bo wiedziała, że Marek ją lubi. Już raz ją założyła i wtedy piał z zachwytu, a potem nie miała już ku temu okazji.

Równo o dwudziestej usłyszała za drzwiami głos Wandy. Wzięła z podłogi synka, który od jakiegoś czasu metodycznie wyciągał brudne rzeczy z kosza, i wyszła na korytarz, gdzie Marek rozmawiał z opiekującą się ich synem kobietą.

Gdy tylko stanęła przed nimi, przerwali rozmowę.

– Jezu, Dorotko, jak ty pięknie wyglądasz! – Kuzynka aż pisnęła.

Faktycznie tego dnia czuła się wyjątkowo. Pięknie, kobieco. Jak ostatnio bardzo rzadko. Pośpiech i inne priorytety niż wygląd powodowały, że wmawiała sobie, że wcale o to nie dba, ale teraz, patrząc kątem oka na swoje odbicie w lustrze, czuła się znakomicie. Ucałowała w czółko młodego, który przemieścił się, raczkując w stronę swoich ukochanych zabawek – pluszowego lwa, tygrysa i niedźwiedzia, które turlał, ciągnął za uszy i ogonki. Wiedziała, że nie ma co z tym walczyć. Kasia już ją uprzedziła o różnych dziwnych dziecięcych zachowaniach, które trudno wyjaśnić. Między innymi o miłości do kocyków, pieluszek tetrowych lub zabawek obszytych ciasno na bokach metkami, które można było gryźć, ciągnąć czy tarmosić.

Wanda zabrała młodego do jego pokoju. Robiła tak za każdym razem, gdy wychodzili do pracy, tak aby nie widział, jak rodzice wychodzą. Od razu pod Dorotą lekko ugięły się nogi. Za każdym razem dopadał ją ten sam dylemat. Czy jako porządna matka nie powinna zostać w domu i poświęcić tego czasu synowi? Wtedy jednak głośniej zaczynał przemawiać drugi głos w jej duszy, ten mówiący, że jeżeli chce być dobrą matką, musi czasami odpocząć, nawet od swojego dziecka, jakkolwiek strasznie to brzmiało.

– To co, gotowa moja królowa? – Najpierw usłyszała głos Marka, a dopiero później go zobaczyła. Wyglądał jakoś inaczej niż zwykle. Emanowała od niego jakaś siła. Przyczesał lekko na bok włosy, które zazwyczaj niesforne szalały na jego głowie. Brązowe oczy uśmiechały się i błyszczały niczym małe ogniki.

Najchętniej podeszłaby do niego i wtuliła się, a następnie soczyście pocałowała i została w domu. Ale nie taki był plan.

– Tak, jestem gotowa – wydukała w końcu i sięgnęła po torebkę, którą przyszykowała wcześniej i postawiła na komodzie przy drzwiach. Włożyła do niej telefon i spojrzała na mężczyznę.

Marek podszedł do niej bliżej i zmierzył ją od głowy aż po stopy i z powrotem.

– Wyglądasz nieziemsko, jak niezła…

Pogroziła mu palcem, bo wiedziała, co ciśnie mu się na usta. Sama nie wierzyła w to, co widzi, że odrobina kosmetyków plus poświęcony czas spowodowały, że zmieniła się nie do poznania.

– Dobra, dość tej kokieterii. Musimy lecieć, bo się zaraz spóźnimy.

Włożyła ciepły płaszcz zimowy, buty na obcasie i wyszli. Zjechali na dół windą, mimo że zazwyczaj korzystali ze schodów. Wyszli z budynku, a Dorota oniemiała. Stanęła jak wryta. Na jednym z miejsc parkingowych stało stare porsche 911. Wielokrotnie opowiadała Markowi, że to jest jedyny samochód, który powoduje u niej szybsze bicie serca.

– Co to jest? – wydusiła w końcu po pierwszym szoku, widząc, że Marek kieruje kroki w jego stronę, a nie do

swojego volkswagena passata.

– To jest samochód – odpowiedział policjant jak zwykle żartobliwie, irytując ją.

– A ja myślałam, że krokodyl – odpowiedziała i zrobiła krok do przodu.

– Wsiadasz czy jedziemy autobusem? – Rzucił w jej stronę kluczyki.

W ostatnim momencie złapała, ale nie ruszyła się ani krok do przodu.

– Czegoś tu nie rozumiem, skąd ten samochód? – Stanęła bliżej pojazdu i czuła, że uśmiech, który zagościł na jej twarzy, nadmiernie ją napiął.

– Dorotka, kochanie… – Marek podszedł i pocałował ją w usta mimo grubej warstwy pomadki i nałożonego na nią błyszczyka. – Ty idziesz od lewej, ja od prawej, chociaż wolałbym odwrotnie.

– Ale ja nie mam… – przerwała mu, ale nie zdążyła skończyć, bo tym razem on się wciął.

– Butów? – Wyszczerzył zęby. – Kochanie, ja o wszystkim myślę holistycznie. Buty leżą za siedzeniem. Najwygodniejsze adidasy, więc wskakuj w nie i pokaż, co maszyna dała. Tylko pliz, nie ciśnij bardzo, bo jak nas zatrzyma policja, może być nieciekawie.

Chwilę później ruszyli. Przejażdżka okazała się niesamowitym przeżyciem, dopiero po niemal godzinie Dorota z niepokojem zerknęła na zegarek.

– Matko, Kasia wkurzy się niemiłosiernie.

– Nie bój żaby. Wybaczy ci – rzucił.

Kątem oka dostrzegła jego uśmiech. Taki szczery, pełen miłości. Uwielbiała ten widok.

– Oby. Zawsze powtarza, że spóźnialstwo to brak szacunku.

– Myślę, że zrozumie. Zjedź tutaj na parking. – Pokazał wielki plac przed sklepem spożywczym, spod którego wyjeżdżali ostatni robiący tego dnia zakupy ludzie.

Dorota niechętnie spełniła prośbę partnera. Ta godzina za kółkiem starego samochodu była spełnieniem jej motoryzacyjnych marzeń. Nigdy nie uważała się za mistrza kierownicy, ale lubiła czuć moc silnika. Zaparkowała z dala od kręcących się ludzi, aby nie trafić na jakiegoś niewprawnego kierowcę, który na trzydzieści razy będzie wyjeżdżał ze swojego miejsca, ocierając przy tym kilka stojących obok aut.

Pośpiesznie zamienili się miejscami, bo na zewnątrz zaczął dąć przeszywający, zimny wiatr, który wdzierał się Dorocie pod sukienkę. Założyła z powrotem buty na obcasie, gdy Marek przestawiał siedzenie i regulował lusterka.

Po chwili wtoczył się na ulicę, uważnie rozglądając się dookoła. Dorota siedziała, cały czas uśmiechając się. Kolacja miała odbyć się w centrum, niedaleko hotelu Novotel, ale gdy już tam dojeżdżali, Marek nawet nie zwolnił.

– Dokąd my jedziemy? – Czerwińska zmarszczyła brwi i skręciła się w stronę partnera.

– Niespodzianka.

– Jaka niespodzianka? Ja nie lubię niespodzianek! – rzuciła podniesionym głosem. Sytuacje, których nie kontrolowała, zawsze ją stresowały. Już sam fakt wynajęcia przez Marka samochodu spowodował, że czuła dyskomfort. Ale to, że nie jechali w miejsce, w którym umówili się z Kasią i jej mężem, wywołało u niej ucisk w brzuchu.

– Lubisz, lubisz. Godzinę temu oczy ci się świeciły jak stroboskopy, więc nie wymyślaj.

– Ale…

– Nie ma „ale”. – Położył prawą dłoń na jej udzie i puścił oczko. – Teraz ja tu rządzę. Dojedziemy na miejsce za jakieś trzydzieści minut. Do tego czasu możesz się zająć ustawieniem muzyki. Tylko proszę, żadne boys bandy.

Czerwińska nie skomentowała tego. Pochyliła się w stronę radia i zaczęła grzebać. Chwilę później z głośników poleciał Sting. Przejechali przez centrum, mijając po drodze rondo z palmą, i skręcili w Wisłostradę w kierunku na Łomianki. Minęli Żoliborz i nagle skręcili w leśną drogę.

– Na pewno dobrze jedziemy? – rzuciła zdenerwowana. Droga nie wyglądała dobrze. Zwykła szutrowa, na dodatek zwężała się. Dwa samochody miałyby problem, aby minąć się tu bezpiecznie.

Marek nie odpowiedział, tylko kiwnął głową. Wjechali w las, który szybko gęstniał. W końcu mężczyzna zatrzymał się, wyłączył silnik i zaczął zakładać kurtkę, którą zdjął z siebie, gdy siadał za kółkiem.

– Wiesz, że za porwanie możesz pójść siedzieć, i to na całkiem długo? Przegapisz wiele z życia Mikusia, a jak wyjdziesz, zniknę na zawsze – rzuciła i rozejrzała się. Mrok wieczoru zasłaniał wszystko. Wokół panowała totalna ciemność.

– Jak gadała moja babcia, na coś trzeba umrzeć, może za coś też trzeba pójść siedzieć.

Nie czekając na jej odpowiedź, otworzył drzwi i wysiadł.

– Ale tam są wilki – pisnęła Czerwińska, zapięła płaszcz i dotknęła klamki. Pracowała jako policjantka. Różne rzeczy mogły ją spotkać w czasie akcji, ale ciemności bała się niczym ognia.

Powoli otworzyła drzwi i skierowała wzrok w kierunku Kamińskiego, którego plecy ledwo dostrzegała. Gdy wy-

szła na zewnątrz, momentalnie przeszedł ją dreszcz. Zdecydowanie nie miała stroju na chodzenie po dworze. Szybkim krokiem ruszyła za partnerem, który w końcu stanął. Ostrożnie stawiała stopy, czując przy każdym kroku, że zapada się w błocie.

– Możesz mi powiedzieć, co tutaj robimy? – spytała, gdy do niego doszła. Podał jej dłoń i ruszyli dalej.

– A znasz słowo „niespodzianka”?

– Może znam, ale myślę, że dla wielu ofiar morderstw fakt, że zginęły, też był niespodzianką.

Marek zaśmiał się głośno, a ten dźwięk poniósł się po ciemnym lesie. Nic już nie powiedział, ale po chwili Dorota dostrzegła przed nimi zarys jakiegoś budynku.

Nie zadawała już pytań. Szła krok w krok za mężczyzną.

Dopiero będąc kilka metrów od zabudowań, zorientowała się, że jest to mała drewniana chatka. Gdy stanęli na ganku, zauważyła małe lampki palące się w środku.

– Zapraszam. – Kamiński uśmiechnął się, otworzył przed nią drzwi i wpuścił ją do środka.

Domek nie był duży, ale robił piorunujące wrażenie. Dwie przeszklone ściany, które powodowały, że będąc w środku, człowiek czuł się, jakby jednak stał na zewnątrz i w każdym momencie mógł dotknąć tego, co go otacza. Jednak samo wnętrze również robiło wrażenie. Wielkie łóżko stało na środku niczym wyspa, a dookoła rozstawiono mnóstwo pozapalanych świeczek.

Dorota od razu się zaśmiała, bo pierwsza myśl, jaka pojawiła jej się w głowie, to że nie mogłaby tak zrobić w domu ze względu na synka, który poprzewracałby większość, a w płomienie pozostałych włożyłby rękę. Niezależnie od wszystkiego skończyłoby się to tragedią.

Weszli powoli do środka i natychmiast włączyła się cicha muzyczka, jakby ktoś z ukrycia czekał na ich pojawienie się.

– Gdzie my jesteśmy? – nie wytrzymała w końcu.

Marek uśmiechnął się, wyciągnął w jej stronę rękę. Niepewnie ją chwyciła, jakby była nastolatką, a pierwsze obcowanie z chłopakiem miała dopiero przed sobą. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Najpierw w policzek, delikatnie. Poczuła jego mięsiste wargi i momentalnie przeszedł ją dreszcz podniecenia. Po chwili jego usta spotkały jej. Zachowywały się tak, jakby dopiero się poznały. Spragnione swojej bliskości coraz szybciej i szybciej ocierały się o siebie.

Podniósł ją i powoli zaniósł na łóżko.

Kochali się długo i namiętnie, jakby zaraz świat miał się skończyć.

Gdy w końcu spełnieni położyli się na plecach na ogromnym łóżku, dostrzegła kolejny szalony pomysł architekta. Duża część dachu składała się z szyby, co oznaczało, że przy bezchmurnym niebie, które akurat panowało nad nimi, mogli swobodnie obserwować gwiazdy.

Leżała tak, delektując się każdym momentem. Szybko okazało się, że to nie koniec niespodzianek. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się na ich łóżku kosz piknikowy, a w nim mnóstwo smakowitości, nad którymi rozpływali się przy każdym kęsie. Jedli, śmiejąc się co chwilę.

– Wiesz, przez moment myślałam, że chcesz mnie gdzieś zakopać.

– Serio? – Marek podał jej nabitą na szpikulec truskawkę w czekoladzie. Zatopiła w niej zęby. Smak, który rozszedł się w jej ustach, był powalający. Nigdy nie przepadała za czekoladą, ale w połączeniu z owocem zdecydowanie jej pasowała.

– Serio – odpowiedziała po chwili i wtedy ona podsunęła pod usta mężczyzny tym razem kawałek ananasa w polewie czekoladowej. – Praca plus moja fantazja powodują, że jednak mam dziwne obrazy w głowie.

– I co ci podpowiedziała?

– Że gdzieś w tym lesie jest dół, ale nie tak duży, więc będę musiała jeszcze trochę popracować na łopacie. Potem zakopiesz mnie żywcem. Oczywiście powiesz, że się pokłóciliśmy i poszłam gdzieś sama. Nikt cię nie będzie podejrzewał. Jesteś szanowany, doceniany przez przełożonych, więc nikt nawet nie pomyśli, że to ty mogłeś mi coś zrobić.

– Aha, ciekawa wersja.

– To jedna z wielu. – Wzruszyła ramionami i zamiast wsadzić trzymany owoc do ust Marka, sama go zjadła.

– To co jeszcze wymyśliłaś?

– Ojej, serio chcesz wiedzieć?

– No dawaj.

– No dobra. Myślałam jeszcze na przykład, że mnie sprzedasz grupie facetów lubiących ostre cięcia…

– Ostre cięcia? – zareagował rozbawiony.

– No wiesz, zabawy piłą i takie tam. Ten samochód to było tylko takie uśpienie mojej czujności. No i po wszystkim czekaliby na mnie ubrani w rzeźnicze stroje faceci, którzy bez zająknięcia pozbawialiby mnie po kolei wszyst-

kich palców…

– Dorotko… – Położył palec na jej ustach. – Może już na tym skończmy.

I gdy już Dorota myślała, że to koniec niespodzianek, Marek zrobił coś, co spowodowało przyspieszone bicie jej serca.

Przyklęknął, opasany tylko ręcznikiem, i zadał pytanie, którego policjantka bała się jeszcze bardziej niż ciemności.

– Kochanie... Czy spędzisz ze mną resztę życia i zostaniesz moją żoną?

Rozdział 22

Oglądali w ciszy po raz piąty filmik, który otrzymał jeden z dziennikarzy wiodącej stacji telewizyjnej. Ku ich zaskoczeniu, zamiast go opublikować, zadzwonił do nich, po czym wysłał im nagranie.

Kamera dokładnie uchwyciła moment, kiedy Norbert Dutkiewicz upada na ziemię i z impetem uderza w drewnianą podłogę sceny teatru przed oczami kilkuset zgromadzonych widzów, którzy przyszli zobaczyć sztukę Romeo i Julia. Wszystko wygląda, jakby w ramach odgrywanej roli tracił przytomność po zażyciu trucizny, gdy zobaczył martwą Julię. Ciężko było powiedzieć, na którym etapie gra się skończyła, a zaczęło się działanie prawdziwej toksyny.

– Ktoś ustawił się specjalnie, żeby to nagrać. I biorąc pod uwagę fakt, że zrobił dokładnie to samo z Kubą Wronkowskim, chyba nie ma możliwości, aby był to zbieg okoliczności – rzucił Kamiński i nawet nie spojrzał na Dorotę.

– Wiem – wyszeptała Czerwińska.

– Ale najgorsze w tym wszystkim jest to zwolnione tempo, jak upada… – Marek płynnie przeszedł do komentowania oglądanego filmiku. – Jakby ktoś się delektował tym, jak ciało tego aktora z impetem uderza o scenę. Kurde, tam widać, jak podskakuje w agonii. Gdyby nie to, że umarł, można byłoby doszukiwać się w tym jakiegoś artyzmu.

– Wiem.

– No i, kurwa, mleko się rozlało. – W tym momencie drzwi się otworzyły i jak do siebie wszedł Kacper Bartoszewski. Kroczył niczym kowboj wchodzący do baru. – Nagranie trafiło do mediów. Na nasze nieszczęście tym razem nie wysłano go do kogoś tak uczciwego jak pierwszy dziennikarz.

Policjanci spojrzeli na siebie i westchnęli symultanicznie.

– Zaczyna się niezła zabawa. Wygląda, jakby ten ktoś się z nami bawił, i najgorsze, że on rozdaje karty, a nie my. Filmik, który wrzucili do sieci, z każdą minutą robi coraz większą furorę. Jak tak dalej pójdzie, to szybko dobije do miliona wyświetleń. – Prokurator wyrzucał z siebie słowa, nie patrząc na policjantów. Chodził dynamicznie po małym pomieszczeniu, co kilka metrów obracając się i zmieniając kierunek.

– Masakra – skomentowała Czerwińska.

– Nawet i gorzej. Możemy to blokować, ale to jak walka z wiatrakami. Będą pojawiać się kolejne konta z tym filmikiem. A to z tym celebrytą jest nie do zatrzymania – sapnął zrezygnowany. – Za to w teatrze nie było nikogo, kto nagrywał. Ludzie od dawna się z tym pilnują. Podobno raz na jakiś czas obsługa wyłapuje niesfornego widza, ale to już rzadkość. Z tego, co wiemy, nikogo takiego nie wyłapano podczas tego spektaklu. Zresztą biorąc pod uwagę perspektywę, wygląda, jakby nagrywane było z boku. Wiemy już, gdzie stała kamera, ale pani sprzątająca i asystentka scenarzysty, z którymi od razu rozmawiałem, powiedziały, że nie mają zielonego pojęcia, kto ją tam postawił. Niczego nie zauważyły. Zresztą ta starsza pani dbająca o czystość powiedziała, że nie może uwierzyć, że kogoś przegapiła. Zawsze jest czujna. Dwa razy w swojej karierze miała nieprzyjemne sytuacje. Raz jakiś facet wtargnął na przestawienie. Chciał oświadczyć się swojej dziewczynie, a bardziej już byłej. Ta siedziała z kolegą z pracy, którego zabrała na przedstawienie. Zupełnie bez żadnych podtekstów. Niestety gdy zobaczył ją z innym, wpadł w szał i doszło do rękoczynów. Wtedy pani Maria zupełnie go zignorowała, bo akurat szła zanieść herbatę reżyserowi. Drugim razem sama próbowała zagrodzić drogę młodej dziewczynie. Skończyło się to złamaną ręką. Okazało się, że intruzka podkochiwała się w jednym z aktorów i postanowiła wyznać mu miłość. Przynajmniej tak tłumaczyła później policji, jednak ci mieli wątpliwości. Na widowni siedziały jej dwie koleżanki, a jedna podobno raz na jakiś czas kręciła, co dzieje się na scenie. Później okazało się, że miały jakiś challenge. Pani sprzątająca bardzo przeżywała każdy z tych ataków, mimo że to nie jej wina. Pewnie zaraz spytacie o ochronę, ale nie wiem, czy widzieliście tego pana…

– Tak, widziałam – rzuciła Dorota. – Rozmawiałam z nim, ale po pierwsze, on ma ze sto lat i niewiele widzi, a po drugie, bardziej go interesował mecz, który akurat leciał w telewizji. Sam mi się przyznał, że jednym okiem oglądał Legię, która dostawała baty. Powiedział, że w czasie przedstawienia może, szefostwo się nie czepia. Zależy im na tym, aby pilnował porządku, czy ktoś nie wchodzi w płaszczu albo innym nakryciu i czy nie używa telefonów. Na tym polega jego robota. W czasie spektaklu ma generalnie wolne.

– Czyli nic podejrzanego? – Prokurator w końcu przystanął, ale nie spojrzał na nich, tylko na nagranie, które Marek miał odpalone na swoim komputerze. Widać było na nim moment, gdy Kuba Wronkowski spada z dziesięciu metrów, jak oszacował technik.

– To znaczy jest jedna rzecz inna niż zazwyczaj – zakomunikowała Czerwińska, a obaj mężczyźni odwrócili się

w jej stronę. – Ten ochroniarz zadzwonił do mnie wczoraj. – Dobrze wiedziała, że powinna zająć się tym wcześniej, ale wczoraj nie zdążyła, a od rana bardziej udawała, że pracuje, niż robiła to naprawdę. Cały czas nie mogła ułożyć sobie w głowie tego, co się wydarzyło ostatniego wieczoru. – Podobno dzień wcześniej pojawił się kurier, ale nie miałam jeszcze czasu tego sprawdzić.

– Aha – sapnął Marek, a prokurator podszedł do okna, jakby nie wiedział, jak to skomentować.

– Przypominam, że była to sobota – rzuciła, widząc reakcję mężczyzn. – Na razie nie wiem, czy to jakiś ślad, ale sprawdzę to.

– I co w tym takiego niezwykłego? – zapytał Bartoszewski, nie odwracając się nawet. Coś za oknem przykuło jego uwagę.

– W soboty kurierzy raczej nie jeżdżą, zdarza się to bardzo sporadycznie. No i pan ochroniarz dopiero po czasie uzmysłowił sobie, że to było dość nietypowe.

– Znał tego kuriera? – odezwał się tym razem Marek.

– Nie. Widział go pierwszy raz w życiu, to akurat nie stanowiło nic specjalnego, bo jest spora rotacja w takich firmach.

– Do kogo zaniósł paczkę? – Prokurator obrócił się i podszedł do Czerwińskiej.

– Do reżyserki.

– Musicie z nią pogadać.

– Tak, ale też koniecznie muszę… – zaczęła Dorota, a Marek spojrzał na nią wymownie. Ostatnio zwrócił jej uwagę, że często zapomina o nim jako partnerze. – Musimy sprawdzić, czy faktycznie to był ktoś z firmy kurierskiej. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak nie było.

– No dobra. Wiecie, co robić. Koniecznie dzwońcie, jak coś nowego się pojawi.

Czerwińska kiwnęła głową, już chciała powiedzieć o rozmowie z młodą dziewczyną, która twierdziła, że kogoś zabiła, gdy Kacper Bartoszewski wstał nagle i ruszył do drzwi, rzucając przez ramię:

– To jesteśmy w kontakcie!

Sekundę później została sama z Markiem. W tej samej chwili poczuła, że zaczyna się dusić, i ten stan się jej nie spodobał.

Rozdział 23

Dorota usiadła na ławce przed komendą, oparła łokcie na kolanach i schowała twarz w dłoniach. Chciało jej się płakać. Wyć. Krzyczeć. Wszystko było nie tak. Miała delektować się związkiem z Markiem, a nie przechodzić na kolejny etap tak szybko. Nie teraz. Może kiedyś. Może za jakiś czas. Jak będzie gotowa. Jak nacieszy się macierzyństwem i partnerem u boku.

Tylko na pytanie Kasi, kiedy to będzie, nie była w stanie wydukać żadnej dobrej odpowiedzi. Nie znała jej sama, ale na głos nie chciała się do tego przyznać. Czuła, że traci grunt pod nogami. Stoi na tafli lodu, gdy nagle wychodzi zza chmur słońce, które go intensywnie ogrzewa, ten traci szybko na grubości, stając się w pewnym momencie cienki i kruchy.

Od dawna czuła w kościach, że coś takiego może nastąpić. Marek wspominał w rozmowach, gdy wtulona w niego leżała na kanapie, pijąc ciepłą herbatę lub czerwone wino, że chciałby mieć żonę. Taką jak ona. Żartowała wtedy, że ona się nie nadaje, ale pomoże mu jakąś znaleźć. Może da wytyczne. Wiedziała jednak, że tylko ona siedzi mu w głowie. Że Marek chce jej, z jej wadami, brakami i dysfunkcjami, którymi mogłaby wypełnić co najmniej kartkę A4. Zresztą słyszała, jak rozmawiał z mężem Kasi o ślubie, i gdzieś wyczuwała, że sam o tym marzy.

Powinna się cieszyć, że trafiła na kogoś, kto patrzy na ich związek jak na coś trwałego z perspektywami, ale nie potrafiła. Od jakiegoś czasu jej wizje przyszłości zdecydowanie szły w stronę pesymistyczną. Nasłuchała się od zamężnych koleżanek, jak po ślubie w ich życie wdarła się szara rzeczywistość, kłótnie i spory, o których nie miała pojęcia. Jedna żaliła się, że pół roku po ślubie mężczyzna ograniczył częstotliwość wyjść na siłownię, a gdy zaszła w ciążę, zrezygnował totalnie. Miał wrócić po narodzinach syna, ale nie palił się do tego.

– Stało się coś? – usłyszała nagle.

Podniosła głowę, licząc, że na jej twarzy nie widać smutku. Stała przed nią Zofia Grzelczyk ubrana w bojówki i wojskową bomberkę. Wyglądała, jakby była w każdym momencie gotowa na walkę, gdyby nagle zza krzaków wyskoczył uzbrojony przeciwnik.

– Nie. Zmęczona jestem – skłamała i zapięła kurtkę pod szyję. – A ty co tu robisz? Wracasz do roboty?

Wyprostowała się. Koleżanka usiadła koło niej pomimo widocznej wilgoci na ławce.

– Jeszcze nie. Z mamą bez zmian, nadal nic nie wiemy. Muszę się nią opiekować. Poza tym…

– Jeszcze nic nie wiem – wtrąciła. Dobrze wiedziała, dlaczego Grzelczyk się tu pojawiła. Obiecała jej informacje dotyczące właściciela numeru, z którego dostała wiadomość. – Ale udało mi się wrzucić numer do listy do sprawdzenia.

– Jezu, dziękuję. Nie wiesz, jak mi pomagasz.

– A miałaś jakieś informacje od tego człowieka?

Koleżanka pokręciła głową przecząco.

– Ale mam coś innego. – W tym momencie wyciągnęła telefon i podstawiła go pod nos koleżanki. Na wyświetlaczu widać było fragment twarzy jakiegoś człowieka.

– Kto to? – Czerwińska przejęła aparat i zrobiła zbliżenie. Na ekranie pojawił się ktoś, kto wyglądał raczej na młodego. Maksymalnie trzydziestoletniego. Nawet na średniej jakości ujęciu widać było, że kiedyś miał problemy z trądzikiem, który zostawił na jego skórze sporych rozmiarów blizny.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. Widząc pytające spojrzenie koleżanki, od razu zaczęła tłumaczyć: – Wiesz, że ostatnią rzeczą, jaką mogłabym zrobić, to siedzieć i czekać, aż ten popapraniec sam się odezwie.

– I co zrobiłaś?

– Wiedziałam, że prawdopodobnie Miłosz poznał lub spotkał kogoś w barze niedaleko domu. Chodzi tam z kolegami. Tego dnia akurat wybrał się sam. Pokłócił się z dziewczyną, a dokładniej to ona go rzuciła.

– Przykre – wtrąciła Czerwińska.

– Ja to akurat się ucieszyłam. Nie lubiłam jej – prychnęła. – Zawsze wlepiona w telefon, zero chęci nawiązania z nami kontaktu, jakbyśmy nie byli tego godni. Miłosz tłumaczył, że się przed nami wstydzi, ale jakoś nie wydaje mi się. Nie ma pięciu lat, żeby z rumieńcem chować się przed nami. Ale nieważne. Poszłam do tego baru. Prowadzi go ojciec mojego kolegi z podstawówki. Jako jeden z niewielu nigdy nie patrzył na nas krzywo. Poza tym zawsze mnie bardzo lubił. Nawet przez chwilę podejrzewałam, że chciał, abym została dziewczyną jego syna. – Zaśmiała się

smutno, a wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki. – Przepraszam, ale przez to siedzenie w domu mam jakiś deficyt rozmów i gadam jak najęta. No i poprosiłam o dostęp do kamer. Wiem, że mają i działają, bo sama podesłałam kolegę, który stawia systemy alarmowe. Nie powiem, żeby był chętny, ale udało się. Dał mi nagrania. No i znalazłam. Widać, jak jakiś koleś przysiada się do mojego brata. Stawia mu kolejki, było ich w sumie z sześć, a sam nie wypija swoich. Miłosz ledwo siedzi na barowym stołku. Widać, jak podpiera się ręką w jakiś taki dziwny sposób. – W tym momencie Grzelczyk spróbowała to pokazać, ale sądząc po minie koleżanki, wiedziała, że średnio jej to wyszło.

Czerwińska zaczęła się śmiać.

– Przepraszam, ale i dziękuję.

– Za co? – zapytała zdziwiona.

– Od rana mam średni humor i w końcu się uśmiechnęłam. Myślałam, że już ten smutek zostanie ze mną cały dzień.

– Jezu, coś się stało? Wiedziałam od razu, że coś cię gnębi.

Dorota nie odpowiedziała. Patrzyła gdzieś w dal.

– Nie chcesz, to nie mów. Mój brat zupełnie nie zna tego typa, nie pamięta go. Jednak teraz wiemy, jak wygląda przeciwnik.

– Ja bym na jego miejscu się bała. Jak ty go dorwiesz, to zostaną z niego strzępy – powiedziała pewnie Czerwińska i ponownie się uśmiechnęła.

Rozdział 24

Czerwińska dobrze wiedziała, że powinna przekazać sprawę zgłoszoną przez Karolinę Jasińską komuś innemu, ale ta z bliżej nieokreślonych względów ją intrygowała. W pierwszym rzucie wysłała pod wskazany adres patrol dwóch lokalnych policjantów. Niestety ci zupełnie niczego się nie dowiedzieli. Mężczyzna nie otwierał, a akurat tego dnia nie zastali nikogo z sąsiadów. Taki peszek.

Mimo natłoku pracy postanowiła pojechać i raz jeszcze porozmawiać z dziewczyną o tym, co się stało. Po wyznaniu, że go zabiła, Jasińska siedziała długo w milczeniu. Nakłonienie jej do kolejnych zeznań nie było łatwe, ale udało się i opowiedziała sporo o ich związku. O niespodziewanym spotkaniu na ulicy. Z reguły nie wchodziła w relacje z nieznajomymi, ale chłopak miał w sobie jakiś magnetyzm, któremu nie mogła się oprzeć. Gdy zaczęła go opisywać, Czerwińska poczuła, jak serce szybciej jej bije. Miała wrażenie, że słucha opisu relacji swojej i Marka. Niby zwykli ludzie, a dopasowani do siebie jak puzzle.

Wszystko układało się cudownie. Planowali już nawet wspólną przyszłość. Chcieli otworzyć ekologiczny ośrodek w górach. Znaleźć jakiś stary zajazd lub hotel, wyremontować go własnymi rękoma. Ona zajęłaby się promocją i obsługą klientów, a on by gotował i w razie wolnych mocy jej pomagał. Na pytanie, skąd miałaby na to fundusze, odpowiedziała, że ma odłożone sporo pieniędzy. Odziedziczyła po ojcu, ale jeszcze nie skorzystała ze spadku. Obiecała matce, że zrobi to mądrze.

Wszystko wyglądało perfekcyjnie. Żadnych problemów. Ani jednej kłótni.

I nagle coś się posypało. Od tygodnia chodził zdenerwowany, a ostatnio, gdy się widzieli, zaczął ją wyzywać. Zupełnie ją tym zaskoczył. Zawsze był taki miły i zrównoważony i nagle wszedł w niego jakiś demon. Zaczął ją obrażać. Krzyczał, że jest nikim. Nic w życiu nie osiągnie. Tylko żeruje na swojej matce. Zdziwiła się, bo mało o niej rozmawiali.

A później ją zaatakował. Nie uderzył, ale z opisu Czerwińska wiedziała, że dziewczyna mogła się nie na żarty przestraszyć. To, jak zareagowała, może nie było idealne, ale co miała zrobić? Czekać, aż dręczyciel zrobi jej krzywdę? Zamiast wyjść, jak nakazywał zdrowy rozsądek, stanęła naprzeciwko niego. Liczyła, że swoim uśmiechem go złamie. Spowoduje, że wróci jej ukochany Bartek, który skradł jej serce.

Ale nie. Rzucił się na nią z kolejną dawką wyzwisk, przy każdym słowie robiąc kolejny krok w jej stronę. Nie miała dokąd uciec, bo stanęła dość niefartownie tak, że za nią była tylko ściana. Oparła się o nią i zamknęła oczy. Otworzyła je, gdy zaczął obrażać jej mamę.

Wtedy Jasińska powiedziała Dorocie smutną prawdę o ojcu. Znęcał się nad żoną. Początkowo słownie, ale później zaczął wykorzystywać do tego swoje wielkie, owłosione dłonie, którymi później głaskał córkę. Miała wtedy wrażenie, że ten dotyk parzy. Nienawidziła ojca jak nikogo na świecie, a gdy słuchała słów Bartosza pod adresem matki, wszystko jej się przypomniało. Tylko wtedy była małą dziewczynką, a teraz stała przed nim jako dorosła kobieta. Zebrała całe drzemiące w niej siły i odepchnęła go. Zupełnie się tego nie spodziewał.

Przewrócił się o małego pufa.

Nie obejrzała się.

Nie sprawdziła, czy wszystko z nim okej.

Zgarnęła torebkę i kurtkę, po czym wybiegła z mieszkania.

Dopiero w samochodzie zaczęła się zastanawiać, czy coś mu się stało. Za plecami usłyszała tylko jego jęki i kilka kolejnych bluzgów. Może gdyby nie one, podeszłaby do niego. Ale pomaganie osobie, która rzuca kurwami w stronę jej matki, nie było czymś, na co miałaby ochotę.

Następnego dnia wyrzuty sumienia dopadły ją w zmasowany sposób. Postanowiła sprawdzić, co się z nim stało. Ratować związku już nie chciała. Nie potrafiłaby wybaczyć tego ataku, ale tak po ludzku chciała mieć czyste sumienie.

Gdy próbowała się do niego dodzwonić, nie odbierał. Kilka dni później pojechała do niego i pukała. Nic. Rozmawiała nawet z jakimś sąsiadem, ale nic nie wiedział. Pochwalił tylko Bartosza, twierdząc, że dawno nie spotkał żadnego młodego człowieka, który byłby tak spokojny i kulturalny jak on. Zawsze mówił „dzień dobry".

Czerwińska stanęła przed drzwiami z numerem 15 i zapukała.

Cisza.

Użyła dzwonka. Usłyszała, jak za drzwiami rozlega się jego dźwięk, ale nic poza tym. Żadnych ruchów, żadnych kroków kogoś, kto chciałby jej otworzyć i porozmawiać.

– Czy wyście oszaleli? – Piskliwy głos dochodził zza pleców policjantki. – Nachodzicie tego młodego chłopaka jakby co najmniej był kimś ważnym.

– A kto go nachodzi? – Czerwińska odwróciła się. W drzwiach stała niska kobieta z krótkimi kręconymi włosami, przyodziana w szlafrok o bliżej nieokreślonym kolorze. Może kiedyś był fioletowy, ale teraz w niektórych miejscach jego barwa przypominała blady róż, a w innych trochę niebieski.

– Pani co taka wścibska? – zareagowała kobieta.

Czerwińska niespiesznie wyciągnęła blachę z kieszeni i wysunęła w stronę rozmówczyni. Twarz kobiety natychmiast stężała, jakby poczuła, że jej zachowanie było nieodpowiednie.

– Myślałam, że pani to jakaś dziennikarka, ale jak zwykle moja kobieca intuicja nawaliła.

– Czemu pani powiedziała, że oszaleliśmy?

– Bo ostatnio co chwilę ktoś tu łazi. Jakby ten chłopaczek był kimś ważnym. A to taki totalny zwyklak.

– A kto tu był? – drążyła dalej policjantka.

– No… pani koledzy.

Dorota zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Zupełnie nic z tego nie rozumiała. Proste z pozoru zgłoszenie robiło się coraz dziwniejsze.

– Kiedy byli?

– Z pięć dni temu. – Kobieta oparła się o framugę drzwi i zaczęła skubać wiszącą z rękawa nitkę.

– Wie pani dlaczego? O co chodziło?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Gotowałam wtedy obiad dla mojego starego, gdy usłyszałam jakiś hałas na klatce. Ostatnio w okolicy było kilka włamań, więc jestem czujna. Zerknęłam przez wizjer i zobaczyłam całkiem niezły tłum.

– Tłum? – powtórzyła po niej policjantka.

– Tak. Dwóch policjantów i jakaś lalunia.

– Lalunia?

– No taka blondi z włosami do pasa. Ładna, nie powiem, chociaż jak dla mnie zbyt wymalowana. Ja tak tylko od święta się maluję.

Dorota zacisnęła mocno wargi, aby nie parsknąć. Kobieta zdecydowanie nie wyglądała na taką, co robi coś więcej poza uczesaniem się, gdy zbliża się ważne wydarzenie.

– Nie zapamiętała może pani, z jakiego komisariatu byli ci funkcjonariusze?

Kobieta pokręciła głową na boki, czym nie zdziwiła Czerwińskiej.

– No dobrze, to już nie będę pani przeszkadzała. Dziękuję za pomoc.

Rozdział 25

Wracając na komendę, Czerwińska zajechała jeszcze do firmy kurierskiej, która przez dwa dni konsultowała się z prawnikami, czy powinni udostępniać im informacje o przejazdach swoich kurierów. Gdy w końcu stwierdzili, że nie mają wyjścia, okazało się, że dzień przed tym, jak zginał Norbert Dutkiewicz, nie dostarczali do teatru żadnych przesyłek.

Wpadła niczym burza do ich gabinetu i streściła Markowi średnio miłą rozmowę z pracownikiem firmy kurierskiej. Facet, cały czas podkreślając ich dobrą wolę w kwestii współpracy, wyświetlał na ekranie swojego komputera przesyłki dostarczane w pobliżu teatru.

– Kretyni. Dwa dni na to straciłam… – warknęła, a Kamiński spojrzał na nią z ukosa. – Straciliśmy. Oni zupełnie nie biorą pod uwagę, że takie informacje są dla nas ważne. Nawet bardzo ważne.

– I co teraz? – Mężczyzna uśmiechnął się do Czerwińskiej, założył ręce z tyłu głowy i wyciągnął nogi.

– Kamery przed teatrem to atrapy zamontowane przez właściciela sklepu spożywczego. Podobno kiedyś co chwilę ktoś demolował mu lokal, dlatego postanowił zamontować straszaki. Początkowo nie wierzył, że to coś da, i zakładał, że będzie musiał zainwestować w lepszy sprzęt, ale ma je od pięciu lat i jest spokój. Ale niestety dla nas nie mają żadnej wartości. Kolejne kamery, które działają, niestety nie pokazują, co dzieje się pod teatrem. – Policjantka usiadła na krześle, zapominając o zdjęciu kurtki.

Przez chwilę w pomieszczeniu zapadła krępująca cisza. Ona patrzyła na wyłączony komputer, ale nie drgnęła nawet w jego stronę, aby go uruchomić. On zaś, wzdychając i wydając dziwne dźwięki ustami, patrzył na profil Czerwińskiej. W końcu podskoczył na równe nogi.

– To co, jedziemy?

– Dokąd? – Kobieta spojrzała na policjanta i również wstała. Dzieliły ich niespełna dwa metry.

– Dorotko, co się z tobą dzieje? – Podszedł do niej bliżej i położył dłonie na jej ramionach. Delikatnie drgnęła, ale nie odsunęła się. – Kocham cię nad życie. Jesteś cudowną kobietą, za którą poszedłbym w ogień. Dałaś mi niesamowity dar w postaci naszego syna. – Położył prawą dłoń na jej policzku i delikatnie ją pogłaskał. – Powiedziałaś, że potrzebujesz czasu, i ja to szanuję. Powtarzałem ci to wiele razy i będę robić nadal. Z mojej strony nic się nie zmienia poza tym, że nie mogę się tobą chwalić na mieście jako moją żoną.

Parsknęła śmiechem i wtuliła się w partnera. Marek otoczył ją swoimi silnymi ramionami i zanurzył twarz w jej włosy, które tego dnia spięła w wysoki kok.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha. – I będę czekał na ciebie, ile to potrzebne. No, chyba że ty zaczniesz kogoś sobie szukać.

– No pewnie, że będę – zaśmiała się, cmoknęła mężczyznę w policzek i wyswobodziła się z jego objęć.

– Szkoda – westchnął i wzruszył ramionami. – A teraz zawijamy dupę w troki i lecimy do teatru, trzeba ich wreszcie przycisnąć.

Przed budynkiem, w którym zmarł Norbert Dutkiewicz, leżało mnóstwo kwiatów. Ludzie utworzyli ołtarzyk niczym w Stanach Zjednoczonych i przychodzili, aby okazać swoją sympatię zmarłemu. Nawet teraz dwie kobiety stały przed kilkumetrowym dywanem z kwiatów i maskotek i cicho ze sobą rozmawiały.

Minęli je i weszli do budynku. W środku kłębiło się sporo ludzi. Okazało się, że właśnie przygotowują się do nowej sztuki. Produkcja zebrała praktycznie całą ekipę. Mierzono kostiumy, testowano makijaże.

Gdy zbliżyli się do gabinetu reżyserki, która miała na nich czekać, usłyszeli zza drzwi męski głos:

– Nigdy go nie lubiłem. Zawsze się wywyższał, jakby miał czym. Zwykły chamek, jakich wielu. Wyżej sra, niż dupę ma.

– Oj, przesadzasz. Potrafił dobrze zagrać.

– Jaja sobie robisz?! Zawsze wszystko nadinterpretowywał. Ale dobra, w dobie tych domorosłych aktorów nie sięgnął dna, to jeszcze bym przeżył, ale on był krętaczem. Uśmiechał się do ciebie, a gdy człowiek się obracał, to obrabiał mu dupę. Nie znoszę takich typów. Nasłuchałem się o nim ostatnio sporo i nie dziwię się, że ktoś postanowił go w końcu wypchnąć na tamten świat.

– Z kim rozmawiałeś? – Drugi głos, należący do kobiety, brzmiał niezwykle przyjemnie. Jego właścicielka spokojnie mogłaby pracować w radiu lub być lektorką. – Z naszą szanowną aktoreczką Natalką? Przecież ona nie jest lep-

sza. Sama uwielbia intrygi, no i ona… – Zapanowała cisza.

– Też uwierzyłaś w te plotki o niej?

– To nie plotki – zareagowała kobieta tym razem piskliwie. – Widziałam sama, jak wchodziła do jego pokoju, a później wychodziła jakoś w nieładzie. Poza tym ponoć załatwiła mu rolę Romea.

– Czyli nie zadecydowało to, że ludzie uwielbiali oglądać jego żałosną mordę. Uff… – Mężczyzna zaśmiał się, ale ten dźwięk brzmiał dość upiornie.

– A co ty, zazdrosny jesteś?

– Chyba nie mam o co, skoro skończył w taki sposób. Ktoś bardzo go nie lubił.

– A masz pomysł kto? – Kobieta ściszyła głos.

– O niczym innym nie myślę od tych kilku dni i wiesz co, jest długa lista. Ale mam top trzy.

Kamiński uśmiechnął się i podeszli bliżej drzwi.

– No chyba nasza pani reżyser, to zdecydowanie…

Nie usłyszeli dalszej części, bo nagle za nimi huknął donośny głos:

– A państwo co tu robią?

Za ich plecami wyrósł mężczyzna, którego wcześniej nie widzieli. Ciasna marynarka powodowała, że z daleka widać było mięśnie klatki piersiowej, podobnie jak kręcone włosy wystające zza niezapiętych górnych guzików.

– Policja. – Kamiński wyciągnął odznakę i podsunął w kierunku faceta. – Starsza aspirant Dorota Czerwińska i komisarz Marek Kamiński. Musimy porozmawiać z...

– Jesteśmy teraz zajęci. – Rozmówca założył ręce na brzuchu i obserwował przybyłych. Jego mina nie napawała optymizmem. Wyglądał na zaborczego i gotowego rzucić się niczym Rejtan pod nogi, aby uniemożliwić im zawracanie głowy aktorom czy innym pracownikom teatru.

– Po pierwsze, jesteśmy umówieni, a po drugie, może wróci pan do swoich obowiązków. Jak widać, ochrona obiektu nie wychodzi panu najlepiej – rzucił Kamiński, mimo że wiedział, jak wygląda pracujący w teatrze ochroniarz, i stojący przed nimi człowiek na pewno nim nie był.

Facet zaśmiał się, pokazując rządek białych do przesady zębów.

– Dobre. Różne rzeczy mi wmawiano, ale nie to, że jestem ochroniarzem. Oczywiście żaden zawód nie hańbi, ale moja mama, dzięki której znam sześć języków, skończyłem trzy kierunki, a niedawno zacząłem studia doktoranckie, trochę by się zasmuciła.

– Może być pan nawet synem króla Hiszpanii…

– Ten akurat ma dwie córki, Eleonorę i…

– To nie ma znaczenia. – Tym razem to Kamiński przerwał mu zdanie w połowie. – Musimy porozmawiać z reżyserką, Aldoną Boczek.

– Na pewno nie teraz. – Pokręcił głową, a żaden włos na jego głowie nawet nie drgnął.

– Proszę pana, ta rozmowa zaczyna mnie trochę denerwować. – Policjant uśmiechnął się, co mocno kontrastowało z jego wyrazem twarzy. Zaciśnięte usta i żyła, która uwidoczniła się na czole, pokazywały siedzące w nim emocje.

– Rozumiem, ale pani Aldona ma teraz pracę do wykonania. Płacę jej za to, więc mam prawo wymagać.

Policjanci spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Tak, to ja ją zatrudniłem. – Mężczyzna uśmiechnął się triumfalnie. – Podpisałem jej umowę i to z mojej kieszeni leci dla niej kasa. Niestety teatr po latach złego zarządzania wymaga dogłębnych zmian i planuję to na przestrzeni dwóch, trzech lat wdrożyć. Dlatego tak bardzo zależy mi, aby pracowała efektywnie.

– Państwo do mnie? – W tym momencie po ich prawej stronie pojawiła się ogolona na łyso kobieta w puchatym różowym swetrze, który wyglądał jak pofarbowana owca.

– Tak. – Policjantka ukłoniła się lekko. – Starsza aspirant Dorota Czerwińska i komisarz Marek Kamiński.

– Sławek – zwróciła się do właściciela teatru kobieta. – Idź spionizować tę dwójkę, co ją zatrudniłeś. Oni nawet nie stali koło aktora. Są jak kłody. Mój mąż, który jest fizykiem, lepiej wczuwa się w rolę. Jak nie zrobisz z nimi czegoś, to zapewniam cię, wyjdzie z tego takie gówno, że przez długi czas będą o nas pisać.

– I o to właśnie chodzi – zaśmiał się mężczyzna.

Kobieta zrobiła w jego kierunku gwałtowny krok, kręcąc groźnie głową.

– Nie po to kończyłam szkołę filmową, jeździłam po świecie, by podglądać najlepszych. Zażynałam się, co wiesz, że skończyło się dla mnie średnio… Nie po to to wszystko, aby teraz pracować z jakimiś celebrytami, co myślą, że jak obejrzeli serial na Netflixie, to potrafią grać. Gówno! To będzie gówno!!! – wrzasnęła, a policjanci aż podskoczyli. – Idź i ogarnij ich. Zapisz na jakiś ultraszybki kurs grania lub daj ludzi, którzy coś potrafią.

– Tylko że…

Kobieta podniosła rękę, dając znać, aby nie kończył.

– Poproś ich o zagranie pierwszej sceny. Jest naprawdę łatwa. Może wtedy zrozumiesz, w jakie pieprzone bagno chcesz mnie wpuścić. Ja się nie dam i ucieknę, zanim ten okręt zatonie. Just saying.

Wraz z ostatnim słowem odwróciła się w przeciwnym kierunku. Policjanci ruszyli za nią. Po chwili weszli do jakiegoś pomieszczenia. Był to niewielki pokój z kanapą i stolikiem, na którym ktoś ustawił tacę z owocami, paterę ze słodyczami, dzbanek wody oraz kilka plastikowych kubeczków.

– Napiją się państwo czegoś? – spytała, kiwając w stronę stolika. Żadne z policjantów nie przyjęło jej zaproszenia, więc dorzuciła: – Ja za to sobie łyknę. – Ale zamiast sięgnąć po wodę, która stała na wyciągnięcie ręki, zaczęła szperać w wielkiej torbie, którą miała zawieszoną na ramieniu. Po chwili wyjęła posrebrzaną flaszkę. – Bardzo przepraszam, ale czasami muszę. Ostatnio każda wizyta tutaj kończy się podniesieniem mi ciśnienia. Lekarz zabronił mi się denerwować, a mąż zagroził rozwodem, jakby to miało mnie uspokoić. Generalnie biorę leki, takie, jak to nazwałam, mózgojeby, ale one mnie otępiają niezależnie od dawki, za to mała dawka procentów jest zbawienna. – Odkręciła butelkę i pociągnęła spory łyk. – No dobra, zaczynajmy, bo zaraz wpadnie ten buldożer w garniturze za tysiące złotych i porozsadza nas po kątach. – Kobieta zaśmiała się na głos i usiadła na krześle naprzeciwko kanapy, na której już spoczęli policjanci.

– Wiem, że już rozmawialiśmy, ale mamy jeszcze kilka pytań – zaczął Kamiński. – Na początek: czy dzień przed śmiercią Norberta Dutkiewicza dostała pani paczkę?

– Paczkę? Boże, nie pamiętam. To było wieki temu.

– Nie tak bardzo. Nieco ponad tydzień temu.

– Ja mam wrażenie, że to było w innej rzeczywistości. Panował jako taki porządek i spokój. Teraz sztuka Romeo i Julia się posypała totalnie, pewnie dlatego Sławek taki wkurzony chodzi. Norbert był jednym z dwóch odtwórców, bo nie wiem, czy państwo wiedzą, ale z reguły daną postać zamiennie odgrywa dwóch, a czasami nawet trzech aktorów. Po pierwsze, żeby ich nie zamęczyć, po drugie, ponieważ mają inne zobowiązania, rodziny, a po trzecie, na wypadek jakichś wypadków. Masło maślane. No, ale tym razem jebło z grubej rury… – Kobieta ponownie napiła się alkoholu. Towarzystwo stróżów prawa zupełnie jej nie przeszkadzało. – Niestety nad tą sztuką od początku wisi jakieś fatum. Najpierw zmienił nam się właściciel i nowy zaczął wszystko zmieniać. Kostiumy, datę premiery, aktorów. Jak już się wszystko udało, pękła rura i zalało większą część sceny. A teraz nie dość, że nasze bożyszcze tłumów, magnes przyciągający młode dziewczyny, co, nie powiem, spowodowało wzrost obrotów, zmarł, to na dodatek jego zastępca złamał sobie nogę. Musimy teraz znaleźć nowego i nie będzie on miał zbyt wiele czasu na wdrożenie. Nie wiem, jak on to zrobi. Boże! – Kobieta pisnęła i złapała się za łysą głowę. – Cała trasa była ustalona, bilety się sprzedały, bo ten jełop tam grał.

– Jełop? – zapytała zdziwiona Czerwińska.

– Przepraszam, ale niezbyt go lubiłam. Nie zmienia to faktu, że zarabiał dla nas masę kasy. Od dawna żadna nasza sztuka nie sprzedawała się tak dobrze. Smutne. Zostałam reżyserką teatralną, bo wierzyłam w wyższość teatru nad serialami. O filmach nie mówię, bo tu już trzeba wielkich budżetów i często pleców wielkości tych, co ma Pudzian. A tu nagle okazuje się, że wartością nadrzędną nad wykształceniem i warsztatem jest liczba lajków na Instagramie. I że one przyciągają za sobą tłumy na sale. Dla mnie to jest jakaś inna rzeczywistość. Nie jestem stara, ale tego nie kumam. Chciałabym z tym walczyć, ale wiedzą państwo, z pewnymi rzeczami nie da rady. Wszystko idzie do przodu, zresztą państwo sami to przeżywają i nie wiem… – Kobieta zawiesiła głos, widząc zmarszczone czoło Czerwińskiej. – Chodzi mi o to, że w policji kiedyś służyli sami faceci i czy komuś to przeszkadzało? A teraz parytety i inne takie bzdety, a czy komuś to wyszło na dobre?

– Może dyskusje o zmianach w policji zostawimy na następny raz – wtrąciła policjantka. – Teraz chcielibyśmy wrócić do paczki, którą pani otrzymała dzień przed śmiercią pana Dutkiewicza.

– Tylko że ja nic nie dostałam. Chociaż… – Podeszła do stojącej w kącie szafki i zaczęła szperać. Po chwili wyciągnęła kilka nieotwartych kopert. Wszystkie były zaadresowane do niej, ale tylko jedna się wyróżniała. Powoli ją otworzyła i zaraz zakryła usta. – Ojej, ale dałam plamę!

Podeszła do Kamińskiego i podała mu paczkę. W środku znajdowała się kartka z przyklejonymi literami. Jednak tekst na niej wcale nie był karalny.

Uśmiechnął się rozbawiony i oddał list kobiecie.

– Mąż! – zaśmiała się smutno. – Parę dni temu temu pytał, czy czegoś nie dostałam, a ja go zlałam. Chyba będę musiała go przeprosić. – Zamachała rzęsami, po czym sięgnęła ponownie po piersiówkę. Pociągnęła spory łyk alkoholu i potrząsnęła flaszką, jakby sprawdzała, ile jeszcze jej zostało.

– Dlaczego nie lubiła pani Dutkiewicza? – spytała nagle starsza aspirant Czerwińska.

– Szczerze? – Aldona Boczek przekrzywiła głowę niczym małe dziecko, które nabroiło i słodką miną próbuje udobruchać wkurzonego rodzica.

– Poprosimy.

– Byłam zazdrosna. Ostatnio słyszałam jego rozmowę z szefem wszystkich szefów. Ten aktorek dostał zapewnienie, że ma zielone światło do wystawienia sztuki, którą wyreżyseruje jego kumpel. Zresztą też ten z nurtu celebryckiego. Znany jest z tego, że jest znany, a nie dlatego, że coś w życiu fajnego, wartościowego zrobił. No kurde! – pisnęła. – To nie tak powinno być. Ja rozumiem… – Westchnęła. – No dobra, próbuję zrozumieć, dlaczego taki goguś jak Norbert Dutkiewicz jest zatrudniany jako główny aktor. Kiedyś może to ogarnę moim małym rozumkiem, ale to, że angażuje się w coś, o czym nie ma zielonego pojęcia, to już wywołuje u mnie drgawki.

– Rozumiem pani frustrację – wtrącił Kamiński, za co został storpedowany wzrokiem przez partnerkę.

– Tak, ale…

– Ale co? – Czerwińska popatrzyła na leżące na stoliku jedzenie, a wtedy jej brzuch wydał dziwny dźwięk. Od paru godzin nic nie jadła i jej ciało zaczynało domagać się kalorii. Ponownie spojrzała na kobietę, licząc, że nikt nie usłyszał przewalających się w brzuchu płynów.

– I tak pewnie zaraz ktoś miły doniesie, więc lepiej, żebym sama to powiedziała. Ostatnio się mocno pokłóciliśmy. Po przedstawieniu jedna z koleżanek przyniosła tort. Miała urodziny, a że mąż rzucił ją dla młodszej, stwierdziła, że w pracy zrobi imprezkę. Nie miałam na to ochoty, bo następnego dnia obiecałam mężowi pomóc w remoncie w domu, ale zostałam. Jak zwykle miało być na chwilę, ale rozwlekło się w czasie. Oczywiście alkohol lał się strumieniami. No i zaczęły się jakieś dziwne akcje. Natalia, która jest… to znaczy była wpatrzona w Norberta jak w obrazek, zupełnie zapominając o jego żonie, zaczęła chwalić go pod niebiosa. – W tym momencie policjanci spojrzeli na siebie. Już po raz drugi tego dnia wypływało imię kobiety. – A ja, jak to ja, wybuchnęłam gromkim śmiechem. Zaczęłyśmy się kłócić.

– O co? – spytała znienacka Czerwińska.

– Zaczęłam opowiadać, jak to kiedyś Andrzej Wąsik grał Romea i to było doznanie wręcz metafizyczne… – Kobieta zaśmiała się. – Mój mąż zawsze mówi, że po alkoholu jestem kąśliwa i ostrzy mi się humor. Generalnie to w sposób dość perfidny krążyłam wokół jednej tezy. Że Norbert Dutkiewicz jest słabym aktorem.

– I co on na to?

– Początkowo to z nią się kłóciłam. Opowiadała o tłumach przychodzących na przedstawienia, jego gówno mnie obchodzącym instagramie. Mówiła, że jestem zazdrosna, bo gdyby nie on, byłaby to kolejna moja niezauważona przez nikogo sztuka, a tak kilku wywiadów chociaż udzieliłam. – Pokiwała głową. – W tym ta mała pinda miała rację, ale zupełnie nie łapała, o co mi chodzi. W końcu wybuchnęłam i powiedziałam, że jakby nasrał na scenę, to pewnie znalazłaby się grupka ludzi, co chcieliby to kupić, bo jego odbiorcy są zwyczajnie tępi.

Czerwińska parsknęła śmiechem, a Kamiński mruknął z uznaniem.

– No i wtedy pojawił się on. Norbert. Był wstawiony, więc ruszył swojej damie na ratunek.

– Swojej damie? – Czerwińska zmarszczyła brwi i lekko je uniosła, po czym chwyciła za leżącego najbliżej wafelka.

– Tak, oni jak nic mieli romans. Czuło się to w powietrzu, te spojrzenia, muśnięcia. Wiedzą państwo, chcieli to ukryć, ale żadni z nich aktorzy, więc… Ja to zauważyłam i myślę, że nie tylko ja.

Wiedzieli, czego potwierdzenie dostali chwilę wcześniej od nieznanych rozmówców.

– I co zrobił Norbert Dutkiewicz?

– Zaczął się na mnie wydzierać, że jak mi się nie podoba, to żebym spieprzała. Zachowywał się tak, jakby to był jego teatr. Sławek był wtedy chory, miał grypę czy inne gówno, więc nie mógł bronić swego biznesu. Wkurzyłam się, bo to już była przesada, no i…

Policjanci nie odrywali od niej wzroku, ale ona zamilkła.

– No i co?

– Powiedziałam, że świat byłby lepszy bez niego i fajnie byłoby, jakby zdechł. Najlepiej cierpiąc.

– Czyli życzyła mu pani śmierci? – zapytał Kamiński spokojnym głosem.

Kobieta pokręciła głową i usiadła na kanapie.

– Nie. Ale tak mogło to zabrzmieć. Mój mąż zawsze mi mówi, że alkohol zabiera mi rozum, i chyba ma trochę racji. Wtedy nie kontroluję, co mówię, chociaż pamiętam później wszystko. Dodaje mi odwagi. Pewnie dlatego zwierzam się teraz wam, bo inaczej bym dostała sraczki. – Wypuściła powietrze z ust, wydając z siebie dziwny dźwięk przypominający pociąg wypuszczający parę. – Ale ja nie chciałam, żeby umarł. To był mój wyraz sprzeciwu przeciwko takim jak on. Jakbym chciała coś zmienić, musiałabym sporo jemu podobnych pozabijać. Tak jak powiedzia-

łam, nie odnajduję się w tym, ale muszę zacząć inaczej patrzeć na to, co się dzieje, bo wypadnę z biznesu, a kocham to, co robię. Nowy właściciel potrafi kalkulować, w odróżnieniu od poprzedniego, wtedy liczył się bardziej artyzm, przesłanie. A teraz jest zupełnie inaczej. Muszę raz w miesiącu siadać przed magicznymi tabelkami, gdzie doskonale widać, że ludzie nie chcą sztuki wyrafinowanej. Szukają rozrywki, takiego Netflixa, ale w wersji teatralnej. Ale tak nie powinno być. Netflix w domu, a tutaj sztuka przez duże „s".

– Możemy zobaczyć resztę paczek? – rzuciła nagle Czerwińska, bo jej wzrok przesunął się na szafkę, z której wcześniej Aldona Boczek wyciągnęła korespondencję.

Kobieta odsunęła się. Policjantka zaczęła przeglądać paczki.

– Nie otwiera pani tego?

– Po co? To próbki, zaproszenia od jakichś gówniarzy, którzy liczą, że wypłyną, bo ktoś znany przyjdzie na ich przedstawienie, pokaz czy jakąś inną imprezę. Chodzenie po tych spędach, gdzie część przychodzi, aby się nażreć i napić za friko, a część aby móc pojawić się na ściance, a może jakiś paparuch zrobi im zdjęcia i może ktoś będzie chciał opublikować w jakimś gównianym portalu… To nie dla mnie.

– Możemy? – spytał Kamiński, podnosząc jeden z listów. Chciał przerwać monolog kobiety, która z minuty na minutę robiła się coraz bardziej czerwona na twarzy, co podkreślał intensywny kolor jej sweterka.

– Otwierajcie – prychnęła. – Otwierajcie wszystkie, a jak coś się spodoba, bierzcie.

– Pani naprawdę tego nie otwiera? – Czerwińska nie mogła w to uwierzyć. Mieli przed sobą kilkanaście, o ile nie więcej, nieotwartych paczek.

– Raz w miesiącu moja koleżanka lub córka to ogarniają. Kiedyś robiły to częściej, ale chodzenie po eventach je znudziło.

Powoli otwierali paczkę po paczce.

Zaproszenie na premierę filmu wyreżyserowanego przez topowego reżysera.

Zestaw próbek z najnowszej kolekcji kremów.

Kolejne dwa zaproszenia na filmy.

Zestaw kulek do masażu w domu plus żele.

Nic szczególnego.

– No dobrze, nie będziemy już pani przeszkadzać – odezwał się w końcu Kamiński, a Dorota mu przytaknęła.

– Ale to lepsze niż te dzisiejsze pseudopróby. Ja mam dość! – pisnęła. – To jest jakaś szopka, a ja mam ochotę wysiąść z tego pociągu, mimo że on pędzi.

– Tak, cóż…

Policjantka nie zdążyła skończyć, bo kobieta weszła jej w słowo:

– Proszę, znajdźcie tego, kto to zrobił, ja nie mogę przez to spać.

– Dlaczego? – Czerwińska podeszła bliżej i zmrużyła oczy. – Przecież nie lubiła go pani, a można rzec, że wręcz nienawidziła.

– Tak, ale co innego nienawidzić, nawet gadać o jego śmierci, a co innego jej chcieć. Gdy jednak stanie się coś takiego, to człowieka wypełnia przerażający strach.

Rozdział 26

Młody mężczyzna szykował się do rozpoczęcia nagrania.

Jego kanał na YouTube subskrybowało kilkanaście tysięcy osób. Przystojny chłopak był obserwowany nie tylko dlatego, że robił nietypowe rzeczy z pogranicza sztuczek magicznych, ale również dlatego, że prezentował się bardzo atrakcyjnie. Ciemne włosy, które naturalnie kręciły się niczym sprężynki, ciemna oprawa oczu o błękitnych tęczówkach. Magiczny, magnetyzujący wzrok powodował, że podczas jego cotygodniowych pokazów po drugiej stronie komputera siadało coraz więcej osób, w szczególności młodych dziewczyn, które czasami nie słuchały jego głosu, bo ten miał dość denerwujący. Zupełnie nie pasował do jego wyglądu. Patrząc na niego, można by oczekiwać mocnego, niskiego głosu, a tymczasem mężczyzna piszczał jak podrostek w czasie mutacji.

Mimo to przyciągał przed ekrany laptopów, komórek czy tabletów tłumy, których zazdrościło mu wielu kolegów. Wszyscy chcieli zobaczyć, co tym razem szalonego wymyśli, bo każde z prezentowanych wyzwań ocierało się o sytuacje, w których mało kto chciałby być.

Tylko nieliczni byli świadomi, że większość jego sztuczek opiera się na oszustwach i udogodnieniach, o których nie informował swoich fanów. Szybko straciłby publikę, gdyby wyszło na jaw, że oszukuje na praktycznie każdym etapie. Że filmik, w którym rzekomo nurkuje pod wodą przez cztery minuty, nakręcił wcześniej i nie dlatego, że bał się, czy mu wyjdzie, ale dlatego, że długo zajęło mu pocięcie materiału w taki sposób, aby nie dało się zauważyć, że w międzyczasie parę razy się wynurzył.

Zmanipulował nawet znany wśród młodzieży challenge z wypiciem całej butelki sprite'a czy innego gazowanego napoju. Rozwodnił go, sprawdziwszy wcześniej, jakie proporcje są dla niego akceptowalne. Okazało się, że w litrowej butelce mogło zostać raptem trzysta mililitrów oryginalnego płynu, aby po wlaniu w siebie całości na raz nie zaczął bekać, co było naturalną reakcją większości.

Ludzie wychwalali go pod niebiosa, jakby zrobił coś niesamowitego, nie wiedząc, że jest nagminnym kłamcą i ściemniaczem.

Zresztą nie tylko w kwestii swoich sztuczek oszukiwał. Nikt nie wiedział też o tym, że ma rodzinę. Dwie małe córeczki, Rozalię i Amelię. Bliźniaczki jednojajowe, tak podobne do siebie, że własna matka miała na początku problem z ich rozpoznaniem. Zanim nauczyli się je odróżniać, czasami nie używali imion. Kochał je nad życie. Mimo to cały czas podtrzymywał w sieci image przystojnego podrywacza, singla, komentując zaczepne wpisy pod swoimi filmikami czy zdjęciami. Co jakiś czas musiał tłumaczyć się z tego narzeczonej, że taki już los celebryty i nic z tym nie zrobi.

Oczywiście ona zupełnie tego nie rozumiała, jak i jego kariery w sieci. Zdecydowanie wolałaby, aby jak większość jej znajomych chodził do pracy. Wychodził rano, wracał po południu. Nie widywaliby się tak często, ale przynajmniej wiedziałaby, że co miesiąc wpływa jego pensja. Stały, namacalny pieniądz. A tak raz na jakiś czas stawiał strony, żeby mieć jak najwięcej czasu na pracę marzeń, jak mówił o swoich poczynaniach w sieci.

Stanął przed wielką skrzynią i włączył kamerę. Cały sprzęt skontrolował dzień wcześniej.

Miał wejść do środka i spędzić w niej dwa dni. Tak jakby był w trumnie. Sprawdził wszystko w sieci. Kilka osób już opublikowało takie wyczyny. Oczywiście on nie planował takiego hardcore'u. Miał sporo udogodnień, o których widzowie nie mieli się dowiedzieć.

Wszystko przemyślał. Wiedział, że mu się uda. W środku poza kamerą miał też pada i w każdej chwili mógł zadzwonić do narzeczonej. Poza tym wziął tabletki uspokajające, aby ograniczyć napady klaustrofobii, które sporadycznie miewał.

– Cześć wszystkim! – Wyszczerzył się, gdy tylko przycisnął ikonę nagrywania. – Fajnie, że tak licznie się dzisiaj tutaj pojawiliście. Mam nadzieję, że wygodnie siedzicie i spędzicie ze mną trochę czasu. Oczywiście ja nie liczę na żadne luksusy, ale przełamywanie swoich barier to coś, co mnie kręci. Zamontowałem kamery wszędzie, tak żebyście widzieli jak najwięcej.

W tym momencie podszedł do stojącego w garażu pudła. Alicja wściekała się, że znowu wystawił na dwór jej samochód i rano, gdy jechała do sklepu, był zimny, a dwa razy nawet zasypany śniegiem. Nie przekonywało jej, że zrobił to po to, aby coś tam zbudować. Zresztą każdy jego wynalazek był powodem do kłótni. Kiedyś przerobił rower. Zamontował go na stojaku, przyczepił sobie nogi do pedałów i udawał, że jeździ przez dwie doby. Tutaj też ściem-

niał. Po pierwsze, nie musiał wkładać zbyt dużo wysiłku w kręcenie, bo pomagał mu w tym silniczek, który znajdował się poza zasięgiem kamery. Po drugie, wszystko zaczął z wyprzedzeniem, dzięki czemu miał możliwość schodzenia z roweru co jakiś czas, po czym montował materiał, wykorzystując ten nagrany już wcześniej.

Teraz wybudował wielki pojemnik. Z tatą za młodu robił meble do domku wakacyjnego, więc prace z użyciem młotka, piły czy śrubokrętu nie stanowiły problemu. Liczył, że kiedyś będzie miał syna i z nim będzie mógł spędzać czas, budując różne konstrukcje. Niestety los chciał inaczej. Został tatą córeczek i spodziewał się, że będą one wolały bawić się lalkami, a jak nie, to narzeczona, a może kiedyś żona, szybko wybije im z głów pomysł bawienia się piłą, młotkiem czy obcęgami. Dlatego na razie wszystkie konstrukcje musiał robić sam. W tym trumnę, którą stworzył w trzy dni.

– Tylko tam nie zdechnij – rzuciła z przekąsem przyszła żona, zanim wyszedł do garażu. Nie znosiła tej jego pseudopracy. – Pójdź do normalnej roboty. Czas najwyższy. Kończysz zaraz trzydzieści lat, a udajesz małoletniego podrywacza i nic z tego nie masz. Dorośnij.

Wiedział, że po części ma rację, bo poza jednym kontraktem, i to w barterze, nie zyskiwał na swojej działalności. Ale liczył, że to kwestia czasu. Jego dwóch kolegów, którzy wystartowali trochę wcześniej, już zarabiało nieźle, więc liczył na podobny los. Musiał tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Tutaj będę dzisiaj odpoczywał. – Puścił do kamery oczko. Kiedyś usłyszał, że słodko to robi, więc mrugał nim zdecydowanie częściej, niż miało to sens. – Cześć, Monika, cześć, Mateo! – zaczął serię powitań.

Wiedział, że ludzie to uwielbiają. Nie rozumiał, ale cóż, każdy chciał być dostrzeżony. Kiedyś podpatrzył u innych nagrywających, i to nie tych raczkujących, że przez około dwudziestu procent czasu nagrania skupiają się oni na swoich widzach. Dlatego robił to samo, skoro u innych przynosiło efekty. Witał ich, odpowiadał na pytania.

– To co, zaczynamy? Zanim właduję się do tej skrzyni i utknę w niej na dwie doby, kilka słów wyjaśnienia. Puszka, którą zbudowałem… Tak! – krzyknął, jakby ktoś właśnie stojący przed nim zadał mu pytanie. – Sam zbudowałem. Jestem człowiekiem wielu talentów. Tak, Paulinko, znakomity ze mnie materiał na męża! – Tym razem nie mrugnął, ale dwa razy dynamicznie uniósł prawą brew. Ćwiczył to przed lustrem i wychodziło całkiem zalotnie. – No i w tej skrzyni zamierzam spędzić aż czterdzieści osiem godzin. Wy będziecie sobie spać wygodnie w łóżkach. Wykąpiecie się, pójdziecie do szkoły czy na uczelnię, a może do pracy… – W to ostatnie wątpił, bo z małego rozeznania, które zrobił, wiedział, że większość jego obserwujących to dzieciaki do szesnastego roku życia. – Później pogracie w coś, zjecie kolację i pójdziecie spać, a ja w tym czasie będę walczył z demonami. Oczywiście ciągle będziecie mieli ze mną kontakt. Będę odpowiadał na wasze pytania, więc nie krępujcie się i piszcie. Jakbym odpłynął, nie martwcie się. Mój znajomy ratownik jest w pokoju obok.

Kolejne kłamstwo. Nikt go nie obserwował, a mdlenie, które zamierzał zaserwować obserwującym, opanował do perfekcji. Dzięki temu będzie mógł łatwiej skleić materiał i na chwilę wyjść. Poza tym widok jego poświęcenia na bank przyniesie mu kolejnych obserwujących.

Umówił się z narzeczoną, że napisze do niej na Messengerze chwilę wcześniej, aby przyszła i go otworzyła. Niestety gdy się żegnali, wrzeszczała, że jest nieodpowiedzialny i niech sam wypije nawarzone piwo i się oswobadza ze swojej pułapki. Pudło łatwiej było otworzyć z zewnątrz niż od środka. Oczywiście to drugie rozwiązanie nie było niemożliwe, ale wiązało się z uszkodzeniami konstrukcji, czego wolałby uniknąć.

– To co, zaczynamy? – W tym momencie uniósł wieko, a pokój wypełnił przerażający wrzask, który usłyszało kilkanaście tysięcy osób zgromadzonych na relacji na żywo.

Rozdział 27

Dorota zawsze uważała się za twardą.

Widok wnętrzności, zmasakrowane ciała nie robiły na niej wrażenia. Nawet smród, jaki wydzielały zwłoki po kilku dniach od ustania czynności życiowych, był jej niestraszny. Teraz jednak po raz pierwszy w życiu wyszła.

Nie wytrzymała. Nogi się pod nią ugięły, a ilość powietrza w pomieszczeniu zdecydowanie nie była wystarczająca. Wyszła, potykając się o własne nogi.

Minęła parę osób, ale zupełnie nie zapamiętała ich twarzy. Nawet rozrywana na kole niczym podczas średniowiecznych tortur nie byłaby w stanie wyciągnąć ich z zakamarków przerażonego umysłu.

Stanęła na podjeździe niewielkiego domku na Żoliborzu i sapała ciężko. Już jadąc pod podesłany przez prokuratora adres, wiedziała, co zastaną. Wiedziała, że widok będzie z serii tych najgorszych z najgorszych, a mimo to liczyła, że da radę.

Nie dała.

Stała i oddychała, łapczywie wciągając do ust powietrze.

Pierwszy raz w życiu została pokonana.

– Daj sobie chwilę. – Marek stanął obok niej, położył dłonie na jej barkach i zaczął przesuwać w dół do łokci i z powrotem. Najchętniej wtuliłaby się w niego i trwała tak długo, aż widok, który wypalił się jej pod powiekami, chociaż trochę straci na wyrazistości.

Musiała jednak zachować resztki pozorów. Zachowanie Kamińskiego było jak najbardziej zrozumiałe i mogło być uznane za zwykłe koleżeńskie wsparcie w tej dramatycznej sytuacji, mimo to zrobiła krok do tyłu i kucnęła. Trwała tak dobre pięć minut, w końcu niczym sprężyna wyprostowała się i ruszyła w stronę domu.

– Dobra, możemy iść – rzuciła, nie zwalniając kroku, nie oglądając się, czy komisarz za nią idzie.

– Nie musisz tam wchodzić – wyszeptał, gdy zrównał z nią krok.

– Nie muszę, ale jestem winna to tym dziewczynkom.

Mężczyzna kiwnął głową. Wiedział, że nie ma sensu dyskutować czy prawić morałów. Zdawał sobie sprawę, że sam by nie posłuchał, gdyby ktoś kazał mu zrezygnować z jakiegoś działania należącego do jego obowiązków. Jedynym przypadkiem, kiedy wiedział, że mógłby, a wręcz musiałby być bardziej stanowczy, była sytuacja, w której postępowanie Doroty zagrażałoby komukolwiek.

Teraz nie miało to miejsca, więc w milczeniu kroczył koło niej.

Chciał być tym twardym, ale i jego ścisnęło w gardle, gdy pierwszy raz weszli do garażu i stanęli w pobliżu skrzyni zbudowanej przez Macieja Winogrodzkiego, mężczyzny mieszkającego pod tym adresem wraz z rodziną.

Powoli weszli do środka, założywszy ponownie stroje ochronne. Tym razem nie poszli jednak do garażu, jak za pierwszym razem, ale skierowali się do salonu. Dom zbudowano we wczesnych latach osiemdziesiątych, a przy przeprowadzonym dwa lata temu remoncie nie połączono pokoju dziennego, jak to było modne, z kuchnią, więc salon był malutki. Mieściła się w nim trzyosobowa kanapa, naprzeciwko której na ścianie wisiał ogromny telewizor, zdecydowanie za duży na tak mały pokój. W kącie stał wielki kosz z zabawkami, z którego wystawały nogi lalki.

Czerwińska odwróciła szybko wzrok. „One już się nimi nie pobawią”, pomyślała.

Musiała skupić się na siedzącej na kanapie młodej kobiecie, która płakała tak przerażająco, że już sam ten dźwięk rozdzierał serce. Mimo to musieli spróbować. Musieli się dowiedzieć, co tu się stało.

– Da pani radę z nami porozmawiać? – Dorota przykucnęła, tak aby kobieta nie musiała zadzierać głowy.

Jej twarz wyrażała bezgraniczny smutek. Po policzkach strumieniem leciały łzy, jakby ktoś odkręcił kran. Jej broda drżała, jakby podłączono ją do prądu, a pod oczami zgromadził się cały tusz i cienie, które zapewne rano naniosła, siedząc przed lustrem i uśmiechając się do siebie.

– Mówiłam mu, że to jest głupie… – wyszeptała w końcu. – On nigdy nie brał pod uwagę, że takie rzeczy powinny być z dala od dzieci. Nie, nie, nie… – powtarzała, bujając się w przód i w tył.

Czerwińska uniosła się i pogłaskała kobietę po plecach. Podeszła do Kamińskiego i chwilę trwali w milczeniu.

– Zostawmy ją. Trzeba powiedzieć medykowi, aby dał jej coś na uspokojenie – wyszeptał w końcu policjant. – Ojciec jest w lepszym stanie.

Policjantka nie odezwała się, tylko kiwnęła lekko głową.

Mężczyzna siedział na łóżku w drugim pomieszczeniu. Podciągnął nogi do klatki piersiowej, objął je ramionami i podobnie jak kobieta kołysał się w przód i w tył. Czerwińska zauważyła go wcześniej na jednym ze zdjęć w salonie. Pomyślała wtedy, że jest przystojny, ale teraz, patrząc na niego, nie dostrzegała tego. Bardziej przypominał pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Z tego, co się dowiedzieli, nagrywał właśnie filmik, w którym miał zamknąć się w skrzyni, a następnie udawać, że cierpi katusze, a tak naprawdę co jakiś czas wychodzić ze swojej „pułapki". W międzyczasie miał nawet oglądać Netflixa na zamontowanym przy nogach ekranie.

Jednak w tym momencie to jego oszustwo nie miało znaczenia.

– Jest pan w stanie porozmawiać?

– Tak, tak. – Pokiwał dynamicznie głową. – Musicie znaleźć tego, kto to zrobił. To wszystko było ustawione i naprawdę bezpieczne.

– Co było ustawione?

– Ja wcale nie miałem tak siedzieć cały czas, nie miałem zemdleć i takie tam. To ściema. Jestem, kurwa, pieprzonym kłamcą, ale nie mordercą. Moje dzieci… Moje dziewczynki… Ktoś je zabił! – Ostatnie słowo wykrzyczał, a jego twarz wykrzywiła się w histerycznym grymasie.

– Zabił? – Czerwińska zmarszczyła brwi i przysiadła na krześle obok.

– Tak, ktoś zatkał dopływy tlenu.

Mężczyzna zeskoczył z łóżka, na którym siedział, i pobiegł do garażu.

– Nie może pan tam… – zaczął Kamiński i w ostatnim momencie złapał mężczyznę za ramię, nim ten zdążył otworzyć drzwi, za którymi stała skrzynia z ciałami jego dwóch córek.

– Ale ja muszę wam pokazać – pisnął i nogi się pod nim ugięły, jakby były z waty. Opadł w kucki, zupełnie nie rejestrując, że to nietypowa pozycja do prowadzenia rozmowy.

Czerwińska podeszła bliżej i odezwała się najspokojniejszym głosem, jaki potrafiła z siebie wydusić:

– Proszę nam opowiedzieć. Nie może pan tam teraz wchodzić.

– Tam po bokach skrzyni zrobiłem dziury. One z zewnątrz są niewidoczne, bo chciałem, aby wyglądało, że jest szczelnie, tak aby ludzie się bardziej stresowali moim losem, chociaż ani razu nie powiedziałem, że będę miał mniej tlenu. Ktoś je czymś wypełnił. – Mężczyzna dygotał, a jego oczy wyglądały, jakby zaraz miały wyskoczyć.

– Tylko kto? Może żona? – szepnął Kamiński, wiedząc, że wchodzi na grząski grunt.

– Narzeczona – poprawił go Maciej Winogrodzki, cały czas kręcąc głową, jakby odganiał jakieś owady. – Poza tym dlaczego? Że niby chciała mnie… – Wiadome słowo zawisło w powietrzu. – Nie, my się kochamy. Ona wie, że zawsze wszystko robiłem dla nich.

– Ktoś miał dostęp do tego pomieszczenia? – dopytywał dalej policjant.

– Nie, nikt. Tylko ja tu urzędowałem. Oczywiście dziewczynki czasami się tu kręciły, pytały, co robię. Zawsze brały swoje laleczki i robiły tu… – Zaczął głośno oddychać. – One zawsze wszystkiego musiały dotknąć, więc pewnie jak skończyłem, weszły do tej pieprzonej skrzyni. Kurwa, jakim ja byłem debilem… – Uderzył z całej siły pięścią w podłogę, jakby zapomniał, że jest ona z betonu, ale nawet nie zareagował. Rozpacz odebrała mu odczuwanie. – To ja powinienem był tam zginąć. Umrzeć, zdechnąć, udusić się! – Ostatnie słowa wykrzyczał, ale zaraz zamilkł, zadarł głowę, wyprostował się i spojrzał na policjantkę.

Dorotę Czerwińską momentalnie przeszły dreszcze, jego wzrok nie zapowiadał niczego dobrego.

– Czy one cierpiały?

Funkcjonariusze spojrzeli na siebie smutno. Każde z nich o tym rozmyślało, od kiedy usłyszeli, dokąd jadą i jakie ofiary zastaną na miejscu. Oboje wiedzieli, że prawdopodobnie tak. Że dziewczynki umarły, dusząc się, wołając o pomoc.

Tylko co innego wiedzieć, a co innego przekazać to cierpiącemu człowiekowi. Ojcu.

– Nie wiemy tego – skłamał Kamiński.

Dorota zamrugała i odwróciła głowę. Nie chciała, aby mężczyzna zauważył spływające po jej policzkach łzy. Zgarnęła je rękawem i ukradkiem pociągnęła nosem.

– Czy ktoś chciałby pana śmierci? – zapytała w końcu, próbując odwrócić uwagę mężczyzny.

– Nie! Jestem internetowym śmieszkiem, który oszukuje ludzi, ale nikomu krzywdy nie zrobiłem. Kreuję tylko alternatywną rzeczywistość. Boże, nie! – znów zaczął krzyczeć. – To ja powinienem był umrzeć, jeżeli ktoś tak mnie nie lubił. Oddałbym wszystko, żeby umrzeć zamiast nich.

– Szkoda, że nie ty zdechłeś – usłyszeli nagle za plecami.

Stała tam matka dziewczynek. Pewnie na co dzień uchodziła za ładną, ale teraz, z rozmazanym makijażem i wło-

sami w nieładzie, wyglądała, jakby szykowała się na wyjście na imprezę halloweenową. Nie to jednak spowodowało, że Dorota poczuła dreszcze na plecach, ale jej spojrzenie. Tak, ta kobieta zdecydowanie chciałaby, aby jej narzeczony umarł. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, padłby przed nimi i już nigdy nie wstał.

Rozdział 28

Dorota usiadła na kanapie i rozłożyła akta sprawy dziewczynek. Wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła inaczej.

Lekarz sądowy zrobił sekcję natychmiast, gdy tylko ich małe ciałka zostały przewiezione do kostnicy. Podobnie jak reszta zaangażowanych wiedział, że to sprawa priorytetowa. Najważniejsza z najważniejszych. Rzadko kiedy taką spotykali i się z tego cieszyli, ale teraz musieli dać z siebie sto dziesięć procent.

Dziewczynki prawdopodobnie weszły same do skrzyni, a wieko spadło im na główki. Każda miała ślady na czole. Lekarz dokładnie je opisał i porównał z materiałem, z którego wykonana była skrzynia. Znalazł na niej niewielkie ślady krwi, zapewne pochodzące od uderzenia. Pod ich paznokciami utkwiły drzazgi, a na dłoniach miały sporo otarć. Większość powstała podczas walki, którą stoczyły ze swoją śmiertelną pułapką, ale nie miały szans.

Szczelne pudło je pokonało. Nikt na głos tego nie powiedział, ale musiały cierpieć. Ilość powietrza, a raczej tlenu w ich małych płucach malała z minuty na minutę, aż w końcu się skończyła, a wtedy przestały być wesołymi, piszczącymi dziewczynkami, które uwielbiały *Maszę i Niedźwiedzia*. Chciały zostać gwiazdami netu, jak powtarzały mamie. To wszystko nagle zostało przerwane i na samą myśl o tym Dorota zalewała się łzami, jakby sama straciła kogoś bliskiego.

– Myślisz, że ojciec mówi prawdę? – spytała.

Wzięła do ręki jedną z fotografii, na której technik uwiecznił bok skrzyni. Z tej perspektywy nie widać było jednak tego, co w środku. Dopiero gdy zaczął uważnie oglądać konstrukcję, gdy już nie było w niej ciał bliźniaczek, zobaczył to, o czym mówił Winogrodzki. Znalazł wielkie wloty powietrza, które ktoś wypełnił szczelnie pianką.

– Że jest niewinny i nie jest kolejnym świrem, który zabił własne dzieci? – Policjant westchnął i usiadł bliżej kobiety.

– Tak – odpowiedziała stanowczym głosem, ale nie odwróciła się w jego stronę. Cały czas patrzyła na trzymane w ręku zdjęcie.

– Kurde, nie wiem. Chciałbym w sumie w to wierzyć. Zrobił na mnie pozytywne wrażenie. No, może poza tym, że w sieci robi z siebie singla, jakby wstydził się dzieci i narzeczonej. Jeżeli się mylę, to powinien dostać Oscara.

– Jak na razie wszystko potwierdza jego wersję. Faktycznie wszystkie otwory ktoś zapchał pianką i nie ma tam jego odcisków. W ogóle nie ma żadnych, co jest dość zastanawiające i wskazuje… – Zawiesiła głos.

– To co według ciebie mogło się stać? – spytał policjant, nie czekając na dalszy ciąg wypowiedzi. – Nawet najbardziej szalone pomysły.

– Tego, że dziewczynki same te dziury zapchały, nie biorę pod uwagę. Nie ma takiej opcji. Po pierwsze, są… były za małe na wymyślenie czegoś tak głupiego, po drugie, musiałyby wiedzieć jak. No i jeszcze nie ubrudzić wszystkiego.

– A matka?

– Że ona je zabiła? – Czerwińska pokręciła głową, ale od razu poczuła gulę w gardle i ból w okolicy mostka. Koło siebie miała człowieka, który najlepiej wiedział, że zabójstwo własnego dziecka to nie abstrakcja. – Ja bym jej nie odpuszczała, ale nie one były celem. To się wydarzyło przez przypadek. Jestem prawie pewna, że ktoś chciał zabić jego, no i narzeczona jak najbardziej pasuje. Tylko…

– Wtedy pilnowałaby dziewczynek – skończył za nią.

– No właśnie. Nie pozwoliłaby nigdzie im odchodzić, a tym bardziej bawić się w garażu.

– Twierdziła, że słyszała, jak bawią się w pokoju. Niestety biling wykazał, że gadała przez ponad czterdzieści minut z koleżanką. Wtedy jej mąż… narzeczony przygotowywał sprzęt do nagrywania. A w tym czasie małe…

– Ja chyba nigdy…

Nie skończyła, bo zobaczyła kątem oka, jak Marek pociera oko. Położyła mu dłoń na nodze i nachyliła się. Od czasu ich romantycznego wyjazdu, który generalnie skończył się katastrofą, chociaż Marek powtarzał jej, że wcale nie, trzymali się na dystans.

Obrócił się w jej stronę i położył dłoń na jej twarzy, po czym pocałował. Chwilę pocieszali się wzajemnie, dzieląc się czułościami. Po kilku minutach Marek odsunął się, odchrząknął i powiedział:

– A wracając do naszej sprawy, jaki narzeczona Winogrodzkiego mogłaby mieć powód?

– Nie wiem, może ją zdradzał. Albo chciał odejść do innej. Może jak nasz aktor miał ubezpieczenie. Potencjalnych

powodów mogło być sporo.

– Brzmi to przerażająco, ale kto wie.

– Mnie już nic nie zdziwi… – Odłożyła teczkę na stertę. – Ale teraz muszę się przytulić.

Nie czekając na odpowiedź, usiadła okrakiem na Marku i przylgnęła do niego całym ciałem, licząc, że szybko zapomni o dramatycznych wydarzeniach tego dnia.

Ciepło jego ciała działało na nią kojąco. Wystarczyło, że położył dłonie na jej plecach i pogłaskał, a już poczuła się lepiej.

Rozdział 29

Sprawa aktora i celebryty utknęła w martwym punkcie. Czekali na spotkanie z prokuratorem i wydanie dyspozycji odnośnie do śledztwa w sprawie śmierci dziewczynek.

Dla odciągnięcia myśli Czerwińska wczytała się ponownie w akta sprawy zaginięcia chłopaka, który przepadł po kłótni z Karoliną Jasińską. Okazało się, że faktycznie już wcześniej zgłoszono jego zaginięcie.

Opis podany przez dziewczynę zgadzał się z tym z akt, które przeczytała. Zupełnie nie rozumiała, o co tu chodzi, ale jej policyjny nos podpowiadał, że jest w tym coś dziwnego. Czuła przemożną chęć zrozumienia, co dokładnie się stało. Wybrała numer aspiranta Radosława Zalewskiego, policjanta, który wprowadził do systemu zawiadomienie o zaginięciu.

Po czterech sygnałach w końcu mężczyzna odebrał.

– Tak? – usłyszała głos jakby zza szyby.

– Dzień dobry, z tej strony starsza aspirant Dorota Czerwińska, dzwonię z komendy Warszawa Śródmieście.

– Dzień dobry. – Do jej uszu dobiegł dźwięk, jakby coś przesuwał lub pocierał. – Już jestem, przepraszam, ale właśnie jadłem obiad.

Policjantka zerknęła na wiszący nad wejściem do jej pokoju zegar, który wskazywał wpół do trzynastej. „Trochę wcześnie jak na obiad", pomyślała.

– To przepraszam, że przeszkodziłam.

– Nie, już skończyłem. – Jego głos zabrzmiał już normalniej. – Wstawiałem tylko naczynia do zmywarki, bo pani Halina będzie mnie później nękać i nie poczęstuje ciastem.

– No tak, poważna sprawa. – Uśmiechnęła się. Od paru dni tak rzadko to robiła.

– Jestem już bezpieczny, więc mogę rozmawiać. Proszę powtórzyć, tylko skąd pani dzwoni?

– Z komendy Warszawa Śródmieście.

– Ojoj, mam nadzieję, że nic nie przeskrobałem.

– Też mam taką nadzieję – skomentowała.

– My tutaj pracujemy inaczej niż w stolicy. Wolniej, spokojniej i innego kalibru sprawy mamy.

– Znam to. – Momentalnie przed oczami pojawił jej się jej komisariat w Suchodole i komendant, za którym tęskniła i do którego od czasu do czasu dzwoniła lub pisała. – Sama pracowałam kiedyś w policji w małej miejscowości.

– O, i jak odnajduje się pani w wielkim mieście?

Dorota w sumie nigdy się nad tym nie zastanawiała. Nie porównywała pracy na prowincji w Suchodole z tą w Warszawie. Były od siebie różne jak dzień i noc.

– Inaczej, ale czy lepiej, to ciężko powiedzieć. Inne tempo pracy, no i innego gatunku sprawy. Jak w poprzedniej robocie pojawiło się pierwsze morderstwo, to mało kto wiedział, co robić.

– Taaa, u nas głównie kradzieże i rodzinne awantury.

– Oj tak, a w okolicach świąt czy komunii to jakieś urwanie głowy – zaśmiała się Czerwińska.

Dobrze pamiętała kłótnie, do jakich była wzywana. Jak na pewnym przyjęciu komunijnym doszło do bójki, w której uczestniczyli prawie wszyscy dorośli. Poszło o prezent dla dziewczynki, która tego dnia pierwszy raz przyjmowała drugi w kolejności święty sakrament. Okazało się, że ojciec chrzestny, pracujący w Anglii brat ojca dziewczynki, postanowił kupić młodej mały skuter, co nie spodobało się matce chrzestnej. Ta niezbyt sytuowana kobieta, nauczycielka w klasach I-III, dała jej tylko kopertę z kilkoma stówkami. Oliwy do ognia dodały uwagi ojca chrzestnego, który głosił, że komunia święta to sprawdzian dla chrzestnych i powinni nawet się zastawić, byle sprawić dziecku przyjemność. Tu zareagował mąż kobiety. Od lat pracował na budowie, jego ciało było przyzwyczajone do wysiłku, pracował z ludźmi prostymi, klął jak szewc, ale swoją żonę traktował jak królową. Gdy tylko zauważył, jak smutek pojawia się na jej twarzy, postanowił działać, a dla niego naturalną reakcją było wyprowadzenie prawego podbródkowego owemu hojnemu chrzestnemu. No i się zaczęło. Gdy policja przyjechała na miejsce, ubrana w białą suknię dziewczynka stała na środku restauracji i krzyczała tak przerażająco, że bali się podejść. Okazało się później, że uznała, że to jest najlepszy sposób na uspokojenie całego towarzystwa, które siłą próbowało pokazać, kto ma rację.

– A tak właściwie to po co pani dzwoni? Stało się coś? – Obraz sprzed kilku lat rozmył się momentalnie.

– No właśnie nie wiem, czy coś się stało. Przeglądałam akta sprawy zaginionego Bartka Wojciechowskiego i…

– A to! – zareagował policjant entuzjastycznie. – To jest najdziwniejsza sprawa w moim życiu. Nigdy czegoś takiego nie miałem. Dotychczas pierwsze miejsce zajmowała sprawa porzuconego w lesie namiotu, ze śpiworami w środku, jedzeniem i naczyniami. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kto go rozstawił i dlaczego ten ktoś zniknął. Niestety każdy w okolicy obawia się, że kiedyś w krzakach znajdziemy ciało lub ciała.

– Faktycznie zaskakująca sprawa – wtrąciła.

– Ale ta jest równie dziwna. Kobieta zgłasza się sama na policję i twierdzi, że kogoś zabiła. Takie rzeczy się nie zdarzają, że ktoś sam by się przyznał…

– Zabiła? – wtrąciła. Tego nie było nigdzie. W systemie znalazła tylko zgłoszenie o zaginięciu tego samego człowieka, o którym mówiła Karolina Jasińska.

– No tak, przyszła do nas na komisariat pani, całkiem ładna…

Dorota pokręciła głową z dezaprobatą. Nie lubiła takich tekstów ze strony funkcjonariuszy, generalnie ze strony kogokolwiek. Nie miało to żadnego znaczenia dla prowadzonej sprawy.

– Twierdziła, że go popchnęła, on upadł i umarł. Tylko nikogo nie znaleźliśmy w jego mieszkaniu. Zupełnie czysto.

– Weszliście tam? – powiedziała zdziwiona.

– Tak, wiem, dość dyskusyjna sprawa. Komendant stwierdził, że istnieje przesłanka do zagrożenia, więc zaryzykowaliśmy.

– Skoro tak, to proszę mi dokładnie wszystko opisać. – Przysunęła się do biurka i chwyciła ołówek. Czystą kartkę położyła przed sobą już wcześniej.

– Pojechaliśmy tam we trójkę.

– We trójkę? – zdziwiła się. Wiedziała, że w małych komisariatach zazwyczaj działa się w pojedynkę. Trójka to zdecydowanie tłum.

– No tak – sapnął i na chwilę zamilkł. – Ona upierała się, żeby z nami pojechać. Ona, ta kobieta.

– Aha. – Nie miała ochoty brnąć dalej. – I co było później?

– Nic szczególnego. Kolega otworzył drzwi, bo to ten typ, co jak mu się da spinacz, to niczym MacGyver wejdzie wszędzie. Mężczyzny nie znaleźliśmy, tak jak wyrokowała kobieta. Na podłodze w salonie mała plama krwi na środku i tyle.

– Może wyjechał?

– Też tak powiedziałem, ale ta babka twierdzi, że to niemożliwe. Spisałem jej zeznania i tyle. A później wprowadziłem zgłoszenie zaginięcia do bazy, bo mnie wybłagała.

– Rozumiem, czyli nic szczególnego.

– Na jedną rzecz kobieta zwróciła uwagę, podobno zniknęły wszystkie ich wspólne zdjęcia. Generalnie zrobiłem wszystko i czekałem, aż tu pani zadzwoniła.

– Czyli nic pan nie robił z tą sprawą później?

– Nie! – Jego głośny głos aż uderzył Dorotę w ucho. – Ja mam nad czym pracować, a to zgłoszenie to zdecydowanie strata czasu… Ale w sumie to czemu pani dzwoni?

Dorota zaśmiała się pod nosem, licząc, że jej rozmówca tego nie wyłapie. Spostrzegawczość mężczyzny nie imponowała. Dopiero po kilku minutach rozmowy wpadł na to, że coś musi być zastanawiającego w fakcie, że ktoś pyta o sprawę, którą on przekreślił.

– Zgłosiła się do nas kobieta i twierdzi, że kogoś zabiła.

– Aha, to słabo, że nam nie zaufała i zwróciła się do stołecznych…

Czerwińska zaśmiała się pod nosem.

– A ile lat miała kobieta, z którą pan rozmawiał?

– Jakieś czterdzieści.

– Moja rozmówczyni była zdecydowanie młodsza, więc to nie może być ta sama osoba.

– O kurde, robi się ciekawie.

– Też mi się tak wydaje.

– I co powiedziała? – Jego głos zabrzmiał, jakby facet w końcu zaczął się interesować tym, co mówi.

– Mniej więcej to samo, co usłyszał pan od tamtej. Że pokłóciła się z Bartoszem Wojciechowskim, popchnęła go i tragedia gotowa. Potem próbowała się z nim skontaktować, ale nic odpowiadał.

– Matko, czegoś takiego bym się nie spodziewał. To zapowiadało się na kłótnię kochanków, ale nie na dramat rodem z Romea i Julii.

– Błagam, tylko nie ta sztuka… – wtrąciła Czerwińska.

– O matko! – Mężczyzna aż pisnął. – Niech pani nie mówi, że prowadzi tę sprawę?

Czerwińska sapnęła. Ostatnią rzeczą, której chciała i na którą miała ochotę, było opowiadanie szczegółów sprawy żądnemu informacji policjantowi z prowincji.

– Tu w stolicy każdy zna ją bardzo dobrze – odpowiedziała wymijająco. – Niestety nie schodzi z głównych nagłówków i każdy chce wiedzieć, co się stało.

– Ja się nie dziwię, a do tego ten jednorożec, to seria jak nic! My nawet zakłady… – Mężczyzna przerwał, jakby wyczuł, że jego wypowiedź może zostać źle odebrana.

– A pamięta pan, jak nazywała się ta kobieta? – rzuciła Czerwińska.

– Tak! – ponownie zareagował podniesionym głosem. – To znaczy mam to gdzieś w notatkach, chwila… O, jest!

Gdy usłyszała jej nazwisko, aż wstrzymała oddech. Sprawa robiła się jeszcze bardziej zaskakująca.

Rozdział 30

„Tragedia! W jednym z domów znaleziono ciała dwóch małych dziewczynek. Na chwilę obecną prokurator postawił zarzuty ojcu dziewczynek za spowodowanie…”

Dorota odłożyła telefon i spojrzała na przyjaciółkę. Bardzo potrzebowała jej w tym momencie, dlatego gdy ta zadzwoniła i zakomunikowała, że wpada na jeden dzień do stolicy, policjantka aż podskoczyła z radości.

– Czasami zazdroszczę ci twojej roboty, szukania sprawcy i tak dalej, ale te dziewczynki… to ostatnie, co chciałabym robić. To jakiś koszmar. – Kasia pogłaskała po główce Mikołaja, który siedział koło niej od dłuższej chwili, wpychał sobie do buzi wielkie kawałki wafli kukurydzianych i bawił się koralikami, które kobieta zdjęła z nadgarstków. – Mając w domu bliźniaków, gdy przeczytałam o tej tragedii, poczułam, jakby ktoś walnął mnie w brzuch. Nie wyobrażam sobie, co muszą przeżywać ich rodzice, a ciebie podziwiam, że dałaś radę.

– Nie dałam. – Kąciki ust Czerwińskiej poleciały w dół, a oczy momentalnie się zaszkliły. – Gdy przyjechaliśmy na miejsce, jeszcze przez chwilę łudziłam się, że podołam. Weszłam z rozpędu, Marek musiał mnie gonić, ale gdy stanęłam przy tej skrzyni, prawie zemdlałam. Zresztą nie tylko ja mocno to przeżyłam. Młody technik, który ostatnio został ojcem, popłakał się. Stał przed budynkiem i wył jak bóbr, a inny ledwo zdążył wybiec z domu. Porzygał się na trawniku sąsiadów.

– Współczuję… – wyszeptała Kasia i podała młodemu kolejnego wafla.

– W takich chwilach mam ochotę rzucić to wszystko i nie babrać się w tym szambie. Tylko po kilku sekundach dopada mnie myśl, że jestem w stanie złapać tego popieprzeńca.

– Wiem, że nie powinnam pytać, ale macie kogoś podejrzanego?

– Sama nie wiem. Rodzice są dziwni. Okazało się, że koleś jest ściemniaczem. Wszystkie filmiki, które publikował, były fikcją. Łącznie z takimi durnymi. Jest na przykład w sieci wyzwanie, trzeba wypić butelkę napoju gazowanego i nie beknąć. Głupie jak nie wiadomo co.

– Serio? I ludzie to robią? – Kasia zmarszczyła brwi i wydęła usta.

– Robią i gorsze rzeczy. Ale ten typek podmienił zawartość butelki i wypił rozwodnioną fantę czy coś w tym stylu. Oczywiście później nie bekał, bo niby po czym, ale on z dumą opowiadał, że to dla niego łatwe. Mnóstwo takich ściem. Poza tym ukrywał, że ma kobietę i dzieci. Prokurator skonfiskował mu laptopa i znalazł sporo korespondencji z dziewczynami. Czy zdradzał narzeczoną, nie wiadomo. Ona też dziwna. Okazało się, że na przykład wpisywała w sieci takie hasła jak „jak ograniczyć prawa rodzicielskie”. Tłumaczyła się, że to po kłótni było, ale jakoś jej nie wierzę. Szukamy dalej. Wszyscy sąsiedzi pozytywnie o nich się wypowiadali, a w kontekście dziewczynek to bardzo chwalili ojca, którego wielokrotnie widywali na spacerach z młodymi.

– Oby szybko udało się wam złapać winnego. A jak idzie z Markiem?

Dorota przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i westchnęła.

– Co się stało? – Kobieta wsunęła chłopca głębiej na kanapę, aby nie spadł, przysunęła się bliżej przyjaciółki i złapała ją za dłonie. – Możesz mi wszystko powiedzieć.

– Wiem, ale… – Na jej policzku pojawiła się pierwsza łza, a za nią kolejna. – To nie tak miało być.

– Jezu, Dorotka, życie to nie bajka. Zawsze przychodzą gorsze dni. Nawet ja z moim księciem się kłócimy. On nie jest wcale taki idealny. Nie odstawia szczoteczki do kubka. Rzuca rzeczy gdzie popadnie, a ostatnio umówił się z kolegą na piwo i miał wrócić około dwudziestej drugiej, ale spotkali jeszcze dwóch i się chłopcy zasiedzieli do trzeciej. Wszystko super, ale ja prawie dostałam zawału. Zaczęłam szukać informacji o wypadkach w okolicy. Gdy Marcin wszedł do domu, a bardziej wpełzł, myślałam, że go ukatrupię. Więc naprawdę życie to nie sielanka – skończyła, cały czas głaszcząc dłoń przyjaciółki.

– Ale to nie o to chodzi.

– To o co? – Kasia zmarszczyła brwi i zerknęła przez ramię na młodego, który zupełnie nieświadomy rozgrywającego się obok dramatu jadł w najlepsze.

– Marek jest wspaniały. Opiekuje się młodym lepiej niż ja. Jest dla mnie cudowny, ale ja nie wiem, czy jestem gotowa na kolejny krok.

– Czy on…? – Wzrok kobiety mimowolnie powędrował na dłoń Doroty, jednak nic na niej nie zobaczyła.

– Tak.

– A ty…?

– A ja powiedziałam, że nie wiem. Że nie jestem gotowa.

– O matko! – skomentowała zdecydowanie za głośno.

Dorota podniosła głowę, a wtedy kolejna łza spłynęła w stronę ust.

– No właśnie. O matko. Co ja zrobiłam… Niby mu wyjaśniłam, a on twierdzi, że wszystko jest okej, ale sama nie wiem. Poza tym nie będzie czekał na mnie wieczność.

– Rorotka, Marek jest mądrym facetem i kocha ciebie i młodego najbardziej na świecie. Wierzę, że poczeka, ile będzie musiał. Takich jak ty nie ma zbyt wielu.

– Może i tak, ale ja sama nie wiem, czy kiedyś będę gotowa zostać jego żoną.

– Hmm… – westchnęła Kasia i oparła się o kanapę. – To całe powtarzanie, że to do końca życia, bardzo utrudnia i ja cię rozumiem, ale… Hmm…, jak by to powiedzieć, żeby nie wyjść na wiedźmę… Wiesz, jak dla mnie to nie jest tak do końca życia. Bardziej trzeba się skupić na tym, czy jesteś z nim szczęśliwa. Czy zaspokaja twoje potrzeby. Czy czujesz się przy nim bezpieczna, szczęśliwa i takie tam. Ta cała perspektywa bycia do końca życia jest dość przytłaczająca. Ja osobiście, tylko błagam, nie mów tego Marcinowi, nie wiem, czy to jest na zawsze. Kocham go, uważam go za superfaceta dla mnie i moich dzieci, ale nie wiem, czy za dziesięć lat nie zacznie mnie wkurzać i nie postanowię odejść. Ale teraz tego nie roztrząsam. Nie zastanawiam się, bo nie ma to sensu. Pamiętaj, że my się zmieniamy. Niektóre rzeczy z czasem zaczynają mnie bardziej denerwować, inne ignoruję. Kiedyś porządek w domu zupełnie mnie nie interesował. Może dlatego, że Konrad mnie za wszystko strofował, ale teraz sama mam potrzebę, aby rzeczy leżały na swoim miejscu, a po podłodze nie walały się koty. Musisz nabrać dystansu, zmienić perspektywę. Jeżeli jesteś szczęśliwa, to idź w to. – Kobieta ponownie przysunęła się do przyjaciółki i przytuliła. Trwały tak dłuższą chwilę, którą przerwał Mikołaj, próbujący sięgnąć kolejnego wafelka. Kasia pomogła mu, po czym ponownie usiadła blisko Doroty.

– Matko, Kasiu, może zamiast zajmować się tą architekturą wnętrz, powinnaś zostać jakimś mówcą. Myślę, że sporo kobiet chętnie posłuchałoby takiej przemowy.

– Ale śmieszne.

– Mówię serio. Ludzie płacą za bzdury, a ty spowodowałaś, że jest mi lepiej i trochę oczy mi się otworzyły. Może faktycznie przesadzam i zamiast się cieszyć, że mam superfaceta, skupiam się na strachu przed związkami.

– No i w końcu dobrze gadasz. A jak wnętrza mi się znudzą, to może faktycznie się przebranżowię.

Obie zaśmiały się na głos, a Czerwińska dorzuciła:

– Ja mogę napisać ci rekomendację.

Rozdział 31

– Kurwa mać! – męski głos wypełnił niewielkie szczelne pomieszczenie.

Na co dzień służyło za siłownię. Wyłożył je grubą matą, a drzwi ograniczały dźwięki generowane przez rzucane hantle. Jednak teraz to nie niepowodzenie treningu wywołało w nim frustrację.

Nienawidził, gdy coś szło nie po jego myśli. Wszystko zawsze miał przemyślane i zaplanowane. Od kiedy pamiętał, ojciec mu powtarzał, że plan to podstawa sukcesu, niezależnie od dziedziny.

A ojciec zawsze miał rację.

Gdy w szkole ktoś mu dokuczał, początkowo gotował się do bitki, a bardziej bronił się, używając pięści. Wydawało się to najprostszym rozwiązaniem.

– Pomyśl. Nie atakuj od razu – powiedział mu ojciec po kolejnym wezwaniu do dyrektorki. Miał wtedy dwanaście lat i niektórych rzeczy zupełnie nie rozumiał. – Uderzyć kogoś to nie problem. Wystrzelić z armaty i patrzeć, jak ginie. Tylko na jego miejscu pojawi się kolejny. Musisz spowodować, aby się ciebie bali, zawsze i wszędzie. Wtedy nikt nie będzie cię zaczepiał, dogadywał ci.

I tak zrobił.

Zaczął jeszcze bardziej starać się na zajęciach karate, na które zapisał go ojciec. Ćwiczył w pokoju to, co robili na sali. Przez kilka miesięcy udawał słabego, aż do dnia, gdy wracając ze szkoły po swoich trzynastych urodzinach, w nowych butach, które sobie wymarzył i które wreszcie kupił mu ojciec, spotkał znienawidzonych kolegów. Tych, którzy zawsze stanowili problem.

– Młody, wyskakuj z butów – rzucił Alek, dowodzący klasowym rozrabiakom. Nie był ani inteligentny, ani silny, był po prostu nadzwyczaj jak na swój wiek wysoki i tym z reguły wywoływał uległość innych. Do pomocy miał dużo mniejszych od siebie, za to chętnych do bitki Radka i Maćka. Ci zawsze szli z pięściami wyciągniętymi do przodu, nieważne, czy był do tego powód, czy nie, nie zwracając uwagi, czy przeciwnik jest duży, czy mały, a tym samym czy mają szansę na sukces.

– Słyszałeś, gnoju, co powiedziałem?! – ryknął chłopak.

Stanął. To była pierwsza zmiana. Zazwyczaj w tym momencie zaczynał uciekać. Koledzy doganiali go po jakimś czasie i zaczynali popychać, kopać, uderzać. Wtedy walił rękoma na oślep. Czasami trafił przeciwnika w twarz, innym razem w brzuch. Czasami zdarzało się, że ktoś mu pomógł, ale dwa razy musiał zaczekać, aż przejdzie im złość niewiadomego pochodzenia. Generalnie każdy miał na sobie ślady po takim spotkaniu, tylko jego ciało nosiło ich więcej i były boleśniejsze.

– To któremu mam przywalić? – odpowiedział cienkim głosem, a chłopaków zamurowało. Stali przez chwilę, jakby nie zrozumieli.

– Że co? Ty będziesz nas bił? – zaśmiał się szyderczo najwyższy z nich.

– Tak – powiedział głośniej.

Podszedł do najbliżej stojącego Radka i z całej siły kopnął go w udo. Wiedział jak, bo ostatnio ćwiczyli ten ruch na zajęciach. Kiedyś siła jego ataku nie byłaby duża, ale od kiedy się zawziął, ćwiczył praktycznie codziennie, zmieniła się diametralnie. Nie tylko to, co robili na macie, ale też pompki, przysiady, a czasami nawet biegał, czego akurat nie znosił. Jednak chciał w końcu mieć nad nimi przewagę, jak znowu przyjdzie mu stanąć oko w oko z oprawcami, bo żaden nie należał do wybitnych sportowców.

Wykonał dwa ruchy i pierwszy z nich padł na ziemię. Pozostali przestraszyli się i uciekli. Nie gonił ich, wiedział, że jest pozamiatane.

Od tego czasu już nikt go nie popychał, nie obrażał ani nie zabierał mu kanapek, które mama w sporej ilości robiła codziennie do szkoły.

Szybko zyskał poklask.

Przestał być popychadłem, a jego wizyty u dyrektorki skończyły się bezpowrotnie.

Teraz jednak już nie mógł liczyć na ojca. Na jego wsparcie, rękę na ramieniu, która była oznaką dumy z jedynego dziecka. Zostały tylko wspomnienia i kilka zdjęć, które trzymał w metalowej skrzynce, aby nic nie mogło ich zniszczyć.

Gdy ojciec odszedł sześć lat temu, myślał, że świat się zawalił i już nic w życiu go nie spotka. Tamtego dnia wcho-

dził właśnie rano do pracy, gdy zadzwoniła matka. Zawsze robiła to wieczorami, bo wiedziała, że początki dnia ma zajęte, jak nie trenuje, to siedzi w pracy, a nie lubił, gdy ktoś mu przeszkadzał.

Od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Z byle powodu nie zawracałaby mu głowy. Wiedziała, że tego nie lubił, bo wielokrotnie jej to wytykał. Zresztą ojciec też tak reagował, więc nawet się mocno nie wkurzała, gdy ją upominał. Gdy odebrał, pierwsze, co usłyszał, to sygnał karetki, a dopiero po chwili płacz matki.

– Co się stało? – odezwał się jako pierwszy.

– Ojciec chyba dostał udaru lub zawału, nie wiem. Przyszłam do niego, a on tak dziwnie leżał na swoim łóżku…

Nie zdziwił się na określenie „na swoim łóżku". Rodzice od lat nie spali razem, co mu akurat pasowało. Kiedyś nakrył ich w sytuacji intymnej i przez parę lat miał koszmary, a za każdym razem, jak wchodził do ich sypialni, widział oczami wyobraźni ojca stękającego i dynamicznie poruszającego biodrami nad matką.

– Jadę do was – rzucił i rozłączył się. Zawrócił i wyszedł z budynku, nie odmeldowawszy się na swoim stanowisku. Nigdy nie spóźnił się do pracy, a o niezapowiedzianej absencji nie było mowy.

Tego dnia wyjątkowo przyjechał autem, bo później miał pojechać do mechanika na przegląd. Niestety gdy biegiem dotarł na parking, okazało się, że jakiś kurier zastawił go swoim samochodem dostawczym i poszedł w bliżej nieokreślone miejsce.

Kolejnym krokiem było zamówienie taksówki przez aplikację, ale niestety nie było nikogo wolnego, kto mógłby go zabrać. Dopiero po dziesięciu minutach ruszył zgarniętym z ulicy przewozem osób.

Gdy zajechał pod dom rodzinny, karetka już odjechała. Zadzwonił do matki, ta jednak nie odbierała. Zadzwoniła po trzydziestu minutach, gdy siedział nadal w samochodzie młodego Ukraińca, którego kilkakrotnie zapewniał, że zapłaci mu za poświęcony czas.

Niewiele rozumiał z tego, co mówiła. Bełkotała coś, co nie przypominało żadnego znanego mu języka.

Jedyne, co zrozumiał, to słowa „on nie żyje".

Początkowo myślał, że nie da bez niego rady. Że jego życie totalnie straci sens. Ojciec był jedyną osobą, która go rozumiała, wspierała i dawała dobre rady.

Gdy po pogrzebie kolejny dzień leżał w łóżku, przypomniał sobie słowa taty powtarzane jak mantra – plan to podstawa. Zaczął rozpisywać sobie każdy dzień. Tylko realizacja planu dawała mu siłę, aby nie popaść w totalny obłęd. W planie uwzględnił wszystko, od wstania z łóżka po zjedzenie śniadania, obiadu i kolacji. Później dodał wyjście z domu, trening, a po trzech tygodniach – pójście do pracy.

Ale po czasie poczuł pustkę.

Niby wszystko już sobie poukładał w głowie, jednak… czegoś brakowało.

Pewnego dnia leżał w łóżku i oglądał film z Nicolasem Cage'em i Johnem Cusackiem, w którym ten drugi porywa młode dziewczyny, po czym uwalnia je w lesie i zaczyna zabawę. Patrzył na to i czuł coraz większe podniecenie.

Wtedy przypomniał sobie, jak ojciec opowiadał mu, jak to jest zabić. Mało kto wiedział, że za młodu pracował jako najemnik, mimo że zakazywało tego prawo.

Żołnierz do wynajęcia, i to ten najgorszego sortu.

Liczyły się tylko pieniądze, a nie reprezentowane przez wynajmujące go siły poglądy.

W domu to był temat tabu, ale on wiedział dobrze, co robi ojciec, gdy znika, i jak bardzo matka się trzęsie, jak dzwoni telefon. Słyszał parokrotnie ich rozmowy, a bardziej błagania z jej strony, na które otrzymywała zawsze taką samą odpowiedź.

Nie.

Dobrze wiedział, że nie chodzi tylko o strach, ale o fakt, że może pójść do więzienia za usługiwanie siłom innym niż polskie, a także o wstyd. Wszyscy sąsiedzi i koleżanki pastwiłyby się nad nimi, wiedząc, czym zajmuje się pan domu.

Jednak on sam miał to gdzieś. Znikał na kilka miesięcy. Nigdy nie mówił, dokąd jedzie, ale mimo to dzwonił do syna regularnie i opowiadał szalone historie, usuwając z nich najbardziej dramatyczne sceny.

O tym, co naprawdę robił, pogadali szczerze dopiero podczas osiemnastych urodzin syna.

Ignorując błagania matki, zabrał go na tygodniowy survivalowy wyjazd do Puszczy Białowieskiej. Z plecakami wypchanymi po brzegi ruszyli przez gęsty las, śpiąc w szałasach i jedząc to, co znajdą, a do tego pijąc wódkę. To było kolejne szaleństwo ojca. Chcąc ustrzec syna przed głupimi zachowaniami z kolegami, stwierdził, że woli, aby pierwsze zatrucie alkoholowe przeżył w jego towarzystwie. I tak się stało. Po pierwszym wieczorze następnego ranka rzygał jak nigdy później.

Wtedy nauczył się, czym jest umiar, ale również w końcu dowiedział się, czym przez lata zajmował się ojciec. Mężczyzna opowiedział mu o wyjazdach, podczas których zabijał ludzi.

O tym, jak się wtedy czuł, jak pan i władca. I nie wyrażał przy tym skruchy. Nie bił się po klacie, czując się winnym odbierania ludziom życia.

Opowiadał o buzującej w żyłach adrenalinie i wyrzucie endorfin, gdy przez małą lunetę widział osuwające się ciało obiektu, który miał zlikwidować.

Dobrze pamiętał, jak wtedy patrzył na ojca niczym bohatera i gdzieś w głowie powtarzał, że chciałby być jak on.

Gdy matka umarła, nie płakał. Nie czuł pustki. Nigdy nie należała do wylewnych, a zazdrosna o jego relacje z ojcem raczej nie traktowała syna tak, jak powinna. Po jej pogrzebie od razu postanowił sprzedać rodzinny dom, ale agent nieruchomości, który miał się tym zająć, postawił sprawę jasno.

Musi wszystko posprzątać, a szczególnie kartony walające się na piętrze, których matka nie ruszała od śmierci ojca. Wziął w pracy wolne, co zostało mylnie zinterpretowane, że musi sobie poukładać w głowie po odejściu rodzicielki, i zaczął wszystko przeglądać.

Karton po kartonie.

Większość wyrzucił, ale znalazł też kilka skarbów.

Stare zdjęcia ojca z jego rodzicami, których nie pamiętał, bo umarli, gdy on miał zaledwie trzy lata.

Kilka zdjęć z jego wyjazdów z facetami, których nie widział na oczy.

I broń.

Nigdy w życiu nie trzymał jej w dłoni.

Głaskał ją, oglądał z każdej strony niczym najcenniejszy skarb.

To wtedy poczuł, że jest gotowy.

To wtedy poczuł jeszcze silniejszą więź z ojcem.

Drzemiący w nim gen zabójcy.

Długo układał plan.

Wszystko wyglądało na dopracowane w najmniejszych szczegółach, ale… o czymś zapomniał, coś przegapił, czegoś nie dopilnował.

Teraz złość wypełniała każdą komórkę jego ciała. I nie dlatego, że zabił dwie małe dziewczynki. Zupełnie go to nie interesowało. Ojciec mówił, że w każdym starciu są niezamierzone ofiary i dobry myśliwy się tym nie przejmuje.

Zresztą nie lubił dzieci, ich pisków i masy zadawanych pytań.

Wkurzył się, bo wszystko poszło inaczej, niż planował. Kto inny miał zginąć, a on bardzo nie lubił się mylić.

Wziął skakankę przewieszoną przez drążek i zaczął dynamicznie podskakiwać. W tym momencie tylko ekstremalny wysiłek mógł mu przynieść chwilowe uspokojenie.

Jednak wiedział, że nie na długo z nim zostanie.

Będzie musiał zmodyfikować swój plan i szybciej przejść do wielkiego finału.

Rozdział 32

Marek wszedł do ich sypialni i wsunął się do łóżka. Od jakiegoś czasu dbali o higienę przed snem. Oglądali telewizję maksymalnie do dwudziestej, a potem starali się niczego nie odpalać. Telefony ładowali w kuchni, a kwestię budzika rozwiązali, kupując taki klasyczny. Jedynym problemem, jaki generowało ich nowe życie, były wezwania z pracy. Na szczęście Marek również z tym się uporał. Kupił sobie zegarek, który w razie czego w nocy wydawał dźwięki i reagował tylko na połączenia od wskazanych numerów.

– Młody chrapie, aż się całe łóżeczko trzęsie – zaśmiał się i podskoczył na łóżku tak dynamicznie, że i Czerwińska lekko się uniosła.

– Czy ty nie możesz kłaść się normalnie?

– Może mogę, a może nie… – Zbliżył się do niej i położył rękę na jej udzie. – Jestem człowiek zagadka. – Przesunął rękę wyżej, zupełnie ignorując fakt, że Dorota czyta książkę. Pochylił się i powoli zaczął całować ją po szyi.

– Przepraszam bardzo – zaczęła w końcu poważnym głosem. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale ja coś robię.

– To rób. – Delikatnie wzruszył ramionami, nie zaprzestając muskania jej ustami po ciele. – Mnie to w niczym nie przeszkadza.

– Aha, czyli nie jestem ci do niczego potrzebna?

– Oczywiście, że jesteś, tylko możesz czytać książkę, a ja zrobię swoje.

– Zrobisz swoje? – zaśmiała się szyderczo. – Czyli tak ma wyglądać nasze pożycie? Mnie już tu nie ma?

– O czym ty mówisz? – Marek usiadł, oderwawszy się od partnerki.

– Trochę mi przykro, że nie chcesz bzyknąć się ze mną, tylko zaspokoić swoje potrzeby – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Przecież żartowałem! – Przysunął się ponownie do niej. – Kocham cię nad życie i zrobię wszystko, byś była szczęśliwa.

– Ale…

– Nie ma żadnego „ale”. Kocham cię i musisz w końcu w to uwierzyć.

– Tylko ja… – Jej głos zadrżał.

– Wiem, że ciężko ci uwierzyć, że taki facet jak ja się tobą zainteresował, ale to prawda.

Dorota chwyciła za leżącą obok poduszkę i uderzyła go w ramię.

– Głupek.

– Może i tak, ale jaki fajny! – Przyciągnął ją do siebie i ponownie zaczął całować, a ona udawała, że walczy, ale nie odsuwała się nawet o milimetr. – Nie puszczę cię, chociażbyś bardzo wierzgała. Jesteś najwspanialsza i musisz w to uwierzyć.

Rozdział 33

– I co, udało ci się go znaleźć? Tego Bartka? – Marek pochylił się nad nią i wlepił wzrok w ekran. Nie lubiła, jak ktoś tak robił, ale zapach, który go otaczał, zrekompensował dyskomfort wywołany człowiekiem wiszącym nad jej głową.

– Znalazłam dwanaście osób w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat, bo podał Jasińskim różne roczniki, oba raczej nieprawdziwe. Po kolei robię research. Żaden nie pasuje w stu procentach, bo ma rodzinę i tym podobne. Za sekundę kończę i chcę odwiedzić jedną z tych kobiet.

– Matkę czy córkę? – Kamiński przysiadł na biurku. – Jakoś nie chce mi się wierzyć, że koleś spotykał się z obiema i one nic o sobie nie wiedziały.

– Mnie też, ale na razie tak to wygląda. Zresztą pojedź ze mną, to się im przyjrzysz.

– Mam się im tylko przyglądać? Mam milczeć? Nie mogę zadawać pytań? – Przekrzywił głowę, ułożył usta w dzióbek i zmrużył oczy.

– Jedno możesz – rzuciła Czerwińska i wyłączyła monitor. – A jak będziesz miły, to nawet dwa.

– A co, ja nie jestem miły?

– Oj, żartowałam.

– Uff. To do której lecimy?

– Do starszej. Już dzwoniłam do niej, jest w swojej firmie. Ma zakład krawiecki na Pradze. Sprawdziłam, robi całkiem niezłe ciuchy.

– Suknie?

– Nie, dresy i bluzy z kapturem – zaśmiała się i podeszła do wieszaka. Założyła ciepłą kurtkę i ruszyła do wyjścia. Marek grzecznie dreptał za nią.

Pół godziny później znaleźli się w niewielkim biurze zastawionym projektami, manekinami i poprzyczepianymi do nich skrawkami materiału.

– Przepraszam za bałagan – rzuciła kobieta po szybkim powitaniu. – Tutaj zawsze panuje artystyczny nieład. Kiedyś próbowałam nad nim zapanować, ale mi nie wyszło. Poza tym dobrze mi się tutaj pracuje. Ja wiem, gdzie co jest, a to chyba najważniejsze.

– To prawda. – Policjantka uśmiechnęła się do kobiety i usiadła na jednym z krzeseł wskazanych przez Barbarę Jasińską.

– Wiadomo coś już? Znaleźliście go? – spytała, przenosząc wzrok z jednego gościa na drugiego.

– Niestety nie. – Czerwińska spojrzała na Kamińskiego. Zaciskał usta, jakby faktycznie chciał spełnić obietnicę i tylko obserwować, zadając potencjalnie tylko jedno pytanie. – Mamy problem, bo znając tylko imię i nazwisko oraz datę urodzenia, niewiele możemy. W pierwszym momencie musimy uściślić dokładne dane zaginionego. – Czerwińska wyjęła przygotowane wcześniej fotografie. – Na chwilę obecną udało nam się znaleźć sześciu w miarę pasujących mężczyzn. Proszę się przyjrzeć, może któryś to on.

Kobieta wyciągnęła zadbane dłonie ze świeżo zrobionym manicure’em.

Przyjrzała się pierwszej fotografii i pokręciła przecząco głową.

– To nie on.

Z kolejnymi poszło szybciej. Odkładając ostatnią fotografię, widocznie posmutniała.

– Na żadnym to nie mój Bartek. Jak to możliwe?

– Wie pani… – Kamiński delikatnie się uśmiechnął, a Dorota poczuła uczucie zazdrości. To był taki subtelny grymas, który uwielbiała. Miał go, gdy patrzył na ich synka i gdy budził się wcześniej i leżał naprzeciwko niej, po prostu na nią patrząc. A teraz obdarzał nim obcą kobietę. – Niestety może być tak, że doszło do…

– Wyłudzenia – skończyła za niego Dorota, która nie miała ochoty owijać w bawełnę. – Niestety są ludzie, którzy specjalizują się w wyłudzaniu pieniędzy od zamożnych kobiet, ale nie tylko. Tyle się mówi o oszustwach na wnuczka czy innych, a i tak cały czas ktoś się na to nabiera. Wtedy niestety sprawcy nie posługują się prawdziwymi danymi.

– Sugeruje pani, że dałam się nabrać oszustowi matrymonialnemu? – Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem i zmarszczyła nos u nasady.

– Ja nic nie twierdzę, tylko uważam, że jest taka opcja. Dała mu pani sporo pieniędzy.

– Pięćdziesiąt tysięcy, to nie tak dużo.

– Za mniejsze kwoty ludzie potrafią zabić. – Policjantka zmusiła się do uśmiechu. – Rozumiem, że się pani zakochała i opcja, o której mówię, jest przykra, ale trzeba brać ją pod uwagę. Jeżeli tak jest, to podane przez mężczyznę dane mogły nie być prawdziwe, a to oznacza, że będziemy szukać wiatru w polu.

– Jest jeszcze szansa, że może poznała pani kogoś z jego znajomych, rodziny, kogokolwiek, kto będzie w stanie potwierdzić jego tożsamość – wtrącił Kamiński, zapominając o ich umowie, że ma być tylko biernym widzem. – Jest czasami też tak, że niektórzy najzwyczajniej w świecie nie lubią swojego imienia i unikają go, podając nowo poznanym osobom zupełnie inne.

Jasińska przeczesała włosy dłonią niczym aktorka z reklamy szamponu.

– Poznałam kiedyś jednego jego kolegę! – Klasnęła w dłonie, jakby właśnie wygrała w totka. – On się dziwnie zachowywał. Zrzuciłam to na dzielący nas wiek. Wiele osób się nam przyglądało, jak chodziliśmy po mieście za rękę lub wtuleni w siebie. Tak jakbyśmy robili coś złego, a przecież miłość nie zna granic. Poza tym jak facet ma młodszą partnerkę, to wszyscy klaszczą, koledzy zazdroszczą i generalnie jest to w porządku. Za to gdy kobieta ma młodszego partnera, to od razu się doszukują dziury w całości. Albo ona ma jakieś problemy, albo on jest z nią dla pieniędzy. Nie ma opcji, że się kochają. Jak dla mnie to jest chore.

– Tak, ale czy możemy wrócić do tego kolegi? – poprosiła Czerwińska, nie mając ochoty na wysłuchiwanie monologu na temat słuszności umawiania się z młodszym oraz oceny tego przez społeczeństwo.

– Tak, przepraszam. Wpadliśmy na niego w centrum. Bartek momentalnie puścił moją rękę. Smutno mi się zrobiło, ale rozumiem. Raz jedna pani w kinie zaczęła mnie wyzywać od pedofilek i on bardzo to przeżył… No i ten kolega zaczął wypytywać, co u niego, jak się czuje po tym, co się stało… Zupełnie nie rozumiałam, o co chodzi. Bartek spiął się cały. Nie mieliśmy nic szczególnego w planach, a on powiedział, że się spieszymy do teatru i musimy lecieć. To wszystko trwało tak szybko, że jak się zorientowałam, co właśnie powiedział, on już odchodził. Pobiegłam za nim, ignorując tego faceta, który o coś jeszcze pytał.

– Wytłumaczył później, o co chodziło? – Kamiński pochylił się w stronę kobiety.

– Tak, podobno znali się ze Szczecina. Po przeprowadzce do stolicy spotkali się nawet. Trochę mnie to zdziwiło, bo wcześniej mówił, że zupełnie nikogo nie zna, ale może źle zrozumiałam. Generalnie powiedział, że nigdy go nie lubił, bo jest strasznie wścibski, a on nie znosi, jak ludzie za bardzo wciskają nos w nie swoje sprawy.

– A zapamiętała pani coś o nim więcej? – Czerwińska poprawiła mankiet kurtki, który jej się podwinął.

– W sumie to tak, bo miał na nazwisko jak mój przyjaciel z dzieciństwa, Piotr Najsztub. No i pokazał biuro, w którym pracuje. – Kobieta sięgnęła po telefon. – Pokażę państwu, gdzie ono jest. – Po chwili na ekranie pojawił się fragment ulic w centrum stolicy. – To tutaj. Tam jest jakieś biuro wykonujące analizy, nie do końca zrozumiałam, o co chodzi, ale na bank wskazał na ten budynek.

– To już coś. – Czerwińska zanotowała adres i spojrzała na kobietę. – Dobra, to przejdźmy do kolejnej części. Musi pani wiedzieć, że nie tylko… – Zawiesiła głos i spojrzała na Kamińskiego. Miała świadomość, że to ważny moment i muszą wyłapać każde nietypowe zachowanie kobiety. – Nie tylko pani zgłosiła zaginięcie pana Bartka.

– Co? – Uniosła brwi, ale jej czoło pozostało nieruchome. – Kto jeszcze? Nie ma przecież żadnej rodziny. Kolegów też nie. Pewnie ktoś z jego pracy?

– No niestety nie – tym razem wtrącił się Kamiński. – Poza tym nie udało nam się ustalić, gdzie pracuje.

– Spotykał się jeszcze z kimś – oznajmiła prosto z mostu Czerwińska, a jej partner tylko westchnął. Zdecydowanie za mocno wczuła się w rolę złego policjanta.

– To niemożliwe! – krzyknęła Jasińska. – Nie zrobiłby mi tego. On nie z tych. Zauważyłabym! – Jej oczy momentalnie zaszły łzami, a prawa dłoń zaczęła drżeć, co widać było nawet z kilku metrów.

– Niestety wszystko wskazuje, że tak właśnie było. – Kamiński ponownie próbował pomóc łagodnym słowem.

– Tamta kłamie. To jakaś zazdrosna dziewczyna, która wymyśliła sobie, że coś ich łączy. Może źle coś odebrała.

– Dlaczego?

– To się czuje. Coś musiało się stać, że ta kobieta tak robi.

– Czyli nie miała pani żadnych podejrzeń odnośnie do zdrady? – Czerwińska ponownie zadała pytanie, ale widząc błagalny wzrok Marka, zniżyła ton głosu.

– Nie! Nawet kiedyś mi powiedział, że gardzi takimi ludźmi, co zdradzają. Jego ojciec zdradzał matkę i przez to ona strasznie cierpiała. Zarzekał się, że nigdy nie mógłby komuś tego zrobić. Za bardzo sam to przeżył i widział, jak mama przez to przygasła.

– To niestety dobrze grał.

– Nie uwierzę, dopóki z nią nie pogadam. Pewnie to jakaś szukająca poklasku kobitka, która wymyśla sobie niestworzone rzeczy.

– Myślę, że będzie miała pani okazję to zweryfikować – rzuciła Czerwińska. – To pani córka.

Rozdział 34

– Przebadałem ten materiał, którym zapchano dziury w tej trumnie, i jest to pianka montażowa. – Głos technika brzmiał dość dziwnie. Jakby sam zamknął się w jakimś niewielkim pomieszczeniu lub pudle.

– Taka zwykła? – rzuciła Czerwińska i zaczęła szybciej przeżuwać to, co miała w ustach. Mężczyzna akurat trafił na moment, gdy kończyła kanapkę. Z reguły w takich sytuacjach oddzwaniała, ale wiedziała, że Franek Michalczewski będzie gadał jak katarynka, więc jej zdawkowe odpowiedzi nic nie zmienią.

– Niestety tak. Taka najzwyklejsza, do wypełniania dziur. Do kupienia w każdym sklepie budowlanym i nie tylko.

– Dzięki – wtrąciła, gdy w końcu zamilkł. Takie informacje niestety niewiele dawały. Ludzie kupowali popularne buty, sprzęty i później trafienie na nich było niczym znalezienie igły w stogu siana.

– Prześlę wam zaraz to, co mam, i działajcie. Ja próbowałem jeszcze jakieś odciski znaleźć, ale nic nie ma. To raczej wskazuje, że ktoś się postarał i nie ma mowy o wypadku. To na bank działanie celowe.

Dorota usiadła przy biurku i otworzyła ponownie teczkę z aktami sprawy dziewczynek, która leżała w prawym górnym rogu biurka i wręcz krzyczała do niej. Nie poruszyli się ani kawałek do przodu. Krążyli wokół ich ojca i matki, ale nic to nie dawało.

Odświeżyła raz jeszcze pocztę w oczekiwaniu na mail od technika. Trzy minuty później czytała jego raport.

– No dobra, i co to nam daje? – Patrząc cały czas w ekran, sięgnęła po kubek z zimną herbatą. Ostatnio przerzuciła się na miętę z melisą. Nie dość, że miała wrażenie, że dzięki temu gumka ciągnąca z tyłu głowy delikatnie się luzowała, to dodatkowo herbata była całkiem dobra. Zioła uspokajające bez żadnego dodatku nie smakowały jej zbytnio. Wypiła kilka łyków i odstawiła naczynie na biurko.

Zaczynała się powoli denerwować. Dobrze wiedziała, że przyjdzie kiedyś moment, że nie uda jej się znaleźć sprawcy i doprowadzić jakiejś sprawy do końca. Ostatnia rzecz, jakiej by chciała, to aby właśnie sprawa dwóch małych dziewczynek otworzyła tę niechlubną listę.

Jeszcze gdy pracowała na komisariacie w Suchodole, rozmawiała z komendantem i ten z wielkim rozrzewnieniem wspominał swoją jedyną nierozwiązaną sprawę:

– To było dwanaście lat temu – rzucił pewnego wiosennego dnia, gdy siedzieli na ławce przed budynkiem policji. Oboje byli już po służbie, ale jakoś im się nie spieszyło, aby wrócić do domu. Ona nie miała do kogo, a on wiedział, że żona zaprzęgnie go do roboty. Byli świeżo po remoncie i każde popołudnie i wieczór spędzał na ścierce lub z miotłą w dłoni. – W lesie znaleziono nieprzytomną kobietę. Przewieziono ją do szpitala. Nikt nie wiedział, kim jest, skąd się wzięła. Nie miała żadnych dokumentów. Ze względu na obrażenia musieli wprowadzić ją w śpiączkę farmakologiczną. Pamiętam, że te dwa tygodnie, jak nie mogliśmy z nią porozmawiać, były okropne. Nie dość, że była ofiarą, bo jej ciało świadczyło o tym, że ktoś mocno się na niej wyżył i niestety zgwałcił, to jeszcze stanowiła dla nas zagadkę. Przepytaliśmy wszystkich w okolicy i nikt nie zauważył niczego podejrzanego. Nikt też jej nie znał. Czas dłużył się niemiłosiernie. Wrzuciliśmy jej portret zrobiony przez rysownika do sieci, bo zdjęcia zrobione w szpitalu się nie nadawały. Wyglądała strasznie. Ktoś potraktował jej twarz kamieniem lub innym ciężkim przedmiotem. Na dodatek lekarze nie poprawiali nam humoru. Cały czas powtarzali, że wszystko może się zdarzyć. I dwa razy prawie nam uciekła, zatrzymała się, ale udało się ją uratować. – Jego głos nie brzmiał radośnie. – Gdy się wreszcie obudziła, opowiedziała nam, co się stało. Wszyscy, to znaczy lekarz, który wymusił obecność ze względów medycznych, mój kolega Paweł i ja mieliśmy szeroko otwarte usta. Kobieta wracała z delegacji. Zatrzymała się w hotelu jakieś pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie ją znaleźliśmy. Wieczorem wyszła pobiegać. Była piękna pogoda. Zawsze tak robiła, trenowała praktycznie wszędzie, gdzie jechała służbowo, a pracowała jako handlowiec i na tym polegała jej praca. Niestety tego dnia trafiła na jakichś zwyroli. Trzech gości zaatakowało ją w lesie. Pobili ją i zgwałcili. Każdy więcej niż raz. Nigdy ich nie znaleziono. Dzwoniłem później do niej raz w roku i przepraszałem za brak postępów. Nie miała do mnie pretensji, ale ja do siebie tak.

Czerwińska w skrytości liczyła, że jej ten los nigdy nie spotka, a tym bardziej w sprawie małych dziewczynek.

– Mam coś!

Z rozmyślań wyrwał ją Kamiński, który wpadł do ich biura niczym struś pędziwiatr. Dopadł do swojego komputera i zaczął nerwowo wciskać przycisk „power”. Na twarz Czerwińskiej od razu wrócił uśmiech. Uwielbiała patrzeć, jak wybranek jej serca pokonywany jest przez nowoczesne urządzenia. Niestety za każdym razem komputer działał

zdecydowanie wolniej, niż on by chciał. W końcu na ekranie pojawił się jakiś filmik.

– Chodź, zobacz sama. Dzisiaj od rana siedziałem z Wojtkiem Mioduszewskim. – Mężczyzna przesunął się w bok, aby Czerwińska mogła ustawić się ze swoim krzesłem tak, aby dobrze widzieć.

– Z kim?

– To niby ty tu dłużej pracujesz, a nie znasz najlepszego z najlepszych? – Obrócił twarz w jej stronę i uniósł brwi.

– A to nie ty? – spytała i puściła zalotnie oczko.

– Masz rację. Ja jestem numer jeden, a on jest numer dwa. Chciałem być miły, ale prawda jest najważniejsza.

– Matko, ale bije z ciebie skromność! – Zaśmiali się oboje. – Okej, a kim jest numer dwa? Muszę wiedzieć, jakbyś mi się znudził.

– Nie wiem, czy nie będę żałował, bo sprzątniesz mi go sprzed nosa, ale Miodek…

– Miodek? To ksywka z piaskownicy?

– Moja droga, w piaskownicy mówili na niego Miodzio. Integrowałem się z nim całkiem długo. Wiemy o sobie rzeczy, o których mało kto wie, więc musisz zaakceptować naszą relację.

– No świetnie. Wpadnie do nas na święta? – zaśmiała się na głos Czerwińska.

– Jeszcze nie pytałem, ale mogę zadzwonić. Na razie pomógł mi z naszym jednorożcem. Miodek, o którego, jak widzę, jesteś zazdrosna, jest specem od filmów.

– Super, Spielberg też podobno jest dobry.

– Tylko ten mistrzunio znalazł w sieci odpowiedni filmik, na którym chyba widać, jak ktoś grzebie w uprzęży naszego jednorożca. – Każde słowo wymawiał bardzo spokojnie, a gdy dotarł do ostatniego, Dorota aż podskoczyła.

– Chrzanisz?

– No nie, moja droga. Patrz i podziwiaj!

Na ekranie pojawiła się krótko ostrzyżona dziewczyna ubrana cała na czarno, w nosie miała kolczyk, który Dorocie skojarzył się z krową „biżuterią”. Jej oczy, podobnie jak fryzura, biły czernią, ale chyba najbardziej uderzała sporej wielkości blizna na czole.

– Hej, dzisiaj wpadłam na event BobyLona. Kto jest jego fanem, ten wie, że z okazji miliona followersów obiecał zrobić coś zwariowanego, a ja zobaczę to na żywo. – W tym momencie przełożyła aparat do drugiej ręki i zaczęła powoli pokazywać otoczenie.

– Spójrz tutaj. – Kamiński pokazał palcem na małą postać na scenie. – I teraz obserwuj.

Ktoś pojawił się na podwyższeniu. Szedł powoli. Nie rozglądał się. Podszedł do miejsca, gdzie podobno przez dłuższy czas leżał sprzęt chłopaka. W tym miejscu już się rozejrzał. Zrobił to jednak w sposób bardzo powolny i dość przemyślany. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą, zapewne obejmując wzrokiem wszystko dookoła. Nie kręcił się w kółko, jak by to zrobiła większość. Gdy już sprawdził, czy jest bezpieczny, nachylił się i wykonał jakiś ruch, niestety słabo widoczny na nagraniu.

– Mógł wtedy przeciąć linki.

Czerwińska wyprostowała się. W końcu coś mieli, chociaż obraz był bardzo słabej jakości.

– To nie wszystko – rzucił Kamiński.

Pochylił się w stronę ekranu i wskazał na obserwowanego przez nich człowieka. Ten niespiesznie ruszył dalej. Nie uciekał, niczym spacerowicz szedł w stronę drugich schodów prowadzących na drewniany podest. Po kilku sekundach wpadł na kogoś. Możliwe, że coś powiedział, albo i nie, a następnie poszedł dalej.

– Czy to…? – Czerwińska spojrzała na Marka z ukosa.

Ten kiwnął głową, a na jego twarzy zagościł wielki uśmiech.

– Tak, wydaje mi się, że to siostra naszego jednorożca. A to oznacza, że możliwe, że widziała mordercę.

Rozdział 35

Piotr Najsztub siedział za wielkim szklanym biurkiem na ogromnym fotelu. Czerwińska od razu prychnęła pod nosem. Nie był to pierwszy raz, gdy spotkała faceta, który wyposażeniem biura czy samochodem próbuje zakłamać rzeczywistość i udaje ważniejszego i mądrzejszego, niż jest naprawdę.

– Dzień dobry, bardzo zaciekawił mnie pani telefon – odezwał się jako pierwszy. Choć jego wygląd nasuwał jej niezbyt miłe określenia, takie jak goguś, lowelas, to głos zdecydowanie wywoływał inne uczucia. Był głęboki, seksowny. Taki radiowy, którego można słuchać godzinami, niezależnie od wypowiadanych treści. Nawet gdyby czytał instrukcję obsługi pralki, byłoby to niesamowite przeżycie dla słuchacza.

– Dzień dobry, to ja dziękuję za poświęcony czas. Tak jak mówiłam, chciałam porozmawiać na temat Bartosza Wojciechowskiego – oznajmiła, pokazując zdjęcie chłopaka, które otrzymała od jego starszej kochanki.

– Aha, tylko ja go znam pod innym nazwiskiem.

Pierwszy szok. Dorota zakładała, że to imię mógł podać nieprawidłowe, ale nie nazwisko. To raczej wiązało się z grubszymi rzeczami. Mało kto zmieniał nazwisko, ale zmienione imiona były dość nagminne. Miała nawet koleżankę, której rodzice zrobili najdziwniejszą rzecz na świecie. W urzędzie stanu cywilnego podali, że córka będzie nosiła imię Łucja. Tak nazywała się siostra ojca. I wszystko byłoby okej, gdyby nie fakt, że nigdy nikt z najbliższej rodziny się do niej tak nie zwracał. Mówiono do niej Basia, a to dlatego, że ciotka zmarła w męczarniach i nie chciano ściągać na dziewczynkę pecha. Tylko po co ją nazywano po nieszczęśnicy? Dorota i koleżanki, z którymi o tym gadała, nigdy nie mogły tego pojąć.

– Pod jakim nazwiskiem pan go znał? – spytała Czerwińska, próbując oderwać kawałek suchej skórki przy paznokciu, który denerwował ją niemiłosiernie.

– Bartosz Romanowski.

– Gdzie się poznaliście? – spytał Marek Kamiński.

Tymczasem wzrok Doroty padł na stojącą za rozmówcą niewielką komodę, na której ustawiono zdjęcia. Dokładnie trzy, w srebrnych ramkach doskonale pasujących do wystroju pomieszczenia. Na każdym z nich widniał sam Najsztub. Na jednym siedział na motorze w pełnym motorowym wyposażeniu, z kaskiem pod ręką. Na innym stał na plaży w krótkich spodenkach, z delikatnie owłosionym brzuchem, z lazurową wodą w tle. Na ostatnim był na nartach, ubrany w zimową kurtkę i kask, tak że ledwo można było go rozpoznać.

– Chodził z siostrą mojego kumpla.

– Kiedy to było? – dopytywała Czerwińska.

– Trzy lata temu.

– Tutaj? W stolicy się poznaliście?

– Tak, on się urodził w Warszawie. Przynajmniej tak mówił.

Czerwińska zmarszczyła brwi. Kolejna spora rozbieżność między przekazanymi przez kobiety informacjami a tym, co opowiadał mężczyzna. Problem polegał na tym, że bez potwierdzonych informacji o poszukiwanym nie była w stanie stwierdzić, która wersja jest prawdziwa. Równie dobrze obie mogły być fałszywe.

– Jak się poznaliście i kiedy?

Mężczyzna podrapał się po głowie i wbił wzrok gdzieś nad głowami policjantów.

– Byłem wtedy na drugim roku, a może na trzecim, czyli to musiało być jakieś pięć lat temu. Z Marcinem, moim kumplem z roku, umówiliśmy się na piwo, ale w ostatnim momencie okazało się, że musi jechać do domu, bo miał jakiś robol przyjść, a rodzice nie mieli szans zdążyć. Pojechałem z nim, bo i tak nie miałem co robić, a obiecał, że u niego się napijemy. Siedzieliśmy w salonie, gadaliśmy, piliśmy. On w międzyczasie nadzorował pana, co jakieś rurki robił. No i w pewnym momencie wpadła jego siostra. Starsza o rok, chociaż zachowywała się jak gówniara. – Z dezaprobatą pokręcił głową. – Zawsze były z nią problemy, więc Marcin nigdzie nie zabierał jej ze sobą, czemu się nie dziwię. Zawsze się upadlała, rzygała wszędzie. Raz w taksówce, jak wracaliśmy. Innym razem u naszego kumpla do doniczki. Poza tym była krzykliwa i chodziła ubrana jak choinka, co mnie denerwuje. No i wtedy przyszła z Bartkiem. Byłem w szoku, bo zwykły facet. Pogadać można było z nim, chociaż…

– Tak? – Czerwińska lekko uniosła się znad krzesła.

– On zawsze trzymał się trochę na dystans. Niektóre rozmowy ucinał w połowie i zmieniał temat… Albo tylko mi

się wydawało.

– A zna pan jakieś szczegóły z jego życia?

– Jego rodzice byli nauczycielami. Chodził do jakiegoś liceum na Ursynowie, ale nie pamiętam jakiego. Studiował na wydziale anglistyki, ale nie skończył studiów. Malwina mówiła, że musiał iść do pracy i nie udało mu się pogodzić nauki z zarabianiem na siebie. No, a po wszystkim zniknął. Wtedy w centrum widziałem go pierwszy raz od lat.

Czerwińska spojrzała na Marka i zmarszczyła brwi.

– Co się stało? – spytał mężczyzna.

– Ojej, przepraszam, skąd mogą państwo wiedzieć. To była wielka tragedia dla nas wszystkich. Zmarła Malwina, siostra Marcina, no i wtedy dziewczyna Bartka. Ja nadal nie mogę w to uwierzyć. To była jak dotąd jedyna znana mi osoba w moim wieku, która umarła.

Dorota cała się napięła i jeszcze bardziej zsunęła się z krzesła w stronę rozmówcy.

– Proszę nam powiedzieć, co się stało.

– No i to jest problem – sapnął mężczyzna i spojrzał na policjantkę. – Minęły trzy lata, a my cały czas nie wiemy, co dokładnie się wydarzyło, i chyba nigdy się nie dowiemy. Policja… to znaczy państwa koledzy stwierdzili, że to było samobójstwo, ale nikt z nas w to nie uwierzył. Malwina zawsze była pełna energii, co niektórym się nie podobało, na przykład mnie, przyznaję. Była głośna, ruszała się jakoś zbyt energicznie, ale to, co można było o niej powiedzieć, to to, że było jej wszędzie pełno i uwielbiała swoje życie. Rodzice Marcina i Malwiny mieli dobrze prosperujący biznes, więc mogła realizować swoje pasje, co nie dla każdego jest możliwe. A Malwina uwielbiała tańczyć. Jak słyszała muzykę, przepadała i… robiła się jakby spokojniejsza. Marcin pokazywał filmy z jej występów i byłem w szoku. Nie znam się na tym, ale robiły wrażenie. On też mówił o niej w samych superlatywach, ale nigdy jej tego nie powiedział. Wolał, żeby nie przewróciło jej się w głowie.

– I co się stało?

– To była końcówka wakacji. Ich rodzice pojechali w rejs po Morzu Śródziemnym. Marcin chodził do roboty, a że wtedy pracował nad jakimś wielkim projektem, to siedział praktycznie cały czas w biurze, rzadko bywał w domu. Jak przychodził, to widział coraz większy bajzel. Któregoś dnia nawet umówiliśmy się na piwo, przepraszał, że nie zaprosił mnie do domu. Zazwyczaj jak jego starych nie było, to spotykaliśmy się u nich, bo ojciec miał przepastny barek z ogromną ilością alko… – Potrząsnął głową, widząc marszczącego czoło policjanta. – Tym razem Malwina zrobiła taki burdel w domu, że najzwyczajniej w świecie się wstydził. Boże, jak on później przeżywał, że nie dostrzegł, że coś złego się dzieje…

– Panie Piotrze, czy może pan nam powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło? – poprosił rzeczowo Kamiński.

– Tak, przepraszam, ale chyba cały czas nie potrafię o tym mówić. To był piątek, bo mieliśmy iść w miasto po pracy. Marcin zadzwonił, że będzie później, bo musi się przebrać. Jak zwykle uwalił się… Nieważne. Pojechał do domu i znalazł tam Malwinę. Początkowo myślał, że śpi na kanapie. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzało, ale wie pani, zawsze musi być ten pierwszy raz. Wykąpał się, przebrał w czyste ciuchy i znowu zszedł na dół. Zawsze wszyscy, co ją znali, śmiali się, że nawet jak śpi, to się kręci, a ona cały czas leżała tak samo na kanapie. Wtedy zorientował się, że coś jest nie tak. Próbował ją obudzić, ale nie reagowała. Zadzwonił po karetkę, ale niestety ratownicy po przyjeździe stwierdzili zgon. Nawet nie zabrali jej do szpitala.

Mężczyzna odwrócił głowę w stronę wielkiego okna, z którego widać było jedną z ulic w centrum Warszawy, ale i tak widzieli, że zaszkliły mu się oczy.

– Co dokładnie stwierdziła policja? – spytała spokojnie Czerwińska.

– Tak jak mówiłem wcześniej, samobójstwo. Tylko dlaczego? Ona nie miała powodów do tego. Rodzice obiecali dorzucić jej się do biznesu, który planowała otworzyć po obronieniu się. Jeździła na wakacje w miejsca, w które większość widzi co najwyżej na zdjęciach na Instagramie. Nie zachowywała się jak ktoś, kto chce się targnąć na własne życie. Poza tym…

– Tak? – spytała pospiesznie Czerwińska.

– Lekarz stwierdził, że doszło do przedawkowania leków, które, uwaga!, rozpuściła w piwie. – Chłopak ostatnie słowa powiedział zdecydowanie głośniej. – Przecież to brzmi absurdalnie. Spokojnie ktoś mógł je wrzucić coś do browara, a ona wypiła, nie wiedząc o tym. Przecież takie rzeczy dzieją się co chwilę. Nic trudnego nawet dla średnio ogarniętego.

– Ktoś, czyli kto? – tym razem zareagował pytaniem Kamiński.

– No i tutaj powinna zacząć się wasza robota, policji, ale niestety nikt się odpowiednio nie wczuł. Od razu została zakwalifikowana jako samobójczyni i po sprawie. Rodzice Marcina próbowali na różne sposoby, łącznie z zainteresowaniem prasy, licząc, że ich nacisk spowoduje, że wasi ludzie bardziej się postarają, ale nic to nie dało. Jakby posta-

wiono na niej krzyżyk. Nawet przygotowali opinię od psycholożki, do której chodziła, że nie przejawiała żadnych symptomów, że myśli o samobójstwie.

– A dlaczego chodziła do specjalisty? – zainteresowała się Czerwińska.

– Nic specjalnego. Musiała zapanować nad swoimi emocjami, bo czasami kłóciła się z klientami. Nie mogła zaakceptować, że niektórzy mają inne poglądy niż ona.

– A pan miał jakieś podejrzenia? Albo kolega coś się zwierzał?

– Oczywiście wymyślaliśmy jakieś teorie. – Westchnął smutno i zastukał palcami po biurku. – Na pierwszy rzut poszła zazdrosna koleżanka. Malwina zawsze otaczała się dziewczynami, wśród których brylowała. Ona była najładniejsza, szło jej najlepiej na studiach. I z jedną z nich się pocięła, i to ostro. Tamta twierdziła, że Malwina ukradła jej pomysł na biznes. Nawet zadzwoniła do jej rodziców na skargę. Oczywiście wtedy to wyśmiali, ale później zaczęli się zastanawiać, czy nie mógł być to powód do czegoś głupiego. Zaczęliśmy więc węszyć…

– Bawić się w policjantów? – wtrącił Kamiński. Takie zachowanie nie było niestety niczym nietypowym. Często spotykali domorosłych detektywów, którym wydawało się, że obejrzenie kilku seriali kryminalnych i lektura książek dają wiedzę i prawo do podejmowania działań właściwych raczej dla funkcjonariuszy policji.

– Tak – sapnął. – Ale co mieliśmy zrobić? Wszyscy mieli nas w dupie. Więc węszyliśmy. Niestety trop z koleżanką okazał się zupełnie nietrafiony, bo nie było jej w okolicy. Ale wtedy wpadliśmy na kolejny. Malwina, poza tym, że denerwowała brata swoją nadpobudliwością, bo muszą państwo wiedzieć, że Marcin jest ekstremalnie spokojny, robiła też coś pozytywnego. Była od lat wolontariuszką w schronisku. I to nie taką, co raz na jakiś czas coś wpadnie pomóc. Ona w każdy weekend tam jeździła, sprzątała boksy, wyprowadzała psiaki. Marcin kiedyś mówił z uznaniem, że jest już po kilku kursach czy szkoleniach, nie pamiętam, i może wyprowadzać te najbardziej niebezpieczne. No i podczas pogrzebu podeszła do niego jakaś kobieta i zaczęła opowiadać niestworzone historie. Okazało się, że od dłuższego czasu schronisko, w którym pomagała Malwina, było nękane przez gościa, który kupił działkę obok. Pan miał problem ze szczekającymi zwierzakami. Tylko jak ktoś kupuje dom obok stacji kolejowej, to nie może się dziwić, że pociągi jeżdżą, i tak samo ze schroniskiem. Niestety ten był uparty. Najpierw poszły do gminy pisma ze skargami na hałas, smród i takie tam. Ale nic nie wskórał. Potem zaczął nasyłać różnych urzędników na kontrole. Okazało się, że jeden budynek był wybudowany trochę niezgodnie z przepisami. Gdy już skończyły mu się kapiszony, poszedł w mniej sympatyczne zachowania. Przebijał opony pracownikom. Wrzucał do skrzynki na listy worki z odchodami.

– To grubo – skomentował Kamiński.

– Oj tak. Gdy zaczął rzucać kamieniami w zwierzęta, wezwano policję. To wszystko działo się już po śmierci Malwiny, ale jakoś tkwiło nam to w głowach, zwłaszcza że ponoć wcześniej też pluł się personalnie do niej. Babka ze schroniska relacjonowała nam na bieżąco, co ten gość robi. Pojechaliśmy do niego. – Widząc piorunujące spojrzenie Czerwińskiej, od razu dodał: – Musieliśmy, ale okazało się, że właśnie była u niego córka. Przepraszała za zachowanie ojca. Tłumaczyła, że on jest chory i że zabiera go do siebie, żeby nie doszło do tragedii. Zamurowało nas. Marcin na odchodne spytał, co jej ojciec robił w dniu śmierci jego siostry. Okazało się, że był u niej, w Mińsku Mazowieckim.

– Czyli wasze śledztwo padło?

– No nie do końca, bo… – Zamilkł na chwilę, jakby bał się powiedzieć na głos. – Zaczęliśmy podejrzewać Bartka.

– Jej chłopaka? – spytała Czerwińska.

– Tak.

– Dlaczego? – tym razem zareagował Kamiński.

– Bo dziwnie się zachowywał. Początkowo myślałem, że nie przyszedł na pogrzeb, ale później dowiedziałem się, że stał z tyłu. A potem zniknął. Koleżanka psycholożka tłumaczyła nam, że każdy inaczej przeżywa traumy. On widocznie poszedł w ucieczkę. Marcin nawet próbował z nim pogadać, ale nie odbierał telefonu, a mieszkanie, w którym mieszkał, zostało puste. Wiemy, bo pojechaliśmy tam i akurat wprowadzali się nowi lokatorzy. Nie znali Bartosza, więc nie wiedzieli, co się z nim stało. Dali numer do najemcy, ale ten nic nie wiedział.

– Dziwna sprawa – skomentował policjant.

– No, i to bardzo.

– Byliśmy przekonani, że wyjechał gdzieś na koniec świata, a tu nagle na niego wpadłem, jak szedł z tą starszą babeczką… – mruknął, unosząc brwi.

– Jak zareagował?

– Specyficznie. Kiedyś może się nie przyjaźniliśmy, ale trochę piwa razem wypiliśmy. Wódki zresztą też. Zawsze robił na mnie wrażenie poukładanego, spokojnego, idealnie pasował do Malwiny, bo był jej przeciwieństwem i rów-

noważył jej pomysły.

– A teraz jak się zachowywał? – ponowiła pytanie Dorota Czerwińska.

– No… jakby się przestraszył. Rzucił, że się spieszą do teatru, a to było kłamstwo, od razu wiedziałem. Poza tym zauważyłem go dużo wcześniej i szedł z tą panią za rękę, co chwilę coś jej szeptał słodko do ucha. Gdy mnie zobaczył, puścił ją, jakby się wstydził. Dziwne. Babka starsza, ale całkiem niezła. Zupełnie nic nie mam do takich związków. Zresztą guzik mnie to obchodziło. Trochę się ucieszyłem, że go zobaczyłem, mimo że tak jak wcześniej mówiłem, zaczęliśmy go nawet podejrzewać. Szczególnie Marcin. W pewnym momencie zafiksował się na tym punkcie. Nawet próbował nakłonić rodziców do wynajęcia prywatnego detektywa, ale ojciec, jako jedyny przy zdrowych zmysłach, nie zgodził się.

– Czy pana kolega miał jakieś sensowne podstawy do tych podejrzeń?

– Tak naprawdę to go nie lubił. Od samego początku nie było między nimi chemii. Ja akurat nie miałem nic do gościa. Poza tym Marcin twierdził, że zniknęły jakieś pieniądze. Dokładnie nigdy nie powiedział ile, ale szedł w zaparte, że Malwina miała sporo gotówki. To było kilka lat temu, więc nie za czasów dinozaurów, ale dziewczyna nie wierzyła bankom i odkładała kasę do skarpety, i to takiej prawdziwej. Tylko na pytanie, ile tego było i gdzie to przechowywała, nie umiał odpowiedzieć. – Znowu przerwał i zaczął stukać palcami po blacie biurka.

– A skąd niby miała te pieniądze? – Czerwińska zmarszczyła brwi. – Pracowała gdzieś?

– Sporadycznie. W schronisku udzielała się jako wolontariuszka i raczej do tego dopłacała. Podobno dostała sporo kasy na urodziny, a później uzbierała, pracując u jakiejś znajomej podczas targów, no i dostawała spore kieszonkowe od rodziców. Tylko problem w tym, że nikt nie wiedział, ile tego było. Po jej śmierci Marcin znalazł skarpetę, a w niej raptem dziesięć tysięcy, co uznał za zdecydowanie za mało. Spodziewał się czegoś między nawet pięćdziesiąt a sto tysięcy.

– No to faktycznie problematyczne. A czy Bartosz Romanowski opowiadał coś o swojej rodzinie? – Czerwińska zmieniła nagle temat.

– Nie. Ale z tego, co pamiętam, to mówił, że rodzice urodzili się w stolicy i on również. Kiedyś śmialiśmy się z kolegi, co po weekendzie miał słoiki w lodówce. On się cieszył, że go nigdy nic takiego nie spotkało. A poza tym chyba nic. To już było wieki temu i najzwyczajniej w świecie nie pamiętam.

– Rozumiem. – Kamiński kiwnął głową. – Z takich twardych, znanych panu danych, które ułatwią identyfikację… Według pana Bartosz Romanowski urodził się w Warszawie, studiował anglistykę…

– Tak, na uniwerku, tutaj w stolicy.

– Coś jeszcze?

– Nie. Tak jak mówiłem, aż tak dobrze go nie znałem.

– A czy jest ktoś, kto może pomóc w ustaleniu jego personaliów?

– Niestety nie wiem. Nie sądzę, aby Marcin wiedział cokolwiek więcej.

Rozdział 36

Czerwińska zapięła pasy i zerknęła na zegarek. Zgodnie z telefonem od Aldony Boczek, poznanej ostatnio reżyserki, Natalia Radzińska od kilkunastu minut przebywała w teatrze.

– To co, pogadamy z szanowną kochanką?

Kamiński pokiwał głową. Mieli jeszcze w planach odwiedzenie rodziny BobyLona, ale po drodze był teatr, więc naturalnym było, że najpierw tam powinni się zatrzymać.

Znaleźli kobietę w małej garderobie. Kończyła właśnie makijaż.

– To wy? – powitała ich niezbyt entuzjastycznie. – Musicie nas tutaj męczyć? My też mocno przeżywamy śmierć Norberta. Był cudownym człowiekiem i bez niego to miejsce zionie pustką.

– Taka nasza praca – skomentował policjant z sarkastycznym uśmiechem. – Co może pani o nim powiedzieć? – dorzucił.

– Hmm… Pewnie już wszystko wiecie. Wzbudzał sporo emocji. Część go nie lubiła, ludzie zazdrościli mu popularności, kontraktów i tego, czego sami nigdy nie będą mieć. A reszta podziwiała go za pracowitość i ignorowanie hejtu.

– Długo spotykała się pani z Dutkiewiczem? – spytała starsza aspirant.

– Spotykała? – Radzińska zaśmiała się w głos, a policjantka aż podskoczyła. Nie spodziewała się takiej reakcji. – My się bzykaliśmy, pieprzyliśmy, ale nie było mowy o spotykaniu. Ja zresztą tego nie potrzebuję. Związki mnie przerastają, więc seks bez zobowiązań mi pasował, zresztą jemu też.

– Tylko że on miał żonę, a pani nie ma stałego partnera.

– A co, fakt posiadania żony powoduje, że fiut nie działa? – Kobieta obróciła się w stronę Czerwińskiej i zrobiła duże oczy, unosząc przy tym wysoko kąciki ust. Jej sposób bycia zupełnie nie pasował do urody. Miała bladą cerę, w wielu kulturach kojarzoną raczej z wysoko urodzonymi osobami, a zachowywała się, jakby zaraz miała komuś wyprowadzić cios. – Poza tym ta jego żona miała go gdzieś. Opowiadał mi, że w czasie seksu tylko leży jak kłoda i wydaje z siebie dźwięki, które niby mają świadczyć o jej zaangażowaniu. Zero polotu, czegokolwiek. A on lubił zabawy, przebieranki, akcje z zaskoczenia…

– Akcje z zaskoczenia? – wtrąciła Czerwińska i oblała się delikatnym rumieńcem.

– No wie pani, takie seksualne zabawy. Czyli jak nikt nie widział, to ciągnęłam go do schowka gospodarczego i tam… Nieważne. – Na jej twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech. – Robiliśmy szalone rzeczy z kategorii tych dla dorosłych i oboje się dobrze bawiliśmy.

– Czy jego żona wiedziała o waszej zażyłości?

– Nie wiem i nie interesowało mnie to. Jakby sama się wczuła, to nie szukałby uciech na mieście. To jest prosta sprawa, jak się faceta nie zaspakaja, to on poszuka tego gdzie indziej. Więc jeżeli się pani z kimś spotyka, to radzę dać z siebie wszystko. Nie będzie czekał wieczność, aż pani sama wpadnie na to, że na misjonarza to nie jedyna pozycja. – Uśmiechnęła się do Kamińskiego i ledwo dostrzegalnie puściła mu oczko.

– Ślicznie dziękuję za radę, na pewno zmieni wiele w moim życiu. A tymczasem wróćmy do sprawy. Czyli nie planowała pani przyszłości z panem Norbertem?

– A w życiu! – rzuciła podniesionym głosem.

– I nie spotykała się pani z nikim innym ostatnio?

– Przez chwilę, ale to już przeszłość. Matka próbowała mnie zeswatać z synem koleżanki z pracy. Chory pomysł. Spoko koleś, ale oderwany od rzeczywistości. Jest botanikiem i chce ratować świat przed zagładą. Po trzech piwach było nawet spoko, ale zakończyłam to szybko i upewniłam się, że związki to nie jest rozwiązanie dla mnie. Ja jestem z tych postępowych, co potrzebują faceta tylko do jednego, resztę sama sobie ogarnę.

Dorota uśmiechnęła się tylko i przygryzła wargę. Miała już na końcu języka, że doznania seksualne bez udziału faceta też są możliwe, ale wolała nie wkładać kija w mrowisko. Na bank później Marek przekornie pytałby o jej doświadczenia w tej kwestii, mimo że takowych nie miała.

– Czyli nie ma nikogo, kto mógłby chcieć zrobić Norbertowi Dutkiewiczowi krzywdę z powodu zazdrości o panią?

– O nie! – krzyknęła kobieta. – W życiu. Ja zazdrośników unikam niczym ognia, kiedyś miałam takiego…

– Rozumiem – uciął szybko Kamiński. – A czy ma pani pomysł, kto mógł chcieć zrobić krzywdę pani kochankowi?

– Kochankowi, jak to zabawnie brzmi. Tu są sami zazdrośnicy, ludzie dwulicowi, więc… – Uniosła bezradnie dłonie i wzruszyła ramionami. – Kandydatów sporo, tylko czy ktoś miałby jaja, aby się go pozbyć? Szczerze wątpię. Większość to są mocni w gadaniu, ale jak przyjdzie co do czego, to kulą ogonki i uciekają do swojej norki. Może jedynie… Ale nie, on nie… – Pokręciła głową, jakby sama ze sobą rozmawiała.

– O kim pani pomyślała?

– O naszym nowym szefie, Sławku Srokowskim.

– A czemu on niby miałby mieć jakieś ale do Dutkiewicza?

– Hmm… Jak by to powiedzieć… – Zaczęła śmiać się pod nosem. – Kiedyś, jeszcze zanim kupił teatr, widziałam jego matkę. I tutaj proszę wyłapać, że nasz szefuńcio jest młodszy o jakieś dziesięć lat od Norberta, a jak się urodził, jego rodzice ledwo co skończyli dwudziestkę i…

– Do czego pani dąży?

– Tak jak zaczęłam, to było już jakiś czas temu, ale widziałam, jak oni, to znaczy Norbert i pani Srokowska szeptali do siebie czule, a w pewnym momencie, gdy myślał, że nikt nie patrzy, położył jej rękę na pośladku.

– To ciekawie się robi – zagwizdał Kamiński, a Czerwińska lekko rozchyliła usta.

– Powiem tak, my wtedy jeszcze nie sypialiśmy… przepraszam, nie kopulowaliśmy, bo nigdy w prawdziwym łóżku nie wylądowaliśmy. Zupełnie to po mnie spłynęło, tylko ludzką ciekawość uruchomiło. Nigdy później już nic nie zauważyłam. A gdy po kilku miesiącach pewnym krokiem wparował tu młody Srokowski z ekipą specjalistów od PR, trendów w teatrach i tym podobnych, czułam, że nie ma mowy o przypadku. Później nawet wspomniał, że mama bardzo nalegała, aby zainwestował w ten teatr.

– Widziała pani ich jeszcze razem?

– Nie. – Pokręciła głową. – Na wielkim otwarciu po remoncie, który zrobił, oczywiście się zjawiła, ale jej mąż trzymał ją niczym na smyczy. Nie mogła odejść nawet na kilka metrów. A gdy nie stała w zasięgu ręki, patrzył uważnie. Wyglądało to strasznie. Nie zdziwiłabym się, gdyby wiedział o jej zażyłości z Norbertem.

– A ktoś jeszcze przychodzi pani do głowy? Może Norbert coś wspominał?

– Nie mam pomysłu. A on raczej mi się nie zwierzał. Nasze relacje ograniczały się… – Dorota zmarszczyła brwi, co momentalnie Natalia odebrała jako prośbę o zakończenie tematu. – Mało o sobie wiedzieliśmy. Raz tylko wspominał o żonie, że go nie rozumie. Że chce tylko kasy i nie potrafi nic od siebie dać.

– A czy ona nie rzuciła przypadkiem pracy, żeby mu usługiwać? – wtrąciła Czerwińska.

– A to dobre, ta cała Izunia tak opowiada?

– Znają się panie?

– Przedstawił nam ją parę lat temu. Nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Po pierwsze, patrzyła na Norberta w dziwny sposób, taki nienawistny, no i komentowała każde jego słowo. Nie znoszę takich ludzi. Po drugie, była bardzo niemiła dla każdego. Co najważniejsze, to ona nic nie poświęciła. Słyszałam już kiedyś tę wersję w jakimś wywiadzie. Po tym Norbert zakazał jej rozmów z dziennikarzami. Jej rzekome poświęcenie dla męża jest co najmniej śmieszne. Moja koleżanka z nią studiowała i mówi, że tak leniwej osoby nigdy nie spotkała. Izunia podobno parę razy powiedziała nawet kiedyś, że zrobi wszystko, aby dobrze wyjść za mąż. Może być łysy, gruby, ważne, aby miał kasę lub rokował na kasę na przyszłość. I co? Przypadek, że wylądowała u boku bożyszcza nastolatek i ich matek? No nie. Podobno bardzo się postarała, aby go poznać, a później aby zaczęli się spotykać. Koleżanka mówiła, że wręcz go stalkowała, a Norbertowi to się podobało. Przystojny był, ale w głowie miał niewiele, a fakt, że laska za nim latała, poprawiał mu humor, no i łechtał ego. Zresztą czego by o niej nie mówić, to całkiem całkiem kobieta jest, więc na pewno miło mu się na nią patrzyło, ale poza tym to nic.

Rozdział 37

– Myślisz, że Izabela Dutkiewicz jednak miała coś wspólnego ze śmiercią męża? – wyrzuciła z siebie Czerwińska, jak tylko opuścili mury teatru.

Postać Natalii Radzińskiej wywołała w niej raczej negatywne uczucia, jednak nie widziała ona w kobiecie morderczyni. Nimfomankę, osobę bez kręgosłupa moralnego – tak. Ale nie kogoś, kto mógłby i miał po co zabijać aktora. Zupełnie nic nie zyskiwała na jego śmierci, a wręcz traciła kogoś – kochanka, który podobnie jak ona dostrzegał plusy niezobowiązującego seksu, i osobę, z którą wzajemnie pomagali sobie w karierach.

– Ja już się w tym gubię… – Marek sapnął przeciągle i zagarnął rękawem krople wody z bocznej szyby swojego samochodu. – Jak dla mnie robi się z tego jakiś dramat obyczajowy połączony z harlequinem.

– Takie życie.

– No właśnie. – Spojrzał na nią i wtedy na jego twarzy wyrósł olbrzymi uśmiech, a oczy zaświeciły mu się niczym latarki nocą. – Wyłapałaś ten fragment wypowiedzi pani Natalii odnośnie do…

– Proszę cię, nawet nie kończ. – Otworzyła drzwi i szybko wsiadła do auta. Panująca tego dnia wilgoć powodowała, że temperatura bliska zeru była wyjątkowo uciążliwa. – Jeżeli chcesz, aby doradcą w kwestii naszego pożycia seksualnego była jakaś zakręcona aktorka, która na każdego faceta patrzy wyłącznie przez pryzmat jego fiuta, to raczej nie dla nas. A poza tym… – obróciła się w jego stronę i srogo zmarszczyła brwi – czy ty uważasz, że nam jest potrzebne jakieś wsparcie? Czy czegoś mi brakuje?

Kamiński milczał przez dłuższą chwilę, wpatrzony w kobietę, która pchając wózek, próbowała wjechać nim na wysoki krawężnik. Niestety nikt nie był skory do pomocy, mimo że dwóch panów patrzyło, jak się z nim mocuje.

– Zaraz wracam – rzucił tylko i wyskoczył z auta.

Przez szybę samochodową Dorota patrzyła, jak mknie przez ulicę i wręcz rzuca się, aby pomóc kobiecie.

– Mój bohater! – zaśmiała się pod nosem.

Za to go uwielbiała. Dobre serce. Niby na co dzień prezentował światu pozę macho, ale gdy tylko sytuacja tego wymagała, pokazywał, że jest niezwykle dobrym człowiekiem, czasami robiąc proste rzeczy. Raz na pół roku robił remanent w swoich ubraniach i to, czego już nie nosił, oddawał starszemu panu, któremu przy okazji każdych świąt robił paczki z jedzeniem. A gdy tylko widział, że komuś dzieje się jakaś krzywda, bez zastanowienia leciał na pomoc.

– To co, jedziemy? – rzucił wesoło, wsiadając do samochodu.

Gdy patrzyła na niego, jak dźwiga wózek, wyparowała z niej cała ochota na droczenie się z nim o to, o czym wspomniała aktoreczka. Przy akompaniamencie Soyki, którego uwielbiał policjant, a którego coraz bardziej tolerowała Czerwińska, dotarli pod blok, w którym raz już byli. Ledwo zdążyli wyjść z samochodu, gdy z klatki wypadła młoda kobieta i od razu do nich podbiegła.

– Macie coś? Błagam, ja już nie daję rady…

Policjanci spojrzeli na siebie, nie wiedząc, o co chodzi. Julia Wronkowska chyba to wychwyciła, bo od razu dopowiedziała:

– Moi rodzice przestali wychodzić z domu. Co chwilę ktoś do nich dzwoni i się nie odzywa albo rzuca jakieś niewybredne teksty. Zabroniłam im już odbierać telefon. Chętnie bym go zdemontowała, ale boimy się, że przegapimy jakiś ważny telefon od was… – Siostra BobyLona wyglądała jeszcze gorzej niż przy poprzednim spotkaniu. Widocznie schudła, policzki jej się zapadły, a włosy, o które przestała dbać, zaczęły układać się w coś zbliżonego do dredów.

– Przykro nam – skomentowała Czerwińska i zrobiła krok w stronę domu. Stanie na dworze przy tej pogodzie nie należało do najprzyjemniejszych, a przez gapiostwo nie rozwiesiła wypranej kurtki na kaloryferze i musiała wyjść w tej jesiennej. Na szczęście Julia Wronkowska podchwyciła, o co chodzi, i po chwili stali już na klatce schodowej.

– Wam nie ma być przykro! – Dziewczyna pokręciła głową i oparła się o ścianę. – Powinniście działać. Nie dość, że trzeba znaleźć tego, kto zabił mojego brata, to jeszcze musicie też namierzyć tych, co nam grożą.

– Grożą? – Kamiński zerknął pytająco na Czerwińską.

– Tak, wypisują w sieci, żebyśmy uważali, bo nas też dopadnie sprawiedliwość. Masa hejtu. Na dodatek ktoś nieprzychylny nam umieścił adres naszego domu w sieci. Zdemolowali tacie auto. Parę razy ktoś rzucił jajkami w okna, ale oczywiście jak wyszłam, nikogo już nie było. Tchórze jedne – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Nie powinna była pani wychodzić.

– To co, mam czekać, aż zrobią coś gorszego? A może wzywać policję? Dzwoniłam kilka razy, a pan powiedział, że ktoś podjedzie. Podjechali raz i zachowali się jak dupki. Niby zawsze powtarzają, że bez wyroku jest się niewinnym, ale tu jakoś to nie działa. Wszyscy oskarżają mojego brata o najgorsze rzeczy, a mało kto pamięta, że go zamordowano.

– W tej sprawie przychodzimy – poinformowała spokojnym głosem Czerwińska. – Chcielibyśmy spytać, czy może w dniu morderstwa widziała pani kogoś podejrzanego.

– Nie! – zareagowała podniesionym głosem. – Rano pojechałam po zakupy, bo mama się średnio czuła, coś ją łamało w kościach. Później popracowałam chwilę, bo zajmuję się mediami społecznościowymi i pomagam jako wirtualna asystentka, więc nigdzie nie muszę jeździć. No, a później pojechałam z Jakubem do galerii.

– A tam? Coś się wydarzyło dziwnego? – spytał Marek.

– Tam byli sami podejrzani, a bardziej podejrzane. Tłumy wrzeszczących dziewczynek. Gdybym miała dziecko, zabroniłabym mu przychodzić na takie eventy. Zachowują się jak dzicz. Piszczą, drą się jak opętane i są ubrane zupełnie niestosownie do wieku.

– Ale przecież pani brat to organizował. – Czerwińska założyła dłonie na brzuchu i obserwowała kobietę.

Julia, mimo że stali w pobliżu grzejnika, cały czas się delikatnie trzęsła.

– Tak, ale one przychodziły z jakichś pustych pobudek, aby dopchać się do celebryty… – Pokręciła głową na boki. – Nie, tego akurat nigdy nie rozumiałam.

– A czy coś poza tymi dziewczynami utkwiło pani w pamięci?

– No ten dziwny dziennikarz, prezenter czy jak go tytułować. Ten, co chce być jak Ibisz, ale wygląda jak jego tania podróbka. Poza tym nic.

W tym momencie Czerwińska wyciągnęła z kurtki wydruk kadru z filmiku i podsunęła jej przed twarz.

– A pamięta pani to?

– Ojej, zapomniałam. – Pstryknęła palcami prawej dłoni, a na jej twarzy na chwilę zagościł uśmiech. – Jakiś gość na mnie wpadł. Ja często tak mam, bo podobno nie patrzę na wprost, tylko pod nogi. Nic wielkiego. – Wzruszyła ramionami.

– Widziała go pani wcześniej?

– Nie, to znaczy… chyba nie.

– Pamięta pani, jak wyglądał? – Starsza aspirant Czerwińska schowała wydruk, cały czas przyglądając się kobiecie.

– Nie, jedynie to, że był bardzo umięśniony. Jak wpadł na mnie, to poczułam, że siłownia to jego drugi dom. Ale twarzy nie widziałam. Czy wy myślicie, że to może być ktoś, kto mógł… – W tym momencie jej żuchwa delikatnie opadła do dołu, a wzrok utkwił w twarzy policjantki.

– Tego nie wiemy, sprawdzamy różne opcje – rzucił standardową regułkę Kamiński.

– Błagam, zróbcie coś! – zapiszczała kobieta. – Strata Kuby to dla nas wielka tragedia, ale to, co dzieje się teraz… Moi rodzice zawsze byli lubiani. Tata przez lata był przewodniczącym związku działkowców. Niby relikt przeszłości, ale miał co robić, a teraz dostał list, że na spotkaniu, o którym nikt go nie poinformował, bo nie miał odwagi, został usunięty z pełnionej funkcji. Tchórze. Niby tata mówi, że to i lepiej, bo już mu się znudziło, ale wiem, że kłamie. Uwielbiał to swoje przywództwo wśród starszyzny.

– Proszę uwierzyć, że robimy wszystko, żeby znaleźć człowieka, który spowodował śmierć pani brata.

– Gdyby cokolwiek się pani przypomniało… – dorzucił Kamiński.

– Cały czas myślę o tym i o tym aktorze, czy może Jakub jednak go znał. Przejrzałam jego znajomych i nie wiem. Zaczynam sobie wmawiać, że może jednak coś o nim wspominał, ale nie jestem już pewna. Wszystko mi się miesza… – Opierając się o ścianę, kobieta powoli zjechała na dół, aż ukucnęła i zwiesiła smętnie głowę.

Pożegnali się zdawkowo i wyszli.

Nadal wiedzieli tyle, że nic nie wiedzą.

Rozdział 38

– Dzisiaj kolejny wyścig? – Młody policjant rzucił niedopałek do kanalizacji i zerknął na kolegę, który ze wzrokiem wlepionym w telefon palił papierosa.

– Cholera ich wie. Mandaty nie działają. Zresztą nie dziwię się. Słyszałem, że jeden z tych gości, co uciekają przed nami na kole, zarabia na takim pokazie nawet dziesięć tysięcy. Więc taki mandacik od nas ma w dupie. – Teraz on rzucił swojego kiepa, jednak nie trafił do kratki. Papieros poturlał się po jezdni i wpadł pod stojący obok samochód.

– Mnie już wkurzają te bachory, dostają kasę od rodziców i panoszą się na ulicy. Jakbym ja miał tyle pieniędzy, to kupiłbym sobie coś fajnego, a nie przewalał na motocykle. To jakaś bzdura.

– A ja ich niestety rozumiem. – Mężczyzna westchnął smutno, zacisnął usta i pokiwał głową.

– Seriooo? – rzucił przeciągle drugi. – Nigdy bym się nie spodziewał. Raczej wyglądasz na fana starych bryk. Mnie osobiście jakoś nigdy nie jarały jednoślady. Parę razy jechałem z tyłu…

– Jako plecak? – Spojrzał na kolegę i pokręcił głową z dezaprobatą. – To nie to samo. Musisz pojeździć jako kierowca, to wtedy poczujesz wiatr we włosach. To jest jedyne w swoim rodzaju uczucie i jak go nie przeżyjesz, to nie możesz się wypowiadać.

– A ty masz w ogóle prawko na motocykl, że się tak mądrzysz? – Policjant zmrużył oczy.

– Nie, ale…

– Aha, czyli nie jesteś lepszy od nich. Od tych smarkaczy, co śmigają po mieście, straszą innych. Przecież większość z nich też nie ma prawek.

– Stary, nie pieprz i nie porównuj mnie do tych bachorów. Jeździłem wielokrotnie na torze, z instruktorem. Tak przypadkiem mój wujek ma szkołę bezpiecznej jazdy na dwukołowcach, więc wpadam czasami. Na razie nie mam kasy na motocykl, więc prawka nie robię…

– Okej, brzmi spoko. Już myślałem, że jak te jełopy śmigasz bez i się jeszcze z tego cieszysz…

W tym momencie usłyszeli zgrzyt z ich samochodu:

– Wszystkie… wozy…

Od paru dni radio się zacinało i czasami nie mogli zrozumieć zgłoszenia dyspozytora. Młodszy z funkcjonariuszy, zamiast ruszyć do środka, wyciągnął telefon i wybrał numer do człowieka, który zapewne przed chwilą do nich przemówił. Ten jednak nie odebrał.

– Kurde, jaja sobie robi, przecież wie, że mamy problem z radiem… – Nie skończył, bo w tym momencie dostał wiadomość. – O ja pierdolę! – rzucił i z przerażeniem spojrzał na kolegę.

Rozdział 39

– O matko! – pisnęła Dorota, a siedzący obok przy biurku Kamiński aż podskoczył.

– Co się stało? – spytał i obrócił się w jej stronę.

Ona jednak nie odezwała się. Niczym zahipnotyzowana patrzyła na ekran, ignorując swojego partnera. Wstał i podszedł do niej, po czym nachylił się i pocałował w szyję, tak jak lubiła najbardziej.

– Przestań – wycedziła przez zaciśnięte usta, mimo że na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Przestanę, jak powiesz mi, co się stało. Krzyczysz i ukrywasz fakty przed najlepszym policjantem w okolicy.

– Ojoj, chyba ktoś ma o sobie wysokie mniemanie.

– No cóż. Odkryłem ostatnio, kto podkrada czekoladki z socjalnego, więc mogę śmiało myśleć o sobie jak o najlepszym z najlepszych.

– No tak. Myślę, że za takie osiągnięcie to jakieś odznaczenie ci się należy.

– No i w końcu dobrze gadasz… To teraz mów, co cię tak zszokowało.

Czerwińska obróciła się do niego i powoli niczym Sharon Stone w *Nagim instynkcie* założyła nogę na nogę.

– Wyobraź sobie, że udało mi się dostać z uczelni, na której studiował niejaki Bartosz Romanowski, bo faktycznie był jej studentem, jego PESEL… – Zrobiła teatralną pauzę.

– No to gratuluję, jesteś prawie tak dobra jak ja – skomentował Kamiński i przysunął się jeszcze bliżej, tak że ich klatki piersiowe się stykały.

– Po pierwsze, to potrzebuję przestrzeni – wyszeptała mu do ucha. – A po drugie, to nie koniec. Co ciekawe, osoba, do której ten PESEL należy, nie żyje.

– Znaleziono go i nie połączono tego ze zgłoszeniem zaginięcia?

– No nie, to nie takie proste.

– Dlaczego?

– Otóż właścicielem numeru PESEL był Piotr Magnuszewski, który zginął w roku dwa tysiące piętnastym. Popełnił samobójstwo. Policja nie miała wątpliwości.

– Hmm… – westchnął Kamiński. – Kolejne samobójstwo. Dziwne.

– Wiem, chociaż nie wiadomo, czy się znali. Może byli sobie totalnie obcy i Bartosz przejął jego PESEL, jak dowiedział się, że nie żyje. Ale…

– Jest opcja, że przyłożył rękę do jego śmierci. Czyli potencjalnie mógł zabić dwie osoby, po czym wmówić wszystkim, że same się zabiły.

– Super, czyli ze zwykłej sprawy o zaginięcie robi nam się seryjny morderca, który przepadł jak kamień w wodę.

– Na to wygląda – skomentował policjant i sięgnął po telefon, który właśnie zaczął dzwonić. – Prokurator Bartoszewski – poinformował Dorotę i wcisnął zieloną słuchawkę.

Rozdział 40

Gdy Czerwińska z Kamińskim dotarli na miejsce wypadku, oczy momentalnie niemal wyszły im z orbit, a żuchwy opadły. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Po pierwsze, liczba zgromadzonych wozów policyjnych i karetek zdecydowanie przewyższała sytuacje, które dotychczas zabezpieczali. Po drugie, hałas, jaki dosięgnął ich uszu, zbliżony był do jazgotu z meczu piłkarskiego, podczas którego kibice zagrzewają swoich zawodników, grając na bębnach czy dmąc w trąbki.

Szybkim krokiem ruszyli do prokuratora Kacpra Bartoszewskiego, który stał kilkanaście metrów od nich i rozdysponowywał zadania między wciąż napływających funkcjonariuszy.

W drodze dowiedzieli się co nieco. Śmierć na miejscu poniosło sześć osób, kolejne trzy walczyły w szpitalu o życie. Dwanaście zostało uznanych za poszkodowane, bez zagrożenia życia.

Według pierwszych zeznań świadków dwóch chłopaków jechało obok siebie na tylnych kołach, gdy motocykl jednego z nich zaczął się dziwnie zachowywać. Najpierw wjechał w kolegę obok, który w efekcie się przewrócił i uderzył ze sporą prędkością w betonową bandę. Sprawca przejechał kilkadziesiąt metrów, cały czas walcząc z maszyną, po czym przewrócił się i spadł z motocykla, który poleciał niczym pocisk w tłum widzów. Organizatorzy wyścigu chwalili się kilkanaście minut wcześniej na swoim profilu na portalu społecznościowym, że jest już ich ponad trzysta osób, a cały czas dochodziły nowe.

Zdarzenie zostało uwiecznione przez kilkadziesiąt kamer uczestników nielegalnych wyścigów, którzy jak co miesiąc, a czasami co dwa tygodnie, zbierali się na ulicach stolicy, licząc na masę emocji. Niestety tego dnia dostali ich zdecydowanie zbyt wiele, i to nie takich, na jakie liczyli.

– Dzięki, że przyjechaliście. – Prokurator Bartoszewski uśmiechnął się do Czerwińskiej, ignorując Kamińskiego. – Niestety jest plaga przeziębień i nie wyrabiamy na zakrętach. Szybkie wprowadzenie. Dwudziestodwuletni Olivier Pawłowski stracił panowanie nad swoim motocyklem. Najpierw strącił swojego jadącego obok przyjaciela, Wojciecha Wąsika, który z impetem przywalił w asfalt. Nieprzytomnego zabrano do szpitala, przed chwilą jeden z naszych tam dzwonił, lekarz określił jego stan jako krytyczny. Jeszcze pół godziny temu leżał na stole operacyjnym. Sprawca przejechał kawałek i również się wywalił. – W tym momencie pokazał ręką oddalone o kilka metrów miejsce tragedii, gdzie na rozłożonych na asfalcie noszach leżało kilka osób. W pierwszym momencie Dorota z jakiegoś powodu pomyślała, że ci ludzie żyją. Przecież niemożliwe, aby tyle osób poniosło śmierć. Od razu przed oczami stanęły jej kadry z wypadku, a w zasadzie zamachu pod Złotymi Tarasami.

– Jakie obrażenia odniósł ten Olivier…?

– Pawłowski – dopowiedział prokurator. – Całkiem nieźle się trzyma. Lekarz go zbadał tutaj na miejscu i wyraził zgodę na areszt. Został zatrzymany, zawieźli go na komendę. Chciałbym, abyście przepytali tutaj kilka osób, a następnie pojechali go przesłuchać.

– My? – spytała zdziwiona Czerwińska. Wiedziała, że taka rozmowa dla wielu prokuratorów to sens ich egzystencji. Mają sprawcę podanego na talerzu. Wystarczy wypełnić papierki, a gloria i chwała spływają na nich niemal natychmiast.

– Tak, wy. – Kiwnął głową potakująco. – Ja muszę tu zostać. Zaraz przyjedzie technik od sprzętów, a dokładniej motocykli.

– Gustaw Miłecki? – wtrącił Kamiński.

– Tak, znasz go? – Po raz pierwszy prokurator uśmiechnął się do Marka.

– Pracowałem z nim kiedyś. Radzę nie wchodzić z nim na tematy związane z jedzeniem, potrafi zagadać na śmierć.

– Dobrze wiedzieć.

Pogadali jeszcze dwie minuty, ustalając plan działania, i ruszyli na pole bitwy, bo tak wyglądał otaczających ich krajobraz.

Kilkunastu techników wisiało nad ciałami i z wielkim szacunkiem oddawali się swojej pracy, dokumentując każdy szczegół. Na razie nie było sensu ich zaczepiać. Czekała ich długa i żmudna praca, aby na końcu dojść do tego, jaka była dokładna sekwencja zdarzeń.

Przesłuchali kilka osób i każda z nich powtarzała to samo: że wszystko działo się bardzo szybko i nie zdążyli na-

wet uciec. Gwiazda całego wydarzenia, Olivier Pawłowski czy też Pablo, jak znany był w sieci, rozgrzewał się do swojego popisu, jeżdżąc z Wąsikiem na tylnym kole. Podobno zawsze tak robili. Tłum gęstniał z minuty na minutę, a niektórzy czekali na to całe wydarzenie, stojąc od pięciu godzin, aby mieć dobry widok. Wszyscy dobrze się bawili, gdy nagle rozległ się pisk, później wrzask, a następnie zapanowała panika. Według relacji świadków wszyscy biegali jak w amoku, wpadając na innych lub potykając się o rannych.

– Przewróciłam się o kogoś – wyszeptała drobna, szczupła blondynka, której dłonie całe pokryte były krwią, choć sama nie wyglądała na ranną. – Bałam się, że wjedzie też we mnie. Ten motor wpadł w ludzi. Ilona upadła, pociągnęłam ją za rękę, ale ona nie zareagowała. To ja ją tu zabrałam… – Jej głos ledwo był słyszalny. – A teraz jedzie do szpitala i nie wiadomo, co z nią będzie.

– Ktoś mnie uderzył z całej siły… – Wysoki chłopak cały czas kiwał głową w przód i w tył, a jego oczy wyglądały, jakby zapomniał, jak się mruga. – Zawsze mam na głowie słuchawki wygłuszające, bo inaczej później bolą mnie uszy, więc skapnąłem się, że coś jest nie tak, jak dostałem z całej siły łokciem w brzuch, a później jak jakieś pieprzone domino runęliśmy na ziemię. To było straszne. – Zaczął szybciej oddychać.

– Wszystko w porządku? – spytała Dorota, a Marek od razu ruszył do medyka, który rozglądał się, czy jest jeszcze ktoś, komu trzeba pomóc. – Usiądź może.

Chłopak nawet nie zareagował.

– Upadłem na jakąś dziewczynę. Gdy wstałem, ona… – Czerwińska słyszała jego oddech. Brzmiał, jakby nagle zabrakło mu powietrza i zaczynał się dusić. – Z jej głowy wypływała krew. A jeśli to… przeze mnie? – Dopiero teraz spojrzał na policjantkę, a w jego oczach było przerażenie.

– Chodź. – Kamiński wraz z sanitariuszem chwycili go za przedramiona.

– Zbadam cię i dam coś na uspokojenie – dorzucił medyk spokojnym głosem.

– Ale ja nie chcę! – Szarpnął się i odskoczył na bok. – Ja ją zabiłem! – wywrzeszczał, a kilka kręcących się w pobliżu osób zamarło.

Chłopak trząsł się cały, a po jego policzkach spływały łzy.

– Mama zawsze mówiła, żebym nie chodził na te głupie wyścigi – dukał, patrząc na mężczyzn, którzy chwilę temu próbowali przetransportować go do karetki. – Tłumaczyłem, że ja nie jeżdżę, bo ona cały czas o bezpieczeństwie. Ta durna telewizja to cały czas trąbi o jakichś wypadkach motocyklistów, więc matka ma schizy. Obiecałem, że nigdy nie wsiądę, a teraz to… – Pokazał na otaczający ich krajobraz, który był gotową scenerią do krwawego filmu. – I ja ją zabiłem… – Ostatnie zdanie wypowiedział płaczliwym głosem, po czym poddał się histerii.

– Tu nie ma twojej winy. – Policjantka ruszyła w jego stronę, ręką dając znać Kamińskiemu, aby się nie ruszał. – Ty nie zrobiłeś nic złego – powiedział nie do końca szczerze, bo sam fakt przychodzenia na tego typu imprezy nakręcał organizatorów do planowania kolejnych. – W tym momencie najważniejsze jest sprawdzenie, czy nic ci nie jest.

– Ale ja ją zabiłem – powtórzył, jakby nie usłyszał słów policjantki.

– Nikogo nie zabiłeś. Winny tutaj jest motocyklista. Ty jesteś ofiarą. Proszę, daj się przebadać. – Wyciągnęła do niego dłoń. – Twoja mama by się ucieszyła, wiedząc, że na pewno nic ci nie jest.

Chłopak spojrzał na nią i lekko kiwnął głową. Po chwili wrócił do niej Kamiński, który pomógł medykowi doprowadzić chłopaka do karetki.

– Matko, dobra byłaś – rzucił z uznaniem. – Nigdy cię takiej nie widziałem.

– Mój drogi, jeszcze wiele o mnie nie wiesz.

– Mam się bać czy cieszyć?

– Chyba nie mogę zdradzić się teraz. Nie wiem, czy wiesz, co to niespodzianka. – Zaśmiała się i ruszyli do samochodu. Czekała ich trudna rozmowa ze sprawcą.

Rozdział 41

– Imię i nazwisko? – rzucił oschle komisarz Marek Kamiński i poprawił się na krześle, które już po kilku sekundach zaczęło mu się wydawać niewygodne.

Siedzący przed nimi mężczyzna nie wyglądał jak ten z profilu na Facebooku. Tam ubrany był w czerwono-biało-czarny strój motocyklowy, a z kaskiem w dłoni i z dwiema modelkami w kusych strojach wyglądał na pewnego siebie faceta. Ten siedzący przy obdrapanym biurku prezentował się zupełnie inaczej. Zaczerwienienie jego oczu widać było już od progu, a zgarbiona sylwetka raczej nie dodawała mu uroku.

– Olivier Pawłowski. – Jego głos brzmiał, jakby zaraz miał się popłakać.

– Data i miejsce urodzenia?

– Dwunasty listopada dwa tysiące pierwszego roku, Warszawa.

– Czym się pan zajmuje?

– Studiuję prawo – wyszeptał.

– Prawo? – parsknął policjant, a na jego twarzy pojawił się uśmiechopodobny grymas. – To chyba ominął pan kilka zajęć. – Ponownie zaśmiał się w głos.

Czerwińska miała ochotę położyć mu dłoń na ramieniu i uspokoić go. Dopiero jak jechali na przesłuchanie, wyjaśnił, dlaczego od kiedy dotarli na miejsce wypadku, zaciska szczęki ponad normę.

– Byłem w policji raptem od kilku miesięcy. Wydawało mi się, że uratuję świat przed złoczyńcami – zaczął sam z siebie. – Patrolowaliśmy z kolegą, Bombką… – Zaśmiał się, chociaż w jego głosie słyszalny był smutek. – Opowiem ci kiedyś o nim, bo był świetnym gościem.

– Był?

– Tak, nie żyje. Ale nie o tym miało być. Łaziliśmy po rewirze, gdy nagle wypadł na nas typek. Taki klasyczny dres. Łysa głowa, adidasy na nogach i taki wyraz twarzy informujący, że poza linką łączącą uszy w środku nic nie ma. No i on widzi nas i od razu ucieka. No to my za nim. Skubany chyba był w tym wyćwiczony, bo gnał jak szalony. Bombka, jak sama ksywa wskazuje, nie należał do fit ludzi, więc to ja biegłem z przodu, a on próbował ogarnąć wsparcie. Jednak jak wyleciałem zza bloku, okazało się, że na dresa czekał tam kumpel. Na motocyklu. Później mówili mi, że to nie moja wina, ale…

W aucie zapadła dość ponura cisza. Kamiński wrzucił kierunek i włączył się do ruchu. Jak zwykle w centrum panował wielki ruch.

– I?

– Stwierdziłem, że ich zatrzymam. Znałem ten teren doskonale i wiedziałem, że jeżeli nie pojadą chodnikiem, który ku mej radości był dziurawy jak kartoflisko, mają długą trasę naokoło, a ja mogę przeciąć im drogę, lecąc przez klatkę na skróty. Na szczęście akurat wychodziła jakaś kobieta z dzieckiem, więc wyleciałem z bloku z drugiej strony i przez plac zabaw pognałem na skrzyżowanie, które umożliwiłoby im włączenie się do ruchu, a później zniknięcie między samochodami. Tylko… – Zamilknął na chwilę. – Nie przewidziałem, że oni zrobią wszystko, aby uciec, i nie będą się zastanawiać, czy będą ofiary. To był pierwszy czerwca… – Spojrzał na Czerwińską, a ta od razu wyłapała, o co chodzi.

– Dzień Dziecka… – Jej usta poruszyły się, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

– Tak. Kręciło się tam mnóstwo świętujących bąbli. Niedaleko była szkoła, a przy skrzyżowaniu kilka przystanków autobusowych.

– Marek, powiedz, co się stało.

– Podjechali tam z zawrotną prędkością. Wybiegłem z ich lewej strony i leciałem w miejsce, gdzie powinni wjechać. Ale widząc mnie, skręcili wcześniej i ruszyli po chodniku. Akurat szła tamtędy grupa przedszkolaków. To, że nic im się nie stało, to cud. Chodnik od ulicy odgradzał pas zieleni, więc postanowili tamtędy wjechać między samochody. Niestety dzień wcześniej bardzo padało. I dokładnie jak dzisiaj ich motocykl się przewrócił i poleciał.

– Jezu, zabili jakieś dziecko… – Skończyła za niego.

– Nie, chociaż byli blisko. Maszyna przywaliła w starszą panią, która na trawie wyprowadzała swojego pieska. Niestety motocykl ją przewrócił. Kobieta miała złamaną nogę, i to bardzo poważnie. Zoperowano ją, ale później…

– Zmarła?

Mężczyzna kiwnął głową potwierdzająco.

– Ja tego nie wiedziałem, ale okazuje się, że u osób starszych złamania są bardzo niebezpieczne i często w ramach powikłań dochodzi do zatorów lub zapalenia płuc. Ją dopadło to drugie. Od tego czasu, jak tylko widzę motocykl, to się napinam.

– Nie dziwię się. – Położyła rękę na jego dłoni i pogłaskała ją.

Gdy teraz usiedli przed mężczyzną, obserwowała partnera. Nie sądziła, żeby w ramach wyładowania złości na ogół motocyklistów miał się na niego rzucić, ale wolała dmuchać na zimne i obserwować go.

Olivier Pawłowski spojrzał na policjanta. Jego broda delikatnie drżała.

– Myśli pan, że nie wiem, że jestem debilem? Zabiłem tych ludzi. I nigdy się z tym nie pogodzę, tylko…

– Tylko co? Nie chciał pan?! – Wzrok Kamińskiego nie należał do najmilszych. Przeszywał na wskroś i jakby mógł robić krzywdę, po drugiej stronie stołu leżałby trup.

– Oczywiście, że nie chciałem. Ja nie wiem, jak mogło do tego dojść!

– Brawura, nadmierna prędkość, chyba wystarczy, aby doszło do tragedii. – Kamiński nachylił się w stronę przesłuchiwanego. – Pan mnie bierze za jakiegoś debila? Nie wie pan, jak do tego doszło? To ja panu wyjaśnię. Bawił się pan w Boga. Ryzykował życie innych dla kasy i poklasku, zupełnie zapominając o bezpieczeństwie.

– Ale ja naprawdę robiłem wszystko z głową. Ćwiczyłem pod okiem mistrza świata. Trenowałem na torze całymi dniami, czasami nocami. W deszczu, aby nie mieć wątpliwości co do moich umiejętności… – Gdy mówił, patrzył na swoje dłonie. Utrzymanie wzroku na twarzy Kamińskiego było dla niego zbyt trudne.

– To co się takiego niby stało, że dziś się nie udało? – Komisarz splótł dłonie i oparł się o blat. Dorota kątem oka dostrzegała jego nozdrza falujące w zdecydowanie przyspieszonym tempie.

– Nie wiem. Coś musiało się zepsuć, chociaż… Ja zawsze wszystko dokładnie sprawdzam. Kilkakrotnie.

– Czyli jest pan nie tylko wirtuozem jazdy na motocyklu, ale również znawcą technologii.

– To nie tak, mój tata jest mechanikiem. – Podniósł twarz i z miną zbitego psa spojrzał na Czerwińską.

– Jak wielu.

– Tylko on skończył studia, a nie jakieś pierwsze lepsze technikum. Potem przez jakiś czas nawet wykładał. Rozkłada i składa samochody z zamkniętymi oczami. Ale od piętnastu lat skupił się na motocyklach.

– I pan przesiąknął jego wiedzą? – prychnął ironicznie komisarz.

– Spędzałem każdą wolną chwilę w jego warsztacie, od kiedy zacząłem chodzić. Mama pracowała jako pielęgniarka, często nie miał kto ze mną zostawać, więc tata mnie zabierał do swojego warsztatu. Umiem więcej niż większość zawodowych mechaników.

– Pięknie, to pytam jeszcze raz: co się w takim razie stało? – spytał Kamiński.

Czerwińska przysunęła się bliżej ławki. Położyła dłoń na jego udzie i delikatnie musnęła, licząc, że przesłuchiwany tego nie zauważy. Musiała jak najszybciej uspokoić partnera, bo w powietrzu kroiła się tragedia.

– Nie wiem, musiałbym zobaczyć mój sprzęt.

– To niemożliwe. – Kamiński pokręcił głową. – Przejdźmy do tego, co się dzisiaj stało. Proszę opisać po kolei, co pan robił. Od samego rana.

Mężczyzna zmarszczył brwi, jakby myślał nad czymś intensywnie.

– Rano poszedłem na uczelnię. Siedziałem tam od ósmej do czternastej.

– Pił pan wczoraj alkohol lub brał narkotyki? – rzucił nagle Kamiński.

– Nie! – pisnął mężczyzna. – Ja nie z tych. Nie wierzycie mi, ale ja zawsze podchodziłem do tego bardzo poważnie, nie jak inni.

– Piękna postawa. Chce pan medal? – znowu zaatakował. – Co zrobił pan po zajęciach?

– Wróciłem do domu. Poszedłem na trening i pojechałem do mamy. – Po tych słowach jego twarz jeszcze bardziej posmutniała.

– Jak miło.

– Nie wiem, czy to miłe, ale staram się odwiedzać ją jak najczęściej. Nie jest już najmłodsza, a ostatnio bardzo chorowała, więc...

– Na pewno będzie teraz z pana niezwykle dumna. – Kamiński nie odpuszczał.

– Nie wierzy mi pan, ale ja też chcę się dowiedzieć, co się stało. Po odwiedzinach u mamy pojechałem do warsztatu ojca po motocykl. Trzymam go tam w małym garażu. Doczyściłem go, bo dzień wcześniej trochę jeszcze grzebałem z kumplem, sprawdzając, czy wszystko działa, i wrzuciłem na pakę.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego wrzucił go pan na pakę? – Komisarz uśmiechnął się. Dobrze wiedział, jaki jest tego powód. Każdy policjant w stolicy znał problem nielegalnych wyścigów i wiedział, że organizatorzy, a jednego z nich mieli przed sobą, robią wszystko, aby do końca trzymać informacje o miejscu wyścigów w tajemnicy. Nieliczni mogli je poznać. Z informacji uzyskanych w ciągu ostatnich dwóch lat dowiedzieli się, że istnieją tajne grupy, które najpierw dokładnie weryfikują członków, tak aby w ich szeregi nie dostał się nieproszony gość w postaci funkcjonariusza policji działającego pod przykrywką.

– Pojechałem jeszcze po maszynę kolegi i przyjechaliśmy na miejsce. Poszliśmy sprawdzić trasę. Przeszliśmy ją dobre dziesięć razy. Zawsze tak robię, aby zobaczyć, czy nie ma żadnych studzienek czy innych nierówności.

– Odpowiedzialnie.

– Tak, zawsze się starałem, a teraz… – Schował twarz w dłonie. – Ja nie wiem, jak mogło do tego dojść.

– My się dowiemy – odezwała się po raz pierwszy Czerwińska. Po ludzku zrobiło jej się żal mężczyzny. – Co stało się później? Musimy znać bardzo szczegółowy opis zdarzeń.

– Przyjechałem tam około osiemnastej. Już było sporo osób. Zaparkowałem jakieś sto metrów od startu, tak żeby nikt nas nie widział, obok stał nasz kolega i zerkał na samochód, a bardziej motocykle. Założyłem czapeczkę i kaptur, żeby nikt mnie nie rozpoznał.

– Celebryta! – zaśmiał się Kamiński.

Mężczyzna nawet na niego nie spojrzał.

– Już wtedy było sporo osób. Chodziliśmy w tę i z powrotem, obserwując każdy kamień, nierówność. Wyrzuciliśmy jakieś opakowanie po hamburgerze, bo ktoś stwierdził, że ulica to właściwe miejsce na takie śmieci.

– Chyba nie jest pan odpowiednią osobą do pouczania – syknął policjant.

Olivier Pawłowski kiwnął głową potakująco, ale nie skomentował tych słów.

– Poszliśmy się przebrać w ubrania, które zostawiliśmy w aucie, i chwilę przed dwudziestą zdjęliśmy plandekę. Od razu zbiegło się paru ludzi. Zaczęli robić zdjęcia. Dwóch chłopaków rzuciło się, żeby pomóc nam w ściąganiu po szynach. Nie byli zadowoleni, że odmówiliśmy. Jak ktoś nie jest w to wprawiony, może zrobić motocyklowi krzywdę. Wbrew pozorom zdejmowanie jednośladu po szynie wymaga wprawy.

– Aha.

– Chwilę po dwudziestej odpaliliśmy maszyny i ruszyliśmy. Zaczęliśmy standardowo od wolnego przejazdu wzdłuż ulicy i...

– Wzdłuż tłumu, żeby się pokazać – dopowiedział komisarz Kamiński.

– Nie ułatwia pan. – Mężczyzna zacisnął pięść. – Wiem, jakie mam prawa, spokojnie mógłbym odmówić składania jakichkolwiek wyjaśnień i załatwić sobie adwokata, który chroniłby mnie jak księżniczki w wieży. Ale ja naprawdę chcę dowiedzieć się, co się stało. – Nie patrzył na policjanta, lecz na starszą aspirant Czerwińską, która widząc desperację w jego oczach, delikatnie kiwnęła głową. – Tak, robili nam zdjęcia. Tak, podobało nam się to. Tak, zarabialiśmy na tym kasę. Tak, wiem, że to nielegalne, ale chyba nie… o tym… teraz… – Spojrzał na Kamińskiego. Przez chwilę wyglądali jak dwa stojące przed sobą koguty, gotowe do walki. – Ruszyliśmy, Wojtek jechał po mojej lewej. I w pewnym momencie mój motocykl skręcił w jego stronę. Jakby ktoś go pociągnął za niewidzialną linkę. Uderzyłem w niego z całkiem sporą prędkością. Natychmiast się wywrócił. Nie miał szans, żeby wyjść z tego bez szwanku. Wiedziałem, że zaraz czeka mnie to samo, chciałem przeciągnąć to w czasie, żeby minąć największy tłum, ale nie dałem rady. A później… Nie wiem, co się stało. Leciałem i nagle wszystko zrobiło się czarne. Słyszałem tylko krzyk. Przerażający wrzask. Cały czas siedzi mi w głowie… – Mężczyzna położył dłonie na skroniach i opadł czołem na blat.

Chwilę czekali, aż się uspokoi.

– Wróćmy do samej chwili uderzenia w kolegę. Czy coś się stało dziwnego, zaskakującego? – Tym razem to policjantka zadała pytanie. Siedzący obok niej Kamiński aż kipiał z emocji.

– Nie. – Olivier Pawłowski wyprostował się i utkwił wzrok na ścianie za policjantami. – My takie rzeczy robiliśmy tyle razy i wszystko działo się jak zwykle. Wiele osób uważa, że jazda na kole to trudny wyczyn, ale jak się wie, jak to zrobić, to wcale taki nie jest.

– W tym momencie jest pan postrzegany jako sprawca. – Mężczyzna pokornie kiwnął głową na te słowa. – Może pan się spodziewać tymczasowego aresztowania, ale… – Spojrzała na Marka i delikatnie się uśmiechnęła. Wiedziała, że nie będzie zadowolony z jej wypowiedzi. – Gdyby bardzo abstrakcyjnie zakładać, że to nie pana wina, to co innego mogło się stać?

Olivier Pawłowski nie spodziewał się tego, ale jego ciało od razu zareagowało. Ramiona lekko opadły, jakby ktoś wypompował z niego powietrze, a twarz wyraźnie się rozluźniła.

– I tu jest problem, nie wiem. Myśl, że ktoś grzebał przy motocyklu, mnie przeraża i generuje dwa pytania: kto

i dlaczego. Na żadne z nich nie mam odpowiedzi.

– Nie ma nikogo, komu pan coś zrobił, kto mógłby być zazdrosny? Proszę się zastanowić, powody wrogości wobec pana mogą być naprawdę abstrakcyjne. – Dorota widziała kątem oka, jak Marek kręci głową, ale jej obowiązkiem było dopytanie podejrzanego nawet o to, niezależnie od tego, czy mu się to podoba, czy nie.

– Boże, nie wiem! – pisnął mężczyzna i zaczął płakać.

Rozdział 42

O szóstej rano Grzegorz przekręcił się na drugi bok, próbując znaleźć odpowiedni sposób ułożenia, w którym będzie mu wygodnie. Na plecach odpadało. Szyszki pod cienkim samopompującym się materacem wbijały mu się w plecy i głowę, nawet mimo niewielkiej poduszki, którą ze sobą zabrał. Na brzuchu, czyli w pozycji, w której zazwyczaj spał, dotykał lewym kolanem zimnej folii namiotu, która udawała podłogę. Na boku wydawało się jak najbardziej okej, ale wtedy wzmagał się ucisk na pęcherz.

Przeleżał jeszcze dziesięć minut, licząc, że w końcu przyjdzie sen, a gdy to nie nastąpiło, rozpiął zamek śpiwora przystosowanego do niskich temperatur. To był pomysł jego kolegi, aby przed wyprawą w Himalaje nauczyć się spać w namiocie w niekomfortowych warunkach. Nie w domu, w salonie, co podobno niektórzy robili, ale w lesie. Najlepiej w totalnej głuszy, bez nikogo w pobliżu. Przecież w czasie podróży też mogło się coś takiego wydarzyć. I co wtedy? Lepiej, aby był przygotowany. Lepiej, żeby z Kampinosu wracał niczym struś pędziwiatr, niż wpadł w panikę w odległych górach, bez możliwości kontaktu z kimkolwiek.

Grzegorz od zawsze lubił się nakręcać. W jego oczach mały pająk był zwiastunem całej rodziny krwiożerczych, chcących zjeść go żywcem ośmionogich potworów. Gdy był nastolatkiem i rodzice wyjeżdżali, zawsze ktoś do niego wpadał, koniecznie z opcją nocowania, bo bał się, że za drzwiami czai się banda złodziei, która tego wieczora zechce się do niego włamać.

Usiadł na twardym podłożu i spojrzał na swoją żonę. Po długich bojach zgodziła się mu towarzyszyć, chociaż uważała to za bezsensowne. Nie spanie jako formę przygotowania, ale fakt, że musiała jechać z nim. Przecież podczas wyprawy miało jej nie być i takie testy powinien przechodzić sam. Pokornie obiecał, że następnym razem tak zrobi.

Powoli otworzył namiot, aby nie obudzić Bogny, i wyszedł najciszej, jak potrafił. Od razu odpalił latarkę, która rozjaśniła leśny krajobraz. W ciągu dnia wyglądało tu niczym w bajce, jednak teraz, godzinę przed świtem, otoczenie wcale nie zachwycało.

Odszedł kilka metrów i zsunął spodnie. Najchętniej zrobiłby to od razu po wyjściu z namiotu, ale obiecał żonie, że nie będzie załatwiał swoich potrzeb tak blisko namiotu.

Z każdą kroplą moczu czuł rosnącą ulgę. W końcu westchnął z zadowoleniem. Za chwilę znowu będzie w ciepłym śpiworze. Ruszył w stronę namiotu, gdy po swojej lewej stronie usłyszał jakiś szelest.

Dwa dni wcześniej rozmawiał ze znajomym leśnikiem, który trzy razy mu powtarzał, że w tych okolicach nie ma żadnych niebezpiecznych zwierząt. Czasami jakiś lis się pojawi, no i dziki. Ale w tym okresie są raczej spokojne, więc nie ma co się stresować.

On oczywiście zupełnie o tym zapomniał. Poza tym jego wyobraźnia szalała w tych okolicznościach, w otoczeniu dzikiej przyrody. Dźwięk dochodzący z krzaków w jego świadomości mógł oznaczać niedźwiedzia lub inne drapieżne zwierzę, może pumę? Lew też by pasował.

Zamiast wielkiego kota na polanie pojawiła się mała sarenka. Wyglądała tak słodko i niewinnie. Powoli dreptała, przystając co kilka metrów i rozglądając się na boki. Grzegorz postał chwilę i upewniwszy się, że nikogo poza nią nie ma w okolicy, ruszył. Podszedł kilka kroków i coś zaświeciło mu w oczy. Światło generowane przez jego latarkę odbiło się od czegoś. Zaciekawiony ruszył w stronę niezidentyfikowanego obiektu, który tak go zaintrygował.

Szedł powoli, jakby od tego mogło zależeć jego życie.

„Ktoś pewnie zostawił jakąś butelkę lub inny kawałek szkła”, pomyślał. Niestety ilość śmieci, które od wczoraj widzieli, porażała. Część wrzucili do swojego worka, ale i tak był to mały ułamek tego, co leżało w pobliżu ich namiotu.

Zrobił dwa kroki do przodu i zamarł.

To był moment, w którym zdecydował, że już nigdy więcej nie prześpi się w namiocie.

Rozdział 43

Liczba ofiar wypadku podczas wyścigu wzrosła do dziewięciu. Cały czas nie wiadomo było, czy jest to ostateczna informacja.

Internet oszalał na punkcie filmików, w których uderzeni przez ciężką maszynę ludzie lądowali na ziemi z łoskotem, łamiąc przy tym kręgosłupy, kończyny, doznając urazów mózgu. Część z nich miała to szczęście, że traciła od razu przytomność, jednak nie wszyscy. Inni cierpieli przez długie minuty, zanim karetki zabrały ich do pobliskich szpitali, które szybko się zakorkowały. Zbyt dużo osób w krótkim czasie potrzebowało podobnej maści specjalistów.

Media docierały do rodzin zabitych, żerując na tragedii.

„Miała przed sobą całe życie" – brzmiał nagłówek nad zdjęciem uśmiechającej się ładnej blondynki. „Studiowała medycynę i w przyszłości chciała zostać lekarzem, ortopedą lub chirurgiem".

„Nie powinno go tam być", przeczytała Dorota pod kolejną fotografia, tym razem pokazującą chłopaka, który na pewno nie miał osiemnastu lat. „Miałam zabrać go z zajęć dodatkowych, ale popsuł mi się niestety samochód. On tylko tamtędy przechodził".

„Jeżeli tak było, to miał ogromnego pecha", pomyślała Czerwińska i przeszła do dalszej części artykułu, w której autor pastwił się nad sprawcą. Nikt ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to Olivier Pawłowski jest tym złym i to jego powinno się zaciągnąć na szafot. Pisano o nim jak o perfidnym przestępcy, który z premedytacją naraził zdrowie i życie niewinnych ludzi, po części zapominając, że w większości znaleźli się w tym miejscu, ponieważ przyszli z własnej woli na pokaz.

Dorota wyłączyła telefon i podeszła do technika, który pochylał się nad stojącym w policyjnym garażu motorem.

– Tutaj dobrze to widać – rzucił, gdy stanęła niecały metr od niego. Wyciągnął dłoń i palcem wskazującym niczym strzałką pokazywał, o czym mówi. – Ktoś ewidentnie grzebał w tym motocyklu i dlatego doszło do tragedii.

– Chcesz powiedzieć, że to celowe działanie? – spytała zszokowana. Nawet podczas przesłuchania, zadając pytania o inne opcje, czuła, że to jest niemożliwe. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś umyślnie popsuł maszynę, a ta spowodowała taką katastrofę.

– Tak. Ktoś przeciął jeden z kabli. – Kiwnął głową i wstał. Był niezwykle wysokim człowiekiem, a na dodatek potężnym. Czerwińska momentalnie poczuła się przy nim niczym mała dziewczynka.

– Podejrzany nie mógł sam czegoś schrzanić? – Spojrzała na jednoślad, bo przez chwilę za długo patrzyła na wystający brzuch technika.

Mężczyzna podrapał się po głowie.

– Nie, chyba że sam chciał spowodować wypadek, ale to byłoby dość dziwne. Musiałby być samobójcą. Może trzeba prokuratorowi powiedzieć, żeby go na badania psychiatryczne wysłał. Może ma jakąś dwubiegunówkę lub inne gówno. Ale jeżeli nie, to stawiałbym jednak na udział osób trzecich. Oglądałem filmiki z poprzednich wyścigów i zawsze grzeją jak wariaci. Gdyby przyjeżdżali na tych motocyklach na miejsce zawodów, to byłoby ryzyko, że coś nie wypali szybciej, a tak sprawca praktycznie miał gwarancję katastrofy wśród tłumu. Jeżeli było, jak mówię, to ktoś znakomicie to przemyślał. Prawie stuprocentowa pewność sukcesu.

– Czy jakiś inny motocykl był uszkodzony? – spytała Czerwińska, ale jej myśli cały czas krążyły wokół tego, co właśnie usłyszała. To zmieniało wszystko.

– Nie. Sprawdziłem pozostałe. Żaden nie miał śladów jakichkolwiek uszkodzeń, ingerencji. Zresztą ja jestem w szoku, w jakim stanie oni utrzymują te swoje strzały.

– Złym? – zareagowała spontanicznie.

– Nie! Wręcz przeciwnie. Wyglądają niczym z salonu, a ten Pawłowskiego był idealnie dopieszczony.

– Czyli nie kłamał – sapnęła Czerwińska.

– W sensie?

– Facet mówił, że uwielbia w nim dłubać i że nie ma mowy o błędzie z jego strony.

– To mówił prawdę. Niczego nie znalazłem, a każda śrubka jest dokręcona, czyściutka, wszystko działa perfekcyjnie. Jakby ludzie dbali tak o swoje samochody i motocykle, nie byłoby wypadków spowodowanych awariami.

– Czy są jakieś ślady zostawione przez tego, co w nim grzebał?

– Nie, zupełnie czysto. Ale… – Mężczyzna podrapał się po głowie i spojrzał na Czerwińską. Przez chwilę trwał

w milczeniu, przygryzając wargę. – Nie chcę wyjść na paranoika, ale widzę podobieństwo z inną sprawą.

– Jaką?

– No tego chłopaka, co spadł z wysokości.

– Jakuba Wronkowskiego? – pisnęła, a dźwięk, który wydobył się z jej ust, ją samą zaskoczył.

– Tak. – Pokiwał głową.

– Dlaczego?

– Tam też ktoś użył niezwykle ostrego noża, który nie zostawił śladu.

– O matko, co tu się, kurwa, dzieje? – wyszeptała i sięgnęła po telefon. Czekała ją niezbyt miła rozmowa z prokuratorem, po której na bank rozpęta się szaleństwo.

Rozdział 44

Bartek Wojciechowski, znany też jako Romanowski, leżał na metalowym łóżku. Ciało nie było w najlepszym stanie, zaczął się już proces rozkładu, nie pomogła też działalność leśnych zwierząt.

– Widzę, że sprawa przyciąga tłumy – zaśmiał się prokurator Poniedziałek, z którym Czerwińska pracowała już wcześniej.

– Taaak, jest dość intrygująca – mruknął Kamiński.

– Oj tak. Facet mocno się w życiu nakombinował. Czas dojść do prawdy – stwierdziła górnolotnie Czerwińska i podeszła bliżej zmarłego.

– Bo prawda nas wyzwoli – skończył za nią lekarz i położył na metalowym stoliku dyktafon, jakby tym gestem chciał dać znać, że dość tych nic niewnoszących frazesów.

Cztery osoby zbliżyły się do ciała leżącego na łóżku, a wtedy mężczyzna stojący u szczytu zaczął. Poinformował, która jest godzina i jaki dzień. Przedstawił osoby towarzyszące mu podczas procedury i zaczął sekcję nieszczęśnika znalezionego w lesie przez żądnego przygód nerda.

Na szczęście dzięki wprowadzonym danym do systemu przez policjanta z prowincji szybko udało się ustalić, że to ich zaginiony. Jeden z funkcjonariuszy biorących udział w akcji w lesie, młody chłopak pracujący w policji raptem od dwóch miesięcy, od razu rzucił się do przeszukiwania bazy osób poszukiwanych. Jak to później powiedział Czerwińskiej, nie chciał, aby czyjś syn, brat, a może i mąż nie zostanie zidentyfikowany natychmiast, jak to było możliwe. Tym sposobem wpadł na Bartosza o różnych nazwiskach.

Zadzwonił do Doroty, a ta prawie udławiła się pitą w tym momencie herbatą. Szybko wysłała mu zdjęcie, które przekazała jej Barbara Jasińska. Pięć minut później otrzymała potwierdzenie. Na zdjęciu z kostnicy nie wyglądał już tak atrakcyjnie, ale na bank to był on.

Teraz mogła mu się przyjrzeć z bliska, chociaż liczyła na inny rodzaj spotkania. Miała nadzieję, że uda im się porozmawiać, a wtedy uzyska jakieś racjonalne wyjaśnienie całej tej sytuacji. Dowie się, dlaczego spotykał się z matką i córką. Dlaczego przejął PESEL zmarłego chłopaka i dlaczego tak nagle zniknął.

Ale to, co najbardziej ją intrygowało, to kim on naprawdę był.

Znali jego dwa różne wcielenia, tylko pytaniem na razie bez odpowiedzi pozostawało to, czy to były jedyne, czy może jeszcze miał inne osobowości.

Teraz jednak leżał przed nimi jako NN, a ona po części liczyła, że może jakimś cudem sekcja zwłok pomoże im w ustaleniu jego prawdziwej tożsamości.

Lekarz sądowy mierzył wszystkie części ciała, dokładnie je opisując. Dopiero gdy doszedł do głowy, Czerwińska otrząsnęła się z rozmyślań i skupiła na jego słowach.

– Na brzegu strzałkowym kości ciemieniowej z prawej strony rana o wymiarach trzydzieści osiem na czterdzieści milimetrów. Stawiałbym na coś o kształcie zbliżonym do prostokąta, a może nawet kwadratu. Rana nie jest głęboka, ale cios naruszył kość, jest wgłębiona w kierunku mózgu.

– Czy to było przyczyną śmierci? – Prokurator pochylił się nad ciałem, jakby chciał lepiej zobaczyć ranę.

Czerwińska była mu za to wdzięczna. Sama chciała o to spytać, ale nie lubiła przeszkadzać podczas sekcji. Wykonujący ją lekarz wyglądał, jakby był w transie.

– Wszystko na to wskazuje. Nie znalazłem żadnych innych obrażeń, więc tak. Skłaniałbym się ku wersji, że to był śmiertelny cios. Będę musiał otworzyć czaszkę, aby dokładnie zapoznać się z raną. – W tym momencie uśmiechnął się, bo cała trójka pobladła. – Zrobię to później, jak już pójdziecie.

Wszyscy odetchnęli.

– Czym? – Jako pierwszy odezwał się prokurator Poniedziałek.

– Jacy dociekliwi! – zaśmiał się lekarz. – Czymś o umiarkowanie ostrej krawędzi. – Zamilknął, tak jakby zastanawiał się nad możliwościami. – Myślę, że taki efekt można byłoby uzyskać wieloma rzeczami.

– Jakimi?

– Młotkiem, sztachetą, opcji jest naprawdę dużo.

– Nie pomaga pan – skomentował prokurator.

– Wiem, ale z tego, co mi wiadomo, to nie mój zakres obowiązków. – Wyszczerzył zęby i ponownie skierował

wzrok na zwłoki.

– Jak najbardziej. Ale co jeszcze z tej rany można wywnioskować? – nie odpuszczał prokurator.

– Że miał pecha. Akurat w tym miejscu czaszka nie jest taka twarda jak w innych. Osoba, która go uderzyła, wcale nie musiała użyć dużo siły.

– Mogła to być kobieta? – Dorota od razu pomyślała o obu Jasińskich.

– Tak. Myślę, że większość by sobie poradziła.

– Prawo- czy leworęczna?

– Hmm, i tutaj jest mały problem. Ta rana na głowie jest pod kątem. I ciężko powiedzieć, czy napastnik stał z przodu, czy z tyłu, czy z boku. Gdyby cios był zadany od tyłu, oznaczałoby to, że wyprowadziła go osoba praworęczna, jeżeli zaś od przodu, to leworęczna.

– A od boku dałoby radę? – Czerwińska nie odpuszczała.

– Tak, ale ruch musiałby być dość nietypowy. Jakby ktoś dźgnął go tym przyrządem.

– Faktycznie mało prawdopodobne.

– A czy w ranie są jakieś odłamki czegoś? – Kamiński spojrzał na ranę, jakby chciał dojrzeć, co jest w środku.

– Z takimi rzeczami trzeba poczekać. Na pierwszy rzut oka niczego nie widzę, ale jak państwo już sobie pójdą, to wygrzebię wszystko, co tam jest, licząc na jakiś istotny ślad. Problem tylko, że leżał dość długo w lesie i drapieżniki trochę go naruszyły, nie wspominając o owadach.

– No właśnie, co z czasem zgonu? – Prokurator Poniedziałek założył ręce na brzuchu, jakby chciał podkreślić ważność swojej osoby.

– Oj, liczyłem, że nikt nie spyta. – Mężczyzna uniósł głowę, którą od dłuższego czasu skierowaną miał w dół, i uśmiechnął się delikatnie. – To jest jedno z tych moich ulubionych pytań obok przyczyny zgonu. I jak tutaj był nią zapewne postępujący obrzęk mózgu, a w konsekwencji ustanie czynności życiowych, możliwe, że powstał krwiak podtwardówkowy, ale to później sprawdzę, tak z czasem zgonu nie jest już tak łatwo. W przybliżeniu, bazując na aktywności owadów, stopniu rozkładu i panujących ostatnio warunkach atmosferycznych, szacuję na chwilę obecną na dziesięć do dwunastu dni temu.

Słysząc to, Czerwińska spojrzała na Marka. Wychwycił to i lekko kiwnął głową. Rozmawiali o tym wcześniej, zastanawiając się, czy matka z córką mogły maczać palce w śmierci chłopaka. Wskazany czas jego śmierci jak najbardziej pasował do ich zeznań.

– A ja mam jeszcze jedno pytanie – odezwała się Dorota. – Czy umarł od razu? Może inaczej, czy jest szansa, że zadano cios wcześniej, a ofiara nic z tym nie zrobiła i umarła po kilku dniach?

Prokurator zmarszczył brwi i z ukosa spojrzał na policjantkę.

– Rana nie jest głęboka – zaczął lekarz. – Wie pani, zdarzały się przypadki, gdy człowiek chodził z nożem lub igłą wbitą w głowę, więc kto wie, ile zajęło mu zejście z tego świata. Ciężko powiedzieć, po jakim czasie od zadania mu ciosu umarł, ale jak najbardziej mogło to chwilę trwać.

Czerwińska kiwnęła ze zrozumieniem, a lekarz przeszedł do kolejnych czynności. Otworzył denata i po kolei zaczął wykładać poszczególne organy. Mierzył je i ważył, a także oceniał ich stan. Jednak ona była myślami już daleko.

Rozdział 45

Kolejna rozmowa z Olivierem Pawłowskim odbyła się już w dużo milszej atmosferze. Mimo niechęci do zatrzymanego Kamiński powiedział mu o ich wstępnych podejrzeniach.

Chłopak aż podskoczył z radości, licząc, że prokurator zrezygnuje z trzymiesięcznego aresztu za spowodowanie katastrofy w ruchu drogowym. Niestety na takie decyzje było jeszcze za wcześnie, jednak światełko nadziei rozbłysło i Pawłowski próbował zrobić wszystko, aby jakoś im pomóc. Niestety niewiele z tego wyszło.

Nie widział nikogo w pobliżu motocyklu.

Nie miał żadnych wrogów ani ludzi, którzy chcieliby zrobić mu krzywdę.

Z tego, co opowiadał, każdy ze środowiska go lubił, bo praktycznie każdemu w czymś pomógł. I nie chodziło tylko o motocykle, ale również aspekty prawne.

Raz na jakiś czas któryś z bandy, jak na nich mówił, był łapany na ich nocnych eskapadach. Wtedy potrzebował wsparcia. Zazwyczaj kończyło się na mandacie, ale raz trafił się uparty policjant, który groził dużo poważniejszymi konsekwencjami nocnych wyścigów i kaskaderskich popisów.

W okolicach planowanego startu wyścigu, gdzie postawili motocykl na przyczepce, nie było żadnych kamer.

– Wiem. Stanęliśmy na stacji benzynowej! – krzyknął nagle mężczyzna i klepnął się w udo.

– A to takie nietypowe?

– Generalnie nie – zareagował podekscytowanym głosem. – Ale byłem trochę zdziwiony, ja zawsze mam zatankowane co najmniej do połowy, a zeszło do rezerwy. Nawet mój kumpel się ze mnie śmiał, że taki porządny jestem, a zapominam o podstawowych zasadach.

– Czy na stacji ktoś się kręcił?

– Boże, nie wiem. Zatankowałem i poszedłem zapłacić, a Wojtek skoczył do łazienki. On zawsze musi zaliczyć każdy kibel. Kiedyś próbował mi wmówić, że ma mały pęcherz i to dlatego.

– Czyli to był moment, kiedy zostawił pan motocykl bez opieki? – dopytywał policjant trochę sympatyczniej niż przy pierwszym spotkaniu.

– Tak, jedyny. U ojca jest bezpieczny, bo mam na niego stały podgląd, na wypadek gdyby komuś przyszedł do głowy jakiś głupi pomysł.

– W sensie? – spytała zaskoczona Czerwińska.

– Niestety sporadycznie chłopaki pracujące w zakładzie pożyczają samochody czy motocykle, tak na chwilę. – Pierwszy raz się zaśmiał. – I niestety czasami złe rzeczy z tego wychodzą.

– Pamięta pan, jaka to była stacja? – przerwała mu, bojąc się, że zaraz usłyszy nic niewnoszącą do sprawy historię z życia wziętą.

– Tak, pokażę pani, bo nie pamiętam dokładnego adresu.

Czerwińska włączyła na swoim telefonie mapę i podała aparat mężczyźnie.

Po trzech godzinach mieli nagrania z monitoringu. Na szczęście stacja poważnie podchodziła do zasad bezpieczeństwa i dysponowała aż pięcioma kamerami. Żadna z nich nie pokazywała wyraźnie przyczepy, ale dało się zauważyć, że na trzy sekundy pojawił się obok niej mężczyzna, który schował do kieszeni jakiś przyrząd. Coś niewielkiego, co spokojnie mogło być nożem.

Czerwińska poczuła kolejne spływające po plecach krople potu, gdy raz po raz oglądała fragment nagrania. Luźna uwaga technika o podobieństwie do sprawy spadającego jednorożca, jak nazywała ją prasa, stawała się faktem.

Mężczyzna, który krążył przy przyczepie z motocyklami, to był ten sam, który wpadł na siostrę BobyLona.

Rozdział 46

Dorota przeczytała po raz czwarty raport z sekcji mężczyzny podającego się za Bartosza Wojciechowskiego, a wcześniej Romanowskiego. Po otrzymaniu wszystkich wyników badań lekarz z całą pewnością stwierdził, że to cios w głowę był przyczyną śmierci. Odkrył także jeszcze kilka starych urazów. Chłopak w młodości doznał paru złamań, w tym jednego bardzo poważnego. Poza tym był okazem zdrowia.

Później przeszła do raportu z oględzin mieszkania. Znaleziona tam krew należała do niego, jednak kształt plamy był dość dziwny. Nie wyglądało, jakby powstała w wyniku skapywania krwi z rany, ale jakby ktoś wytarł ją o podłogę.

W lokalu nie znaleziono żadnych pamiątek ani rzeczy, które mogłyby ułatwić jego identyfikację. Technicy sprawdzili wszystkie meble, nawet pod łóżkiem czy w szufladzie. Mieszkanie wynajmował od starszej kobiety, która popłakała się podczas rozmowy z Czerwińską. Początkowo policjantkę ucieszyła taka reakcja, ostatnio coraz częściej dostrzegała w ludziach brak empatii, niestety szybko jej nadzieja prysła. Okazało się, że kobieta przeżywała jedynie fakt, że ktoś zbrukał jej mieszkanie i że nie uda jej się już wynająć go nikomu w tak atrakcyjnej cenie, jeżeli ktoś się o tym dowie, a wiedziała, że miła sąsiadka zza ściany na pewno sobie nie odpuści. Policjantka, zgorszona wyznaniem kobiety, poprosiła o natychmiastowe przesłanie umowy i rozłączyła się. Miała ochotę rzucić jakiś niemiły komentarz, ale powstrzymała się.

Raport techników potwierdził, że obie panie Jasińskie bywały w tym mieszkaniu. Ich włosy, odciski były właściwie w każdym pomieszczeniu. Prokurator polecił przesłuchanie kobiet na komendzie. Sam nie mógł się do tego zabrać z powodu natłoku obowiązków, więc musieli zrobić to za niego. Na pierwszy ogień poszła matka.

– Dzień dobry. – Kamiński uśmiechnął się na wejściu. Dorota też spróbowała, ale wyszedł jej raczej uśmiechopodobny grymas. – Dziękujemy, że pani przyjechała. Chcielibyśmy raz jeszcze porozmawiać. – Położył przed kobietą dyktafon i nacisnął przycisk, a na urządzeniu zapaliła się mała dioda.

– Rozumiem, chociaż nie wiem, po co kolejny raz będziemy to wałkować.

– Takie są procedury – skomentowała Czerwińska ze słyszalną w głosie nutą mrozu.

– To zaczynamy. Dzisiaj jest dwudziesty szósty kwietnia dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku. Przesłuchanie prowadzą starsza aspirant Dorota Czerwińska i komisarz Marek Kamiński. Proszę o podanie imienia i nazwiska.

– Przecież już je znacie – prychnęła, próbując zmarszczyć brwi.

– Wiem, ale to formalność, której nie możemy zignorować – wyjaśnił uprzejmie Kamiński.

– Barbara Jasińska.

– Rok i miejsce urodzenia?

Kobieta sapnęła i ostentacyjnie wzniosła wzrok w stronę sufitu.

– Szósty września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, Warszawa.

– Co pani robi na co dzień? – spytała Dorota, widząc, jak kobieta zaciska pięść ze zdenerwowania.

– Prowadzę swoją firmę. Szyję ubrania.

– Czy to jest mężczyzna, z którym się pani spotykała? – Czerwińska wyciągnęła w jej stronę fotografię. Grafik delikatnie podkręcił jej kolory, żeby nie wyglądała aż tak przeraźliwie. Widok zmarłego, szczególnie kilkanaście dni po jego śmierci, z reguły nie należy do najmilszych.

Kobieta przysunęła przed siebie wydruk. Jej twarz wyraźnie posmutniała, kąciki ust poleciały do dołu, a oczy przygasły i się zaszkliły.

– Tak, to Bartosz Wojciechowski.

– Czy mówi pani coś nazwisko Romanowski?

– Nie, nie znam nikogo takiego. – Odsunęła od siebie zdjęcie, kręcąc głową.

– Okazało się, że trzy lata temu był pod takim znany.

– Zmienił nazwisko? – spytała i delikatnie wzruszyła ramionami. – Ludzie tak robią. Mam koleżankę, która zmieniła, bo zawsze ją denerwowało. Nazywała się Ruchalska, ile się ona nasłuchała niewybrednych komentarzy, żartów, to jakaś masakra. Sama byłam świadkiem kilku. Oczywiście głównie to panowie zwykle nie mogli sobie odmówić, ale panie też czasami musiały...

– Nie – przerwała jej w końcu policjantka. – Nie o to chodzi. Nie zmienił nazwiska. Generalnie nie wiemy, jak na-

prawdę się nazywał.

– To nie możecie sprawdzić tego w systemie?

– Niestety nie, ponieważ on… – Czerwińska spojrzała na partnera. To był moment jak zawsze dość trudny. Musiała ujawnić szczegół śledztwa. Wiedziała jednak, że może dzięki temu uzyskają odpowiedź na nurtujące ich pytanie.

– Co? Był świadkiem jakimś tam?

– Nic nam o tym nie wiadomo, ale raczej mało prawdopodobne.

– To co z nim? – Jej głos delikatnie zapiszczał.

– On ukradł komuś tożsamość. – Czerwińska zmrużyła oczy, przyglądając się rozmówczyni.

– Nie, to niemożliwe. – Jasińska ułożyła dłonie płasko na biurku.

– Niestety to prawda. W tym momencie nie potrafimy ustalić jego prawdziwej tożsamości. Liczymy…

– Że ja coś wiem – skończyła za policjantkę kobieta.

– Tak. Może kiedyś wspominał coś szczególnego. Coś takiego, co mogłoby nas naprowadzić na jego rodzinę.

– Nie wiem, raczej mało opowiadał o sobie. Jego rodzice zginęli. – Głęboko westchnęła. – Przynajmniej tak mi mówił. Rodzeństwa nie miał. Mieszkał daleko. Pytałam go o dom, o rodziców, jak go wychowywali, ale odpowiadał zdawkowo. Nic mi nie zdradził. Wtedy jakoś się nad tym nie zastanawiałam. Znam parę osób, które przeżyły w dzieciństwie jakieś traumy i nie opowiadają zbyt chętnie o przeszłości.

– A wspominał kiedyś o Malwinie Drozd? – Tym razem Kamiński zadał pytanie.

– Nie, a powinien?

– To była jego dziewczyna. – Czerwińska nie odrywała od kobiety wzroku. Ta zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy. Wyglądała, jakby dopiero teraz się o tym dowiedziała. – Spotykali się dwa lata.

– Co? Nie, to niemożliwe. Powtarzał, że jestem pierwszą kobietą, z którą spędził więcej niż dwa miesiące… – Spojrzała na policjantkę smutnym spojrzeniem.

– To niestety nie był szczery.

– Proszę jeszcze powiedzieć, czy wiedziała pani, że Bartek spotyka się z pani córką?

Kobieta oparła się łokciami o stół i schowała twarz w dłoniach. Po dłuższej chwili wyprostowała się i spojrzała na funkcjonariuszy.

– Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że coś takiego może nas spotkać. To jest jakiś koszmar… – Pociągnęła nosem. – Kocham córkę ponad wszystko. Jest sensem mojego życia i to, co on z nami zrobił, przeraża mnie.

Nie mając więcej pytań, po krótkiej przewie usiedli przed młodszą wersją Barbary Jasińskiej. Matka z córką na co dzień nosiły się zupełnie inaczej. Starsza wyglądała jak kobieta sukcesu. Spodnie rurki, marynarka i wystająca spod spodu kolorowa koszula, a do tego buty na obcasie. Nie jakieś bardzo wysokie, ale jednak. Jej córka sprawiała jednak tym razem kiepskie wrażenie, wyglądała znacznie gorzej niż przy pierwszym spotkaniu. Niedbale związane włosy, bluza z kapturem z widoczną z daleka wielką plamą na rękawie, do tego podarte jeansy i przybrudzone białe tenisówki, którym zdecydowanie przydałaby się wizyta w pralce.

Po wstępnej części, podczas której młodsza Jasińska była nastawiona zdecydowanie mniej bojowo niż matka, przeszli do sedna sprawy.

– Czy to jest Bartosz Wojciechowski? – Tym razem to Kamiński zadawał pytania.

– Tak, to on, chociaż już nie wygląda tak atrakcyjnie. Zniknął ten jego magnetyzm – odpowiedziała kobieta. Jej głos brzmiał beznamiętnie, tak jakby zupełnie nie przejęła się losem chłopaka, mimo że wcześniej zarzekała się, że go kocha.

– Czy kojarzy pani nazwisko Romanowski?

– Nie, a kto to? – Delikatnie przechyliła głowę do boku.

– Jego drugie nazwisko, którego używał wcześniej.

– Aha – rzuciła, jakby zupełnie jej to nie interesowało.

– Czy może kiedyś wspominał coś, co mogłoby pomóc nam namierzyć jego rodzinę? – Czerwińska delikatnie szturchnęła Kamińskiego nogą.

– Macie jego dane, to chyba nie jest problem. Nawet jak zmienił nazwisko.

– Tak, tylko niestety numer PESEL, którym się posługiwał, nie jest prawidłowy.

Karolina Jasińska utkwiła spojrzenie w siedzącym w milczeniu Kamińskim, jakby nad czymś myślała.

– A właściwie to skąd go macie? – wypaliła nagle.

– Z uczelni, na której studiował. W Warszawie.

– Nie, on skończył dietetykę w Szczecinie – powiedziała pewnym głosem i oparła łokcie o blat, po czym splotła

dłonie przed sobą.

– Niestety minął się z prawdą. Studiował anglistykę w Warszawie.

– To jest chore! – krzyknęła, a Kamiński aż lekko podskoczył. – Ja chciałam sobie z nim życie ułożyć. Jestem na siebie zła, że się tak dałam. To, że mama, to rozumiem, ale ja? Zawsze miałam nosa do ludzi. Nawet moja przyjaciółka uważa, że powinnam pójść na psychologię, a tutaj…

– Niestety nawet najlepszym się zdarza – skomentowała Czerwińska.

Po tych słowach kobieta spojrzała na nią, jakby dopiero teraz ją dostrzegła.

– Czyli nie wspominał nic szczególnego, czegokolwiek? Czasami błaha rzecz daje nam początek do rozwiązania – odezwał się Kamiński.

– Nie… – Zawiesiła głos i nagle uderzyła otwartą dłonią w blat biurka dzielącego ją od rozmówców. – Wiem, przypomniałam sobie. Kiedyś pokazywałam mu swoje zdjęcia na Instagramie. Takie jedne ze starszych. To były z wakacji w Borach Tucholskich. Opowiadałam, że tam jest ośrodek, do którego jeżdżę z mamą od lat, i on rzucił, że też tam jeździł. Zaczęłam o to pytać, ale szybko zmienił temat. To było dziwne, bo rozmawialiśmy o wszystkim. Nawet o wypadku jego rodziców. Pijany kierowca wjechał w nich na przejściu dla pieszych. Zginęli na miejscu. Później już nie pytałam o ten ośrodek.

– Jak się nazywał? – wtrąciła policjantka i ustawiła długopis nad kartką notatnika, w którym pisała najważniejsze rzeczy, mimo że wszystko nagrywali, a później musieli zrobić z tego raport.

– Adria. Taki niewielki. Jak byłam mała, to prowadziło je sympatyczne małżeństwo. Kobieta świetnie gotowała. Generalnie zajmowała się wszystkim, a jej mąż, bardzo przystojny facet, ogarniał sprawy wykończeniowe, takie okołogospodarcze. – Dziewczyna uśmiechnęła się, pokazując równe białe zęby. – Moja mama zawsze tam rozkwitała. Nawet przez chwilę miałam podejrzenia, że podoba jej się ten facet. Ale byłam młoda, różne rzeczy mi się wydawały. Jakoś na początku gimnazjum przestałyśmy tam jeździć. Bunt nastolatki. Nie miałam ochoty na wakacje ze starszym pokoleniem. Dopiero na studiach znowu zapałałam do tego miejsca nową miłością. Niestety jak ze wszystkim, Adria też się zmieniła. Przeszła generalny remont, jest bardziej luksusowo, co oczywiście mamie pasuje. Ja chyba wolałam stary wystrój. Ale i tak jeździmy w każde wakacje i zawsze jest super. Chociaż teraz nie wiem, jak to będzie… – Westchnęła smutno.

– Rozmawiała pani o tym wszystkim z mamą? – rzuciła Czerwińska, mając z tyłu głowy cały czas reakcję Barbary Jasińskiej.

– Tak i nie jesteśmy w stanie pojąć tego, co się wydarzyło. Czujemy się jak w jakimś filmie. On nas wciągnął w jakąś chorą zabawę i nic z tego nie rozumiemy.

– Czy zna pani Malwinę Drozd? – wtrącił komisarz.

Dziewczyna pokręciła głową przecząco.

– Kolejna jego dziewczyna? – Ostatnie słowo wycedziła przez zaciśnięte usta.

– Dziewczyna tak, ale już dawno temu. Trzy lata temu znaleziono ją martwą w domu.

– Jezu. Serio? Nie mówcie tylko, że Bartek, czy jak on naprawdę miał na imię, to zrobił.

– Tego nie wiadomo. Wszystko wskazywało na samobójstwo, jednak najbliżsi w to nie uwierzyli.

– Tydzień temu też bym w to nie uwierzyła, ale teraz to już nie wiem, co może być prawdą, a co nie. Kochałam go. Tak naprawdę. Chciałam z nim być. Może nie całe życie, bo jakoś te bajki o miłości po kres są nie dla mnie, ale było nam dobrze. Śmialiśmy się z tego samego. Był czuły i romantyczny, ale potrafił pokazać też bardziej męską stronę. Może mogłabym ponarzekać na jego podejście do pracy i że za bardzo stawiał na karierę, ale no cóż. Nie ma ludzi idealnych. Poza tym było mi z nim dobrze, dlatego jestem wściekła, że zrobił mi takie świństwo.

Kobieta oparła się o krzesło i założyła ręce na brzuch. Wyglądała na autentycznie złą, a wrażenie to potęgowało zmarszczone czoło.

– Wróćmy jeszcze do dnia, kiedy widziała się pani ostatni raz ze swoim chłopakiem, mogłaby pani jeszcze raz opisać, co się stało po przyjściu do jego domu? – Czerwińska przejęła przesłuchanie i przysunęła się bliżej stołu.

– No właśnie, tak sobie myślałam, że trochę to wszystko przerysowałam. Nie powinnam tak mówić. Chciałabym to naprostować.

– Chce pani zmienić zeznania? – zdziwiła się lekko Czerwińska.

– On w sumie nie powiedział nic tak strasznego, ja zareagowałam przesadnie i tyle.

– Ale popchnęła go pani?

– Tak, ale tak sobie myślę o tym wszystkim i wydaje mi się, że to nie było aż tak mocno. Okej, przewrócił się, ale nie krwawił.

– Czyli nie leżał na podłodze? – dla pewności spytała Czerwińska.

– Leżał, ale nie sądzę, aby coś mu się stało. – Wzruszyła ramionami, jakby zupełnie zapomniała, że chłopak nie żyje.

– Czy po tym wszystkim była pani jeszcze w jego mieszkaniu?

– Przyszłam do niego, ale nie otworzył. Wydawało mi się, że coś słyszałam.

– Czemu nie powiedziała pani wcześniej? – odezwał się Kamiński, czym przyciągnął uwagę dziewczyny.

– Bo zapomniałam – odpowiedziała beztrosko.

– A co to był za dźwięk?

– No taki zwykły, jakby ktoś był w domu.

– To sporo zmienia…

– Ale on zginął później – wtrąciła Karolina Jasińska.

– Kto powiedział, kiedy zginął? – Czerwińska zmarszczyła brwi.

– To kiedy on zginął? – spytała dziewczyna.

– Z tego, co mi się wydaje, to my tu jesteśmy od zadawania pytań.

Przesłuchiwana, podobnie jak policjantka, oparła się o stół.

– Chce pani powiedzieć, że gdy z mamą się o niego niepokoiłyśmy, szukałyśmy go, biłyśmy na alarm, on już nie żył?

Siedzący naprzeciwko policjanci zrobili poważne miny, mając nadzieję, że się niczym nie zdradzą. Przeszli właśnie na etap gry psychologicznej, gdzie każdy szczegół ma znaczenie, i nie chcieli zdradzić przeciwnikowi swojej wiedzy. Przynajmniej nie teraz.

Rozdział 47

Ułożył kilkanaście zdjęć obok siebie i od razu poczuł na ten widok podniecenie. Ojciec miał rację. Zabijanie jest wciągające niczym bagno. Budzi ukryte w człowieku emocje, o których nie miał pojęcia i które w żadnej innej sytuacji by się nie ujawniły.

Aktor.

Komik celebryta.

Dwie małe dziewczynki.

Dziewięć przypadkowych osób.

Trochę dręczyła go sprawa tych dziewczynek. Cały czas nie mógł sobie wybaczyć, że nie przewidział, że to córki youtubera wejdą do skrzyni i umrą z braku powietrza. Starał się jednak o tym nie myśleć i – jak to powtarzał ojciec – próbował wyciągnąć wnioski, wprowadzić poprawki i iść dalej. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, ale trzeba zrobić wszystko, aby to się nie powtórzyło. Teraz musiał skupić się na czymś innym.

Policji.

Był przekonany, że już wiedzą, z kim mają do czynienia.

Seryjnym mordercą, który nie zna granic.

Patrzył na to wszystko i zastanawiał się, ile ma jeszcze czasu. Jak długo może bezkarnie bawić się w Boga, zanim policja na niego trafi.

A może…

Popatrzył na zdjęcie kobiety, która stała obok prokuratora podczas konferencji prasowej.

A może czas na coś jeszcze bardziej ekstremalnego?

Czas, by w końcu tak naprawdę zrobić coś na granicy życia i śmierci?

Rozdział 48

Znalezienie informacji o ośrodku Adria nie stanowiło problemu. Po kilku minutach na ekranie wyświetliła jej się nowoczesna strona z pięknym zdjęciem jeziora o zachodzie słońca w tle. Widok był przyciągający i hipnotyzujący. Dorota od razu pomyślała o nadchodzących wakacjach. Ich pierwszych, które mieli wspólnie spędzić. Już nawet zaczęła się zastanawiać, dokąd mogliby pojechać. Żadne zagraniczne wojaże nie wchodziły w grę. Nie czułaby się komfortowo z małym dzieckiem, które płacze i jest niezwykle absorbujące. Jak na razie jazda samochodem dłużej niż przez godzinę stanowiła nie lada wyzwanie. Liczyła, że do wakacji norma syna wydłuży się o kolejne dwie godziny, a jadąc na Mazury czy nad morze, dwie ostatnie spędzą z zatyczkami wepchniętymi do uszu.

Teraz, patrząc na stronę ośrodka, postanowiła dopisać Kaszuby do listy potencjalnych kierunków.

Otworzyła najpierw zakładkę Oferta. Hotel umożliwiał spędzenie wypoczynku zarówno w dość skromnym pokoju dwuosobowym, jak i w takim bardziej wypasionym z jacuzzi. Ale chyba największe wrażenie robił apartament rodzinny. Dwie sypialnie, duża łazienka i salonik z niewielkim aneksem kuchennym. Całość przestała jednak być taka piękna i zachęcająca, gdy Dorota zjechała na dół strony i zobaczyła cenę za dobę w sezonie.

– Czy ich Bóg opuścił? – szepnęła do siebie na widok czterocyfrowej kwoty. To znacząco przewyższało ich możliwości. Podana na stronie cena to było tyle, ile planowała wydać na zakwaterowanie przez cały tydzień, a nie jeden dzień.

Na kolejnej podstronie znalazła przepiękne zdjęcia zarówno samego hotelu – pokoi, restauracji, siłowni – jak i również tego, co oferował na zewnątrz: basenu sezonowego, pięknej plaży z równo ułożonymi leżakami, pola do gry w siatkówkę plażową oraz miejsca do grillowania.

Potem, idąc po kolei, sprawdziła podstronę do rezerwacji pokoi i następnie *O nas*.

„Adria to miejsce, które przyciąga miłośników przyrody i ciszy od wielu pokoleń. Swoją renomę zyskało już lata temu, a to dzięki pierwszym właścicielom, oddanym ośrodkowi państwu Krzemińskim, którzy przez długie lata dbali o niego z miłością", przeczytała.

Pod spodem znajdowało się stare zdjęcie przedstawiające parę uśmiechającą się do obiektywu. Zjechała niżej i doczytała opis, który był marketingowym bełkotem niewnoszącym nic do sprawy.

Krzemińscy. Dorota napisała na leżącej kartce nazwisko pierwszych właścicieli i poszła zjeść przygotowany przez Wandę obiad. Ostatnio kuzynka poszerzyła zakres swoich „usług" i zaczęła im gotować. Generalnie wszystko bardzo smakowało Dorocie, ale miała wrażenie, że już po kilku dniach takiego jedzenia spodnie, które z dumą założyła po dwóch miesiącach od urodzenia syna, zaczęły robić się ciasne w pasie.

Wciągnęła szybko swoją porcję ziemniaków z kotletem, a drugą wstawiła do lodówki. Marek obiecał, że zje, jak wróci na komendę. Już po chwili była z powrotem w gabinecie, doskoczyła do komputera i wpisała w Google nazwisko pierwszych właścicieli.

Wyszukane w ten sposób hasło niestety dało zdecydowanie zbyt dużo losowych wyników. Dopisała obok nazwiska „właściciele Adrii" i od razu liczba wyników zmniejszyła się ponad dwadzieścia razy. Na pierwszym miejscu wyskoczył artykuł z lokalnej gazety sprzed półtora roku, w którym ktoś w ramach zbliżającego się pierwszego listopada wspominał znane osoby z regionu, które zginęły w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Lista była długa, jakby zasłużonych dla okolicy było niezwykle dużo. Oczywiście sporo miejsc zajmowali lokalni księża oraz politycy. Reszta to nieliczni przedsiębiorcy, którzy wyróżnili się w jakiś sposób. Był też wieloletni właściciel zakładu poligraficznego, który regularnie organizował dla lokalnych ubogich kolacje czy obiady, a którego zabrała niespodziewana choroba.

W końcu Dorota dotarła do akapitu, w którym opisywano małżeństwo prowadzące ośrodek. Małgorzata i Romuald Krzemińscy zginęli w tragicznym wypadku samochodowym latem 2011 roku.

„Na drodze panowały wtedy znakomite warunki, nie padało, ale również nie świeciło nadmiernie słońce. Kierowca prawdopodobnie stracił panowanie nad kierownicą" – Dorota przeczytała te dwa zdania kilka razy, bo zdecydowanie nie pasowały do reszty. Brzmiały tak, jakby autor chciał na coś zwrócić uwagę.

W dalszej części artykułu opisane było ich życie, osiągnięcia, a na końcu pojawiło się jedno zdanie, które momentalnie wywołało ciarki na jej plecach.

„Krzemińscy osierocili swojego jedynaka Bartka".

To nie mógł być przypadek.

Zaczęła szukać dalej. Niestety kilkanaście lat temu do sieci trafiało znacznie mniej newsów, a te, które już pojawiły się online, niekoniecznie nadal tam były. Chwilę posiedziała, wczytując się ponownie w tekst, i postanowiła zadziałać nieco inaczej.

Odnalazła w sieci autora artykułu, a następnie gazetę, w której pracował. Wybrała numer do redakcji i chwilę później już miała do niego kontakt bezpośredni.

– Witek Maliszewski – usłyszała głos, który przypisałaby do mężczyzny po pięćdziesiątce, choć dobrze wiedziała, że ma do czynienia z kimś dużo młodszym. Znalazła jego zdjęcia w sieci. Uwielbiał wrzucać fotki dokumentujące lokalne imprezy: święcenie nowego boiska do piłki nożnej, dwudziestolecie świetlicy czy otwarcie pierwszej w okolicy kawiarni dla miłośników szczekających czworonogów. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, z tej strony starsza aspirant Dorota Czerwińska z komendy Warszawa Śródmieście – odpowiedziała spokojnie, chociaż miała wrażenie, że słyszy szybkie bicie własnego serca.

– Policja! – zareagował podniesionym głosem. – Czym sobie zasłużyłem na takie wyróżnienie?

– Znalazłam w sieci artykuł pana autorstwa o wypadku sprzed lat i…

– Wypadku? – wciął jej się w pół słowa. – Ja nie piszę o wypadkach. Chyba pomyliła mnie pani z kimś, ale może uda mi się pomóc.

– Chodzi o artykuł z trzydziestego pierwszego października dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku o osobach, które zmarły w pana okolicy w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

– Aaa, to. Zupełnie zapomniałem. Szef kazał napisać. Kolega się zazwyczaj zajmuje takimi zapchajdziurami, ale wtedy się pochorował. Wie pani, październik, miesiąc, gdy wszyscy dostają kataru, kaszlu i leżą w łóżeczkach.

– W tekście – Czerwińska zupełnie zignorowała jego wywody – wspomniał pan tam rodzinę Krzemińskich.

– Tak, znałem ich.

Dorota cała aż się napięła. Nie oczekiwała zbyt wiele od tej rozmowy.

– Wszystkich? – spytała, licząc, że dziennikarz nie wyłapie niepewności w jej głosie.

– No najbardziej Bartka. Chodziliśmy razem na piłkę. Całkiem dobrze sobie radził, chociaż robił to, bo mu ojciec kazał. A co jego tata powiedział, to było święte. Matka była…

– Jaka? – Głos Doroty zabrzmiał zdecydowanie za głośno. Nie lubiła okazywać ekscytacji rozmową, a teraz tak się czuła. W końcu trafiła na ślad chłopaka. Wolałaby teraz wsiąść do samochodu i pojechać w Bory Tucholskie, a następnie osobiście przesłuchać dziennikarza, ale natłok obowiązków nie pozwalał na taką wycieczkę.

– Nadopiekuńcza, przewrażliwiona. Coś z nią było nie tak. Wszystko musiała kontrolować. Zawsze się jej bałem, miała takie zaciśnięte, wąskie usta, jak moja babcia… Zresztą nieważne.

Czerwińska uśmiechnęła się. Rzadko zdarzało się, że ktoś sam wyłapywał, że za dużo gada, i jeszcze nie na temat.

– A mógłby pan coś mi więcej o Bartku opowiedzieć?

– No normalny chłopak. Nie to, żebym się z nim kumplował jakoś bardzo, ale widywaliśmy się w szkole, to czasami pogadaliśmy, ale głównie to po szkole na piłce. Tam najczęściej spędzaliśmy wspólnie czas.

– A ten wypadek, zna pan szczegóły?

Dorota dzwoniła wcześniej do tamtejszej policji z prośbą o kopię akt, ale okazało się, że jeszcze nie zostały zdigitalizowane, a komenda prowadząca sprawę właśnie przeprowadzała generalny remont i ciężko było wygrzebać cokolwiek z odmętów archiwum.

– No… – Mężczyzna chyba wstał, ponieważ usłyszała nagle kroki i delikatne posapywanie. – Wie pani, to jest dość delikatna sprawa.

– Delikatna?

– No bo… Policja uznała to za wypadek. Tragiczny, ale wypadek. Jednak wtedy kilka osób mówiło, że to mogło wyglądać inaczej.

– Może pan bardziej szczegółowo? – Usiadła bokiem na parapecie, mając widok na parking.

– Generalnie chodzi o to, że podejrzewali, że ona zrobiła to celowo.

– Ona?

– No, mama Bartka. Nigdy nie prowadziła, jak gdzieś jeździli razem, a tego dnia to ona znalazła się za kółkiem.

– Może nie miała doświadczenia, dlatego nie jeździła – wtrąciła policjantka.

– Nie, ona jeździła regularnie, tylko mąż zawsze zachowywał się przy niej niczym służący. Taki gentleman z dawnych lat – stwierdził, a Dorota miała ochotę skomentować to jakoś, bo fakt bycia gentlemanem nie oznaczał służalczości. – A wtedy to ona siedziała za kółkiem.

– Może mąż się źle poczuł? – drążyła dalej.

– Nie wiem, ale to było dość dziwne. Poza tym jeden z pracowników ośrodka słyszał, jak się kłócili. On miał podobno z kimś romans i chyba planował odejść.

– Sugeruje pan, że ona ich zabiła, mszcząc się za to? – Koncepcja ta brzmiała dość zaskakująco, ale niestety Dorota wiedziała, że rozszerzone samobójstwo to często rozwiązanie, które osoby zdesperowane uznają za jedyne słuszne. Zresztą nie musiała daleko szukać. Najbliższy jej sercu mężczyzna też to przeżył.

– Wtedy miałem czternaście lat i szczerze mówiąc, średnio mnie to obchodziło. To znaczy było mi przykro, że Bartek stracił rodziców. Ja dwa lata wcześniej straciłem w wypadku dziadka, który był mi bardzo bliski, więc wiedziałem, co to strata. Jednak wtedy zupełnie nie wyłapywałem szczegółów. Moi rodzice przy mnie za każdym razem milknęli. Jakby chcieli mnie przed tym ochronić. Dopiero niedawno mama zaczęła mi opowiadać wszystko ze szczegółami. Proszę mi uwierzyć, że zbierałem szczękę z ziemi.

– Co takiego pan usłyszał? – Pomachała do Marka, który nagle pojawił się na parkingu, ale on nie podniósł nawet głowy.

– Tak jak powiedziałem wcześniej, potwierdziła, że tata Bartka miał romans. Podobno zakochał się po uszy. Chciał zostawić rodzinę, łącznie z synem, i wyjechać z ukochaną. I może to jeszcze pani Krzemińska by przeżyła. Matka twierdzi, że od lat nie kochała męża. Męczyła się z nim, a nawet trochę konkurowała o względy syna.

– Czyli bała się, że po rozwodzie będzie chciał odebrać jej syna?

– Nie – westchnął. – Było coś jeszcze ważniejszego od Bartka. Ośrodek. Sęk w tym, że Adria, która był sensem życia kobiety, nie należała do niej. Ona poświęcała jej każdą chwilę. Siedziała tam, gotowała, sprzątała, dopieszczała każdego gościa. I pan Krzemiński powiedział, że po rozwodzie sprzeda ośrodek, bo potrzebuje pieniędzy na nowy start. Chciał dorzucić się do biznesu swojej nowej kobiety. Mama nawet mówiła, co to było, ale nie pamiętam. Chyba coś związanego z modą.

– A skąd twoja mama to wiedziała?

– Te naście lat temu pracowała w tym ośrodku. Zresztą jak wiele osób w okolicy. Moja ciocia, jej syn, nasz sąsiad. Teraz to pościągali ludzi z większych miast, jakby tutaj same jełopy mieszkały, ale kiedyś ośrodek utrzymywał wiele rodzin. Mama pracowała na recepcji i kiedyś usłyszała ich rozmowę. Nie podsłuchiwała, bo mama nie z tych wścibskich, ale jak ktoś krzyczy za ścianą, to trudno nie usłyszeć.

– Oczywiście. – Dorota uśmiechnęła się do siebie. Dobrze wiedziała, że ludzie lecą do plotek niczym pszczoły do miodu.

– Podobno Krzemińska krzyczała, że mu nie pozwoli. Nie odda ośrodka, nawet jakby miała go spalić.

– O matko.

– No, brzmiało to strasznie. Ale tego nie zrobiła. Wybrała jeszcze gorsze rozwiązanie. U nas jest taki zakręt śmierci. Jak pada, to robi się tam naprawdę niebezpiecznie, ale jak jest sucho, też można z niego polecieć. Dotychczas zginęło tam dwanaście osób.

– Masakra. Nie ma tam ostrzeżeń przed niebezpieczeństwem? – spytała zdziwiona.

– Teraz są, ale wtedy nie było. Chociaż każdy lokals ściągał nogę z gazu, to tego dnia Krzemińska wypadła na zakręcie z drogi i auto owinęło się wokół stojącego tam ogromnego dębu. Podobno policja nie znalazła żadnych śladów hamowania, ale uznano, że musiała się zagapić.

– A co się później stało z Bartkiem?

– I to kolejny smutny element tej historii. Sfiksował. Siostra ojca mieszkała niedaleko i wzięła go do siebie. Liczyła, że jeżeli będzie wśród znajomych, to jakoś się pozbiera. Ale on zachowywał się coraz dziwniej. Ja miałem wrażenie, że zupełnie nie zanotował, że jego rodzice nie żyją. Opowiadał, że tylko wyjechali i niedługo wrócą, gdy każdy dobrze wiedział, jaka jest prawda. To było ogromnie smutne. A po pół roku zniknął.

– Jak to zniknął?

– Ciotka gdzieś go wywiozła. Nie dawała już rady. Oczywiście krążyło mnóstwo plotek.

– Jakich?

– O tym, że ucieka do ośrodka i siedzi tam godzinami, rozmawiając niby z rodzicami. Że wydziera się na ciotkę za to, że mówi mu prawdę. Podobno raz ją nawet popchnął. Ale wie pani, ludzie gadali różne głupie rzeczy, a co z tego było prawdą, to nie wiadomo. – Mężczyzna przerwał na chwilę i Dorota usłyszała dźwięk, jakby coś pił. – Dobra, my tu gadu-gadu, a może zdradziłaby mi pani, czemu tak właściwie wypytuje o tę całą sprawę?

– Niestety nie mogę zbyt dużo zdradzić. Prowadzimy śledztwo – odpowiedziała stałą formułką, licząc, że to dziennikarzowi wystarczy.

– No tak, czego się spodziewałem. Ale umówmy się, że da mi pani znać, jak uda się pani coś ustalić i będę mógł napisać coś więcej. Tutaj u nas na wsi to mało jest ekscytujących wydarzeń. – Sapnął do słuchawki. – Chociaż mam

nadzieję, że Bartek nie zrobił nikomu niczego złego.

– A mógłby?

– Znałem go za dzieciaka. Był spoko jako kolega na boisku. Podawał zawsze, a nie wszyscy tak robili. Jednak zupełnie nie wiem, jakim stał się człowiekiem przez ostatnie lata.

– Czy miał pan może z nim później jakiś kontakt?

– Nie, chociaż próbowałem go znaleźć, jakoś mnie ciekawiło, co się z nim działo, ale przepadł jak kamień w wodę. Muszę się pochwalić, że szukanie to moja mocna strona, a zupełnie nic nie znalazłem. Jakby przestał istnieć.

– Bo przestał – skomentowała Dorota i od razu ugryzła się w język.

– Ale jak to? On umarł?

Zawahała się, a po chwili namysłu rzuciła:

– Właśnie tego nie wiemy. Próbujemy ustalić personalia zmarłego i ślady zaprowadziły nas do rodziny Krzemińskich. Dlatego mam jeszcze dwa pytania.

– Proszę pytać, mam nadzieję, że pomogę.

– Po pierwsze, czy ma pan może jakieś jego zdjęcie?

– A wie pani, że mam – zaśmiał się głośno. – Ostatnio robiłem porządki i znalazłem kilka z sesji z boiska. Jedna z mam akurat dostała aparat i wymyśliła, że zrobi nam zdjęcia.

– Super, będę wdzięczna za podesłanie ich.

– Oczywiście. Jak wrócę do domu, to przeskanuję, tylko proszę o adres mailowy.

– Już wysyłam. – Nie czekając na koniec rozmowy, wysłała SMS-em swojego maila. – Poszło.

– Super. A drugie pytanie?

– Czy Bartek Krzemiński miał jakieś urazy, o których pan wie?

– Tak, bo jeden, pewnie najpoważniejszy, miał przeze mnie. – Mężczyzna westchnął smutno i opowiedział o zdarzeniu sprzed lat.

Rozdział 49

Sprawa wypadku małżeństwa Krzemińskich wyglądała zadziwiająco. Rodzina zgłaszała uwagi. Siostra zmarłego przyniosła nawet list zostawiony przez matkę Bartka, w którym pisała, że „nie pozwoli zabrać jej wszystkiego, na co pracowała całe życie". Policja jednak zinterpretowała to wtedy zupełnie inaczej: że kobieta planowała walczyć o ośrodek, a przynajmniej należną jej część w sądzie.

Tak wyjaśnił Dorocie Włodzimierz Czajkowski, policjant, który zajmował się tą sprawą dwanaście lat temu. Zupełnie nie rozumiał tego uczepienia się możliwości, że to samobójstwo, i to jeszcze połączone z morderstwem.

Czerwińska od razu zadzwoniła do siostry Krzemińskiego, która przygarnęła chłopaka po wypadku. Ta opowiedziała, że przez jakiś czas po tragedii było jeszcze okej, ale później zaczął się wyłączać:

– Mówił, że rozmawiał z matką, a z ojcem jedzie w weekend na ryby. Początkowo tylko kiwałam głową, dawałam mu czas, ale później to już przestało być śmieszne. Znikał z domu i nie wracał na noc. Siedział gdzieś w kącie w ośrodku lub w ich domu i się nie ruszał. Potrafiłam chodzić po całym budynku, a on słowem się nie odezwał, a ja kręciłam się jak gówno w przeręblu, nawołując go. Przestałam mieć na to siły. Na dodatek moja mama niedomagała i zabrałam ją do siebie. Zrobił się kocioł, jakich mało. Mama zawsze była wybuchowa, a na starość nie potrafiła zupełnie utrzymać języka za zębami, niestety tak objawia się demencja. Straszna sprawa. Darli koty, aż uszy bolały. Potrafili się pokłócić o wszystko. O to, kto pierwszy zupę dostanie albo czyja kolej puścić coś w telewizji. Miałam ich dość, tak szczerze. W końcu jak byłam z matką u lekarza, zwykłego internisty, bo jakaś infekcja się przypałętała, to tak się spłakałam, że chłopaka, bo jakiś młody był, przestraszyłam. Ale gdy opowiedziałam, co mnie trapi, zaproponował pomoc. Zadzwonił do swojego kolegi, który pracował w szpitalu psychiatrycznym. Tamten kazał bezwzględnie przywieźć Bartka. Oczywiście musiałam zrobić to podstępem, bo inaczej by ze mną nie pojechał.

– I jak on zareagował?

– Był na mnie wkurzony. Krzyczał, że jestem wstrętna, że go zdradziłam. To znaczy powiedział dużo brzydziej, ale nawet nie chcę tego powtarzać. To było straszne. Stałam przed taką kratą i słyszałam jego wrzaski, jakby ktoś wyprował mu wnętrzności. Gdyby nie krata, która nas rozdzielała i była zamknięta na klucz, chybabym tam weszła i go zabrała. To było najgorsze, co w życiu zrobiłam.

– Ale przecież chciała pani dla niego dobrze – wtrąciła Czerwińska.

– Tak, wiem, ale wtedy czułam się okropnie. Moja mama jeszcze nie pomagała, bo od razu zmieniła front. Nagle Bartuś był jej ukochanym wnuczkiem, którego się pozbyłam niczym śmiecia. Dobre pół roku mi dogadywała przy każdej nadarzającej się okazji, a te potrafiła generować z niesamowitą częstotliwością.

– A jak Bartek w tym wszystkim? – Dorota nachyliła się nad kartką, rysując kolejnego kwiatka, co robiła zazwyczaj, rozmawiając z kimś przez telefon.

– To było jedyne pocieszenie, że czuł się lepiej. Ten kolega internisty okazał się świetnym specjalistą. Stwierdził, że Bartek nie jest chory, tylko zgubił się w tym całym kotle nieszczęść. Śmierć rodziców, utrata ośrodka…

– Utrata ośrodka?

– Tak. – Kobieta zaśmiała się smutno. – Okazało się, że mój brat zadłużył go niemiłosiernie.

– Słyszałam, że groził żonie, że go sprzeda, więc jakim cudem?

– Romek taki był. Gadał dużo, a to często zupełnie nie miało pokrycia w rzeczywistości. Słyszałam, jak odgrażał się żonie. Faktycznie straszył ją, że zabierze ośrodek. Niestety prawdą było, że ojciec przypisał go jemu, a nie mieli wspólnoty majątkowej. Ja dostałam dom po rodzicach i sporo ziemi. Sprzedałam po latach za niezłą kwotę, znalazłam dobrego doradcę i do końca życia nie muszę się przejmować finansami. Co miesiąc na moje konto wpływa niezła emerytura.

– Jeszcze raz, co stało się więc z ośrodkiem?

– Przepadł. Próbowałam jeszcze jakoś zawalczyć, nie dla siebie oczywiście, ale dla młodego, ale windykator był nieugięty, wszystko straciliśmy. – Zaśmiała się gorzko. – Tak po latach reaguję na to wszystko śmiechem, bo łez już nie mam. Jeżeli prawdą jest, że Małgosia zabiła ich oboje, bo chciał zabrać jej ośrodek, to dość zabawne. Sam nic by nie dostał.

– Wierzy pani w taką wersję wydarzeń? – dopytywała Czerwińska.

– Nie wiem. Na początku zapierałam się nogami i rękoma, że to niemożliwe, ale teraz… sama nie wiem. Wiem, że

mój brat zdradzał Małgosię. Nawet moją dobrą koleżankę z pracy, jak to mówi dzisiejsza młodzież, zaliczył. A co do samobójstwa, morderstwa czy jak to się nazywa, to nie wiem. Zawsze była wybuchowa. Potrafiła rzucać w mojego brata naczyniami, jak ją zeźlił. Raz prawie sama dostałam. Ale czy odważyłaby się ich zabić? Teraz chyba byłabym bardziej przychylna tej teorii.

– A co działo się z Bartkiem?

– Spędził cztery miesiące w ośrodku. Lekarz zabronił mu po wyjściu wracać na stare śmieci. Twierdził, że mogą wzbudzać negatywne emocje i całe załamanie, które przeszedł, może mieć nawrót, nawet ze wzmożoną siłą. Zdecydowałam się wywieźć go do stolicy. Bartek był na to meganakręcony, powiedział, że da sobie radę. Może na początku będzie potrzebował pomocy, ale szybko się ogarnie. I tak się stało. Wynajął mieszkanie, skończył liceum zaocznie, po czym poszedł na studia, a później…

– Co się stało? – Czerwińska postukała parokrotnie długopisem po kartce.

– No zniknął. Przecież o tym chciała pani porozmawiać?

– Ja…

– To o co chodzi? – spytała zdziwiona. – Od lat raz na jakiś czas rozmawiam z kimś od was. Podobno sprawdzacie, czy coś nowego się pojawiło.

– Nie rozumiem.

– Czego pani nie rozumie?! – zareagowała tym razem agresywniej. – Wyszedł ze szpitala. Zachowywał się super, ale chwilę później… zniknął.

– Przepraszam, nie wiedziałam i…

– To dlaczego pani dzwoni? – przerwała jej kobieta.

Czerwińska nie wiedziała, jak zareagować. Nigdzie nie znalazła informacji, że Bartosz Krzemiński zaginął. Ale też… niczego nie sprawdzała. Wzięła głęboki wdech.

– Przepraszam, ale niestety mamy podejrzenie, że znaleźliśmy go. Martwego.

– Jezu, w końcu… – Kobieta pisnęła w słuchawce, a Dorota aż podskoczyła. – Ja czułam, że on od lat nie żyje. Odezwałby się do mnie, a on zniknął z dnia na dzień. Miał pójść do pracy i nic…

– Tak. Tylko… – Dorota poczuła wielką niechęć do informowania kobiety o tym, co się wydarzyło. – On zmarł kilkanaście dni temu, oczywiście jeżeli potwierdzi pani jego tożsamość. Czy Bartek złamał kiedyś sobie coś?

Po dłuższej chwili usłyszała cienki głos zapłakanej kobiety:

– Tak. On co chwilę coś sobie robił. Raz zostałam z nim sama, bo jego rodzice pojechali na imieniny do znajomych, i pech chciał, że poszedł na mecz i kolega go popchnął. Upadł jakoś nieszczęśliwie na rękę. Miał złamanie otwarte lewego przedramienia, została mu po tym pamiątka w postaci blizny.

Dorota wiedziała, że są na dobrym tropie. Musiała jeszcze zapytać o jedną rzecz.

– Czy Bartek wiedział, z kim ojciec miał romans? Dla kogo miał porzucić rodzinę?

– Hmm… No… Chyba tak. Wydaje mi się, że po powrocie ze szpitala podsłuchał moją rozmowę z przyjaciółką. Młody spał w pokoju, a my wypiłyśmy za dużo. Dopiero jak stanął w drzwiach, zrozumiałam, że wszystko usłyszał. Miał dziwny wyraz twarzy. Ale wtedy się tym nie przejęłam. Tydzień później zniknął i do dzisiaj nie wiem, czy to było związane z tym, co usłyszał.

– A czy pamięta pani nazwisko tej kobiety?

Gdy usłyszała odpowiedź, wiedziała, że sprawę można uznać za rozwiązaną.

Rozdział 50

Włożył wszystko do sportowej torby. Tej samej, którą zabierał na treningi bokserskie. Inne robił w domu, ale do tej dyscypliny zdecydowanie potrzebował przeciwnika.

Pozwolenie na broń dostał dawno temu. Nie stanowiło to żadnego problemu, bo spełniał wszystkie warunki: miał ukończone dwadzieścia jeden lat, mieszkał na stałe w Polsce i nigdy nie był karany. Bez problemu przeszedł testy psychologiczne i fizyczne, a opinię od komendanta policji otrzymał bez problemu. Poszedł w broń sportową, więc dodatkowo potrzebował zaświadczenia potwierdzającego przynależność do klubu strzeleckiego, w którym trenował od dawna, oraz licencji Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego.

Pewnie broń udałoby mu się dostać inaczej, bo miał paru kolegów, którzy wybrali niezbyt uczciwy sposób na życie. Kradli lub zajmowali się wyłudzeniami i włamaniami. Nie utrzymywał z nimi kontaktu, ale jak raz na jakiś czas wpadali na siebie, to gadali niczym dobrzy kumple.

Wrzucił jeszcze nóż, który dostał od ojca, a także linę, taśmę i kajdanki.

Zamierzał dobrze się bawić, niezależnie od tego, jaki los go czeka.

Dawno już przestało mu na czymkolwiek zależeć.

Nawet na własnym życiu.

Rozdział 51

Dorota wraz z Markiem siedzieli ramię w ramie i studiowali dokumenty z przeszukania domu Jasińskich. Niestety sami nie zdążyli wpaść na rewizję, bo siedzieli wtedy w domu rodziców BobyLona, którzy składali zeznania w sprawie włamania. Ktoś w nocy wszedł do ich piwnicy i napisał sprayem na drzwiach do ich komórki wielkie słowo „HUJ".

Na szczęście ich obecność u Jasińskich okazała się zupełnie niepotrzebna, a ilość znalezionych tam śladów powalała. Odkryto krew, którą ktoś próbował zetrzeć, ale bez skutku. Były też ślady chłopaka, mimo że obie kobiety powtarzały wielokrotnie, że u nich nie bywał, tylko one chodziły do niego.

Co najważniejsze, znaleziono również narzędzie zbrodni. Okazało się, że prawdopodobnie któraś z kobiet użyła krzesła, co tłumaczyłoby ranę na głowie. Widać, że ktoś próbował zetrzeć ślady, ale jak to dumny technik powiedział, mało co się przed nim ukryje.

Prokurator Poniedziałek postanowił raz jeszcze przesłuchać kobiety, tym razem osobiście. Zaczął od starszej.

– Proszę mi opisać pani ostatnie spotkanie z Bartoszem Krzemińskim.

– Z kim? – spytała zdziwiona Barbara Jasińska.

– Tak właśnie się nazywał pani chłopak w rzeczywistości – odparł spokojnie.

– Aha – westchnęła i zmarszczyła brwi. Widać było zza szyby, że czynność ta sprawia jej nie lada problem. – Nie słyszałam nigdy tego nazwiska.

– Skoro pani tak twierdzi… – rzucił z przekąsem mężczyzna, dobrze wiedząc, że to kłamstwo.

– Nie wierzy mi pan.

– To, co myślę na pani temat, to moja sprawa. Ma pani mówić prawdę, jeżeli tego nie robi, stawia się pani w niezbyt korzystnym świetle.

– Ale… ja…

– Wiemy, że nie mówiła pani prawdy odnośnie do waszych spotkań. Miały one miejsce również u pani w domu. Chociaż w sumie mogła go zapraszać również pani córka.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego! – wykrzyczała nagle i uniosła się na rękach, jakby chciała wstać, ale widząc piorunujące spojrzenie prokuratora, od razu wróciła do poprzedniej pozycji.

– Z czym niby?

– Ze śmiercią Bartka. To ja go zabiłam – wydukała i zamknęła oczy.

– Świetnie, tylko już raz pani to zeznała i okazało się to kłamstwem, dlaczego teraz ma być inaczej?

– Wiem, ale teraz mówię prawdę. Ja go zabiłam! – Otworzyła oczy i spojrzała na prokuratora wzrokiem, od którego Czerwińskiej włoski stanęły na przedramionach. Było w nim jakieś nieopisane szaleństwo.

– Dobrze, proszę opowiedzieć, jak to się odbyło. Tylko tym razem zgodnie z prawdą. – Mężczyzna założył dłonie na brzuchu i czekał.

– On przyszedł do mnie i się pokłóciliśmy.

– O co? – wyszeptał Poniedziałek.

– Powiedział, że nie jestem dobrą matką. Zawsze miałam na tym punkcie świra. Zdenerwowałam się i go uderzyłam.

– Czym?

– Krzesłem, oberwał nóżką w głowę.

– Co było później? – dopytywał dalej cichym głosem, który Czerwińska wraz ze stojącym obok Kamińskim ledwo słyszeli zza weneckiego lustra.

– Nic. Wyszedł.

– I tyle?

– Tak. Ale czułam, że coś mu jest. Chciałam sprawdzić, dlatego zgłosiłam się do was. Musiałam sprawdzić, czy nie kona w swoim mieszkaniu. Ja nie zamierzałam go zabić. To był wypadek.

Prokurator wstał i wyszedł, zupełnie ignorując wątek romansu kobiety z ojcem chłopaka.

Rozdział 52

– To nie ona! – usłyszała Dorota Czerwińska, a dopiero po chwili zobaczyła dziewczynę.

Córka Jasińskiej stała naprzeciwko młodego policjanta obsługującego petentów i machała rękoma. Ten odpowiadał na jej zaczepki ze stoickim spokojem:

– Rozumiem, ale musi…

– Ja się panią zajmę. – Policjantka podeszła do pary. – Zapraszam – rzuciła i odwróciła się, nie dając pola do jakikolwiek dyskusji.

Gdy doszła do niewielkiej sali przesłuchań, otworzyła do niej drzwi i wpuściła kobietę do środka.

– Proszę dać mi chwilę. Zaraz wrócę.

Ta nie skomentowała tego, tylko kiwnęła głową. Policjantka wyciągnęła telefon i wybrała numer prokuratora. Po trzech sygnałach usłyszała jego głos:

– Tak? W czym mogę pomóc?

– Przyszła Karolina Jasińska – wyjaśniła.

– To pogadaj. Jak sama widziałaś, dopiero co skończyłem z matką, to teraz czas na kogoś innego.

– Jak pan chce. Jak skończę protokół, od razu prześlę.

Po pięciu minutach weszła z dwiema szklankami wody do pokoju przesłuchań, w którym czekała na nią dziewczyna. Mogła zaczekać na Marka, ale on powiedział, że nie wyrobi się tak szybko i sama ma z nią porozmawiać.

– Dzień dobry. – Policjantka uśmiechnęła się lekko na powitanie.

– Dobry – odpowiedziała ta. – Myślałam, że pogadam z tym facetem co poprzednio.

– Z prokuratorem Poniedziałkiem?

– Chyba tak, taki fajny facet. Muszę mu wszystko powiedzieć. Moja mama zwariowała i powiedziała stek bzdur. Ona nic nie zrobiła. To ja. A ona jak zawsze bierze na siebie ciężar moich błędów. Nie pozwolę na to. – Dziewczyna mówiła coraz szybciej, a jej powieki otwierały się i zamykały ze zwiększoną częstotliwością.

– Dobrze, proszę się uspokoić – powiedziała spokojnie policjantka, widząc zdenerwowanie rozmówczyni. – Od początku. Co się stało?

– Ten prokurator postawił mamie zarzuty. Prawnik powiedział, że się przyznała i nie chce ze mną rozmawiać. Tylko że ona nic nie zrobiła! – Ostatnie zdanie wykrzyczała.

– Rozumiem, że mówimy o zabójstwie Bartosza Krzemińskiego.

– Tak, chociaż ja cały czas nie mogę przyzwyczaić się do jego nazwiska. Brzmi jakoś… obco. Ale tak, o niego.

– Dlaczego twierdzi pani, że mama kłamie?

– Bo byłam tam. On gadał jakieś straszne rzeczy…

– Jakie?

– Że mama zniszczyła mu życie. Że jest najgorszą osobą, jaka chodziła po ziemi. Wyzywał. W kółko powtarzał, że zabiła jego rodziców. Ona zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, zresztą ja też. Byłam święcie przekonana, że oni się nie znają. Stałam w korytarzu, oni mnie nie widzieli, byli pochłonięci kłótnią, ale ja widziałam twarz mamy. Ona zupełnie nie kumała, o czym on mówi. Zresztą… jakoś… to do niej nie pasuje. Jakoś nie wyobrażam sobie mamy jako tej rozbijającej związki.

– I co dalej się stało? – Czerwińska przysunęła się bliżej stołu i oparła dłonie o jego blat.

– I wtedy wyjął jakieś zdjęcie. Nie widziałam go. Matka patrzyła na nie, a po policzkach poleciały jej łzy. Wtedy wyszeptała: „Ty jesteś Bartek, syn Romka?". On nie odpowiedział, tylko jeszcze głośniej zaczął krzyczeć. Popchnął ją. A ja… – Zamilkła, cały czas kręcąc głową na boki. – Nie wytrzymałam. Zakradłam się i walnęłam go krzesłem w głowę. Jezus Maria, gdybym mogła cofnąć czas… Nie uderzyłam go mocno. Od razu się odwrócił, spojrzał na mnie. Nigdy nie zapomnę jego oczu. Był w nich obłęd. Oparł się o kanapę i przysiadł. Nie leciała mu krew, oddychał normalnie, nie wyglądało to dramatycznie. – Znowu zrobiła przerwę, jakby przygniótł ją ciężar wypowiedzianych słów. – Wyprowadziłam matkę, krzyczała, wierzgała. Chciała mu coś wyjaśnić. Darła się, że kochała jego ojca. Wolałabym tego nie usłyszeć. Przyznała się do romansu z żonatym, mimo że całe życie gadała mi, jak trzeba uważnie lokować uczucia, aby przy okazji nie rozbić czyjejś relacji.

– Może nie chciała, aby pani popełniła jej błąd.

– Gówno mnie to obchodzi. Jestem za to na nią zła, ale nie pozwolę, aby odpowiedziała za coś, czego nie zrobiła ona. – Dziewczyna wytarła rękawem spływającą z nosa ciecz i spojrzała na policjantkę. – Posiedziałam z nią chwilę. Zrobiłam herbatę, położyłam ją do łóżka i gdy wróciłam do salonu, on już się ulotnił. Wyparował. Miałam nadzieję, że się jakoś wszystko rozejdzie po kościach. Posprzątałam, trzymałam matkę w domu, ale musiałam pojechać do pracy. Matka wpadła w panikę, wymyśliła, że on nie żyje, leży w swoim mieszkaniu martwy, więc poszła na policję. Gdy mi o tym powiedziała, myślałam, że umrę ze strachu. Kiedyś słyszałam, że jak jest dwóch sprawców i nie wiadomo który, to jest problem. Więc poszłam do was. Przepraszam. Spanikowałam. Człowiek robi głupoty pod wpływem emocji. Ale moja mama nie ma nic wspólnego z jego śmiercią, to ja zrobiłam. Musi mi pani uwierzyć – pisnęła, a jej kąciki ust opadły nisko.

– A co z jego mieszkaniem? Skąd ślady krwi?

– Nie wiem. Ja tam już po tym wszystkim nie byłam.

Czerwińska kiwnęła głową, zastanawiając się nad słowami dziewczyny.

Rozdział 53

– Która to zrobiła? – Marek postawił na szklanym stoliku dwie herbaty z malinami i cytryną, po czym usiadł obok Doroty.

– Cholera wie. – Wzruszyła ramionami i podciągnęła koc do góry. – Ja już się w tym wszystkim gubię. One obie są szemrane i jak dla mnie każda kłamie, aby chronić drugą.

– Nie dziwię się.

– Ja też nie, ale dla nas to średnia sytuacja. Prokurator był wściekły. Powiedział, że nigdy nie miał sprawy, gdzie dwie osoby zgłaszały się jako winne, wykluczając sprawstwo drugiej. Nie wiem, jak on do tego podejdzie.

– Nie chciałbym być w jego skórze. – Kamiński sięgnął po kubek gorącej herbaty i napił się łyka. – Tak naprawdę teraz wszystko w rękach technika, no i lekarza sądowego, bo będzie ciekawie, jeżeli się okaże, że któraś z nich walnęła go na tyle lekko, że o własnych siłach wyszedł z ich domu, poszedł do swojego mieszkania. Tam spakował część rzeczy wraz ze zdjęciami i pojechał do tego domku, niedaleko którego go znaleziono. Podobno właścicielem była jakaś znajoma jego ciotki, która wyjechała dawno temu do Niemiec i zupełnie o nim zapomniała. Pewnie kiedyś usłyszał o tym miejscu i postanowił je zająć do własnych celów.

– Oglądałam zdjęcia z jego przeszukania. Wszystko wskazuje, że on tam okresowo pomieszkiwał. Mnóstwo pamiątek po rodzicach, tak jakby zrobił tam…

– Sanktuarium ku ich czci – skończył za nią Marek.

– Właśnie. Ta historia jest megazakręcona. No i jest jeszcze śmierć Malwiny. Nie wiem, czy uda się ustalić, czy to faktycznie było samobójstwo, czy może on jednak jakoś maczał w tym palce.

– A mnie chyba bardziej zastanawia, co on planował w stosunku do pań Jasińskich, bo chyba nie ma przypadku w tym, że sypiał z obiema.

Rozdział 54

Kolejnego dnia Dorota Czerwińska dostała dostęp do znalezionego w domku laptopa Bartosza Krzemińskiego. Okazało się, że nie używał go tylko w ramach pracy, ale również – a właściwie przede wszystkim – do celów prywatnych.

Bartek prowadził coś na kształt pamiętnika, ale nie takiego zwykłego. Robił foldery, a do każdego wrzucał zdjęcia, filmiki, a czasami linki do stron.

Dokumentował wszystko od niemal pięciu lat.

Zaczęło się chwilę przed tym, jak zaczął się spotykać z Malwiną. Prokurator porozmawiał z jej bratem, rozdrapując nieco zagojoną ranę. Marcin Drozd nie był już tak miły w stosunku do Bartosza Krzemińskiego. Od razu podejrzewał go o związek ze śmiercią siostry.

Z notatek chłopaka wynikało, że Malwina początkowo faktycznie mu się podobała. Jak to pisał, zakochał się po raz pierwszy w życiu. Nigdy nie miał dziewczyny. Przed stratą rodziców średnio go interesowały, a później pokazywano go palcem. Był tym, którego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Tym, który został sam na świecie, co stanowiło dla rówieśników niezwykłą pożywkę, podstawę do naśmiewania się i dokuczania.

Gdy w końcu się od tego uwolnił, długo nie mógł się przemóc i stronił od ludzi. Dopiero gdy poznał Malwinę, przełamał się. Na zdjęciach, które znaleźli na dysku, widać było, że chyba w końcu dowiedział się, czym jest szczęście. Mnóstwo było fotografii z imprez, zarówno tych w klubach, jak i w domach czy na łonie natury. Jeździli na spływy, wycieczki górskie.

Ale w pewnym momencie wszystko się zmieniło. Po ponad roku ich znajomości napisał „Znalazłem ją", a obok narysowany w prostym programie graficznym samochód rozbity na drzewie. Nic więcej, ale Czerwińska wiedziała, co to oznacza. Musiał namierzyć Barbarę Jasińską, o której przypadkiem dowiedział się prawdy od swojej ciotki. Zgadzało się to z zeznaniami kobiety.

Od wtedy wspólne zdjęcia z Malwiną się zmieniły. W jego oczach pojawiło się coś niepokojącego. Jakiś diabeł.

Zauważywszy to, Dorota od razu zadzwoniła do brata Malwiny.

– Czy Bartosz zmienił się jakieś pół roku przed śmiercią pana siostry? – rzuciła po chwili grzecznościowej rozmowy.

– Tak – wydukał. – Malwa mówiła, że się od siebie oddalili. Ja to się cieszyłem, ale ona jak zwykle stanęła po jego stronie. Tłumaczyła, że przeżywa trudny okres, bo niedawno była rocznica śmierci jego rodziców, takie bzdety. Ale to ciągnęło się zbyt długo, aby o to mogło chodzić. Parę razy spojrzał na mnie, jakbym mu coś zrobił. Miał w sobie coś z diabła. Wiem, że w moich oczach jako jej brata chyba każdy chłopak byłby nieodpowiedni, ale ten Bartek…

Urwał w połowie zdania, jakby to, co miał powiedzieć, było czymś mało pochlebnym.

– Rozumiem. A czy siostra coś wspominała konkretniejszego? Coś jej zrobił?

– Nie. Mówiłem jej parę razy, że gdyby podniósł na nią rękę, od razu wylądowałby w szpitalu.

Nie dowiedziała się niczego więcej od Marcina Drozda, więc szperała dalej.

I wtedy coś znalazła. Patrzyła na zdjęcie i czuła, że w końcu ma przełom. Na fotografii była Malwina Drozd, leżała na kanapie.

Szybko odnalazła raport policyjny. Dokładnie w takiej pozie znalazł ją brat.

Przejrzała szybko zeznania Bartosza.

– Gdzie pan był wczoraj wieczorem?

– W domu.

– Nie widział się pan z Malwiną?

– Nie.

Czerwińska patrzyła na to i uśmiechnęła się smutno. Podejrzenia rodziny były jak najbardziej słuszne, ale nikt nie pociągnął sprawy wystarczająco skutecznie, aby dojść do prawdy.

Po chwili szoku ruszyła dalej. Kolejnym, na co trafiła, był folder o nazwie On, w którym znalazła dokumenty związane z chłopakiem, którego PESEL zabrał.

Piotr Magnuszewski.

Były tam między innymi zdjęcia, prawdopodobnie Piotra i Bartosza, zrobione w szpitalu psychiatrycznym. Stali

obok siebie i uśmiechali się do obiektywu. Zupełnie nie miała pomysłu, kto w takim miejscu mógłby robić zdjęcia, ale szybko znalazła odpowiedź.

W notatkach chłopaka odkryła imię i nazwisko kobiety. Kojarzyła je skądś. Szybko przejrzała dokumenty, które udało im się zgromadzić w ostatnich dniach. Okazało się, że była to lekarka ze szpitala, w którym chłopcy przebywali, a jej raport dotyczący zdrowia psychicznego dostała od ciotki chłopca.

– Dobry wieczór, przepraszam za porę – rzuciła, gdy tylko po drugiej stronie ktoś odebrał telefon. – Z tej strony starsza aspirant Dorota Czerwińska, czy rozmawiam z doktor Ireną Walczak?

– Tak, przy telefonie. Coś się stało?

– Niestety tak. Pani pacjent sprzed lat, Bartosz Krzemiński, nie żyje.

– O nie… – szepnęła, a po chwili do uszu Czerwińskiej dobiegł cichy płacz. – Zawsze się o niego bałam.

– Dlaczego? – zareagowała zdziwiona.

– Miałam wrażenie, że on prosi się o jakieś problemy. Że robi wszystko, aby stało się coś złego. Jakby mu wcale nie zależało na życiu.

– Nie rozumiem.

– Gdy przyjechał do nas, był w bardzo złym stanie. – Kobieta sapnęła przeciągle. – Jakaś jego część w ogóle nie dopuszczała do siebie informacji, że jego rodzice nie żyją. Powtarzał notorycznie, że zaraz przyjdzie mama, a tata to wyjechał, ale dzisiaj do niego dzwonił. Początkowo zastanawialiśmy się, czy są to oznaki jakichś poważniejszych zaburzeń, ale żadne testy tego nie potwierdziły. Wiadomo, czasami są przypadki, których nie da się nimi wykryć. Na szczęście po miesiącu terapii, systematycznych rozmów, trudnej pracy zaczął się z nami komunikować rzeczowo. Konkretnie. W końcu zaczął mówić o śmierci rodziców w… nie lubię tego słowa, ale inne nie pasuje… w normalny sposób.

– A dlaczego uważa pani, że prosił się o kłopoty? – Dorota spojrzała na zdjęcie ze szpitalnych czasów i przeszedł ja dreszcz. Chłopak, mimo że się uśmiechał, miał w sobie coś niepokojącego.

– Bartek zawsze robił coś, co powodowało, że szybciej biły nam serca. Na podwórku zaczepiał tych, do których nikt nie podchodził, bo każdy się bał na nich nawet spojrzeć. Innym razem zostawił swój nóż przed chłopakiem, który był pod szczególnym nadzorem, tak że nawet normalnych sztućców nie dostawał, bo dwa razy próbował sobie podciąć żyły. To nie był żaden ostry nóż, bo takich nie używamy w placówce, ale zawsze. To wyglądało, jakby prowokował jego reakcję. Jakby prowokował do zrobienia czegoś złego sobie albo jemu.

– Wie pani, dlaczego tak robił?

– Rozmawiałam z jego ciocią, która twierdziła, że wcześniej niczego takiego nie zauważyła. Możliwe, że utrata rodziców spowodowała, że w jakiś sposób uzależnił się od wyrzutów adrenaliny, a może to była forma samookaleczania, tylko sam nie miał odwagi, więc zaczepiał innych.

– A udało mu się to kiedyś? Odniósł sukces? – spytała Czerwińska, czując, jak dziwnie to brzmi w tym kontekście.

– Tak. – Kobieta wypuściła z płuc powietrze i ciężko sapnęła. – Testował wiele osób. Czasami wręcz go podziwiałam, bo bardzo długo zajmowało mu wkurzenie kogoś, ale on nie odpuszczał. Raz zaliczył wpadkę, a bardziej triumf, bo chyba o to mu chodziło.

– O matko – wtrąciła spontanicznie Czerwińska. – Co się stało?

– Wkurzył Bogdana, chłopaka, którego życie doświadczyło jak mało kogo. Najpierw ojciec z kolegami go molestował, a pewnego dnia pobił śmiertelnie jego matkę i zamknął chłopaka z jej ciałem w pomieszczeniu wielkości takiego gospodarczego. Bogdan siedział tam dwa dni, zanim go znalazła policja. Reagował nerwowo praktycznie na wszystko. Krzyki, dłuższe spojrzenie, no a Bartek chciał go sprawdzić. Siedział koło niego i rzucał małą piłeczką obok jego nogi. Na szczęście pielęgniarz odciągnął go w porę. Innym razem pstrykał. Widziałam, jak Bogdan na niego idzie, więc szybko ich rozdzieliliśmy, ale następnym razem nam się nie udało. Chłopak przywalił Bartkowi tak, że złamał mu żuchwę.

– I nadal uważaliście, że wszystko z nim w porządku?

– Wie pani, na tle wszystkich pacjentów, którzy u nas przebywali, on był raczej blisko normy. Zresztą idąc tym tropem, to każdy ma jakieś zaburzenia. Poza tym on jakoś wymykał się standardom. W takich przypadkach trudno jest postawić diagnozę, a bez niej nie możemy nikogo trzymać tu zbyt długo.

– Rozumiem, a proszę powiedzieć o jego relacjach z Piotrem Magnuszewskim.

– Można by rzec, że się kumplowali. To chyba jedyny chłopak, z którym Bartek regularnie rozmawiał.

– To pani zrobiła im zdjęcie? – wtrąciła nagle, a w odpowiedzi zapanowała dłuższa cisza.

– A skąd pani wie?

– Znalazłam je na dysku.

– No tak, Bartek wybłagał mnie, żebym mu je wysłała – zaśmiała się smutno. – Pierwszy raz miałam wrażenie, że mu na czymś zależy. Specjalnie je zeskanowałam, żeby mu wysłać mailem.

– Który pierwszy wyszedł?

– Piotrek. Rodzice wypisali go na żądanie, bo też na żądanie go u nas umieścili. Nie protestowaliśmy, bo wszystko było z nim okej, dlatego nie wiem, jak on…

– A co się stało? – spytała, mimo że znała już odpowiedź.

– Popełnił samobójstwo, tylko że on wcześniej nie wykazywał żadnych przejawów, które mogłyby wzbudzić naszą czujność. Mieliśmy przez to później problemy, bo rodzice chcieli nas oskarżyć o niedopełnienie obowiązków lub coś w tym stylu. Byliśmy kryci pod względem prawnym, bo to oni go zabrali, ale to mnie najmniej obchodziło. My z całym zespołem później bardzo skrupulatnie przeanalizowaliśmy wszystko i nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby wskazywać na jakieś samobójcze skłonności.

– A Bartek wiedział o tym, że kolega umarł?

– Tak, oczywiście – zareagowała kobieta pewnym głosem. – To było straszne, bo wyszedł niedługo po Piotrku. Chłopcy wymienili się adresami, co rzadko się zdarza. Z reguły ludzie są tu dla siebie mili, ale po wyjściu ich relacje się urywają. Ale oni się zżyli. Siedzieli godzinami w czytelni i pochłaniali kryminały i thrillery. Gdybym mogła, wyrzuciłabym je, bo za dużo w nich przemocy, ale jeżeli komuś pomagają, to nie ma co się kłócić. Pamiętam, jak Piotrek podnieconym głosem opowiadał wszystkim historię z książki, w której było dwóch facetów i jeden zabił drugiego, aby przejąć jego tożsamość i żyć jego życiem. Śmiali się z Bartkiem, że to byłoby super.

Czerwińska wstrzymała oddech, ale nic nie powiedziała. Po chwili lekarka kontynuowała:

– No i Bartek miał pojechać do Piotrka, ale dopiero jak ogarnie się z adaptacją w stolicy. Jego ciocia za naszą radą wynajęła mu mieszkanie czy pokój. Nie chcieliśmy, aby wracał na stare śmieci. Musiał się od tego odciąć. Zresztą ta kobieta miała w domu matkę z potworną demencją, która i tak już stanowiła dla niej wielkie wyzwanie. W Warszawie miała mu pomagać jakaś dalsza rodzina, więc nie miał być totalnie sam. Z tego, co wiem, to nie zdążył dotrzeć do Piotrka. Zapowiedział się, ale dzień czy dwa przed umówionym spotkaniem chłopak powiesił się w piwnicy. Rodzice w tym czasie smacznie spali. Gdy rano matka poszła go obudzić do szkoły, bo od razu po wyjściu od nas wrócił do technikum, a był już w czwartej klasie, nie znalazła go w łóżku, mimo że zawsze miał problemy ze wstawaniem. Zresztą tutaj też z nim były problemy. Zaczęła go szukać, ale w domu go nie było. Niedługo później zapukał jeden z sąsiadów i powiedział, że znaleziono w piwnicy jej syna. Martwego.

– Straszna tragedia…

– Wiem, próbowałam później porozmawiać z Bartkiem, ale jego ciocia powiedziała, że chwilowo nie ma z nim kontaktu. Jakoś się dowiedział i to go załamało. Raz z nią pogadał, płacząc, opowiedział o całej relacji z Piotrkiem i o spotkaniu, do którego nie doszło, a potem zamknął się w sobie.

– A czy… – Dorota zawiesiła głos, bojąc się tego, co chciała powiedzieć. – Czy jest opcja, że to Bartek zabił Piotra?

Zamiast szybkiej riposty w słuchawce ponownie zapadła głucha cisza.

– Kiedyś o tym myślałam, ale… – Lekarka sapnęła przeciągle. – Policja uznała, że to samobójstwo. Wszyscy to powtarzali, więc nie chciałam mącić. Poza tym nie miałam żadnych dowodów. Zupełnie nic, poza przelotną myślą, która nagle się pojawiła i szybko wyleciała z głowy. Ale to byłoby absurdalne i rodziło wiele pytań, z tym najbardziej przyziemnym: po co?

– Myśli pani, że Bartek byłby do tego zdolny? – Czerwińska nie odpuszczała.

– Na to ciężko tak jednoznacznie odpowiedzieć. Są osoby, które niestety mają w sobie ogromne zło, ale większość potrzebuje określonej sytuacji, aby wyszło z nich to, co najgorsze. Zresztą pani zna pewnie przypadki, gdy sprawcą okazywała się osoba, która była zupełnie poza kręgiem podejrzanych, a gdy się wydał jej udział, wszyscy byli w szoku. Ale tak to działa. Czasami na zasadzie, że kropla drąży skałę, dochodzi w ludziach do mikrozmian, niezauważalnych, a gdy przeleje się czara goryczy, wybuchają i potem nie ma co zbierać.

Czerwińska porozmawiała jeszcze chwilę z kobietą, po czym wróciła do dalszego przeglądania zawartości laptopa Bartosza Krzemińskiego.

Nie spodziewała się żadnych więcej rewelacji, gdy dotarła do folderu Suka. Od razu wiedziała, co tam zobaczy. Gdy go otworzyła, kiwnęła tylko głową potakująco i wrzuciła pokaz slajdów, uprzednio zaznaczając wszystkie znajdujące się w nim zdjęcia.

Dokumentowały one życie matki i córki, Karoliny i Barbary Jasińskich, w przeróżnych sytuacjach.

Na zakupach, przed domem, przed pracownią na Pradze.

Zdjęć było ponad trzysta, a najstarsze pochodziły sprzed ponad trzech lat. Powstały pół roku przed śmiercią Mal-

winy.

Zamknęła zdjęcia i kliknęła w notatkę, która również została umieszczona w folderze.

Aż klasnęła w dłonie.

Przysunęła się bliżej ekranu i zaczęła czytać:

- *Znaleźć je.*
- *Poznać dokładnie – gdzie pracują, co lubią.*
- *Spotkać, zaprzyjaźnić, rozkochać.*
- *Skłócić.*
- *Doprowadzić do tragedii (tylko jak, morderstwo, wypadek?).*

Wszystkie z nich, oprócz ostatniej, zostały odznaczone jako zrealizowane. Pod listą znajdowały się szczegółowe notatki na temat życia i upodobań obu kobiet.

Czerwińska patrzyła na te zapiski i zaśmiała się pod nosem. Chłopak zupełnie nie przewidział, że sam zginie w walce, którą rozpoczął. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że któraś z kobiet uderzyła go krzesłem w głowę. Jednak on, nieświadomy zagrożenia, pojechał do swojego mieszkania, o czym zawiadomił ich jeden z sąsiadów, który zadzwonił do nich, gdy dowiedział się, że policja szuka chłopaka. Opowiedział, że spotkał Bartosza, jak ten szedł z torbą podróżną. Zachowywał się dziwnie, ale starszy pan zignorował to i poszedł do domu.

Możliwe, że gdyby sąsiad zatrzymał chłopaka i pojechał z nim do szpitala, ten by żył. Tylko zostawało jedno pytanie, które miało zostać już na zawsze bez odpowiedzi. Czy gdyby został uratowany, zrealizowałby ostatni etap swojego planu?

Doprowadziłby do tragedii?

Rozdział 55

– Mam nadzieję, że przynajmniej dokonałaś jakiegoś przełomu w sprawie, skoro przez to postanowiłaś olać kolację z najlepszym ciachem w tym mieście – stwierdził Marek, gdy koło dwudziestej wszedł do ich gabinetu. Zupełnie zapomniała o bożym świecie i o tym, że umówiła się na siedemnastą na wczesny posiłek.

Dorota nie skomentowała przytyku, ale opowiedziała partnerowi o swoim odkryciu. Słuchał wszystkiego z wielkim zainteresowaniem, nie zadając w międzyczasie żadnych pytań.

– Trzeba wszystko sprawdzić. Może jednak jest coś w śmierci tego Piotra. Tylko z drugiej strony nie wiem, co nam to zmieni…

Czerwińska wyciągnęła nogi, a ręce wyrzuciła w górę. Jej ciało ostatnio pracowało na najwyższych obrotach, przyjmując spore dawki stresu związanego z prowadzonymi sprawami, a ona nie dawała mu ani chwili na odreagowanie w postaci treningu, jak to robiła przez długie lata.

– No właśnie, co to nam da? Nie wiem, czy nie lepiej teraz skupić się na ustaleniu, która z Jasińskich stoi za zabiciem Krzemińskiego.

– Masz rację, chociaż nie wiem, czy prokurator zdecyduje się na oskarżenie o zabójstwo, czy jednak nie będzie to ciężkie uszkodzenie ciała skutkujące śmiercią…

Czerwińska kiwnęła głową i obróciła się w stronę ekranu, w którego prawym górnym rogu wyskoczyło powiadomienie informujące o nowo otrzymanym mailu.

„DNA z miejsca zbrodni" – tak brzmiał jego tytuł.

Kliknęła wiadomość od technika, którego nazwiska zupełnie nie kojarzyła, ale ostatnio była taka rotacja, że nie stanowiło to nic nadzwyczajnego. Na ekranie ukazała jej się treść wiadomości:

„Na skrzyni, w której były dziewczynki, zabezpieczyliśmy pojedynczy ślad. Na szczęście jego właściciel znajduje się w naszej bazie. Podrzucam dane…"

Czerwińska zmarszczyła czoło. To była kolejna przełomowa wiadomość w ciągu ostatnich kilku godzin. Spisała dane wskazanego przez technika mężczyzny i wstała.

– Jedziemy – rzuciła do Marka, który nadal siedział w kurtce. Niestety tego dnia wiatr tak dął, że nawet ciepłe okrycie nie dawało rady, czego efektem było przemarznięcie do szpiku kości.

– Ale dokąd? Po co? – dopytywał, próbując czegoś się dowiedzieć, jednak skupiona na szczelnym zakładaniu szalika rzuciła tylko:

– Powiem ci w samochodzie.

– Okej. – Sięgnął po kubek gorącej herbaty, znad którego cały czas unosiła się gorąca para, i wypił kilka łyków.

Czerwińska włożyła kurtkę i ruszyli do wyjścia z komendy. Schodzili właśnie po schodach, gdy ujrzała przed sobą wchodzącą niespiesznie Zofię Grzelczyk. Wyglądała jeszcze gorzej niż poprzednio. Straciła kolejne kilogramy, a wystająca spod wielkiej czapki twarz miała niezdrowy ziemisty kolor.

– Cześć – mruknęła, próbując się uśmiechnąć. – Tak czułam, że jeszcze cię tu zastanę. – Spojrzała na Dorotę, po czym kiwnęła powitalnie na stojącego za koleżanką Marka.

– Lecimy sprawdzić jeden trop.

– Zajmę ci sekundę. Proszę. – Kąciki jej ust poleciały w dół, powodując, że twarz Zofii jeszcze bardziej posmutniała.

– Marek, możesz rozgrzać auto? Ja zaraz przyjdę.

On tylko kiwnął głową i po chwili zniknął za drzwiami prowadzącymi na zewnątrz. Kobiety zostały same na niewielkiej klatce schodowej, co potwierdzała panująca wokół cisza.

– Stało się coś? – odezwała się jako pierwsza Dorota Czerwińska.

Grzelczyk westchnęła i zamarła, jakby bała się odpowiedzieć. Nawet mimo grubej kurtki i rękawiczek na dłoniach cała dygotała.

– Zofia, co się dzieje? – Zeszła stopień w dół i stanęła na jej wysokości.

– Potrzebuję czegoś o sprawie tego aktora, jednorożca lub dziewczynek – wydusiła z siebie ledwo słyszalnym głosem.

– Wiesz, że nie mogę, szczególnie że jeszcze nic tutaj nie jest pewne.

– Boże, proszę cię, pomóż mi – wydukała płaczliwym głosem, a po jej prawym policzku popłynęła samotna łza. – On chce powiedzieć mamie, że wie, i nie omieszka podzielić się tą wiedzą ze światem.

Dorota próbowała przechwycić spojrzenie koleżanki, ale ta skutecznie go unikała, mimo że stały w odległości mniejszej niż metr.

– Musisz komuś o tym powiedzieć. – Złapała ją delikatnie za ramiona po bokach. – To się nie może ciągnąć w nieskończoność.

– Ale wtedy on jej powie! – W końcu Grzelczyk uniosła na nią wzrok, ale Dorota od razu tego pożałowała. W jej spojrzeniu był przejmujący strach. – Mama jest na skraju załamania. Zdiagnozowano u niej raka.

– O matko.… – szepnęła i zasłoniła ręką usta, zdejmując jedną dłoń z ramienia koleżanki. – Boże, tak mi przykro.

– Na szczęście to jeden z łagodniejszych, tarczycy, no i jest bardzo mały. Lekarz powiedział, że są bardzo duże szanse na pełne wyzdrowienie, ale mama bardzo to przeżywa. Zawsze miała skłonności do przesady i myślę, że śmiało można nazwać ją hipochondryczką, ale widzę, jak jest jej ciężko. Nie chcę, aby ktoś jeszcze ją stresował. Jak gdzieś pójdę z tym szantażem, na sto procent zaczną wszystko wałkować od początku, a jak wypłynie to do prasy, to ją to zniszczy. Błagam cię, pomóż mi.

– Daj mi chwilę, zastanowię się. Teraz muszę lecieć, mamy ślad w sprawie… – Urwała, bo Zofia na te słowa zmrużyła oczy. – Nieważne. Muszę pędzić. Zadzwonię później.

Rozdział 56

– Dobrze jedziemy? – spytał Kamiński, gdy zjechali z drogi gruntowej i skręcili w las.

– Taki adres dostałam od tego technika.

– Którego?

– Nie pamiętam. – Zdjęła czapkę, która zaczęła drapać ją w głowę. Google Maps pokazywało, że do celu mają jeszcze dwieście metrów.

– Trzeba było najpierw sprawdzić gościa…

– I umówić się z nim? – prychnęła. – Dzień dobry, czy to pan zabił dwie niewinne dziewczynki? Może możemy wpaść do pana i chwilę pogadać? Oczywiście o nic pana nie podejrzewamy – powiedziała szyderczo.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Pchamy się teraz do ciemnego lasu, nie wiemy, czego się spodziewać. – Kamiński popchnął wajchę świateł, zapominając, że długie ma już włączone.

– Okej, odpuszczam. Rób, co chcesz. – Uniosła dłonie w geście kapitulacji.

Mężczyzna nawet nie zareagował, jadąc dalej wąską piaszczystą drogą.

W końcu ujrzeli dom. Gdy podjechali bliżej, dostrzegli rusztowania stojące przy każdej ze ścian. Leżące nieopodal sterty styropianu świadczyły o szykującym się ocieplaniu.

W środku paliło się pojedyncze światło, a przed budynkiem stał czerwony opel corsa. Czerwińska spisała dane samochodu i wraz z adresem, pod który właśnie zajechali, wysłała dyżurnemu. Jej wewnętrzny cykor kazał jej to zrobić.

Wysiedli z samochodu i od razu otoczył ich lodowaty wiatr, który szukał chociażby najmniejszego otworu, aby wedrzeć się pod kurtkę, czapkę czy w nogawki spodni. Nie wiedząc, co zastaną, ruszyli do furtki. Nigdzie, ani na elewacji, ani ogrodzeniu, nie znaleźli adresu, chociaż Google twierdziło, że podjechali pod właściwy dom.

– Przyjemne miejsce – przerwał ciszę Kamiński i nacisnął dzwonek zamontowany obok krzywych drzwiczek. Od razu zauważył, że nie są zamknięte, ale wolał kurtuazyjnie najpierw zadzwonić.

– Ktoś jest w domu. – Czerwińska głową pokazała na ruch w oknie, a dokładniej na kołyszącą się zasłonę.

– No dobra, uznajmy, że dzwonek nie działa – skomentował policjant, mimo że oboje usłyszeli, jak w budynku coś zabrzęczało.

Popchnęli służącą za furtkę konstrukcję, która lekko podskakując, przesunęła się na bok. Pokonali kilkanaście metrów, idąc błotnistą ścieżką. Przy każdym kroku buty im się zapadały, grzęznąc w brunatnej mazi.

Obserwując otoczenie, weszli po kilku schodkach na ganek, a policjantka walnęła pięścią w drzwi.

– Policja, proszę otwierać! – wrzasnęła i spojrzała na Marka. Ten jak zwykle posłał jej uśmiech wprawiający jej serce w szybsze bicie.

– Może…

Nie skończył, bo w tym momencie huknęło, a jego ciałem wstrząsnęła jakaś niewidzialna moc, wyleciał do tyłu i z impetem runął w błoto u dołu schodów.

W pierwszej sekundzie Czerwińska zupełnie nie załapała, co się stało. Stała jak zamurowana, jakby ktoś rzucił na nią czar. Kilka sekund później klęczała przy Marku, zapominając o wszelkich zasadach bezpieczeństwa. W środku był ktoś, kto ich zaatakował. W każdej sekundzie mógł wyjść i powtórzyć to, co zrobił. Jednak teraz to się nie liczyło.

Rozpięła jego kurtkę i zaczęła szukać rany. Gdy ją znalazła, odetchnęła. Krew sączyła się z ramienia. Staw barkowy był trudny do składania po postrzale, ale zdecydowanie lepiej, że przyjął kulkę tutaj, a nie w serce lub płuca. Był nieprzytomny, ale Dorota sądziła, że to wynik upadku i szoku, a nie urazu.

Już chciała sięgnąć po schowany w kieszeni telefon, gdy zabrakło jej powietrza. Tak jakby ktoś zgniótł jej klatkę piersiową. Sprawiło to kopnięcie wymierzone wielkim, czarnym wojskowym butem, pod wpływem którego upadła koło Marka na błotnistą trawę. W panice łapała oddech, próbując dojść do siebie.

– Leż tu, suko – usłyszała warknięcie.

Dopiero teraz dojrzała mężczyznę. Był ubrany cały w ciuchy moro, łącznie z czapką, a twarz przybrudził sobie farbą albo błotem, aby jej kolor nie był widoczny z daleka. Tylko białka oczu powodowały, że dostrzegała go w mroku. W dłoni trzymał broń.

– Nie wiem czemu, ale liczyłem, że wpadniesz sama. – Zrobił krok w jej stronę i przykucnął. – Fajnie było się

z wami bawić, ale myślałem, że jesteście bardziej kumaci. Nawet ja wiem, że nie ma zbrodni idealnej i cokolwiek powinniście znaleźć.

– Wiemy, kim jesteś – skłamała. Powoli wsunęła rękę do kieszeni kurtki, w której miała telefon. W tym momencie cieszyła się, że leży na boku, a brak dobrego oświetlenia dawał jej chwilową przewagę.

– Gówno wiecie. Gdybyście wiedzieli, nie dalibyście się nabrać na moją podpuchę.

– Podpuchę? – powtórzyła po nim, cały czas macając wnętrze kieszeni. Powoli obróciła telefon, tak aby móc wpisać kod. Kiedyś bawiła się z Kasią we wpisywanie kodu do telefonu i wybieranie numeru z zamkniętymi oczami i wtedy jej się to udało. Liczyła na powtórkę, tylko że teraz nie tylko musiała poprawnie obsłużyć telefon, ale też rozmawiać z psychopatą, który stał nad nią i wymachiwał bronią.

– Myślisz, że czemu tu jesteście? – Pochylił się jeszcze bliżej i dotknął lufą pistoletu jej twarzy. Zamarła. Dłoń w kieszeni zawisła nad trzecią cyfrą z czterech, które musiała wpisać, ignorując zimny metal, który przesuwał się po jej twarzy. – Buuum! – Przycisnął go mocniej do jej czoła i zaczął się śmiać, po czym zabrał na chwilę broń.

Poczuła, jak po plecach krople potu leją się potokiem, a jej ciało drzy, jakby miała czterdzieści stopni gorączki. Wcisnęła ostatnią cyfrę, próbując nie słuchać tego strasznego dźwięku wydobywającego się z ust mężczyzny.

– Nie denerwuj się. – Ponownie zbliżył się do niej i pogłaskał ją po głowie. – Na razie cię nie zabiję. Też chcę mieć coś od życia. – Puścił jej oczko i stanął przy Marku.

Teraz musiała wybrać odpowiednią kombinację, aby dodzwonić się do kogoś, kto zareaguje właściwie, a nie uzna tego za przypadkowe połączenie czy żart.

Wiedziała, jak wybrać numer Kasi.

Wcisnęła odpowiedni układ przycisków i czekała.

Poczuła, że napięcie w jej ciele lekko się luzuje. Mieli szanse!

Przyjaciółka zazwyczaj odbierała po kilku sygnałach, bo nigdy nie miała telefonu przy sobie.

Zrobiła głęboki wdech i wysunęła aparat do góry, jakby chciała wyciągnąć go z kieszeni, ale nie zrobiła tego. Chciała tylko, aby przyjaciółka ją słyszała.

– Policja niedługo tu będzie. Mają wszystkie dane, aby tu dotrzeć – zaczęła. W tym momencie mężczyzna oblizał wargi w sposób tak obrzydliwy, że Czerwińska prawie zwymiotowała. – Każdy chce dopaść mordercę tych ludzi. Norbert Dutkiewicz, Jakub Wronkowski, bliźniaczki i dziewięć osób zabitych przez wypadek z motocyklem… Oni wszyscy mają bliskich i dla nich doprowadzimy sprawę do końca.

Mężczyzna patrzył na nią nienawistnym spojrzeniem.

– Nie masz szans wyjść z tego bez szwanku.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, ale nie przywodził on na myśl niczego miłego.

– Ty na pewno – warknęła butnie.

Mężczyzna odwrócił się w stronę Marka i zrobił krok w jego stronę. Patrzył na niego zdecydowanie za długo. Nie wiedziała, co chce zrobić, ale była pewna, że nic dobrego. Po chwili po okolicy rozszedł się jej wrzask, gdy pod wpływem silnego ciosu głowa Marka odskoczyła na bok, a z jego ust poleciała krew. Rzuciła się w jego stronę, zupełnie zapominając o telefonie w kurtce.

– Jezu, Marek… – Dotknęła jego twarzy. Wyglądał jak nie on. Uśmiechnięta twarz zmieniła się w zalaną krwią maskę bez życia. – Błagam, Marek! Nie!!!

Położyła dłoń na jego klatce piersiowej, chcąc wybadać, czy oddycha, ale nic nie poczuła.

Nie zdążyła.

Powstrzymało ją szarpnięcie w tył i kolejny cios w brzuch.

A potem wszystko spowiła ciemność.

Rozdział 57

Gdy otworzyła oczy, siedziała na drewnianym krześle, a ręce miała skrępowane za plecami.

– Obudziła się królewna! – usłyszała.

Obdrapane pomieszczenie wyglądało, jakby nikt nie mieszkał w nim od wielu lat. Śmierdziało moczem, wilgocią, a z sufitu odpadał tynk. Jej wzrok od razu przeskanował pokój i spoczął na leżącym w kącie Marku. Zmrużyła oczy, próbując złapać ostrość, a wtedy jej ulżyło. Oddychał. Ruszył nawet delikatnie ręką. Wyglądał tragicznie, ale żył i to było najważniejsze.

– Czego chcesz? – wycedziła przez zaciśnięte zęby, mimo że cisnęły jej się na usta najgorsze ze znanych przekleństw. Po tym, co się stało, wiedziała, że nie może ponownie go wkurzyć, bo może skończyć się to dla niej tragicznie.

– Pokoju na świecie, eliminacji plastiku… – zaczął wymieniać i zaśmiał się na głos, jakby powiedział coś śmiesznego. Po chwili podszedł do niej bliżej. Pewnie w normalnych okolicznościach stwierdziłaby, że jest przystojny. Teraz miała ochotę rzucić się na niego i udusić gołymi rękoma, jednak więzy krępujące ją z tyłu ograniczały jej ruchy do minimum. – A tak serio, to podoba mi się ta zabawa z wami. – Przejechał palcem wskazującym prawej dłoni po jej policzku. – Zabijanie ludzi i patrzenie, jak się silicie i gówno wam wychodzi. Jesteście jak dzieci w przedszkolu, co nic nie ogarniają. Już dawno mogliście mnie namierzyć. Stałem w tym centrum handlowym chyba ze dwie godziny. Widziałem nawet ciebie w akcji. – Dotknął jej dolnej wargi, przejechał opuszką od lewego kącika do prawego. – Wyglądałaś naprawdę ponętnie. Tylko szkoda, że za tym nie idzie inteligencja. – Uderzył ją w głowę i odsunął się.

– Ale dlaczego ich zabiłeś? – spytała Czerwińska, obserwując go bacznie.

– Po prostu, bo mogłem. Bo po ojcu odziedziczyłem gen zabójcy. – Zaśmiał się. – Bo debili trzeba eliminować. Kiedyś zjadały ich lwy, a teraz nie ma już tej naturalnej selekcji, więc należy ją wspomagać – opowiadał z dumą w głosie. – Na szczęście możliwości mam co nie miara. Wystarczy włączyć pierwszy lepszy serwis plotkowy, wejść na Facebooka i gotowe. Pewnie zastanawiasz się, czemu tak kombinowałem. – Chwycił za stojące niedaleko krzesło, obrócił je oparciem do niej i usiadł okrakiem skierowany w stronę policjantki. – Mógłbym sobie postrzelać do nich jak do twojego kochasia, ale to byłoby za proste. Wymyślanie, jak można zabijać ludzi w nietypowy sposób, to niezła zabawa. – Ponownie się zaśmiał.

– Nas nie musisz…

Nie dokończyła, bo usłyszała trzaśniecie furtki.

Mężczyzna jednym ruchem wydobył zza paska broń i wycelował w kąt, gdzie siedział Marek.

Pomieszczenie wypełnił ogłuszający huk wystrzałów.

Trzech z rzędu.

Rozdział 58

Trzy godziny wcześniej

Zofia obejrzała się za siebie. Nie mogła pozwolić, aby ktoś ją zobaczył. Zbyt wiele ryzykowała. Jak sama praca stanowiła dla niej ważny element życia i jej utrata byłaby bolesna, tak kłopoty rodziny stanowiły powód, dla którego musiała zaryzykować. Chciała po raz pierwszy w życiu zrobić coś dla matki, która tak wiele poświęciła dla niej i jej rodzeństwa, aby mogli żyć w miarę normalnie.

Miała pewność, że Doroty przez jakiś czas nie będzie na komendzie. Na bank nie wróci przez co najmniej godzinę, o ile nie dłużej.

Wspięła się na drugie piętro, nikogo nie mijając. Weszła na korytarz i wzięła głęboki oddech niczym nurek przed zejściem pod wodę. Szczęście wyjątkowo jej sprzyjało – o tej porze na komendzie nie było zbyt wielu osób.

Weszła do pomieszczenia, które wcześniej dzieliła z Czerwińską, i zamknęła za sobą drzwi. Postawiła obok kosz na śmieci jako system alarmowy.

Musiała załatwić sprawę jak najszybciej. Jej szantażysta żądał jakichś pikantnych detali bieżących spraw. Zaczęła od przeglądania akt leżących na biurku. Zrobiła zdjęcia kilku stron raportu z sekcji zwłok bliźniaczek, po czym zabrała się za wertowanie papierów dotyczących aktora. Dwóch pozostałych teczek nie znalazła.

Podeszła do biurka Kamińskiego i zaczęła szukać na nim. Marek zdecydowanie lepiej panował nad chaosem, więc szybko znalazła potrzebne dokumenty pod teczkami dwóch kobiet o tym samym nazwisku. Przejrzała teczkę Oliviera Pawłowskiego i BobyLona, robiąc kolejne zdjęcia.

Wróciła do biurka Czerwińskiej i usiadła na jej krześle. Już chciała wyjść, gdy postanowiła sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Włączyła komputer. Ten jak zawsze uruchamiał się powoli, jakby na złość. Jakby dobrze wiedział, że Grzelczyk się spieszy, i chciał jej pokazać, kto tu rządzi.

W końcu pojawił się ekran ze zdjęciem z widokiem na błękitne morze na tapecie, a na środku okno do wpisania danych logowania.

Uśmiechnęła się do siebie i bez wahania wpisała hasło. Zaskoczyło od razu.

Gdy Dorota zaczynała tu pracę, to ona pomogła wymyślić jej kod dostępu do komputera. Nie sądziła, że kiedyś przyda jej się to w takich okolicznościach.

Kilka sekund później na ekranie ukazała się ostatnia wiadomość, którą Dorota przeczytała. Zofia aż podskoczyła z radości. Było to wszystko, czego potrzebowała.

Odblokowała swój telefon i wysłała wiadomość tekstową do człowieka, którego szczerze nienawidziła.

Rozdział 59

Pięć godzin wcześniej

Siedział przed komputerem i śmiał się sam do siebie.

Już kiedyś przetestował taki myk i wiedział, że ludzie zupełnie nie zwracają uwagi na adresy mailowe, z których dostają wiadomości, o ile te mają sens i wpisują się w jakąś całość.

Dwa lata wcześniej musiał dostać się do mieszkania koleżanki. Chciał ustawić u niej kamerkę i może nagrać coś pikantnego. Od jakiegoś czasu wkurzała go niemiłosiernie, podkradając klientów. Mógł ją potrącić na parkingu, ale to byłoby zbyt proste. Chciał mieć nad nią przewagę psychologiczną.

Kluczyki do jej domu dorobił już jakiś czas wcześniej, po tym jak wyciągnął je rano z jej torebki, gdy była na porannej kawie. Szybko w małym zakładziku obok ich budynku dorobił cały komplet i po południu podrzucił jej z powrotem oryginalne klucze na jej breloczku.

Gdy w końcu zdecydował się je wykorzystać, musiał jakoś spowodować, aby przez kilka godzin była w bezpiecznej odległości, gdy on będzie ustawiał sprzęt. Niewiele myśląc, stworzył adres mailowy, bardzo zbliżony do tego, którym posługiwał się jej najważniejszy klient, po czym napisał maila z zaproszeniem na spotkanie na drugim końcu Warszawy. Słyszał nawet, jak rzuca bluzgi, że musi tam jechać, co oznaczało pełen sukces.

Wtedy skończyło się tym, że wkurzająca koleżanka zrezygnowała z pracy, gdy zaczął jej wysyłać filmiki z jej domu w dość intymnych sytuacjach z dwoma mężczyznami, z którymi się spotykała równolegle.

Teraz jednak planował bardziej spektakularny koniec. Liczył tylko, że kobieta się nie zorientuje, że maila, którego dostała, nie wysłał z nikt z komendy.

Zupełnie nie przejmował się tym, że prędzej czy później wyjdzie to na jaw.

Wtedy to nie będzie miało już znaczenia.

Rozdział 60

Czerwińska szarpnęła raz jeszcze rękoma, cały czas krzycząc jak opętana.

Oprawcy nie było, zaalarmowany odgłosami z podwórka zbiegł na dół.

Jednak ona zupełnie to zignorowała.

Wszystko poza Markiem przestało mieć znaczenie.

Bujnęła się raz i drugi i z łoskotem uderzyła o ziemię. Pewnie w normalnych warunkach poczułaby rozdzierający ból, który rozchodził się od barku, ale nawet go nie zanotowała. Powolnym ruchami, niczym jakiś robak, przemieszczała się w stronę partnera. Gdy była w odległości metra, usłyszała strzały dochodzące z dołu, a później dudnienie kroków na schodach. Dopiero teraz zanotowała, że ktoś wbiegł na piętro. Wcześniej tego nie wychwyciła.

– Nic ci nie jest? – usłyszała znajomy głos, ale zupełnie nie wiedziała, do kogo należał. Zakryta kominiarką twarz stanowiła zagadkę. Po chwili pojawili się następni policjanci.

Nagle pomieszczenie zalała fala ludzi. Każdy z dezaprobatą kiwał głową, rzucajac pod nosem bluzgami.

– Pomóżcie mu – wyszeptała i gdy tylko wyswobodzono ją z więzów, doskoczyła do Marka.

Nie oddychał.

– Gdzie jest karetka?! – zaczęła krzyczeć, wykonując przy tym dynamiczne uciski klatki piersiowej.

Rozdział 61

Tydzień później

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżący na szpitalnym łóżku Michał Drag dawno by nie żył. Od kiedy trafił do szpitala dwukrotnie postrzelony, nikt nie był mu przychylny.

Lotem błyskawicy rozeszła się informacja, jaki był jego udział w akcji, i gardziła nim każda napotkana osoba.

Teraz, po tygodniu od tragedii, lekarz prowadzący zgodził się na przeprowadzenie przesłuchania. Wcześniej nie zrobił tego nie z obawy o jego życie, ale ponieważ tkwiąca w przełyku rurka utrudniała mówienie. W innych okolicznościach zapewne zaczekałby, aby pacjent doszedł do siebie, ale nie miał skrupułów.

Prokurator Kacper Bartoszewski nacisnął przycisk na dyktafonie i zaczął:

– Przesłuchanie Michała Draga, dzisiaj jest piąty maja dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku, prowadzący prokurator Kacper Bartoszewski. – Jego głos brzmiał jak generowany przez maszynę, jednak zaciśnięte w pięści dłonie świadczyły, że jest człowiekiem. I to wypełnionym po brzegi emocjami. – Imię i nazwisko?

– Michał Drag.

– Data i miejsce urodzenia?

– Czternasty maja dziewięćdziesiątego szóstego roku, Warszawa. – Głos leżącego na łóżku był ledwo słyszalny.

– Czym się pan zajmuje na co dzień?

– Jestem dziennikarzem.

– Gdzie pan pracuje? – Prokurator mierzył mężczyznę wzrokiem, starając się oddychać spokojnie. Poprosiła go o to koleżanka, która przez dłuższy czas próbowała go przekonać, aby zabrał ją ze sobą. Odmówił, ale obiecał, że nie zrobi niczego głupiego.

– W kilku redakcjach. W zależności od tematu i kalibru sprawy, wysyłam materiały do różnych gazet czy portali.

– Skąd zna pan podkomisarz Zofię Grzelczyk?

W sali zapanowała cisza. Mężczyzna zamknął oczy. Na szpitalnym łóżku, w piżamie, wyglądał, jakby spał.

– Nie znam jej – odpowiedział i otworzył oczy.

Przez te kilka chwil jego białka zaczerwieniły się, jakby pod zamkniętymi powiekami płakał. Prokurator sapnął. Możliwe, że w normalnych warunkach już by zaczął krzyczeć. Teraz musiał się powstrzymać. Drag mógł spokojnie wezwać adwokata i odmówić składania wyjaśnień lub nie odpowiedzieć na część pytań. Jednak jak dotąd tego nie zrobił.

– To dlaczego pan do niej pisał? Do niej i jej rodzeństwa.

Ponownie zamknął oczy, a na jego policzku pojawiła się pojedyncza łza.

– Szantażowałem ją. Zresztą nie tylko ją. Udało mi się odkryć parę tajemnic funkcjonariuszy. – Otworzył oczy i wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby.

– O innych porozmawiamy później. Teraz interesuje mnie tylko Grzelczyk. Dlaczego ona? Co pan na nią miał?

– Przypadek, nic poważnego. – Delikatnie wzruszył ramionami i pokręcił głową na boki. Mimo wszystko postanowił nie zdradzać tajemnicy policjantki. – Szukałem kogokolwiek. Jej brat okazał się bardzo gadatliwy, a później jakoś samo poszło… Ja naprawdę nie chciałem! – zapiszczał i zacisnął na pościeli dłoń. – To wszystko miało być inaczej.

– Jak?

– Miałem mieć źródło w policji. Mieliśmy współpracować, pomagać sobie.

Prokurator zaśmiał się na głos.

– Pan sobie, kurwa, jaja robi? Naoglądał się durnych amerykańskich filmów? – Bartoszewski uniósł się na chwilę, ale momentalnie opadł, czując, że musi się uspokoić.

– Nie wiem, nie wiem, co sobie myślałem.

– Proszę mi powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło tego feralnego wieczoru.

Mężczyzna przekrzywił głowę w stronę okna. Znajdowali się na trzecim piętrze, więc nie widział tam nic poza stojącym kilkanaście metrów obok kolejnym budynkiem szpitalnym. Jednak widok ten był zdecydowanie lepszy niż twarz prokuratora, który wyglądał niczym groźny zwierz chwilę przed skokiem na swoją ofiarę.

– Ta policjantka wysłała mi jakiś adres. Nie wierzyłem, że to coś związanego ze sprawą. Bałem się, że robi sobie jaja, mimo że ją non stop straszyłem. – Zawiesił głos i przeniósł wzrok na prokuratora. Ten nie zmienił wyrazu twarzy, cały czas zaciskał szczęki, a na jego skroni pulsowała żyła. – Gdy podjechałem, było przeraźliwie ciemno. Zaparkowałem kawałek od domu. Nic nie słyszałem, więc ruszyłem.

– Nie wpadł pan na to, żeby kogoś wezwać?! – krzyknął prokurator.

– Skąd miałem wiedzieć, że on coś im zrobił? Myślałem, że to podpucha. Dopiero gdy usłyszałem strzały…

W tym momencie jedno z urządzeń zaczęło piszczeć. Najpierw cicho, a z każdą sekundą coraz głośniej. Bartoszewski wstał na równe nogi i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że mężczyzna odpłynął. Już chciał wstać i ruszyć po pomoc, gdy do pokoju wpadły dwie pielęgniarki.

– Proszę natychmiast wyjść – rzuciła jedna z nich.

– Kurwa – wypowiedział bezdźwięcznie.

Nie była to bynajmniej oznaka współczucia dla człowieka, który kilka metrów od niego walczył o życie. Miał nadzieję, że przeżyje i będzie mógł długie lata spędzić w więzieniu, zastanawiając się, czy było warto. Gdyby nie jego nagłe pojawienie się, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Na miejsce dojeżdżała już ekipa antyterrorystów, którą uruchomił telefon przyjaciółki Doroty na policję. Chwilę zajęło jej wyjaśnienie sytuacji, a dokładniej dziwnego połączenia, które odebrała. Na szczęście szybko zorganizowano ekipę, a ta ruszyła pod adres, który, jak się okazało, miał już dyżurny.

Spóźnili się o kilka minut. Tyle jednak wystarczyło, aby bezmyślny dziennikarz swoim myszkowaniem sprowokował mordercę do najgorszego.

Epilog

Rok później

Dorota usiadła na tarasie i spojrzała na synka bawiącego się na przydomowym placu zabaw. Wyglądał na szczęśliwego. Wchodził do małego drewnianego domku, do którego naznosił zabawek ze swojego pokoju, i bawił się samochodzikami.

Dużo by dała, żeby też tak się czuć. Czasami zazdrościła mu tego, że tak niewiele pamięta. Za kilka lat już pewnie żaden obraz z udziałem taty nie będzie mieszkał w jego umyśle.

Nie miał za czym płakać.

Nie miał za czym tęsknić.

W przeciwieństwie do niej.

Każdej nocy wtulała się w sweter Marka, wmawiając sobie, że jeszcze nim pachnie.

Czasami jej się śnił. Wchodził do ich nowego domu w Suchodole, który kupiła i z pomocą Kasi wyremontowała. Uśmiechał się od progu i szedł ją przytulić. Siadał w bujanym fotelu na ganku i patrzył na młodego, który cały czas biegał po podwórku, jakby był zasilany bateriami słonecznymi w bezchmurny dzień. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Śmiali się, przytulali, żyli.

Niestety każdy taki sen kończył się tak samo.

Rozczarowaniem.

Histerią.

Totalną niemocą.

„Na szczęście jest jeszcze on", powtarzała sobie, próbując wstać z łóżka.

Mały człowiek, którego ciepło dawało jej ukojenie.

Tego samego dnia, gdy Marek umarł, przeniosła łóżeczko syna do sypialni.

Ich sypialni.

Nie była w stanie spać sama. Bała się, że gdyby tego nie zrobiła, pewnego dnia po prostu by się nie obudziła.

– Jesteś? – Z letargu wyrwał ją głos przyjaciółki. Jak zwykle objuczona torbami weszła jak do siebie. Już dawno przestała się ceregielić. Właściwie Dorota cieszyła się z tego powodu i zdecydowanie za rzadko dziękowała. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale jutro wpada Tymek. Masz już przygotowane jedzenie?

Dorota aż parsknęła. Przyjaciółka ostatnio rozbawiała ją na każdym kroku i to były krótkie chwile, gdy zapominała, a świat robił się minimalnie mniej ponury i szary.

– Tak – wyszeptała.

– To super. Mamy co opijać. – Stanęła przed nią i wyjęła z torby paczkę, której bała się, jakby zawierała bombę.

Miesiąc po śmierci Marka mały spał w ich łóżku, a ona usiadła na kanapie. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Telewizji nie włączała, chyba że mały miał wielką ochotę na jakąś bajkę, co zdarzało się dość rzadko.

Muzyka zaczęła ją drażnić. Każda była zbyt radosna.

Na stoliku przed nią walały się kartki z rysunkami, które robiła z Mikusiem. Większość zarysowana, ale i kilka czystych. Sięgnęła po jedną, której młody nie udekorował kolorowymi mazami mającymi przypominać słonia lub kotka.

Patrzyła na nią przez dobre kilka minut. W końcu zgarnęła najbardziej zatemperowaną kredkę. Czerwoną. Przypomniała sobie wtedy słowa Izabeli Dutkiewicz o potędze pisania i wyrzucania w ten sposób swoich myśli. I zupełnie nie wiedząc dlaczego, zaczęła skrobać. Minuty płynęły, a ona pisała. Dopiero nad ranem dziecięcy głos, który dochodził z sypialni, wyrwał ją z jakiegoś amoku.

Twórczego obłędu, który dał jej chwilową ulgę.

Od tego czasu pisała.

Na początku na kartkach, kredką, mazakiem, czymkolwiek, co miała pod ręką.

Potem na komputerze.

Po dwóch miesiącach przyłapała ją Kasia. Stała przez kilka minut w salonie i obserwowała, jak przyjaciółka znika

w swoim świecie, gdzie są tylko jej myśli, klawiatura i ekran. Dorota nie miała wyjścia, musiała zdradzić, co robi, inaczej nie dałaby jej spokoju.

A później jakoś całość zaczęła żyć swoim życiem. Kasia zmusiła ją, aby wydrukowała jej kilka stron. Skontaktowała się z siostrą Marcina, która pracowała jako redaktorka w wydawnictwie. Ta zachwyciła się stylem pisania Doroty. Obiecała, że zrobi wszystko, aby cały kraj poznał powieść, a właściwie fabularyzowany dziennik byłej policjantki, pokazujący emocjonalną stronę służby, a także śmierć ukochanego.

Nie musiała się ujawniać, za co była wdzięczna. Jakoś myśl, że wszyscy z komendy w Suchodole czy Warszawie poznają jej najskrytsze przemyślenia, ją przerażała. Wiele w książce zmieniła, tak aby nikt poza paroma osobami nie mógł jej zidentyfikować.

Kasia zostawiła pudełko i wyszła.

Pierwsza łza spłynęła, gdy tylko Dorota wzięła je do rąk.

Przez chwilę trzymała w dłoniach, aż w końcu zaczęła zrywać folię.

Gdy się z nią uporała, przecięła nożem taśmę i otworzyła karton.

Od razu uderzył ją w nozdrza zapach farby drukarskiej.

Ostrożnie, jakby sięgała po coś niezwykle cennego, wyjęła jeden egzemplarz.

Na okładce było ich zdjęcie. Jedno z ostatnich, gdy przytuleni do siebie stali na tarasie przed restauracją, w której Kasia brała ślub. Widać było tylko zarys ich postaci.

Ręce jej drżały.

Otworzyła pierwszą stronę, na której widniał tylko krótki tekst:

„Tak, wyjdę za Ciebie”.

Kilka słów

Przepraszam.

Przepraszam.

Przepraszam.

Zarówno Ciebie, drogi Czytelniku, jak i siebie.

Płakałam jak bóbr, pisząc ostatnie rozdziały, i to wielokrotnie.

Wiem, że wiele osób będzie miało do mnie o to pretensje, ale musiałam.

Czasami trzeba zamknąć jedne drzwi, aby móc otworzyć kolejne.

Dorota Czerwińska to moja pierwsza bohaterka i nigdy o niej nie zapomnę, ale w kolejce czekają następne, które chcą dość do głosu. Wierzę, że również one skradną Wasze serca, a historie o nich wywołają wiele emocji.

Jak zawsze, kończąc książkę, mam komu dziękować.

Mojej rodzinie, która dzielnie znosi moje chwile samotności, gdy tylko sprawy wagi państwowej pozwalają na naciśnięcie klamki i przerwanie mi pracy nad powieścią.

Mojej redaktorce, która prostuje moje błędy i szlifuje tekst niczym jubiler brylant.

No i jak zwykle dziękuję Tobie, drogi Czytelniku.

Bez Ciebie ta książka by nie powstała. Kocham pisać, ale chyba jeszcze bardziej uwielbiam dostawać od Was wiadomości. A ponieważ zazwyczaj mnie uskrzydlają, moja motywacja, która jest zdecydowanie ponad normę, ponieważ jestem pracoholiczką, wzrasta pod niebo. I w dni, kiedy trochę mniej mi się chce, zaczyna chcieć mi się bardzo.

Dziękuję Ci za to i proszę o więcej.

Pisz do mnie, gdzie chcesz.

Na Facebooku, Instagramie, zostaw swoją opinię na jednym z portali.

Za każde miło słowo dziękuję, tak samo jak za konstruktywną krytykę :)

Pozdrawiam
Agnieszka Peszek

Dotychczas wydałam:

Seria "CZERWIŃSKA"

Seria "ONA"

POZOSTAŁE

Wszystkie moje książki znajdziesz na www.peszek.pl